

Daniel Silva

KSIAŻĘ OGNI

*Neilowi Nyrenowi, pewnej ręce u steru,  
Patrickowi Matthiesenowi, który dał mi Isherwooda,  
i, jak zawsze, mojej żonie Jamie oraz  
dzieciom, Lily i Nicholasowi*

*Jeśli szukasz zemsty, wykop grób dla dwojga.*

Przysłowie żydowskie

# Część pierwsza

*Dossier*

# 1

Rzym, 4 marca

Było kilka znaków ostrzegawczych. Zbombardowanie osiedla żydowskiego w Buenos Aires w czasie szabasu, które uśmierciło osiemdziesięciu siedmiu ludzi. Zamach bombowy na synagogę w Stambule, dokładnie rok później, który zabił kolejnych dwudziestu ośmiu. Ale to Rzym był miejscem jego prawdziwego entree i to w Rzymie zostawił swoją wizytówkę.

Potem, na korytarzach i w gabinetach osławionego izraelskiego wywiadu, toczyła się poważna, nierzadko ostra dyskusja nad domniemanym czasem i miejscem powstania spisku. Lew Ahroni, nader ostrożny szef wywiadu, utrzymywał, że cała rzecz została przygotowana niedługo po najeździe wojsk izraelskich na siedzibę Arafata w Ramalli i zagarnięciu jego tajnych akt. Ari Szamron, legendarny izraelski superszpieg, uznał to za śmiechu warte. Niewątpliwie kwestionowanie opinii Lwa było jego ulubioną rozrywką. Ale Szamron, który walczył jeszcze w oddziałach Palmach podczas pierwszej wojny o niepodległość, postrzegał cały konflikt jako ciągłość i intuicja podpowiadała mu, że u źródeł zamachu w Rzymie leżały wydarzenia sprzed ponad półwiecza. W przyszłości okazało się, że obaj - i Lew, i Szamron - mieli rację. Tymczasem, dla dobra harmonijnej współpracy, przystali na kompromisowy punkt wyjścia: dzień, w którym niejaki monsieur Jean-Luc zawitał do Lacjum i rozgościł się w pokojach gustownej osiemnastowiecznej willi nad brzegiem jeziora Bracciano.

Dokładna data i godzina jego przybycia nie budziły wątpliwości. Monsieur Laval, belgijski właściciel willi i wątpliwego tytułu arystokratycznego, powiedział, że lokator pojawił się o drugiej trzydzieści po południu w ostatni piątek lutego. Grzeczny, choć nieco spięty młody Żyd, który odwiedził monsieur Lavalą w jego brukselskim domu, nie mógł wyjść z podziwu nad precyzją tej odpowiedzi. Belg wyjął kosztowny oprawiony w skórę kalendarz i otworzył go na omawianej dacie. Przy godzinie czternastej trzydzieści widniały skreślane ołówkiem słowa: *Spotkanie z M. Jeanem-Lukiem w willi Bracciano*.

- A dlaczego napisał pan w willi Bracciano, a nie po prostu w willi? - spytał izraelski gość z piórem uniesionym nad kalendarzem.

- Żeby nie pomyliło mi się z naszą willą w Saint-Tropez, naszą willą w Portugalii oraz z *chalet*, który mamy w szwajcarskich Alpach.

- Rozumiem - powiedział Żyd, choć Belg uznał, że w głosie gościa brak było owego charakterystycznego tonu pokory, jaki większość urzędników państwowych zwykła przyjmować w rozmowach z możnymi tego świata.

I co jeszcze monsieur Laval może powiedzieć o człowieku, któremu wynajął willę? Że był punktualny, inteligentny i niesłychanie dobrze ułożony. Że był uderzająco przystojny. Że zapach jego wody kolońskiej był interesujący, ale nie natarczywy. Że nosił stroje kosztowne, ale nie ekstrawaganckie. Że jeździł mercedesem i miał dwie duże walizy ze złotymi obiciami i logo sławnej firmy. Że zapłacił za miesiąc z góry i gotówką, co, jak wyjaśnił monsieur Laval, akurat w tej części Włoch nie jest niczym nadzwyczajnym. Że umiał słuchać i nie trzeba mu było niczego mówić dwa razy. Że sam z kolei mówił po francusku z akcentem paryżanina wywodzącego się z bogatej *arrondissement*<sup>1</sup> Że sprawiał wrażenie mężczyzny, który poradziłby sobie w bitce i który dobrze traktuje swoje kobiety.

<sup>1</sup> *Arrondissement* (franc.) - dzielnica.

- Szlachetnego urodzenia - podsumował monsieur Laval z pewnością osoby, która zna się na rzeczy. - Z dobrego rodu. Proszę to zapisać w swoim notatniku.

Krok po kroku pojawiały się dodatkowe szczegóły dotyczące człowieka o nazwisku Jean-Luc, choć żaden z nich nie kłócił się z pochlebnym obrazem odmalowanym przez monsieur Lavalą. Nie najął kobiety do sprząwania, ogrodnikowi kazał przychodzić punktualnie o dziewiątej i kończyć przed dziesiątą. Zakupy robił na pobliskich ryneczkach, na mszę jeździł do Anguillary, średnio-wiecznej osady położonej nad jeziorem. Dużo czasu spędzał, zwiędzając rzymskie ruiny w Lacjum i sprawiał wrażenie szczególnie zainteresowanego starożytną nekropolią w Cerveteri.

Pewnego dnia w połowie marca - dokładnego terminu nie udało się nigdy ustalić - zniknął. Nawet monsieur Laval nie znał daty jego wyjazdu. Został o nim poinformowany telefonicznie przez jakąś kobietę z Paryża, która przedstawiła się jako osobista asystentka dzentelmena. Choć czynsz uiszczono jeszcze za dwa tygodnie, przystojny lokator nie uznał za stosowne kłopotać ani siebie, ani monsieur Lavalą prośbą o zwrot nadpłaty. Nieco później tej wiosny, kiedy monsieur Laval przyjechał do willi, ze zdziwieniem znalazł w kryształowej wazie na kredensie w pokoju jadalnym lakoniczną kartkę z podziękowaniem, napisaną na maszynie, oraz sto euro tytułem zapłaty za stłuczone kieliszki do wina. Dokładna inspekcja stołowych kryształów nie ujawniła jednak żadnych braków. Kiedy monsieur Laval próbował zadzwonić do asystentki Jeana-Luca w Paryżu w sprawie zwrotu pieniędzy, okazało się, że jej telefon jest wyłączony.

Na obrzeżach Villa Borghese znajdują się eleganckie bulwary i spokojne cieniste uliczki w niczym nieprzypominające brudnych, wydeptanych przez turystów trotuarów centrum miasta. Są to aleje dyplomacji i pieniędzy, gdzie ruch uliczny odbywa

się z niemal rozsądną prędkością i gdzie dźwięk klaksonu brzmi jak odgłos powstańczej ruchawki. Jedna z takich uliczek nie ma wylotu. Opada pod niewielkim kątem i skręca na prawo. Przez wiele godzin każdego dnia pogrążona jest w cieniu dzięki rozłożystym piniom i eukaliptusom pochylającym się nad willami. Wąski chodnik, nierówny i popękany od naporu korzeni drzew, zawsze pokrywają opadłe igły i liście. Na końcu zaułka znajduje się ogrodzony kompleks zabudowań placówki dyplomatycznej, ufortyfikowany i strzeżony silniej niż większość podobnych w Rzymie.

Ci, którzy przeżyli, oraz świadkowie wspominali później rzadką doskonałość tego zimowego poranka: pogodnego i bezchmurnego, na tyle chłodnego w cieniu, by wzbudzić dreszczyk, i na tyle ciepłego w słońcu, by skłaniać do rozpięcia wełnianego płaszcza i marzeń o lunchu na świeżym powietrzu. Fakt, że był to w dodatku piątek, zwiększał jeszcze panujący nastrój rozprężenia. W dzielnicach ambasad i służb dyplomatycznych był to ranek niespiesznych rozmyślań przy filiżance cappuccino i *cornetto*, zadumy nad własnym położeniem i śmiertelnością. Zwłoka była motywem przewodnim dnia. Wiele zebrań zostało odwołanych. Mnóstwo papierkowej roboty przełożono na poniedziałek.

W ślepych zaułku w pobliżu Villa Borghese nie było żadnych widocznych oznak nadciągającej tragedii. Włoscy policjanci i ochroniarze pilnujący ogrodzenia gawędzili leniwie w plamach słońca. Jak większość przedstawicielstw dyplomatycznych w Rzymie, to także składało się oficjalnie z dwu ambasad, z których jedna odpowiadała za kontakty z rządem włoskim, druga z Watykanem. Obie placówki rozpoczęły tego dnia urzędowanie o zwykłej porze. Obaj ambasadorzy byli w swoich gabinetach.

Kwadrans po dziesiątej baryłkowaty jezuita kuśtykał w dół uliczki ze skórzaną teczką w dłoni. W jej środku znajdowała się nota dyplomatyczna z watykańskiego Sekretariatu Stanu, potępiająca ostatni najazd izraelskich oddziałów na Betlejem. Posłaniec złożył demarche na ręce urzędnika ambasady i sapiąc, zaczął



wspinać się w górę zaułka. Już po wszystkim, kiedy opublikowano treść noty, jej ostry ton wprawił w chwilowe zakłopotanie watykańską administrację. Czas przybycia posłańca miał w sobie coś opatrnościowego. Gdyby jezuita zjawił się pięć minut później, ani on sam, ani treść demarche nigdy już nie ujrzeliby światła dziennego,

Tyle szczęścia nie mieli członkowie ekipy włoskiej telewizji, którzy przyjechali przeprowadzić wywiad z ambasadorem na temat obecnej sytuacji na Bliskim Wschodzie. Ani delegacja miejscowych aktywistów żydowskich przybyła w sprawie uzyskania obietnicy oficjalnego potępienia przez ambasadę konferencji neonazistów, mającej odbyć się za tydzień w Weronie. Ani też włoskie małżeństwo, oburzone nowym wzrostem antysemityzmu w Europie, które chciało zasięgnąć języka co do możliwości emigracji do Izraela. Wszyscy oni, łącznie czternaście osób, stali w zwartej grupce przy wejściu dla interesantów i czekali, aż zrewidują ich krótko ostrzyżeni twardziele z ochrony, kiedy biała furgonetka przewozowa skręciła w zaułek i rozpoczęła swój śmiertelny rajd w stronę budynków placówki.

Większość ludzi najpierw usłyszała, potem dopiero zobaczyła samochód. Konwulsyjny warkot jej dieslowskiego silnika stanowił brutalny zamach na spokój poranka. Nie sposób było go zignorować. Włoscy ochroniarze przerwali pogawędki i unieśli głowy, podobnie jak czternastoosobowa grupka gości zebrana przy wejściu do ambasady. Baryłkowaty jezuita, który czekał na autobus po drugiej stronie ulicy, podniósł okrągłą głowę znad egzemplarza „L'Osservatore Romano” i rozejrzał się w poszukiwaniu źródła hałasu.

Na łagodnym spadku uliczki furgonetka zaskakująco szybko nabrała ogromnej prędkości. Wchodząc w zakręt, niebezpiecznie przechyliła się na bok pod ciężarem ładunku i przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała się wywrócić. Wyprostowała się jednak jakoś i zaczęła ostatni etap swej podróży.

Zza szyby samochodu mignęła na moment twarz kierowcy. Był młody i gładko ogolony. Usta i oczy miał szeroko otwarte. Wydawało się, że stoi na pedale gazu i krzyczy coś do siebie. Z jakiegoś powodu wycieraczki były włączone.

Włoscy strażnicy zareagowali natychmiast. Kilku schroniło się za ogrodzeniem z żelazobetonu. Inni w poszukiwaniu osłony dali nura do wnętrza budek wartowniczych ze szkła i stali. Dwóch otworzyło ogień z broni automatycznej w stronę atakującej furgonetki. Maski samochodu rozjarzyła się od iskier, przednia szyba pękła w drobny mak, ale furgonetka, nieza trzymana, gnała dalej coraz szybciej i szybciej aż do miejsca zderzenia. Później rząd Izraela wyraził podziw dla heroizmu okazanego przez włoskich strażników owego ranka. Podkreślono, że żaden nie opuścił swojego posterunku, choć gdyby to zrobili, ich los byłby dokładnie taki sam.

Odgłos eksplozji słyszalny był od placu Świętego Piotra przez plac Hiszpański aż do wzgórza Janiculum. Ludzie znajdujący się na górnych piętrach budynków uraczeni zostali niezapomnianym widokiem czerwonopomarańczowej ognistej kuli, która wzniosła się nad północnym skrajem Villa Borghese i chwilę później znikła pod grzybem czarnego jak smoła dymu. Podmuchał fale uderzeniowej roztrzaskał wszystkie szyby w oknach w odległości półtora kilometra od miejsca wybuchu, także witraże pobliskiego kościoła. Uśmiercił ptaki w locie. Ogołocił platany ze wszystkich liści. Geolodzy w centrum sejsmicznym przerazili się w pierwszej chwili, że oto Rzym nawiedziło trzęsienie ziemi średniego stopnia.

Żaden z włoskich ochroniarzy nie przeżył pierwszego ataku. Ani też nikt z czternastu gości czekających przed ambasadą i nikt z jej pracowników, którzy znajdowali się w pomieszczeniach najbliższej miejsca wybuchu furgonetki.

Ostatecznie jednak to drugi pojazd spowodował najwięcej ofiar. Watykański posłaniec, którego siła wybuchu powaliła na ziemię, zobaczył samochód wjeżdżający na pełnym gazie w ślepej uliczce. Ponieważ była to osobowa lancia, która wiozła czterech mężczyzn

i sunęła z ogromną prędkością, przyjął, że jest to policyjny radiowóz jadący na miejsce tragedii. Podniósł się i poprzez kłęby gęstego czarnego dymu ruszył za nim w stronę ambasady gotów do niesienia posługi zarówno rannym, jak nieżywym. Ale przed jego oczyma rozegrała się scena jak z koszmaru. Wszystkie drzwi lancii otworzyły się jednocześnie i czterej mężczyźni, których brał za policjantów, otworzyli ogień w kierunku zabudowań. Wszyscy ocalali, którzy słaniając się, opuszczali właśnie ruiny ambasady, zostali bezlitośnie wycięci w pień.

Czterej bandyci przestali strzelać dokładnie w tym samym momencie i wskoczyli z powrotem do samochodu. Gdy ruszali spod ambasady, jeden z nich wymierzył automat w stronę jezuity. Ksiądz przeżegnał się i przygotował na śmierć. Terrorysta uśmiechnął się tylko i zniknął za zasłoną dymu.

## 2

Twieria, Izrael

**K**wadrans po tym, jak w Rzymie padł ostatni strzał, w dużej willi koloru miodu nad Jeziorem Tyberiadzkim w Galilei zadzwonił kryptotelefon. Ari Szamron, dwukrotny były dyrektor generalny tajnych służb wywiadowczych Izraela, w chwili obecnej doradca specjalny premiera we wszystkich kwestiach dotyczących bezpieczeństwa i wywiadu, odebrał telefon w swoim gabinecie. Przez chwilę słuchał w milczeniu z zamkniętymi z wściekłości oczyma.

- Już jadę - powiedział i odłożył słuchawkę.

Odwracając się, zobaczył Gilah stojącą w drzwiach gabinetu. Trzymała w dłoniach jego skórzaną kurtkę lotniczą. Oczy miała mokre od łez.

- Właśnie mówili w telewizji. Źle?

- Bardzo źle. Premier chce, żebym pomógł mu przygotować orędzie do narodu.

- Więc nie powinieneś kazać premierowi czekać.

Pomogła Szamronowi włożyć kurtkę i pocałowała go w policzek. Był to już rodzaj rytuału. Ileż to razy opuszczał swoją żonę po informacji, że w zamachu bombowym zginęli kolejni Żydzi? Dawno temu stracił rachubę. Na starość pogodził się z myślą, że nigdy się to nie skończy.

- Nie będziesz palił zbyt dużo?

- Oczywiście, że nie.
- Spróbuj do mnie zadzwonić.
- Zadzwonię, kiedy będę mógł.

Wyszedł przez frontowe drzwi. Powitał go podmuch zimnego mokrego wiatru. W nocy ze wzgórz Golan zakradł się sztorm i przypuścił oblężenie na całą północną Galileę. Szamron obudził się przy pierwszym uderzeniu pioruna, które wziął za odgłos wystrzału. Nie udało mu się już potem zasnąć do rana. Sen był dla niego zawsze rodzajem kontrabandy. Przychodził z rzadka, a gdy został czymś zakłócony, nigdy dwukrotnie tej samej nocy. W takich chwilach Szamron zwykle otwierał w myślach tajne pliki swojej pamięci, przeżywał na nowo stare operacje, spacerował po polach niegdysiejszych bitew i stawiał czoło dawno pokonanym wrogom. Ostatniej nocy było inaczej. Ogarnęło go przecucie nadchodzącej katastrofy, obraz tak wyraźny, że skłonił go nawet do wykonania telefonu do dyżurnego centrali służb, którymi kiedyś kierował, żeby sprawdzić, czy nic nie zaszło.

- Niech pan wraca do łóżka, szefie - powiedział młody oficer.
- Wszystko jest w porządku.

Czarny peugeot Szamrona, opancerzony i kuloodporny, czekał u szczytu podjazdu. Obok otwartych tylnych drzwi stał Rami, ciemnowłosy szef jego obstawy. Przez lata Szamron zdołał narobić sobie mnóstwo wrogów, a z powodu zagmatwanej struktury narodowościowej Izraela wielu z nich żyło niepokojąco blisko Twerii. Rami, cichy jak samotny wilk i daleko bardziej niebezpieczny, rzadko opuszczał swojego zwierzchnika.

Szamron stanął na chwilę, żeby zapalić papierosa podłej tureckiej marki, której pozostawał wierny od czasów mandatu, potem zszedł z werandy. Był niski, ale ciągle, mimo zaawansowanego wieku, dobrze zbudowany. Jego dłonie, pomarszczone i nakrapiane plamami wątrobianymi, sprawiały wrażenie pożyczonych od mężczyzny dwa razy większego. Twarz, pełna szram i śladów dawnych złamań, przywodziła na myśl widok pustyni Negew

z lotu ptaka. Wieniec stalowoszarych włosów, który pozostał mu na głowie, był przycięty tak krótko, że ledwie można było go dostrzec. Potwornie niedelikatnie obchodzący się ze sprzętem optycznym, nosił od jakiegoś czasu okulary w oprawce z brzydkiego, ale za to niezniszczalnego plastiku. Grube soczewki powiększały niebieskie oczy, które dawno już straciły blask. Chodził zawsze tak, jakby spodziewał się napaści od tyłu: ze spuszczoną głową i łokciami skierowanymi obronnie na zewnątrz. Na korytarzach gmachu przy bulwarze Króla Saula, gdzie mieściła się centrala wywiadu, chód ten znany był jako „poszur Szamrona”. Wiedział o tym określeniu i wcale mu ono nie przeszkadzało.

Zanurkował na tylne siedzenie peugeot. Zwalisty samochód drgnął i skierował się w dół zdradliwie stromego zjazdu na wybrzeże. Skręcili w prawo i pognali w stronę Twerii, potem na zachód przez Galileę w kierunku Równiny Nadbrzeżnej. Przez większość drogi Szamron patrzył na tarczę zegarka. Czas był teraz jego wrogiem. Z każdą Uprywkającą minutą sprawcy oddalali się coraz bardziej od miejsca zbrodni. Gdyby atak miał miejsce w Jerozolimie albo Tel Awiwie, wpadliby w sieć punktów kontrolnych i blokad drogowych. Ale zamach wydarzył się we Włoszech, nie w Izraelu, i Szamron był na łasce włoskiej policji. Minęło dużo czasu, odkąd Włosi mieli do czynienia z poważnym aktem terroru. Co gorsza, narzędzie kontaktu władz izraelskich z włoskim rządem - ambasada - było zniszczone. Podobnie jak, podejrzewał Szamron, bardzo ważna komórka izraelskich tajnych służb. W Rzymie znajdowała się regionalna centrala biura na Europę Południową. Jej szefem był *katsa* o nazwisku Pazner, Szymon Pazner - człowiek, którego Szamron osobiście zwerbował i wyszkolił. Niewykluczone, że biuro właśnie straciło jednego ze swoich najlepiej wykwalifikowanych i doświadczonych agentów.

Wydawało się, że podróż trwa całe wieki. Słuchali wiadomości nadawanych przez Radio Izrael i z każdym nowym serwisem

sytuacja w Rzymie wyglądała gorzej. Trzykrotnie Szamron sięgał zdenerwowany po swój bezpieczny telefon komórkowy i trzykrotnie chował go z powrotem, nie wybierając numeru. Pozwól im działać, myślał. Wiedzą, co robią. Dzięki tobie są dobrze wyszkoleni. Poza tym nie był to najlepszy moment, by specjalny doradca premiera do spraw bezpieczeństwa i terroryzmu pchał się ze swoimi dobrymi radami.

Doradca specjalny... Szczerze nie znosił tego tytułu. Tracił niejasnością. Kiedyś mówiono o nim *Memuneh*: ten, który dowodzi. Przez tyle lat wspierał swoje słynne jednostki i kraj w chwilach triumfu i klęski. A potem Lew i jego zgraja młodych technokratów uznali go za niebezpiecznego i wygnali na judzkie pustkowie emerytury. Tkwilby tam nadal, gdyby nie koło ratunkowe rzucone przez premiera. Szamron, mistrz manipulacji i obłudy, zorientował się szybko, że z gabinetu premiera może niemal równie skutecznie pociągać za sznurki, jak czynił to z dyrektorskich pomieszczeń na bulwarze Króla Saula. Doświadczenie nauczyło go cierpliwości. W końcu i tak postawi na swoim. Zawsze stawiał.

Samochód zaczął piąć się w kierunku Jerozolimy. Nie sposób było na tej szczególnej drodze uciec od wspomnień dawnych bitew. Szamrona ponownie ogarnęło złowieszcze przecucie. Czy to Rzym widział uprzedniej nocy, czy jakieś inne miejsce? Coś większego od Rzymu? Starego wroga, tego był pewien. Trupa, który zmartwychwstał.

Siedziba premiera Izraela znajduje się przy ulicy Kapłana numer 3 w Kiryat Ben Gurion w zachodniej części Jerozolimy. Szamron wszedł do budynku przez podziemny parking i udał się do swojego biura. Niewielkich rozmiarów, ale strategicznie usytuowane w sąsiedztwie korytarza prowadzącego do gabinetu premiera, pozwalało mu widzieć, kiedy Lew albo którykolwiek z pozostałych

szefów wywiadu czy ochrony udawał się tam na spotkanie. Szamron nie miał osobistej sekretarki, dziewczyna o imieniu Tamara obsługiwała jego oraz trzech innych członków personelu bezpieczeństwa. Przynosiła mu kawę i uruchamiała zestaw trzech monitorów telewizyjnych.

- O siedemnastej ma się odbyć w gabinecie premiera zebranie Varaszu.

Varasz był akronimem hebrajskiej nazwy Komitetu Szefów Służb. W skład komitetu wchodził dyrektor generalny Szabaku - agencji bezpieczeństwa wewnętrznego Izraela, dowódca Amanu - wywiadu wojskowego, i oczywiście szef tajnych służb wywiadowczych, które na ogół określano krótko mianem biura. Szamron w uznaniu swoich zasług cieszył się przywilejem członka stałego.

- Przedtem - dodała Tamara - premier chce, żebyś za dwadzieścia minut zdał mu sprawozdanie.

- Powiedz mu, że lepsze byłoby pół godziny.

- Jeśli chcesz pół godziny, sam mu to powiedz.

Szamron usiadł przy swoim biurku i spędził następne pięć minut z pilotem w ręku, przeglądając serwisy światowych mediów w poszukiwaniu jak największej liczby ujawnionych szczegółów. Potem podniósł słuchawkę telefonu i wykonał trzy rozmowy, jedną z Tommasem Naldim - starym znajomym z ambasady Włoch, drugą z Ministerstwem Spraw Zagranicznych Izraela, mieszczącym się niedaleko na bulwarze Icchaka Rabina, wreszcie ostatnią z centralą biura na bulwarze Króla Saula.

- Nie może teraz odebrać telefonu - powiedziała sekretarka Lwa. Szamrona to nie zaskoczyło. Łatwiej było przedrzeć się przez wojskowy punkt kontrolny niż sekretariat szefa wywiadu.

- Proszę mnie natychmiast! połączyć albo następny telefon będzie od premiera.

Lew kazał Szamronowi czekać całe pięć minut.

- Co wiesz? - spytał Szamron.



- Szczerze? Nic.  
- Mamy jeszcze naszą komórkę w Rzymie?  
- Nie za bardzo - rzekł Lew - ale mamy naszego rzymskiego *katsa*. Pazner był służbowo w Neapolu. Dopiero co się zameldował. Teraz wraca do Rzymu.

Dzięki Bogu, pomyślał Szamron.

- A inni?  
- Trudno powiedzieć. Jak możesz sobie wyobrazić, sytuacja jest cokolwiek chaotyczna. - Lew miał wielki pociąg do eufemizmów. - Nie ma dwóch urzędników i oficera łącznikowego.  
- Czy w kartotekach znajduje się coś, cokolwiek, co mogłoby być kompromitujące lub kłopotliwe?  
- Cóż, możemy zawsze mieć nadzieję, że poszły z dymem.  
- Są trzymane w szafach, które wytrzymałyby uderzenie pocisku raketowego. Lepiej, żebyśmy dotarli do nich, zanim zrobią to Włosi.

Tamara wsadziła głowę w drzwi.

- Chce cię widzieć. Teraz.  
- Zobaczmy się o piątej - powiedział Szamron do Lwa i odłożył słuchawkę.

Zebrał swoje notatki i udał się za Tamarą korytarzem prowadzącym do gabinetu szefa rządu. Dwaj członkowie ochrony osobistej premiera z oddziałów Szabaku, wielcy chłopcy o krótko przyciętych włosach i w koszulach wypuszczonych na spodnie, patrzyli, jak się zbliżał. Jeden z nich usunął się na bok i otworzył drzwi gabinetu. Szamron prześlizgnął się obok niego i wszedł do środka.

Rolety były zaciągnięte, pokój chłodny i pogrążony w półmroku. Premier siedział za dużym biurkiem. Przez kontrast z ogromnym portretem przywódcy syjonistycznego Teodora Herzla, który wisiał na ścianie za jego plecami, wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Szamron bywał w tym pokoju wielokrotnie, ale za każdym razem przekraczał próg z szybszym biciem serca. Dla niego ten

gabinet reprezentował koniec wielkiej podróży, odbudowę żydowskiej suwerenności na Ziemi Izraela. Narodziny i śmierć, wojna i Holocaust - podobnie jak premierowi, Szamronowi przypadła w udziale jedna z głównych ról w tej epopei. Obaj uważali w sekrecie Izrael za swoje własne państwo, swoje własne dzieło i zazdrośnie strzegli go przed wszystkimi - Arabami, Żydami i gojami - którzy chcieli go osłabić lub zniszczyć.

Premier bez słowa wskazał Szamronowi krzesło. Z malutką głową i ogromnym tułowiem przywodził na myśl kawał wulkanicznej skały. Krótkie i grube dłonie miał złożone na blacie biurka, nad kołnierzykiem koszuli zwisały ciężkie, mięsiste policzki.

- Jak bardzo źle to wygląda, Ari?

- Do końca dnia powinniśmy mieć jaśniejszy obraz - rzekł Szamron. - Jedna rzecz jest pewna. To przejdzie do historii jako jeden z najgorszych aktów terrorystycznych wymierzonych w Izrael, jeśli nie najgorszy.

- Ile jest ofiar śmiertelnych?

- Nie mamy jeszcze dokładnych danych.

- Ambasadorzy?

- Oficjalnie wciąż znajdują się na liście poszukiwanych.

- A nieoficjalnie?

- Mówi się, że nie żyją.

- Obaj?

Szamron skinął głową.

- Chargé d'affaires także.

- Ile osób zginęło na pewno?

- Włosi zgłaszają dwanaście osób z policji i ochrony. MSZ na razie potwierdza dwudziestu dwu zabitych z personelu dyplomatycznego, w tym trzynastu członków rodzin z kompleksu mieszkalnego. Osiemnastu ludzi znajduje się na liście zaginionych.

- Pięćdziesięciu dwóch zabitych?

- Co najmniej. Przed wejściem do ambasady czekała grupka interesantów.

- Co z komórką biura?

Szamron powtórzył to, czego dowiedział się od Lwa. Pazner nie ucierpiał. Podejrzewano, że trzech pracowników biura znajduje się wśród zabitych.

- Kto to zrobił?

- Lew nie wyciągnął jeszcze żadnych...

- Nie pytam Lwa.

- Lista potencjalnych podejrzanych jest, niestety, długa. Wszystko, co mógłbym teraz powiedzieć, byłoby tylko spekulacją, a w tym momencie spekulacje nam nie służą.

- Dlaczego Rzym?

- Trudno powiedzieć - rzekł Szamron. - Może był to po prostu dogodny cel. Może zauważyli jakąś słabość w systemie obrony, lukę w naszym panczerzu i postanowili ją wykorzystać.

- Ale ty w to nie wierzysz?

- Nie, panie premierze.

- Czy mogło to mieć jakiś związek z tą aferą w Watykanie kilka lat temu, z tą sprawą Allona?

- Wątpię. Wszystko jak do tej pory wskazuje, że był to samobójczy zamach arabskich terrorystów.

- Po zebraniu Varaszu chcę wygłosić orędzie.

- Sądzę, że to dobry pomysł.

- I chcę, żebyś mi je napisał.

- Dobrze.

- Ty wiesz, co to strata, Ari. Obaj wiemy. Włóż w to trochę serca. Wykorzystaj ten polski ból, który zawsze nosisz sobie. Kraj powinien płakać dziś wieczorem. Pozwól ludziom płakać. Ale zapewnij ich, że bydlęta, które to zrobiły, zostaną ukarane.

- Zostaną, panie premierze.

Szamron podniósł się.

- Kto to zrobił, Ari?

- Wkrótce będziemy wiedzieć.

- Chcę jego głowy - powiedział premier z nagłą furią. - Przynieś mi jego głowę na kiju.
- Będzie pan ją miał.

Na pierwszy przełom w śledztwie trzeba było czekać czterdzieści osiem godzin. Nastąpił nie w Rzymie, ale w Mediolanie, przemysłowym mieście na północy Włoch. Oddziały karabinierów i Polizia di Stato na podstawie informacji od swojego donosiciela, tunezyjskiego imigranta, dokonały nalotu na *pensione* w robotniczej dzielnicy na północ od centrum miasta, gdzie ukrywali się podobno dwaj z czterech terrorystów, którzy przeżyli zamach. Mężczyzn już tam jednak nie było, a sądząc ze stanu pokoju, opuszczali go w pośpiechu. Policja znalazła dwie walizki pełne ubrań, pół tuzina telefonów komórkowych razem z fałszywymi paszportami i skradzionymi kartami kredytowymi. Jednak najbardziej intrygującym znaleziskiem okazał się dysk komputerowy zaszyty we wnętrzu jednej z toreb. Włoscy specjaliści z państwowego laboratorium kryminalistycznego w Rzymie stwierdzili, że zawiera jakieś dane, ale nie byli w stanie przedrzeć się przez jego skomplikowane systemy zabezpieczające. Ostatecznie, po wielu dyskusjach, postanowiono zwrócić się o pomoc do Izraelczyków.

I tak oto Szymon Pazner został wezwany do sztabu głównego Servizio per le Informazioni e la Sicurezza Democratica -włoskich Służb Wywiadu i Ochrony Demokracji. Pojawił się tam kilka minut po dwudziestej drugiej i natychmiast zaprowadzono go do biura zastępcy dyrektora, człowieka nazwiskiem Martino Bellano. Stanowili raczej niedobraną parę: Bellano - wysoki, szczupły i ubrany tak, jakby właśnie zstąpił z kart włoskiego magazynu mody; Pazner - niski, umięśniony, z włosami jak z waty stalowej i w wymiętej sportowej marynarce. Bezpośrednio po spotkaniu Bellano opisywał Paznera jako „stertę nieświeżych łachów”. Póź-

niej, gdy cała afera dobiegła już końca i stało się oczywiste, że Pazner nie zachowywał się zupełnie szczerze, Bellano popadł w nawyk określania go mianem „tego koszerne go mośka w poży-  
czonym blezerku”.

Owego pierwszego wieczoru jednak odnosił się do gościa z wielką atencją. Pazner nie był typem człowieka łatwo wzbudzającego sympatię, ale kiedy wprowadzono go do gabinetu Bellano, z jego oczu wyzierało ogromne zmęczenie i głębokie poczucie winy tego, który ocalał. Bellano przez kilka chwil wyrażał „niezmierny żal” w związku z zamachem, potem przeszedł do powodu wezwania Paznera tak późno w nocy: komputerowego dysku. Położył go ceremonialnie na blacie biurka i pchnął w stronę Paznera koniuszkiem wymanikiowanego palca. Pazner nie okazał podniecenia, choć później przyznał się Szamronowi, że serce zatrzepotało mu w piersiach.

- Nie udało nam się znaleźć klucza - oznajmił Bellano. - Może wy będziecie mieli więcej szczęścia.

- Zrobimy, co w naszej mocy - skromnie odpowiedział Pazner.

- Oczywiście podzielicie' się z nami każdą informacją, którą uda się wam znaleźć.

- To się rozumie samo przez się - rzekł Pazner, wkładając dysk do kieszeni płaszcza.

Zanim Bellano uznał za stosowne zakończyć spotkanie, upłynęło kolejne dziesięć minut. Przez cały ten czas Pazner pozostał na swoim miejscu stoicko spokojny, jedynie dłonie miał zaciśnięte na poręczy krzesła niczym palacz, któremu odmówiono papierosa. Ci, którzy widzieli chwilę później, jak majestatycznym holem głównym podążał w stronę wyjścia, zwrócili uwagę na jego leniwy chód. Dopiero kiedy znalazł się na frontowych schodach na zewnątrz, pozwolił sobie na przyspieszenie kroku.

Kilka godzin po zamachu oddział izraelskich pirotechników, niestety o dużym doświadczeniu, przybył do Rzymu dokonać oględzin i inspekcji miejsca katastrofy pod kątem ustalenia

pochodzenia i składu bomby. Szczęśliwym zrządzeniem losu samolot czarterowy, którym przylecieli, ciągle jeszcze znajdował się przed hangarem na lotnisku Fiumicino. Pazner, za zgodą Szamrona, poleciał nim z powrotem do Tel Awiwu. Przybył na miejsce kilka minut po wschodzie słońca, wpadając prosto w ramiona ekipy powitalnej z biura. Skierowali się niezwłocznie na bulwar Króla Saula, jadąc szybko, ale z rozważą. Ładunek, który wieźli, był zbyt cenny, by ryzykować jego utratę na najbardziej niebezpiecznej stronie życia w Izraelu: jego drogach. Przed godziną ósmą tego ranka dysk stał się celem skoordynowanego szturm najlepszycy głowy z sekcji technicznej służb i o dziesiątej zabezpieczenia zostały pokonane. Ari Szamron chełpił się później, że komputerowi geniusze z biura złamali kod w czasie odpowiadającym długości przeciętnej przerwy na kawę we Włoszech. Opis materiałów zajął kolejną godzinę i punkt o dziesiątej wydruk zawartości dysku spoczywał już na nieskazitelnie czystym blacie biurka Lwa. Pozostał tam tylko momencik, ponieważ Lew natychmiast wrzucił go do teczki z szyfrowym zamkiem i udał się na ulicę Kapłana w Jerozolimie, gdzie zdał sprawozdanie premierowi. Naturalnie, u boku szefa rządu znajdował się Szamron.

- Ktoś musi go sprowadzić - powiedział Lew. Mówił z entuzjazmem osoby śpiewającej swój własny hymn pochwalny. Niewykluczone, pomyślał Szamron, że tak właśnie się czuł. Człowieka, o którym była mowa, Lew traktował jak swojego rywala, a uznawał tylko jeden sposób obchodzenia się z rywalami, prawdziwymi lub domniemanymi. Była nim banicja. - Pazner wraca do Włoch dziś wieczorem. Proponuję, żeby zabrał ze sobą ekipę z sekcji ewakuacji.

Szamron pokręcił głową.

- On jest mój. Ja go sprowadzę - zawiesił głos. - Poza tym Pazner ma teraz coś ważniejszego do roboty.

- Co takiego?

- Poinformowanie Włochów, że nie udało nam się złamać kodu dostępu do dysku, oczywiście.

Lew hołdował zasadzie nieopuszczania spotkań jako pierwszy, więc teraz z ogromną niechęcią podniósł się ze swojego krzesła i podążył do wyjścia. Szamron uniósł głowę, i napotkał spojrzenie premiera.

- Będzie musiał tu zostać, dopóki to nie ucichnie - powiedział premier.

- Tak, będzie musiał - zgodził się Szamron.

- Może powinniśmy znaleźć mu coś do roboty dla zabicia czasu. Szamron przytaknął ponownie i kłamka zapadła.

## Londyn

Poszukiwania Gabriela byty niemalże równie wyteżone jak pogoń za sprawcami masakry w Rzymie. Nie miał w zwyczaju opowiadać się ze swoich ruchów i nie podlegał już rozkazom biura, nikogo więc nie zaskoczyło, a już na pewno nie Szamrona, że opuścił Wenecję, nie zadając sobie trudu poinformowania kogokolwiek, dokąd jedzie. Jak się okazało, udał się do Anglii, żeby odwiedzić Leah, swoją żonę, która przebywała w prywatnej klinice psychiatrycznej w zacisznej części hrabstwa Surrey. Najpierw jednak wstąpił jeszcze na New Bond Street, gdzie na prośbę londyńskiego marszanda Juliana Isherwooda zgodził się wziąć udział w licytacji w domu aukcyjnym Bonhams.

Isherwood zjawił się pierwszy, trzymając w jednej ręce podniszczoną aktówkę, a przeciwdeszczowy płaszcz burberry w drugiej. Kilku innych marszandów tłoczyło się już w holu. Isherwood wymamrotał nieszczerze powitanie i poszedł szybko do szatni. Chwilkę później, uwolniony od przemokniętego okrycia, zajął stanowisko przy oknie. Wysoki i trzęsący się, ubrany był w swój zwyczajowy strój aukcyjny: szary garnitur w kredowobiałe prążki i szkarłatny krawat, który przynosił mu szczęście. Poprawił rozwiane wiatrem włosy, tak by przykrywały placek łysinki, i szybko zlustrował swoje odbicie w szybie. Ktoś nieznajomy mógłby go wziąć za przepitego, może lekko wstawionego. Ale żadna z tych



opinii nie odpowiadałaby prawdzie. Isherwood był absolutnie trzeźwy. Przytomny i opanowany, o percepcji tak ostrej jak jego język. Wyprostował ramię, odgarnął szeroki mankiet z nadgarstka i rzucił okiem na zegarek. Przyjaciel spóźniał się. A to nie było w stylu Gabriela. Punktualnego niczym wiadomości telewizyjne. Nigdy niekażącego czekać klientowi. Nigdy się nieociągającego, gdy w grę wchodziła jakaś renowacja. Jeśli, rzecz jasna, na drodze nie stawały mu okoliczności, na które nie miał wpływu.

Isherwood poprawił krawat i opuścił wąskie ramiona, tak by jego postać miała ów niewymuszony wdzięk i pewność siebie, stanowiące elementy składowe wizerunku prawdziwych Brytyjczyków pewnej sfery. Poruszał się w ich gronie, sprzedawał ich kolekcje i nabywał nowe w ich imieniu, a jednak miał świadomość, że nigdy nie stanie się jednym z nich. I jakże by mógł? Jego na wskroś angielskie nazwisko i koścista angielska postura skrywały fakt, że - przynajmniej z formalnego punktu widzenia - daleko mu było do Anglika. Był Brytyjczykiem według paszportu i narodowości, ale Niemcem z urodzenia, Francuzem z wychowania i żydem z wyznania. Tylko garstka zaufanych przyjaciół wiedziała, że Isherwood przybył do Londynu, kulejąc, jako mały uchodźca w 1942 roku, po tym jak para baskijskich pasterzy przeniosła go przez zasypane śniegiem Pireneje. Albo że jego ojciec, znany berliński marszand Samuel Isakowitz, dokonał swoich dni gdzieś na skraju polskiego lasu, w miejscu o nazwie Sobibór.

Była jeszcze jedna rzecz, którą Julian Isherwood trzymał w tajemnicy przed swoimi konkurentami z londyńskiego światka sztuki - i przed prawie wszystkimi, jeśli chodzi o ścisłość. Przez ostatnie lata zdarzało mu się świadczyć okazjonalne przysługi pewnemu dżentelmenowi z Tel Awiwu o nazwisku Szamron. Isherwood w hebrajskim żargonie nieregularnych formacji Szamrona określany był jako *sayan* - nieopłacany dobrowolny współpracownik, choć bliski szantażu charakter większości jego spotkań z Szamronem z dobrą wolą mało miał wspólnego.

Właśnie w tej chwili Isherwood spostrzegł błysk skóry i dżinsu pośród rozwianych pól nieprzemakalnych płaszczy z New Bond Street. Postać znikła na moment, potem nagle pojawiła się ponownie, jak gdyby wychylnęła zza kurtyny na oświetloną scenę. Isherwooda znowu, jak tyle już razy wcześniej, wprawiła w zaskoczenie niepozorna figura mężczyzny: niecały metr osiemdziesiąt wzrostu i może sześćdziesiąt siedem kilogramów wagi w pełnym ubraniu. Ręce miał wciśnięte w kieszenie czarnego skózanego płaszcza trzy czwarte, ramiona opuszczone i lekko wysunięte do przodu. Poruszał się płynnie i na pozór bez wysiłku na krzywawych nogach, które Isherwoodowi zawsze kojarzyły się z facetami potrafiącymi bardzo szybko biegać albo bardzo dobrze grać w piłkę. Miał na nogach parę gustownych zamiszowych mokasynów na gumowej podeszwie i mimo że lało jak z cebra, był bez parasola. Twarz miał długą, o wysokim czole i wąskim podbródku. Nos sprawiał wrażenie wyrzeźbionego z drewna, kości policzkowe były szerokie i wystające, a w zielonych, niespokojnych oczach czaił się cień rosyjskich stepów. Czarne włosy miał krótko przystrzyżone i mocno posiwiałe na skroniach. To była twarz nie zdradzająca narodowości właściciela, a Gabriel dysponował talentami lingwistycznymi, pozwalającymi mu z tego korzystać. Isherwood nigdy do końca nie wiedział, kogo ma się spodziewać, kiedy w drzwiach stawał Gabriel. Był każdym i nikim. Mieszkał wszędzie i nigdzie zarazem. Był Żydem Wiecznym Tułaczem.

Ni stąd, ni zowąd wyrósł tuż przy ramieniu Isherwooda. Nie przywitał się, a jego ręce nie opuściły kieszeni płaszcza. Maniery, których Gabriel nabył, pracując w tajnym świecie Szamrona, nie stanowiły najlepszego ekwipunku do poruszania się po jawnym. Tylko kiedy udawał, jego twarz nabierała pogodnego wyrazu. Gdy komuś obcemu dane było spoglądać na prawdziwego Gabriela - takiego, jakim był teraz, pomyślał Isherwood - a zdarzało się to bardzo rzadko, widział człowieka milczącego, ponurego

i chorobliwe nieśmiałego. Gabriel potrafił sprawiać, że ludzie czuli się w jego obecności nad wyraz nieswojo. To był jeden z jego rozlicznych talentów.

Przeszli przez hol w stronę punktu rejestracyjnego.

- Kim jesteście dzisiaj? - spytał Isherwood sotto voce, ale Gabriel pochylił się tylko i nabazgrał coś nieczytelnego w księdze wejść. Był mańkutem, jak to teraz przypominał sobie Isherwood. Pisał lewą ręką, pędzel malarski trzymał w prawej, sztucce - w zależności od kaprysu i okoliczności - w obydwu na przemian. A swoją beretkę? Tego, Bogu dzięki, Isherwood nie wiedział.

Wchodzili po schodach, Gabriel tuż przy boku marszanda, cichy i milczący niczym ochroniarz. Jego skórzany płaszcz i dzinsy poruszały się wraz z nim bezszelestnie, zamszowe mokasyny zdawały się unosić nad dywanem. Isherwood musiał dotknąć ramienia przyjaciela, żeby upewnić się, że ten nie zniknął. U schodów na prośbę strażnika Gabriel rozpiął zamek błyskawiczny swojej skórzanej torby na ramię i pokazał jej zawartość: binokular, lampa ultrafioletowa, infraskop, halogen dużej mocy. Strażnik, usatysfakcjonowany, przepuścił ich przyzwalającym machnięciem ręki.

Weszli do sali aukcyjnej. Na ścianach i obitych rypsem postumentach znajdowały się setki obrazów, każdy skąpany w pieczołowicie dobranej smudze światła. Rozproszone między płótnami grasowały bandy kupców - niczym szakale, pomyślał Isherwood, grzebiące wśród kości w poszukiwaniu smakowitego kąska. Niektórzy chodzili z twarzami przyklejonymi do obrazów, inni woleli patrzeć z dystansu. Formowały się oceny i opinie. Pieniądze leżały na stołach. Kalkulatory pokazywały szacunki potencjalnych zysków. To był ów wulgarny aspekt świata sztuki, aspekt, który Isherwood uwielbiał. Gabriel sprawiał wrażenie obojętnego na to wszystko. Poruszał się jak człowiek oswojony ze zgiełkiem bazaru. Isherwood nie musiał mu przypominać, żeby starał się nie zwracać na siebie uwagi. Miał to we krwi.

Jeremy Crabbe, odziany w tweedy dyrektor działu sprzedaży starych mistrzów Bonhamsa, czekał przed jednym z pejzaży szkoły francuskiej z niezapaloną fajką wystającą spomiędzy pożółkłych siekaczy. Potrząsnął dłonią Isherwooda z radością i obrzucił wzrokiem jego młodszego towarzysza w skórzanym płaszczu.

- Mario Delvecchio - przedstawił się Gabriel i jak zawsze jego doskonały akcent rodem z Wenecji wprowadził Isherwooda w zdumienie.

- Ach - westchnął Crabbe. - Tajemniczy signore Delvecchio. Znam pana ze słyszenia, naturalnie, ale nigdy jeszcze nie mieliśmy okazji się spotkać. - Crabbe spojrział na Isherwooda znacząco.

- Ukrywasz coś przede mną, Julianie? O czymś nie wiem?

- On dla mnie czyści, Jeremy. Opłaca mi się wzywać go, żeby rzucił okiem i dwa razy pomyślał, zanim ja skoczę.

- Takie buty - powiedział Crabbe sceptycznie i zaprowadził ich do małego, pozbawionego okien pomieszczenia tuż za główną salą aukcyjną.

Specyfika przedsięwzięcia wymagała, by Isherwood przejawiał choćby minimum zainteresowania innymi pracami. W przeciwnym wypadku Crabbe mógłby odczuć pokusę i szepnąć któremuś z pozostałych marszandów, że Isherwood nie spuszczał wzroku z konkretnego obrazu. Większość płócien była miernej wartości - lichutki wizerunek Madonny z dzieciątkiem pędzla Andrei del Sarto, martwa natura Carla Maginiego, kuźnia Wulkana Paola Paganiego - ale w odległym kącie oparty o ścianę stał duży obraz bez ram. Isherwood zauważył, że dobrze wytrenowane oko Gabriela od razu spoczęło na płótnie. Zauważył także, że Gabriel, zawodowiec w każdym calu, natychmiast spojrział w inną stronę.

Rozpoczął od innych płócien, spędzając przy każdym dokładnie dwie minuty. Jego twarz, nieokazująca żadnych oznak czy to entuzjazmu, czy rozczarowania, stanowiła nieprzeniknioną maskę. Crabbe zrezygnował z prób odgadnięcia jego zamiarów i skupił się na przeżuwananiu cybucha swojej fajki.

Wreszcie Gabriel podszedł do pozycji numer 43, *Daniel w jaskini lwów*, Erasmus Quellinus, 86 na 123 cali, olej na płótnie, mocno poprzecierany i niemiłosiernie brudny. Tak brudny, że koty widniejące na skraju kompozycji wydawały się całkowicie pogrążone w cieniu. Przykucnął i przechylił głowę, żeby obejrzeć płótno pod światło. Potem poślinił trzy palce i potarł nimi postać Daniela. Crabbe cmoknął z niezadowoleniem i przewrócił przekrwionymi oczyma, Ignorując go, Gabriel zbliżył twarz do obrazu na odległość zaledwie kilku centymetrów i badał sposób ułożenia dłoni Daniela oraz skrzyżowania jego nóg.

- Skąd to przyszło?

Crabbe wyjął z ust fajkę i zajął do wnętrza lulki.

- Pełne przeciągów klasycystyczne gmaszysko na wzgórzach Cotswolds.

- Kiedy było czyszczone po raz ostatni?

- Nie jesteśmy całkiem pewni, ale sądząc po wyglądzie, gdzieś za czasów Disraelego.

Gabriel spojrzął na Isherwooda, który w odpowiedzi popatrzył na Crabbe'a.

- Daj nam chwilkę, Jeremy.

Crabbe opuścił pokój. Gabriel otworzył swoją torbę i wyjął lampę ultrafioletową. Isherwood zgasił światła, pogrążając pomieszczenie w nieprzeniknionej ciemności. Gabriel włączył lampę i skierował niebieskawą wiązkę w stronę malowidła.

- I? - zapytał Isherwood.

- Ostatnia konserwacja miała miejsce tak dawno temu, że nie wychodzi w ultrafiolecie.

Gabriel wyciągnął z torby infraskop uderzająco podobny kształtem do pistoletu. Isherwooda przeszedł nagły dreszcz, kiedy przyjaciel ułożył dłoń na rękojeści przyrządu i włączył luminescencyjne zielone światło. Na płótnie pojawił się archipelag ciemnych plam, śladów ostatniej renowacji. Obraz, choć potwornie brudny, nie miał poważniejszych uszkodzeń.

Gabriel wyłączył infraskop i nałożywszy na twarz binokular, zaczął uważnie badać w przenikliwym białym świetle lampy halogenowej postać Daniela.

- I co sądzisz? - zapytał Isherwood, mrużąc oczy.

- Wspaniały - odpowiedział Gabriel w zamyśleniu. - Ale Erasmus Quellinus tego nie namalował.

- Jesteś pewien?

- Wystarczająco pewien, żeby postawić na to twoje dwieście tysięcy funtów.

- Co za ulga.

Gabriel wyciągnął rękę i przebiegł palcem wskazującym po umięśnionej, zgrabnej postaci.

- To jego robota, Julianie - rzekł. - Czuję go.

Udali się do St James's na uroczysty lunch w Greens, wziętej restauracji i miejscu spotkań sprzedawców oraz kolekcjonerów dzieł sztuki na Duke Street, zaledwie kilka kroków od galerii Isherwooda. Butelka dobrze schłodzonego białego burgunda czekała już na nich w zacisznym narożnym boksie. Isherwood napełnił dwa kieliszki, jeden przesunął po obrusie w stronę Gabriela.

- Mazeł tow, Julian.

- Co do obrazu, jesteś pewien?

- Nie będę w stanie potwierdzić autentyczności, dopóki nie zrobię refleksografii w podczerwieni i nie zajrzę pod powierzchnię. Ale kompozycja jest ewidentnie wzorowana na Rubensie, i nie mam żadnych wątpliwości, że pędzel też jest jego.

- Z pewnością będziesz dobrze się bawił przy jego odnawianiu.

- Kto powiedział, że to ja będę go odnawiał?

- Ty powiedziałeś.

- Powiedziałem, że potwierdzę autentyczność, ale nie mówiłem nic o konserwacji. Płótno wymaga co najmniej sześciu miesięcy pracy. Niestety, w chwili obecnej mam już coś na warsztaście.

- Jest tylko jedna osoba, której mogę powierzyć ten obraz  
- powiedział Isherwood. - To ty.

Gabriel przyjął ów zawodowy komplement nieznacznym uniesieniem głowy, potem powrócił do apatycznego studiowania menu. Isherwood mówił serio. Gdyby Gabriel Allon urodził się pod inną, lepszą gwiazdą, mógłby z powodzeniem zostać jednym z najwybitniejszych malarzy swojego pokolenia. Isherwood cofnął się myślami do dnia, w którym spotkali się po raz pierwszy - pięknego wrześniowego popołudnia 1978 roku, na ławce przy stawie Serpentine w Hyde Parku. Gabriel, podówczas jeszcze młodzieniec, już wtedy, jak pamiętał marszand, miał skronie naznaczone siwizną. Piętno chłopca wykonującego pracę mężczyzny, powiedział wówczas Szamron.

- Ukończył Akademię Sztuk Pięknych i Wzornictwa Bezalel w siedemdziesiątym drugim. W siedemdziesiątym piątym pojechał do Wenecji studiować konserwację u wielkiego Umberta Contiego.

- Umberto jest najlepszy.

- Tak mówią. Nasz Gabriel zrobił chyba wrażenie na signore Contim. Twierdzi, że nigdy nie widział tak utalentowanych rąk jak u Gabriela. Jestem skłonny się z tym zgodzić.

Isherwood zapytał wtedy nieopatrnie, co dokładnie Gabriel robił między 1972 a 1975 rokiem. Gabriel podążył wzrokiem za parą zakochanych spacerujących pod rękę wzdłuż brzegu jeziora. Szamron w zamyśleniu jął wydłubywać jakąś drzazgę z ławki.

- Myśl o nim jak o zagrabionym obrazie, który ukradkiem został zwrócony prawowitemu właścicielowi. Właściciel nie pyta, gdzie był obraz. Jest po prostu szczęśliwy, że znowu wisi na jego ścianie.

I wtedy Szamron poprosił o pierwszą „przysługę”.

- W Oslo osiedlił się pewien palestyński dżentelmen. Obawiam się, że jego zamiary dalekie są od szlachetności. Byłoby dobrze, żeby Gabriel miał go na oku. Chciałbym, żebyś znalazł tam jakieś

uczciwe zajęcie dla chłopaka. Nieduże zlecenie konserwatorskie na przykład - coś, co zabrałoby mu ze dwa tygodnie. Możesz to dla mnie zrobić, Julianie?

Pojawienie się kelnera zmusiło Isherwooda do powrotu do terażniejszości. Zamówił zupę z raków i gotowanego homara, Gabriel wziął zieloną sałatę i zwykłą solę z grilla z ryżem. Mieszkał w Europie przez większą część ostatnich trzydziestu lat, ale ciągle miał proste, niewyszukane gusta wiejskiego sabryjskiego<sup>1</sup> chłopca z doliny Ezdrelon. Wyborowa kuchnia i przednie wino, eleganckie ubrania i szybkie samochody - wszystko to nie miało dla niego znaczenia.

- Dziwię się, że udało ci się dzisiaj przyjechać - odezwał się Isherwood.

- Dlaczego?

- Rzym.

Gabriel nie podniósł wzroku znad menu.

- To nie jest moja działka, Julianie. Poza tym jestem na emeryturze. Wiesz o tym.

- Proszę - mruknął Isherwood. - To co teraz robisz?

- Kończę ołtarz świętego Jana Chryzostoma.

- Kolejny Bellini? Wyrobisz sobie niezłą markę.

- Już wyrobiłem.

Ostatnia robota Gabriela, restauracja ołtarza świętego Zacharia-sza, wywołała sensację w świecie sztuki i ustanowiła standardy, według których miały być oceniane wszystkie następne konserwacje dzieł Belliniego.

- Czy to aby nie Tiepolo i jego firma zajmują się projektem Chryzostoma?

Gabriel przytaknął.

- W zasadzie pracuję teraz tylko dla Francesca.

- Nie stać go na ciebie.

<sup>1</sup> Sabra - popularne określenie przedstawicieli pokolenia, które urodziło się w Izraelu, i autochtonicznych mieszkańców Palestyny żydowskiego pochodzenia.



- Lubię Wenecję, Julianie. I jakoś udaje mi się związać koniec z końcem za to, co Tiepolo mi płaci. Nie obawiaj się, nie prowadzę takiego życia, jak za czasów mojego terminu u Umberta.

- Chodzą słuchy, że jesteś ostatnio bardzo zajęтым chłopcem. Jak wieść niesie, omalże nie zabrali ci ołtarza świętego Zachariasza, bo wyjechałeś z Wenecji w jakiejś osobistej sprawie.

- Nie powinieneś słuchać plotek, Julianie.

- Och, faktycznie. Chodzą także słuchy, jakobyś w pałacyku w Cannaregio uwził sobie gniazdko z uroczym dziewczęciem imieniem Chiara. - Ostre spojrzenie rzucone znad skraju karty win upewniło Isherwooda, że pogłoski o miłosnym usidleniu Gabriela nie były wyssane z palca. - Czy to dziecko ma jakieś nazwisko?

- Ma na nazwisko Zoili i nie jest dzieckiem.

- A czy to prawda, że jej ojciec jest naczelnym rabinem Wenecji?

- Jest jedynym rabinem w Wenecji. Od czasu wojny to już raczej nie jest kwitująca gmina.

- Czy ona wie o twojej drugiej profesji?

- Ona jest z biura, Julianie.

- Obiecuj mi tylko, że nie złamiesz jej serca, tak jak wszystkim pozostałym - powiedział Isherwood. - Dobry Boże, gdy pomyślę o tych wszystkich kobietach, którym pozwoliłeś wyslizgnąć ci się z rąk. Wiesz, że ciągle nachodzą mnie najbardziej niesamowite fantazje o tym cudownym stworzeniu: Jacqueline Delacroix?

Gabriel pochylił się nad stolikiem z nagle spoważniałą twarzą.

- Mam zamiar ją poślubić, Julianie.

- A Leah? - zapytał miękko Isherwood. - Co zamierzasz zrobić z Leah?

- Muszę jej powiedzieć. Wybieram się do niej jutro rano.

- Zrozumie?

- Mówiąc szczerze, nie wiem, ale jestem jej to winien.

- Niech Bóg mi wybaczy, że to mówię, ale jesteś to winien przede wszystkim sobie. Już czas, żebyś się otrząsnął i zaczął żyć

normalnie. Nie muszę ci przypominać, że nie masz już dwudziestu pięciu lat.

- Ale to nie ty musisz spojrzeć jej w oczy i powiedzieć, że zakochałeś się w innej kobiecie.

- Masz rację, przepraszam za ten impertynencki ton. To wina tego burgunda i... Rubensa. Chcesz, żebym ci towarzyszył? Chętnie cię zawiozę.

- Nie - odrzekł Gabriel. - Muszę pojechać sam.

Przybyło pierwsze danie. Isherwood zabrał się za swój bulion. Gabriel spróbował sałaty.

- Jakie wynagrodzenie miałeś na myśli, mówiąc o zleceniu na czyszczenie Rubensa?

- Tak prosto z głowy? Coś w okolicach stu tysięcy funtów.

- Szkoda - westchnął Gabriel. - Za dwieście tysięcy byłbym skłonny rzecz rozważyć.

- Dobra, dwieście, ty draniu.

- Zadzwoń w przyszłym tygodniu i dam ci odpowiedź.

- A co cię powstrzymuje od przyjęcia zlecenia w tej chwili? Ten Bellini?

Nie, pomyślał Gabriel. Ten Rzym.

Klinika Stratford, jeden z najbardziej prestiżowych i dyskretnych szpitali psychiatrycznych w Europie, usytuowana była godziwą drogą od centrum Londynu w dość chaotycznie zabudowanej starowiktoriańskiej posiadłości na wzgórzach hrabstwa Surrey. W gronie pacjentów znajdował się między innymi daleki kuzyn brytyjskiej rodziny królewskiej oraz krewniak obecnego premiera, personel był więc przyzwyczajony do dość osobliwych życzeń i zachowań odwiedzających. Gabriel przejechał przez przednią bramę, przedstawivszy się strażnikom jako Mister Browne.

Zaparkował wynajętego opla na parkingu dla gości, znajdującym się na dziedzińcu starej rezydencji z czerwonej cegły. W holu

wejściowym przywitał go Leonard Avery, lekarz Leah, odziany w powiewający ortalionowy deszczowiec i kalosze.

- Raz w tygodniu zabieram wybraną grupę pacjentów na wózek po okolicy i chwilę obcowania z naturą - powiedział, wyjaśniając swój strój. - Ma to działanie w najwyższym stopniu terapeutyczne. - Ucisnął rękę Gabriela, nie zadawszy sobie trudu ściągnięcia przedtem rękawiczki. Zapytał o podróż z Londynu, tak jakby naprawdę interesowała go odpowiedź. - Czeka na pana w oranżerii. To wciąż jej ulubione miejsce.

Ruszyli korytarzem wyłożonym jasnym linoleum - Avery tak, jakby ciągle jeszcze przedzierał się przez gąszcz lasu Surrey. Był jedyną osobą w szpitalu, która знаła prawdę o pacjentce nazwiskiem Lee Martinson, a przynajmniej część prawdy. Wiedział, że w rzeczywistości ma na nazwisko Allon, a jej potworne oparzenia i stan bliski katatonii nie są rezultatem wypadku na motorze - jak mówiła karta szpitalna - ale eksplozji bomby w samochodzie kilka lat temu w Wiedniu. Wiedział także, że w zamachu zginął jej mały synek. Był przekonany, że Gabriel jest izraelskim dypłomata, i nie lubił go.

Kiedy szli, przedstawił Gabrielowi bardzo lapidarny przegląd stanu zdrowia Leah: nie zaszły żadne zmiany, o których warto by mówić. Avery nie wydawał się tym szczególnie przejęty. Nigdy nie był zwolennikiem hurraoptymizmu, a w przypadku Leah od samego początku twierdził, że rokowania są kiepskie. Okazało się, że miał rację. W ciągu trzynastu lat, jakie minęły od zamachu, Leah nie wypowiedziała do Gabriela ani słowa.

Na końcu korytarza znajdował się zestaw podwójnych drzwi z okrągłymi, przypominającymi iluminatory okienkami pokrytymi warstwą wodnej mgiełki. Avery otworzył jedno z nich i wpuścił gościa do oranżerii. Powitany falą duszącej wilgoci Gabriel natychmiast ściągnął płaszcz. Ogrodnik podlewał rosnące w donicach drzewka pomarańczowe i gawędził z pielęgniarką, atrakcyjną ciemnowłosą kobietą, której Gabriel nigdy wcześniej nie widział.

- Możesz już iść, Amira - rzucił w jej stronę doktor Avery. Pielęgniarka wyszła razem z ogrodnikiem.
- Kto to jest? - spytał Gabriel.
- Absolwentka pielęgniarstwa na King's College, specjalizuje się w opiece nad pacjentami z poważnymi zaburzeniami. Znako- mita w swojej specjalności. Pańska żona bardzo ją lubi.

Avery poklepał go po ramieniu z miną dobrotliwego wujaszka i również opuścił pomieszczenie. Gabriel rozejrzał się. Leah siedziała na krześle z kutego żelaza o prostym oparciu, wzrok miała utkwiony w pokrytych kropelkami wody oknach oranżerii. Ubrana była w białe spodnie z lichej szpitalnej bawełny i sweter z golfem, który częściowo ukrywał jej okaleczone ciało. W pokrytych bliznami dłoniach o powykręcanych palcach trzymała gałązkę rozkwitłego krzewu. Włosy, niegdyś długie i kruczoczarne, były obcięte na krótko i prawie całkiem siwe. Gabriel pochylił się i pocałował ją w policzek. Jego wargi napotkały chłodną, twardą bliznowatą tkankę. Nic nie przemawiało za tym, że Leah poczuła jego dotknięcie.

' Usiadł i uściśnął to, co zostało z jej lewej dłoni. Nie wyczuwał w środku śladu życia. Głowa Leah obróciła się wolno i ich spoj- rzenia się spotkały. Szukał w jej oczach jakichś oznak rozpoznania, ale nie znalazł. W jej splądrowanym, okradzionym z pamięci umyśle pozostał tylko wybuch. Rozgrywał się tam bez końca i wciąż na nowo, jak oszalala taśma wideo. Wszystko inne zostało wymazane albo zepchnięte do niedostępnych zakamarków jej mózgu. Gabriel znaczył dla niej tyle samo, co pielęgniarka, która ją tu przyprowadziła, albo ogrodnik, który opiekował się roślinami. Leah została ukarana za jego grzechy. Była ceną, jaką porząd- ny człowiek musiał zapłacić za wkroczenie w bagno morderców i terrorystów. Gabriela, któremu dany był dar naprawiania pięk- nych rzeczy, stan Leah bolał w dwójnasób. Pragnął zedrzeć blizny i przywrócić jej dawną chwałę. Ale Leah nie nadawała się do naprawy. Zbyt mało pozostało z oryginału.

Mówił do niej. Przypomniwał jej, że mieszka teraz w Wenecji, pracuje dla firmy, która odnawia kościoły. Nie wspomniął, że od czasu do czasu ciągle jeszcze wykonuje zlecenia dla Ariego Szamrona ani że dwa miesiące temu kierował akcją pojmania Ericha Radka, austriackiego zbrodniarza wojennego, którego sprowadził przed oblicze izraelskiego sądu. Kiedy wreszcie zebrał się na odwagę, by powiedzieć jej, że zakochał się w innej kobiecie i chce rozwiązać ich małżeństwo, by móc zawrzeć nowe, nie był w stanie przebrnąć przez to do końca. Rozmowa z Leah przypominała rozmowę z płytą nagrobną. Nie miała sensu.

Kiedy upłynęło pół godziny, podniósł się i wytknął głowę na korytarz. Oparta o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na fartuchu czekała tam pielęgniarka.

- Skończył pan? - spytała.

Gabriel skinął głową. Kobieta minęła go, potrąciwszy, i bez słowa weszła do środka.

Było późne popołudnie, kiedy samolot z Londynu wylądował na lotnisku w Wenecji. Jadąc do miasta wodną taksówką, Gabriel stał razem z kierowcą w kokpicie oparty plecami o drzwi kabiny. Patrzył na chorągiewki kanałów laguny, wynurzające się z mgły niczym kolumny pobitych wojsk wracające z frontu do domu. Wkrótce pojawiły się brzegi Cannaregio. Gabriela ogarnęło przelotne uczucie spokoju i ukojenia. Wenecja, rozsypująca się, idąca na dno, gnijąca Wenecja zawsze tak na niego działała. To jest miasto, które w całości wymaga gruntownej renowacji, powiedział mu ongiś Umberto Conti, posłuch się nim. Ulecz Wenecję, a ona uleczy ciebie.

Taksówkarz wysadził go przy Palazzo Lezze. Gabriel skierował się na zachód przez Cannaregio wzdłuż brzegów szerokiego kanału o nazwie Rio delia Misericordia. Doszedł do mostu z żelaza, jedynego takiego w całej Wenecji. W średniowieczu na środku mostu

znajdowała się brama. Nocą katolicka wideta stała na jej straży, aby ludzie uwięzieni po drugiej stronie mostu nie mogli uciec. Gabriel przeszedł przez przesłó i wszedł do podziemnego *sottoportego*. Jego koniec wychodził na szeroki plac: Campo di Ghetto Nuovo, punkt centralny starego getta w Wenecji. Niegdyś było ono tłoczonym domem dla ponad pięciu tysięcy Żydów. Teraz tylko dwudziestu ze wszystkich czterystu żydowskich obywateli miasta mieszkało na terenie getta. Większość z nich stanowili starsi ludzie, rezydenci Casa di Riposo Israelitica.

Gabriel ruszył na drugą stronę placu w kierunku nowoczesnych szklanych drzwi i wszedł do środka. Po jego prawej stronie znajdowało się wejście do niewielkiej księgarenki, specjalizującej się w publikacjach na temat żydowskiej historii i weneckich Żydów. Była ciepła i jasno oświetlona, z wielkimi oknami od sufitu do podłogi, które wychodziły na kanał otaczający getto. Za ladą na drewnianym stołku w trójkącie halogenowego światła siedziała dziewczyna o krótkich blond włosach. Uśmiechnęła się do niego, kiedy wszedł, i przywitała go jego fałszywym imieniem.

- Wyszła jakąś godzinę temu.
- Naprawdę? Dokąd?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nie mówiła.

Gabriel spojrzął na zegarek. Kwadrans po czwartej. Postanowił, że przed kolacją poświęci kilka godzin Belliniemu.

- Jeśli ją zobaczysz, powiedz jej, że jestem w kościele.
- Nie ma sprawy. Ciao, Mario.

Poszedł do mostu Rialto. Na ulicy po przeciwnej stronie kanału skręcił na lewo i skierował się w stronę małego kościółka w kolorze terakoty. Nagle przystanął. W wejściu do kościoła, w niszy, stał mężczyzna, którego Gabriel rozpoznał: Rami, jeden z agentów ochrony biura. Jego obecność w Wenecji mogła oznaczać tylko jedno. Mężczyzna zauważył Gabriela i spojrzął w stronę drzwi. Gabriel prześlizgnął się obok niego i wszedł do środka.

Kościół znajdował się w końcowej fazie prac konserwatorskich. Z wnętrza o kształcie greckiego krzyża usunięto ławki i tymczasowo umieszczono je przy ścianie wschodniej. Renowacja głównego ołtarza pędzla Sebastiana del Piombo była ukończona. Niepodświetlony, był prawie niewidoczny w półmroku późnego popołudnia. Bellini wisiał w kaplicy Świętego Hieronima, w prawej części kościoła. Powinien być zasłonięty pokrytym brezentem rusztowaniem, ale ktoś odsunął drabiny na bok, a cały obraz jarzył się w promieniach ostrego fluorescencyjnego światła. Chiara odwróciła głowę i obserwowała nadejście Gabriela. Osłonięte kapturem oczy Szamrona pozostały utkwione w ołtarzu.

- Wiesz co, Gabrielu, nawet ja muszę przyznać, że jest piękny.

W głosie starca słyhać było powściąganą niechęć. Szamron, izraelski troglodyta, nie miał zrozumienia dla sztuki czy rozrywki jakiegokolwiek rodzaju. Piękno dostrzegał tylko w doskonale zaplanowanej operacji albo zniszczeniu wroga. Ale uwagę Gabriela przykuło coś jeszcze: Szamron zwrócił się do niego po hebrajsku i popełnił niewybaczalny grzech - wymówił jego prawdziwe imię w niezabezpieczonym miejscu.

- Piękny - powtórzył starzec. Potem odwrócił się do Gabriela i smutno uśmiechnął. -Jaka szkoda, że nigdy go nie dokończysz.

## 4

### Wenecja

Szamron spoczął na kościelnej ławce i dłonią poznaczoną wątrobianymi plamami dał znak Gabrielowi, żeby zmienił kąt padania fluorescencyjnego światła. Z metalowej teczki wyjął beżową kopertę, a z koperty trzy fotografie. Bez słowa umieścił pierwszą z nich na wyciągniętej dłoni Gabriela. Konserwator rzucił okiem i zobaczył siebie spacerującego po Campo di Ghetto Nuovo z Chiara u boku. Spokojnie przeanalizował zdjęcie, niczym obraz wymagający renowacji, usiłując określić, kiedy je zrobiono. Ich ubrania, silne światło późnego popołudnia oraz opadłe liście na bruku sugerowały późną jesień. Szamron podał mu drugie zdjęcie - znowu Gabriel i Chiara, tym razem w restauracji niedaleko od ich domu w Cannaregio. Trzecia fotografia, na której widać było, jak wychodzi z kościoła Świętego Jana Chryzostoma, zmieniła jego rdzeń kręgowy w słupek lodu. Jak często, zastanawiał się. Jak często skrytobójca czekał w *campo*, kiedy on kończył pracę późno w nocy?

- To nie mogło trwać wiecznie - powiedział Szamron. - W końcu musieli cię tu znaleźć. Narobiłeś sobie zbyt wielu wrogów przez te wszystkie lata. Obaj narobiliśmy.

Gabriel zwrócił fotografie Szamronowi. Chiara siedziała obok niego. W tej scenerii i w tym oświetleniu wyglądała jak Alba Madonna Rafaela. Włosy - ciemne, kręcone, połyskujące reflek-



sami kasztanu i miedzi - były spięte na karku, ale niżej rozsypywały się niesforne na ramionach. Skórę miała oliwkową i świetlistą. Ciemnobrązowe, nakrapiane złotymi cętkami oczy błyszczały w świetle lampy. Zmieniały kolor w zależności od nastroju właścicielki, i teraz z ciemnego spojrzenia Chiary Gabriel odgadł, że przyjdzie mu usłyszeć jeszcze gorsze wieści.

Szamron ponownie sięgnął do swojej teczki.

- To jest dossier opisujące twoją karierę, niepokojąco dokładnie, niestety. - Urwał na moment. - Spoglądanie na swoje życie zredukowane do ciągu pogrzebów i śmierci może być dość trudne. Jesteś pewien, że chcesz to przeczytać?

Gabriel wyciągnął dłoń. Szamron nie zadał sobie trudu przetłumaczenia dossier z arabskiego na hebrajski. W dolinie Ezdrelon znajdowało się wiele muzułmańskich wsi i miasteczek. Arabski Gabriela, choć daleki od doskonałości, był wystarczająco dobry, by umożliwić mu zapoznanie się ze spisem własnych dokonań i wyczynów.

Szamron miał rację. W jakiś sposób wrogom Gabriela udało się zebrać imponująco kompletny opis jego drogi zawodowej. W dokumencie figurował pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Podana data jego werbunku była prawidłowa, podobnie jak powód, choć autorzy dokumentu przypisywali mu zabójstwo ośmiu członków Czarnego Września, podczas gdy w rzeczywistości zabił tylko sześciu. Kilka stron poświęcono zlikwidowaniu przez Gabriela Khalila el-Wazira, zastępcy dowódcy OWP, lepiej znanego pod swoim *nom de guerre* jako Abu Dżihad. Gabriel zabił go we wnętrzu jego własnej nadmorskiej willi w Tunisie w 1988 roku. Opis operacji pochodził od Ummy, żony Abu Dżihada, która była jej naocznym świadkiem. Fragment dotyczący Wiednia był lapidarny i wart uwagi z powodu rażącej nieścisłości: żona i syn zabici przez samochód pułapkę, Wiedeń, styczeń 1991. Odwet na polecenie Abu Amara. Za kryptonimem Abu Amar krył się nie kto inny jak Jaser Arafat. Gabriel zawsze podejrzewał, że

Arafat osobiście maczał palce w zamachu, ale aż do tej chwili nie miał dowodu, który by to potwierdzał.

- Gdzie to znaleźliście?
- W Mediolanie - odrzekł Szamron.

Opowiedział Gabrielowi o obławie na *pensione* i dysku znalezionym w bagażach jednego z podejrzanych.

- Kiedy Włosi nie mogli sobie poradzić ze złamaniem kodu dostępu, zwrócili się do nas. Myślę, że mieliśmy sporo szczęścia. Jeśli udałoby się im do niego dostać, w ciągu kilku minut byłiby w stanie rozwiązać sprawę morderstwa sprzed trzydziestu lat w Rzymie.

W dossier znajdowała się wzmianka o tym, że w 1972 roku w rzymskiej kamienicy Gabriel zlikwidował agenta Czarnego Września o nazwisku Wadal Abdel Zwaiter. To właśnie to zabójstwo, pierwsze, jakiego dokonał, sprawiło, że dosłownie w ciągu jednej nocy posiwały mu skronie. Oddał dossier Szamronowi,

- Co wiadomo o mężczyznach, którzy ukrywali się w tym *pensione*?

- Na podstawie odcisków palców pozostawionych na materiale i w pokoju oraz zdjęć z fałszywych dokumentów udało nam się zidentyfikować jednego z nich. Nazywa się Daoud Hadawi, Palestyńczyk urodzony w obozie dla uchodźców w Dżeninie. Był przywódcą jednej z powstańczych band w czasie pierwszej intifady, regularnie wtrącany do więzienia. W wieku siedemnastu lat wstąpił do Al-Fatah, a po powrocie Arafata z Oslo zaczął pracować w Al-amn Al-Ra'isah, Służbach Ochrony Prezydenta. Może kojarzysz poprzednią nazwę tej instytucji używaną przed norweskimi rokowaniami: Force Siedemnaście, gwardia pretoriańska Arafata. Jego ulubieni zabójcy.

- Co jeszcze wiemy o Hadawim?

Szamron sięgnął do kieszeni po papierosy. Gabriel zaoponował, tłumacząc, że dym szkodzi obrazom. Szamron westchnął i kontynuował swoje sprawozdanie.

- Wiedzieliśmy, że byt zamieszany w akcje terrorystyczne podczas drugiej intifady. Umieściliśmy go na liście poszukiwanych podejrzanych, ale władze palestyńskie odmówiły jego wydania. Przypuszczaliśmy, że ukrywa się w Mukacie razem z Arafatem i resztą dowódców.

Mukata to nazwa otoczonej murami siedziby Arafata w Ramalli.

- Ale kiedy w ramach operacji „Ochronna Tarcza” dokonaliśmy najazdu na Mukatę, Hadawiego nie było wśród ukrywających się tam mężczyzn.

- A gdzie był?

- Ludzie z Szabaku i Amanu przypuszczali, że uciekł do Jordanii albo Libanu. Przekazali akta sprawy do biura. Niestety, zlokalizowanie Hadawiego nie znajdowało się wysoko na liście priorytetów Lwa. Był to błąd, jak się okazuje, bardzo kosztowny.

- Czy Hadawi ciągle należy do Force Siedemnaście?

- Brak danych.

- Czy wciąż ma powiązania z Arafatem?

- Jeszcze nie wiemy.

- Czy zdaniem Szabaku Hadawi był w stanie sam przeprowadzić tego typu operację?

- Mało prawdopodobne. Zawsze uważano go raczej za prostego wykonawcę rozkazów, a nie mózgowca. Akcja w Rzymie została zaplanowana i przeprowadzona przez specy. Kogoś kutego na cztery nogi. Kogoś zdolnego do dokonania szokującego aktu terroru na światową skalę. Kogoś z doświadczeniem w tego typu sprawach.

- To znaczy kogo?

- Chcemy, żebyś właśnie tego się dowiedział.

- Ja?

- Chcemy, żebyś znalazł zwyrodnialców odpowiedzialnych za tę rzeź, i chcemy, żebyś ich zlikwidował. Tak jak w siedemdziesiątym drugim, z tą różnicą, że teraz ty sam będziesz dowodził akcją, nie ja.

Gabriel wolno pokręcił głową.

- Nie znam się na pracy dochodzeniowej. Byłem tylko zabójcą wykonującym wyroki. Poza tym, to już nie jest moja wojna. To jest wojna Szabaku. To jest wojna Sayaretu<sup>1</sup>.

- Oni wrócili do Europy - powiedział Szamron. - Europa jest teraz polem działań biura. To jest twoja wojna.

- Dlaczego sam nie pokierujesz zespołem?

- Jestem jedynie zwykłym doradcą bez żadnej mocy operacyjnej. - W głosie Szamrona brzmiała ironia. Bawiło go odgrywanie roli sponiewieranego cywila, którego przed czasem wysłano na zieloną trawkę, nawet jeśli rzeczywistość miała się zupełnie inaczej. - Poza wszystkim, Lew się nie zgodzi.

- A na mnie by przystał?

- Nie ma wyboru. Premier wyraził już zdanie w tej kwestii. Rzecz jasna, podpowiadałem mu wtedy cichutko. - Zawiesił głos na chwilę. - Lew postawił wszakże jeden warunek i, niestety, nie byłem w stanie go zakwestionować.

- Jaki warunek?

- Nalega, żebyś wrócił do pełnej, etatowej służby i wszedł na oficjalną listę płac.

Po wiedeńskiej tragedii Gabriel odszedł z biura. Misje, których podejmował się w następnych latach, miały charakter wyłącznie zleceń specjalnych, przygotowywanych i dyrygowanych przez Szamrona.

- Chce mnie podporządkować rozkazom biura, żeby móc mnie kontrolować - stwierdził Gabriel.

- Cóż, jego pobudki są raczej oczywiste. Jak na człowieka tajnych służb, Lew nie najlepiej sobie radzi z zacieraniem własnych śladów. Ale nie bierz tego osobiście. To mnie uważa za swojego wroga. Twoja wina, obawiam się, sprowadza się jedynie do znajomości ze mną.

<sup>1</sup> Sayaret - izraelska jednostka elitarnych sił specjalnych.

Na ulicy podniosła się wrzawa, odgłos biegnących i krzyczących dzieci. Szamron milczał, dopóki hałas nie ucichł. Kiedy odezwał się ponownie, w jego głosie pojawiła się nowa nuta frasunku.

- Dysk zawiera coś więcej niż tylko dossier - powiedział. - Znaleźliśmy także dokumentację fotograficzną i szczegółowe analizy systemów ochrony kilku przyszłych potencjalnych celów ataków w Europie.

- Jakich celów?

- Ambasad, konsulatów, biur naszych linii lotniczych, głównych synagog, ośrodków gmin żydowskich, szkół. - Ostatnie słowo odbijało się echem pod apsydami kościoła przez chwilę, zanim zamarło w ciszy. - Uderzą w nas ponownie, Gabrielu. Możesz nam pomóc ich powstrzymać. Znasz ich tak jak nikt na bulwarze Króla Saula. - Skierował wzrok na ołtarz. - Znasz ich tak dobrze, jak ruchy pędzla tego Belliniego.

Szamron przeniósł spojrzenie na Gabriela.

- Twój czas w Wenecji dobiegł końca. Po drugiej stronie laguny czeka samolot. Polecisz nim, czy to ci się podoba, czy nie. Co zrobisz potem, to już twoja sprawa. Możesz siedzieć sobie w bezpiecznym mieszkanku i dumać nad kolejami losu albo pomóc nam dopaść tych morderców, zanim oni nas dopadną.

Gabriel nie zdobył się na protest. Szamron miał rację: nie pozostało mu nic innego, jak wyjechać. Ale w pełnym samozadowolenia tonie głosu Szamrona było coś irytującego. Przez lata prosił Gabriela, by ten wrócił do Izraela i przejął kontrolę - najlepiej nad całym biurem, a przynajmniej nad działaniami operacyjnymi. Gabriel nie mógł pozbyć się wrażenia, że starzec na swój makiaweliczny sposób czerpał pewien rodzaj satysfakcji z całej sytuacji.

Wstał i podszedł do ołtarza. Próba szybkiego dokończenia go nic wchodziła w grę. Postać świętego Krzysztofa z Dzieciątkiem Jezus na ramionach wymagała jeszcze sporo podmalówki i punklowania. Później należało pokryć cały obraz nową warstwą werniksu. Minimum cztery tygodnie, choć sześć było bardziej realne.

Przypuszczał, że Tiepolo zleci to komuś innemu, i na tę myśl zrobiło mu się kwaśno w ustach. Ale sęk tkwił jeszcze gdzie indziej: Izrael nie ugiął się raczej od ciężaru obrazów włoskich starych mistrzów. Szanse na to, że nigdy już nie będzie mu dane dotknąć żadnego Belliniego, były ogromne.

- Moja praca jest tutaj - odezwał się Gabriel, choć jego głos przepełniony był rezygnacją.

- Nie, twoja praca była tutaj. Teraz wracasz do domu. - Szamron zawahał się. - Na bulwar Króla Saula. Do Brec Israel.

- Ale Leah też jedzie - powiedział Gabriel. - Przygotowania do jej wyjazdu będą musiały potrwać. Chcę, żeby w tym czasie ktoś jej pilnował w szpitalu. Nie obchodzi mnie, że w dossier uznana została za martwą.

- Już oddelegowałem tam agenta z naszej londyńskiej komórki.

Gabriel popatrzył na Chiare.

- Ona także wraca. - Szamron odgadł jego myśli. - Zostawimy w Wenecji zespół z sekcji ochrony do opieki nad jej rodziną i gminą. Zostanie tak długo, jak to będzie konieczne.

- Muszę powiedzieć Tiepolowi, że wyjeżdżam.

- Im mniej ludzi będzie wiedziało, tym lepiej.

- Mam to gdzieś - powiedział Gabriel. - Jestem mu to winien.

- Zrób, co uważasz za konieczne. Tylko zrób to szybko.

- A co z domem? Mam tam rzeczy...

- Chłopcy z ewakuacji zajmą się twoimi rzeczami. Kiedy skończą, nie zostanie najmniejszy ślad po twoim pobycie. - Mimo wcześniejszych upomnień Gabriela Szamron zapalił papierosa. Przez chwilę trzymał zapalną, potem ceremonialnie ją zdmuchnął. - Tak, jakbyś nigdy nie istniał.

Szamron dał mu godzinę. Z beretką Chiary w kieszeni Gabriel wyslizgnął się przez tylne drzwi kościoła i ruszył w kierunku Castello. Mieszkał w tej dzielnicy w okresie swojego terminu

u Umberto i dobrze znał poplątane uliczki *sestiere*<sup>1</sup>. Turyści nigdy się tu nie zapuszczali, wiele budynków było niezamieszkałych. Trasa, którą obrał, umyślnie okrężna, prowadziła przez kilka podziemnych *sottoportegi*, gdzie ewentualny „ogon” nie miał się gdzie ukryć. Raz z rozmysłem wszedł do zamkniętego *corte*, z jedną tylko, wspólną drogą wejścia i wyjścia. Po dwudziestu minutach miał pewność, że nikt go nie śledzi.

Biuro Francesca Tiepolo mieściło się w dzielnicy San Marco przy Viale 22 Marzo. Gabriel zastał go siedzącego za dużym dębowym stołem, który służył mu za biurko, pochylającego zwaliste cielsko nad stosem papierkowej roboty. Gdyby nie światło elektryczne i laptop na stole, mógłby uchodzić za postać z płócien renesansowych mistrzów. Spojrzał na Gabriela i uśmiechnął się zza płataniny czarnej brody. Turyści w Wenecji często brali go za Luciana Pavarottiego. Ostatnimi czasy zaczął nawet pozować im do zdjęć i raczyć kilkoma linijkami *Non ti scordardi me*, niemilosiernie fałszując.

Niegdyś był wielkim konserwatorem. Teraz biznesmenem. Prowadził najlepiej prosperującą firmę konserwatorską w całym regionie Wenecji Euganejskiej. Większość czasu upływała mu bądź na przygotowywaniu ofert i szacunków kosztów różnych projektów, bądź na politycznych bitwach z urzędnikami odpowiedzialnymi za ochronę skarbów malarstwa i architektury miasta. Raz dziennie zwykł był zaglądać do kościoła Świętego Chryzostoma, żeby nakłonić swojego utalentowanego głównego konserwatora, krnąbrnego i gburowatego Maria Delvecchio, do szybszej pracy. Tiepolo był jedyną osobą ze świata sztuki, poza Julianem Isherwoodem, która znała prawdę o wszechstronnym signore Delvecchio.

Tiepolo zaproponował, żeby poszli do knajpki za rogiem na szklaneczkę *prosecco*. Widząc jednak niechęć gościa do opuszczania biura, sam udał się po butelkę *ripasso* do sąsiedniego pokoju.

<sup>1</sup> *Sestiere* (wł.) - dzielnica, dystrykt.

Gabriel obrzucił wzrokiem rząd oprawionych w ramki fotografii, zdobiących ścianę za biurkiem weneccjanina. Wisiąco tam nowe zdjęcie Tiepola w towarzystwie dobrego przyjaciela, Jego Świątobliwości Pawła VII. Piętro Lucchesi był biskupem Wenecji, zanim niechętnie przeniósł się do Watykanu, by objąć władzę nad miliardem wiernych wyznania rzymskokatolickiego. Fotografia ukazywała jego i Tiepola siedzących w pokoju jadalnym pięknie odnowionego *palazzo* weneccjanina, którego okna wychodziły na Canal Grandę. Na fotografii nie było widać postaci Gabriela, który siedział wówczas po lewej stronie Ojca Świętego. Dwa lata wcześniej, z niewielką pomocą Tiepola, uratował mu życie i zlikwidował poważne niebezpieczeństwo grożące Stolicy Piotrowej. Miał nadzieję, że Chiara i chłopcy z ewakuacji znaleźli kartę, którą w grudniu z okazji święta Chanuka przesłał mu Jego Świątobliwość.

Tiepolo napełnił dwa kieliszki krwistoczerwonym *ripasso*, jeden przesunął po blacie stołu w stronę Gabriela, połowę drugiego sam opróżnił duszkiem. Jedynie w swojej pracy był skrupulatny i powściągliwy. We wszystkim innym - jedzeniu, pićiu, ogromnej liczbie kobiet, które się wokół niego kręciły - zdradzał skłonność do przesady i ekstrawagancji. Gabriel nachylił się do przodu i cicho przekazał Tiepolowi nowiny: że jego wrogowie odnaleźli go w Wenecji, że nie ma innego wyjścia jak natychmiast wyjechać z miasta. Przed ukończeniem Belliniego.

Tiepolo uśmiechnął się smutno i przymknął oczy.

- Nie można nic na to poradzić?

Gabriel potrząsnął głową.

- Wiedzą, gdzie mieszkam. Wiedzą, gdzie pracuję.

- A Chiara?

Gabriel powiedział mu otwarcie, jak się sprawy mają. Tiepolo był *uomo di fiducia*, człowiekiem godnym zaufania.

- Naprawdę przykro mi z powodu Belliniego - rzekł Gabriel.

- Powiniennem być go skończyć już kilka miesięcy temu.

I byłby skończył, gdyby nie sprawa Radka.



- Niech czort weźmie Belliniego. To o ciebie się martwię. - Tiepolo zajął do swojego kieliszka. - Będę tęsknił za Mariem Delvecchio, ale za Gabrielem Allonem będę tęsknił bardziej.

Gabriel wznosił swój kieliszek w kierunku Tiepola.

- Wiem, że to nie jest odpowiednia chwila, by prosić cię o przysługę... - zawiesił głos.

Tiepolo spojrzał na zdjęcie Ojca Świętego.

- Uratowałeś życie mojego przyjaciela - powiedział. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Dokończ za mnie tego Belliniego.

- Ja?

- Mieliśmy tego samego mistrza, Francesco. Umberto Conti dobrze cię wyszkolił.

- Tak, ale wiesz, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy ostatni raz trzymałem pędzel?

- Świetnie sobie poradzisz. Uwierz mi.

- No, nie jest to byle jakie wotum zaufania, jeśli pochodzi z ust samego Maria Delvecchio.

- Mario nie żyje, Francesco. Maria nigdy nie było.

Wśród nadciągającego zmroku Gabriel wyruszył w powrotną drogę do Cannaregio. Zboczył lekko z trasy, żeby po raz ostatni przejść się ulicami starego getta. Z miną właściciela obserwował, jak na placu para ubranych na czarno chłopców o mizerniutkich, nieprzystrzyżonych brodach sunęła po bruku w stronę jesiwy. Spojrzał na zegarek. Minęła godzina od chwili, kiedy zostawił w kościele Chiare i Szamrona. Odwrócił się i ruszył w kierunku mieszkania, które wkrótce miało zostać odarte ze wszelkich śladów bytności swego właściciela, i samolotu, którym miał wrócić do domu. Dwa pytania przebiegały mu w kółko przez głowę, kiedy tak szedł. Kto znalazł go w Wenecji? I dlaczego pozwolono, żeby opuścił ją żywy?

## 5

Tel Awiw, 10 marca

Nazajutrz o ósmej rano Gabriel zjawił się na bulwarze Króla Saula. Czekają na niego dwu oficerów z personalnego. Mieli na sobie takie same bawełniane koszule i takie same uśmiechy - wymuszone, pozbawione radości uśmiechy mężczyzn uprawnionych do zadawania kłopotliwych pytań. W ich opinii powrót Gabriela do biura powinien nastąpić już dawno temu. Teraz był jak wyborne, stare wino, które należy smakować powoli i okraszać komentarzami. Oddał się w ich ręce z melancholią zbiega dopadniętego po długim pościgu i poszedł na górę.

Musiał podpisać deklaracje, złożyć przysięgi, odpowiedzieć na bezpardonowe pytania o stan konta. Został sfotografowany i zapatrzony w identyfikator, który zawieszono mu niczym kamień u szyi. Pobrano mu raz jeszcze odciski palców, ponieważ nikt nie mógł znaleźć tych z 1972. Został zbadany przez lekarza, który na widok blizn pokrywających całe ciało Gabriela sprawiał wrażenie zaskoczonego, wykrywszy puls w jego nadgarstku i ciśnienie krwi w żyłach, Przeszedł nawet odrętwiającą umysł sesję ze służbowym psychologiem, który zanotował kilka uwag na karcie Gabriela i szybko opuścił pokój. Sekcja transportu przydzieliła mu do tymczasowego użytku skodę sedan, kwaterunek pozbawioną okien komórkę w piwnicy i mieszkanie służbowe, dopóki nie znajdzie sobie czegoś na własność. Chcąc zachować strefę buforową od-

dzielającą go od bulwaru Króla Saula, Gabriel wybrał nieużywany lokal operacyjny na ulicy Narkissa w Jerozolimie, niedaleko starego kampusu Akademii Sztuk Pięknych i Wzornictwa Bezalel.

O zachodzie słońca został wezwany do gabinetu dyrektora na ostatni powitalny rytuał. Lampka nad drzwiami Lwa paliła się na zielono. Jego sekretarka, atrakcyjna dziewczyna o opalonych nogach i włosach koloru cynamonu, przycisnęła niewidoczny guzik i drzwi otworzyły się same na oścież i bezgłośnie, jak wrota bankowego sejfów.

Gabriel wszedł do środka i zatrzymał się tuż za progiem. Ogarnęło go dziwne uczucie dyslokacji, niczym człowieka, który wraca do swojej sypialni z czasów dzieciństwa i widzi, że zamieniła się w izbę ojca. Gabinet należał niegdyś do Szamrona. Ale teraz zniknęły gdzieś stalowe szafki na akta, odrapane drewniane biurko i niemiecka radiostacja, na której Stary nasłuchiwał agresywnych głosów swoich wrogów. Teraz motywem przewodnim była nowoczesna, monochromatyczna szarość. Z podłogi zdarto stare linoleum i wyłożono ją pluszowym dyrektorskim dywanem. W strategicznych punktach pokoju rozmieszczono kilka wschodnich, sprawiających wrażenie kosztownych, kobierców. Żarówka halogenowa ukryta wysoko w suficie świeciła na nowoczesne fotele z czarnej skóry, które przywodziły Gabrielowi na myśl poczekalnię pierwszej klasy jakiegoś lotniska. Ścianę obok przekształcono w gigantyczny ekran plazmowy wysokiej rozdzielczości, na którym migotały serwisy światowych stacji. Pilot, spoczywający na szklanym stoliku do kawy, miał rozmiar modlitewnika i wyglądał tak, jakby posługiwanie się nim wymagało co najmniej doktoratu z nauk technicznych.

Biurko Szamrona stało niegdyś naprzeciw drzwi niczym szlaban; Lew wolał rezydować w pobliżu okien. Bładoszare żaluzje były na wpół zaciągnięte i na zewnątrz dało się dostrzec postrzępiony zarys śródmieścia Tel Awiwu oraz ogromną pomarańczową

bryłę słońca wolno zanurzającą się w Morzu Śródziemnym. Biurko Lwa, duża płyta przydymionego szkła, było puste, jeśli nie liczyć komputera i dwóch telefonów. Jego właściciel siedział przed monitorem z dłońmi złożonymi w pozie modliszki pod wyzywającym podbródkiem. Łysa głowa połyskiwała miękko w delikatnym świetle. Gabriel zauważył, że szkła okularów Lwa nie rzucały refleksów. Nosił specjalne soczewki, tak by jego wrogowie - to znaczy każdy w biurze, kto ośmielał się mu sprzeciwić - nie mogli zobaczyć, co czyta.

- Gabriel - powiedział, jak gdyby zaskoczony jego obecnością. Wyszedł zza biurka i uważnie uściśnął dłoń gościa, potem, przyciskając mu kościsty palec do kręgosłupa niczym lufę pistoletu, poprowadził go przez pokój na fotele. Gdy siadał, jeden z obrazów na ścianie wideo przykuł jego uwagę; Gabriel nie był w stanie powiedzieć, który. Westchnął ciężko, później wolno odwrócił głowę i obrzucił Gabriela spojrzeniem drapieżcy.

Wspomnienie ich ostatniego spotkania kładło się między nimi cieniem. Odbył się ono nie w tym pokoju, ale w Jerozolimie, w gabinecie premiera i miało tylko jeden punkt programu: zasadność przeprowadzenia przez biuro operacji pojmania Ericha Radka i sprowadzenia go przed sąd w Izraelu. Lew nieugięcie się temu sprzeciwiał, mimo że Radekomalże nie zabił matki Gabriela podczas marszu śmierci z Auschwitz w styczniu 1945 roku. Ostatecznie jednak premier przegłosował Lwa i powierzył Gabrielowi kierowanie akcją schwywania Radka i wywiezienia go z Austrii. Teraz hitlerowiec przebywał już w areszcie śledczym w Jafie, a Lew większość czasu w ciągu dwu ostatnich miesięcy spędził, próbując zniwelować szkody, jakich narobił sobie swoim początkowym protestem wobec operacji. Jego akcje na bulwarze Króla Saula spadły do niebezpiecznie niskiego poziomu; w Jerozolimie niektórzy zaczęli się zastanawiać, czy czas Lwa właśnie nie mija.

- Pozwoliłem sobie skompletować skład twojego zespołu - powiedział. Przycisnął na telefonie guzik interkomu i wezwał sek-

retarkę. Weszła do pokoju z plikiem akt pod pachą. Spotkania Lwa miały zawsze starannie opracowaną choreografię. Nic nie sprawiało mu większej frajdy niż sterczenie ze wskaźnikiem w dłoni przed skomplikowanym wykresem i zdradzanie jego sekretów zaintrygowanemu audytorium.

Kiedy sekretarka skierowała się w stronę drzwi, Lew spojrzał na Gabriela, sprawdzając, czy odprowadza ją wzrokiem. Potem bez słowa wręczył mu akta i ponownie przeniósł spojrzenie na monitory telewizyjne. Gabriel znalazł w środku kilka kartek, z których każda zawierała zwięzły profil członka zespołu: nazwisko, sekcja, obszar specjalizacji. Słońce ześlizgnęło się poniżej linii horyzontu i w gabinecie zrobiło się nagle bardzo ciemno. Żeby przeczytać akta, Gabriel musiał pochylić się lekko na lewo i trzymać strony bezpośrednio w świetle lampy halogenowej na suficie. Po kilku chwilach spojrzał na Lwa.

- Zapomniałeś dorzucić po kilku przedstawicieli z Syjonistycznej Organizacji Kobiet w Ameryce i Młodzieżowej Organizacji Sportowej Judy Machabeusza.

Ironia Gabriela odbiła się od Lwa niczym kamień od pędzącego lowarowego pociągu.

- Do rzeczy, Gabrielu.

- Jest ich za dużo. Będziemy sobie nawzajem deptać po piętach.

- Gabrielowi przemknęło przez głowę, że może właśnie o to Lwu chodziło. - Połowa tych ludzi w zupełności wystarczy do prowadzenia dochodzenia.

Omdlałym ruchem długiej dłoni Lew przyzwolił mu na zmniejszenie składu zespołu. Gabriel zaczął wyjmować poszczególne kartki i kłaść je na stoliku do kawy. W pewnej chwili na twarzy Iwa pojawił się grymas. Najwidoczniej cięcia Gabriela, choć robione na chybił trafił, objęły i jego informatora.

- To wystarczy - powiedział Gabriel, wręczając mu z powrotem akta osobowe. - Będziemy potrzebować jakiegoś pomieszczenia na spotkania. Mój gabinet jest za mały.

- Kwaterunek zarezerwował pokój czterysta pięćdziesiąt sześć C. Gabriel znał go dobrze. Znajdował się trzy piętra pod ziemią i był zwykłym składzikiem na zużyte meble i przestarzały sprzęt komputerowy. Nocnemu personelowi służył także jako miejsce romantycznych schadzek.

- Świetnie - rzekł Gabriel.

Lew założył nogę na nogę i usunął niewidoczną nitkę ze swoich spodni.

- Nigdy wcześniej nie pracowałeś w centrali, prawda, Gabrielu?

- Dobrze wiesz, gdzie pracowałem.

- I dlatego też czuję, że powinienem służyć ci przydatną wskazówką. Informacja na temat jakichkolwiek postępów w twoim dochodzeniu, zakładając, oczywiście, że takie będą mieć miejsce, nie powinna wyjść poza mury centrali. Będziesz składał raporty mnie i tylko mnie. Czy to jest jasne?

- Rozumiem, że pijesz do Starego.

- Dobrze wiesz, do kogo piję.

- Szamron i ja jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. Nie zerwę z nim znajomości tylko po to, by ukoić twoje skołatane nerwy.

- Ale powstrzymasz się od omawiania z nim tej sprawy. Czy wyraziłem się jasno?

Lew nigdy nie splamił krwią swoich rąk ani błotem swoich butów, ale w zaciszu gabinetu był mistrzem słownej szermierki.

- Tak, Lwie - powiedział Gabriel. - Dokładnie znam twoje stanowisko.

Lew podniósł się, sygnalizując koniec spotkania, lecz Gabriel nie ruszył się z miejsca.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym z tobą omówić.

- Mój czas jest ograniczony. - Lew zmierzył go wzrokiem.

- To zajmie tylko minutkę. Chodzi o Chiare.

Lew, nie chcąc narazić się na upokorzenie ponownego zajęcia swojego miejsca, podszedł do okna i spojrzął na światła Tel Awiwu.

- Co z nią?

- Nie chcę, żeby wróciła do służby, dopóki nie ustalimy, kto jeszcze widział treść tego dysku.

Lew obrócił się wolno niczym pomnik na piedestale. W świetle padającym zza jego pleców był tylko ciemną bryłą rysującą się na poziomych liniach żaluzji, niczym więcej.

- Cieszę się, że czujesz się u nas wystarczająco swobodnie, by wejść do tego gabinetu i stawiać żądania - powiedział kwaśno.

- Ale o przyszłości Chiary zdecydują chłopcy z operacyjnego, a w ostatniej instancji -ja.

- Ona jest tylko *bat levejha*. Chcesz powiedzieć, że nie możesz znaleźć innych dziewcząt do pracy w charakterze eskorty?

- Ma włoski paszport i jest cholernie dobra w tym, co robi. Wiesz to lepiej ode mnie.

- I jest spalona, Lew. Jeśli włączysz ją do akcji z jakimś agentem, narazisz na ryzyko także i jego. Ja bym z nią nie pracował.

- Na szczęście większość naszych oficerów operacyjnych nie jest tak arogancka jak ty.

- Nigdy nie znałem dobrego oficera operacyjnego, który nie byłby arogancki, Lew.

Zapadło milczenie. Lew podszedł do biurka i wcisnął przycisk na telefonie. Drzwi otworzyły się automatycznie i pojawił się klin jasnego światła, wpadającego z sekretariatu.

- Wiem z doświadczenia, że agenci operacyjni niezbyt dobrze znoszą dyscyplinę centrali. Na polu, w akcji sami są sobie prawem, nie tutaj prawem jestem ja.

- Postaram się to zapamiętać, szeryfie.

- Nie spieprz tego - zakończył Lew, gdy Gabriel skierował się w stronę otwartych drzwi. - Jeśli spieprzysz, nawet Szamron nie zdoła cię ochronić.

Zebrali się o dziewiątej następnego ranka. Kwaterunek podjął mało przekonującą próbę doprowadzenia pokoju do porządku.

Na środku stał odrapany drewniany stół konferencyjny w otoczeniu kilku krzeseł nie do kompletu. Stos pozostałych gratów piętrzył się przy ścianie naprzeciwko. Na jego widok Gabriel natychmiast po wejściu pomyślał o kościele Świętego Jana Chryzostoma i ustawionych tam pod ścianą kościelnych ławkach. Wszystko w scenografii pokoju tchnęło prowizorką, także przymocowana taśmą klejącą do drzwi i wprowadzająca w błąd kartka, na której widniał napis: Tymczasowy Zespół do spraw Badań nad Zagrożeniem Terrorystycznym w Europie Zachodniej. Gabriel z zadowoleniem powitał ten bałagan. Z przeciwności i niedoli, zawsze powtarzał Szamron, rodzi się więź i duch wspólnoty.

Jego zespół liczył sobie wszystkiego czterech ludzi, dwóch chłopców i dwie dziewczyny, wszyscy pełni zapału, oddania i dojrzalej młodości. Z sekcji badań przyszedł Josi, pedantyczny acz błyskotliwy analityk, który studiował latynistykę w Oksfordzie, z sekcji historii ciemnooka dziewczyna o imieniu Dina, która potrafiła wyrecytować czas, miejsce i dokładny spis ofiar każdego aktu terrorystycznego wymierzonego kiedykolwiek w Państwo Izrael. Poruszała się, utykając nieznacznie, a przez innych traktowana była z bezbrzeżną delikatnością, czego przyczynę Gabriel znalazł w jej aktach. Znajdowała się na ulicy Dizengoffa w Tel Awiwie owego październikowego dnia 1994 roku, kiedy zamachowiec-samobójca z Hamasu zamienił autobus linii 5 w zbiorową mogiłę dwudziestu jeden ludzi. Jej matka i dwie siostry zostały zabite, Dina ciężko ranna.

Dwoje pozostałych członków zespołu rekrutowało się spoza biura. Departament Spraw Arabskich Szabaku przydzielił Gabrielowi dziobatego twardziela imieniem Jaków, który większość ostatniej dekady spędził, próbując spenetrować aparat terroru Autonomii Palestyńskiej. Wywiad wojskowy dał Rimonę - siostrzenicę Szamrona w randze kapitana. Ostatni raz Gabriel widział ją, jak szalała na hulajnodze po stromym podjeździe domu Starego. Teraz przebywała głównie w tajnym hangarze lotniczym na



północ od Tel Awiwu, ślęcząc nad papierami wykradzionymi z siedziby Jasera Arafata w Ramalli.

Instynktownie Gabriel zabrał się do sprawy tak, jakby był to obraz. Przyszła mu na myśl pewna renowacja, którą wykonywał niedługo po zakończeniu swojego terminu: ukrzyżowanie Chrystusa autorstwa Cimy, wczesnorenesansowego malarza weneckiego. Po usunięciu pożółkłego werniksu okazało się, że pod spodem nie zostało z oryginału dosłownie nic. Następne trzy miesiące Gabriel spędził więc, dopasowując i sztukując fragmenty życia i pracy nieznanego artysty. Kiedy wreszcie przystąpił do retuszu, pracował tak, jak gdyby Cima stał u jego boku i prowadził jego rękę.

W tym przypadku artystą był jedyny zidentyfikowany członek grupy terrorystycznej: Daoud Hadawi. Stanowił jedyną nić z kłębka mechanizmu całej operacji, jaką mieli w rękach, i powoli, przez kolejnych kilka dni, jego krótkie życie zaczęło nabierać kształtów na ścianach pokoju Gabriela. Biegło od zrujnowanego obozu dla uchodźców w Dżeninie, przez kamienie i pałace się opony pierwszej intifady, aż do oddziałów Force 17. Żaden aspekt biografii Hadawiego nie został pominięty: jego wykształcenie i jego fanatyzm, jego rodzina i jego klan, jego stosunki i jego wpływy.

Zlokalizowano i policzono wszystkich znanych członków Force 17. Tych, którzy z uwagi na swoje umiejętności albo wykształcenie byli w stanie skonstruować bombę, jaka zrównała z ziemią ambasadę w Rzymie, poddano inwigilacji. Wezwano i przesłuchano arabskich informatorów od Ramalli po Gazę, od Rzymu po Londyn. Komputery przefiltrowały podsłuchy rozmów telefonicznych z ostatnich dwu lat pod kątem jakiegokolwiek związku z operacją na dużą skalę w Europie. Poddano ponownej analizie raporty z dawnych śledztw i obserwacji, przebadano raz jeszcze stare listy pasażerów linii lotniczych. Każdego ranka Rimona wracała do swojego hangaru szukać wzmianek o rzymskiej operacji w zdobytych aktach służb wywiadowczych Arafata.

Stopniowo pokój 456 C zaczął przypominać bunkier sztabu oblężonej armii. Na ścianach wisiało tyle zdjęć Palestyńczyków, że można było odnieść wrażenie, jakby dochodzenie nadzorowała arabska mafia. Dziewczeta z sekcji danych od jakiegoś czasu zaczęły zostawiać przynieszone przez siebie wydruki na zewnątrz pokoju, w korytarzu. Gabriel zarekwirował pomieszczenie obok, razem z łóżkiem i pościelą. Zażądał także sztalug i tablicy. Josi zauważył pogardliwie, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat nikt nie widział tablicy na bulwarze Króla Saula. Za karę musiał znaleźć jedną. Nadeszła następnego ranka.

- Musiałem dopraszać się całej masy względów - powiedział Josi. - Kamienne tablice i narzędzia do strugania przybędą za tydzień.

Każdy dzień Gabriel zaczynał od stawiania tego samego zestawu pytań. Kto zbudował bombę? Kto wymyślił i zaplanował atak? Kto kierował grupami? Kto zapewnił transport i lokale konspiracyjne? Kto trzymał kasę? Kto był mózgiem akcji? Czy był jakiś polityczny sponsor w Damaszku albo Teheranie, albo Trypolisie?

Tydzień śledztwa nie przyniósł odpowiedzi na żadne z tych pytań. Powoli zaczęło się wkradać zniechęcenie. Gabriel polecił swoim ludziom zmienić podejście.

- Czasami zagadka rozwiązuje się przez kawałek układanki, który przypadkiem wpada nam w ręce, a czasami rozwiązuje się przez znalezienie brakującego kawałka. - Stał przed swoją tablicą i wycierał ją, dopóki nie stała się zupełnie czysta. - Zaczniście szukać brakującego kawałka.

Każdego wieczoru jedli kolację razem niczym rodzina. Gabriel zachęcał ich, by odłożyli śledztwo na bok i skupili się na czymś innym. Naturalnie on sam natychmiast stał się głównym ośrodkiem ich zainteresowania, jako że uczyli się o jego akcjach w Akademii, a część z nich poznawali jeszcze w szkole, z podręczników

do historii. Z początku był małowówny i powściągliwy, ale cierpliwością i pochlebstwami udało im się wyciągnąć go ze skorupki. Zaczął odgrywać rolę, jaką wcześniej mnóstwo razy odgrywał przed nim Szamron. Opowiedział im o Czarnym Wrześniu i Abu Dżihadzie, o swoim wypadzie do samego serca Watykanu, o porwaniu Ericha Radka. Rimona wyciągnęła go na zwierzenia, jaką rolę w jego kamuflażu i próbach zachowania zdrowia psychicznego odgrywała praca konserwatora. Josi zaczął dopytywać się o zamach bombowy w Wiedniu, ale Dina, specjalistka od terroryzmu i antyterroryzmu, położyła mu dłoń na ramieniu w powstrzymującym geście i zręcznie zmieniła temat. Czasami, kiedy Gabriel opowiadał, widział, jak patrzyła na niego niczym na pomnik bohatera, który nagle ożył. Uświadomił sobie, że podobnie jak przed nim Szamron, przekroczył granicę oddzielającą zwykłych śmiertelników od postaci mitycznych.

Najbardziej intrygował ich Radek. Gabriel aż nadto dobrze rozumiał powód tego zainteresowania. Żyli w kraju, w którym posiłek w restauracji czy przejażdżka autobusem wiązała się z niebezpieczeństwem, jednak to wciąż Holocaust zajmował w ich koszmarach specjalne miejsce. Czy to prawda, że kazałeś mu iść przez obóz w Treblince? Dotykałeś go? Jak mogłeś znieść dźwięk jego głosu w tym miejscu? Czy kiedykolwiek korciło cię, żeby wziąć sprawy we własne ręce? Jaków chciał wiedzieć tylko jedno: czy żałował, że zabijał naszych przodków. I Gabriel, choć kusiło go, żeby skłamać, powiedział prawdę.

- Nie, nie żałował. Szczerze mówiąc, odniosłem przygniatające wrażenie, że raczej się tym szczycił.

Jaków pokiwał głową ponuro, tak jakby to, co usłyszał, zdawało się potwierdzać jego raczej pesymistyczny pogląd na rodzaj ludzki.

W szabas Dina zapaliła dwie świece i odmówiła na głos modlitwę. Tego wieczoru, zamiast przechadzać się po ciemnych ścieżkach przeszłości Gabriela, rozmawiali o swoich marzeniach. Jaków nie chciał wiele: jedynie móc siedzieć w kawiarni w Tel Awiwie, nie

odczuwając lęku przed szahidami. Josi marzył, by przemierzyć świat arabski od Maroka po Bagdad i opisać swoje wrażenia. Rimona pragnęła włączyć z rana radio i usłyszeć, że w nocy nikt nie zginął. A Dina? Gabriel podejrzewał, że sny Diny, tak jak jego własne, były prywatnymi seansami ognia i krwi.

Po kolacji Gabriel wyslizgnał się z pokoju i ruszył korytarzem. Doszedł do schodów, wspiął się na nie, potem zgubił orientację i został skierowany we właściwym kierunku przez nocnego wartownika. Wejście było strzeżone. Usiłował pokazać swój nowy identyfikator, ale strażnik tylko się roześmiał i otworzył przed nim drzwi.

Pokój był słabo oświetlony i, z uwagi na komputery, nieznośnie zimny. Oficerowie dyżurni mieli na sobie wełniane swetry i poruszały się z cichą efektywnością nocnego personelu OIOM-u. Gabriel wszedł na platformę widokową i oparł się o aluminiową poręcz. Przed jego oczyma rozciągała się ogromna komputerowa mapa świata, wysoka na trzy metry i szeroka na dziewięć. Po całym globie porozrzucane były punkciki światełek, każdy oznaczający ostatnie znane miejsce przebywania terrorystów z listy inwigilacyjnej Izraela. W Damaszku i Bagdadzie były ich całe garście, także w rzekomo przyjaznych miejscach, takich jak Amman czy Kair. Z Bejrutu do doliny Bekaa i obozów uchodźców wzdłuż północnej granicy Izraela płynęła cała rzeka światła. Zachodni Brzeg i Gaza stały w jego ogniu. Łańcuszek światełek rozciągał się przez Europę niczym diamentowy naszyjnik. Miasta w Ameryce Północnej jarzyły się nęcąco.

Gabriel poczuł nagle, jak ciężar smutku przygniata mu ramiona. Całe swoje życie poświęcił ochronie Żydów i ich państwa, a jednak tutaj, w tym lodowatym pokoju, przyszło mu stanąć twarzą w twarz z nagą rzeczywistością snu syjonisty: oto on, mężczyzna w średnim wieku, gapiący się na konstelację swoich wrogów i czekający, aż kolejny eksploduje.

Na korytarzu czekała na niego Dina, boso.

- To mi coś przypomina, Gabrielu.

- Co?

- Sposób, w jaki to przeprowadzili. Sposób, w jaki się poruszali.

Plan. Bezczelność akcji. To mi przypomina Monachium i Sabenę.

- Urwała i odgarnęła za ucho luźny kosmyk ciemnych włosów.

- To mi przypomina Czarny Wrzesień.

- Nie ma Czarnego Września, Dina. Już nie ma.

- Kazałeś nam szukać brakującego ogniwa. Czy to odnosi się też do Khaleda?

- Khaled to tylko pogłoska, nic więcej. Bajka o duchach.

- Ja w nią wierzę - powiedziała. - Nie daje mi spać po nocach.

- Masz jakiś trop?

- Teorię - powiedziała. - I pewien interesujący dowód na jej poparcie. Chciałbyś posłuchać?

## 6

Tel Awiw, 20 marca

O dziesiątej tego wieczoru zebrali się raz jeszcze. Panował nastrój jak wśród członków kółka uniwersyteckiego: zbyt zmęczonych, żeby zdobyć się na poważne działanie, zbyt podkscytowanych, żeby się rozejść. Dina, chcąc dodać wiarygodności swojej hipotezie, zajęła miejsce za pulpitem małego biurka. Josi siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, obłożony swoimi cennymi aktami z sekcji badań. Rimona, ciągle w mundurze w przeciwieństwie do reszty, opierała obutą w sandał stopę o oparcie pustego krzesła Josiego. Jaków usiadł obok Gabriela, nieruchomy jak granit.

Dina wyłączyła światła i umieściła fotografię w rzutniku. Przedstawiała dziecko, małego chłopca w berecie i kufii udrapowanej na ramionach. Siedział na kolanach starego mężczyzny o zbolalej twarzy, Jasera Arafata.

- To jest ostatnie potwierdzone zdjęcie Khaleda al-Khalify - powiedziała Dina. - Zrobione w Bejrucie w siedemdziesiątym dziesiątym roku na pogrzebie jego ojca, Sabriego al-Khalify. Kilka dni po ceremonii Khaled zniknął. Nie widziano go od tamtej pory.

Jaków poruszył się w ciemnościach.

- Myślałem, że będziemy zajmować się rzeczywistością - sarknął.

- Daj jej dokończyć - fuknęła Rimona.

Jaków próbował apelować do Gabriela, ale spojrzenie konserwatora utkwione było w oskarżycielskich oczach dziecka.

- Daj jej dokończyć - powiedział półgłosem.

Dina usunęła fotografię dziecka i włożyła na jej miejsce inną. Czarno-biała i trochę nieostra, ukazywała mężczyznę na koniu z bandolierem przewieszonym przez tułów. Para ciemnych, wyzywających oczu, ledwo widocznych przez mały otwór w kufii, patrzyła prosto w obiektyw aparatu.

- Żeby zrozumieć Khaleda - rzekła Dina - trzeba najpierw poznać jego osławionych przodków. To jest Asad al-Khalifa, dziadek Khaleda, i to od niego zaczyna się cała historia.

## PALESTYNA POD RZĄDAMI TURKÓW, PAŹDZIERNIK 1910

Urodził się w wiosce Beit Sayeed w rodzinie beznadziejnie biednego fellacha, dotkniętego plagą siedmiu córek, który swojego jedynego syna nazwał Asad: Lew. Rozpieszczany przez matkę i siostry, hołubiony przez słabującego i starzejącego się ojca, Asad al-Khalifa był leniwym chłopakiem, który nigdy nie przyswoił sobie umiejętności pisania i czytania ani nie chciał uczyć się Koranu na pamięć. Od czasu do czasu, kiedy potrzebował pieniędzy na własne wydatki, szedł pokrytą koleinami drogą do osiedla żydowskiego Petach Tikwa i pracował tam przez cały dzień za kilka piastrow. Jego żydowski majster miał na imię Zew.

- To po hebrajsku wilk - powiedział Asadowi.

Zew mówił po arabsku z dziwnym akcentem i zawsze zasypywał Asada pytaniami o życie w Beit Sayeed. Chłopak nienawdził Żydów, tak jak każdy w Beit Sayeed, ale praca nie była ciężka, a pieniądze Zewa nie śmierdziały.

Sama Petach Tikwa zrobiła wrażenie na młodym Asadzie. Jak to możliwe, że dopiero co przybyłym syjonistycznym osadnikom udało się dokonać takiego postępu, podczas gdy większość Arabów ciągle

żyła w nędzy? Widząc kamienne wille i czyste ulice żydowskiego osiedla, Asad czuł wstyd, kiedy wracał do Beit Sayeed. Chciał dobrze żyć, ale wiedział, że nigdy nie stanie się bogatym i potężnym człowiekiem, pracując dla Żyda o imieniu Wilk. Przestał chodzić do Petach Tikwy i oddał się snuciu planów innej kariery.

Pewnego wieczoru, gdy grał w kości w kafeterii w swojej wiosce, doleciała jego uszu sprośna uwaga o jego siostrze. Poczynił ją pewien starszy mężczyzna. Asad podszedł do jego stolika i spokojnie zapytał, czy aby się nie przesłyszał.

- Nie przesłyszałeś się - rzekł mężczyzna. - A, co gorsza, ta biedaczka ma twarz oślicy.

Kafeteria zatrzęsała się od śmiechu. Asad bez słowa wrócił do swojego stolika i gry w kości. Następnego ranka mężczyznę, który znieważył jego siostrę, znaleziono w pobliskim sadzie z pode-rżniętym gardłem i największą zniewagą, jaka może spotkać Araba: butem wepchniętym w usta. Tydzień później, kiedy brat mężczyzny publicznie poprzysiągł pomścić jego śmierć, także i on został znaleziony w sadzie, w takim samym stanie. Później już nikt nie ośmielił się obrazić młodego Asada.

Incydent w kafeterii pomógł Asadowi odkryć swoje powołanie. Wykorzystał nowo zdobytą sławę do zwerbowania oddziału bandytów. Wybierał tylko mężczyzn ze swojego plemienia i klanu, wiedząc, że nigdy go nie zdradzą. Chciał mieć możliwość działania daleko od Beit Sayeed, więc ukradł stado koni nowym władcom Palestyny, brytyjskim żołnierzom. Chciał mieć możliwość zastraszenia swych rywali, więc ukradł Brytyjczykom także i broń. Od pokoleń Palestyna nie doświadczyła niczego podobnego do napadów jego zbirów. Uderzali w miasta i wsie od Równiny Nadbrzeżnej po Galileę i wyżynę Samaria, a potem znikali bez śladu. Ich ofiarami padali głównie inni Arabowie, ale od czasu do czasu napadali także na źle bronione osiedla żydowskie. Czasami, gdy ich herszt miał ochotę na trochę żydowskiej krwi, porywali syjonistę, a Asad zabijał go swoim długim, zakrzywionym puginałem.



Wkrótce stał się zamożnym człowiekiem. Ale w odróżnieniu od innych odnoszących sukcesy opryszków, starał się nie zwracać na siebie uwagi i nie obnosił się ze swymi nowo zdobytymi bogactwami. Chodził w galabii i kufii zwykłego fellacha, większość nocy spędzał w rodzinnej chacie z mułu i słomy. By zapewnić sobie bezpieczeństwo i ochronę, członków swojego klanu hojnie obdarowywał pieniędzmi i łupami. Ludziom spoza Beit Sayeed wydawał się zwykłym chłopem, lecz mieszkańcy jego wioski tytułowali go teraz szejkiem Asadem.

Krótko był zwykłym bandytą i rabusiem. Palestyna się zmieniła i, z punktu widzenia Arabów, nie na lepsze. W połowie lat trzydziestych jiszuw, żydowska ludność Palestyny, liczyła sobie już prawie pół miliona w porównaniu z milionem Arabów. Oficjalna stopa imigracji wynosiła sześćdziesiąt tysięcy rocznie, ale szejek Asad słyszał, że rzeczywista liczba była dużo większa. Nawet biedny chłopak bez żadnego wykształcenia rozumiał, że Arabowie staną się wkrótce mniejszością w swoim własnym kraju. Palestyna była niczym las suchy jak hubka. Pożar wywołać mogła jedna iskra.

Iskra pojawiła się piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, kiedy banda Arabów zastrzeliła trzech Żydów na drodze na wschód od Tulkarm. Członkowie żydowskiej organizacji Irgun wzięli odwet, zabijając nieopodal Beit Sayeed dwóch Arabów. Wypadki szybko wymknęły się spod kontroli, ich kulminację stanowił opętńczy pochód Arabów ulicami Jafy, który zostawił po sobie ciała dziewięciu Żydów. Zaczęło się powstanie arabskie.

Zdarzały się już wcześniej w Palestynie okresy niepokoju, kiedy frustracja Arabów sięgała stanu wrzenia i wylewała się na ulicę strumieniem mordów i zamieszek. Jednak nigdy wcześniej nie miała miejsca fala takich skoordynowanych aktów przemocy i gwałtów, jaka przetoczyła się przez kraj wiosną i latem tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Obiektami arabskiej wściekłości

padaliżydzi na całym obszarze Palestyny. Plądrowano ich sklepy, demobowano sady, podpalano domy i osiedla. Mordowano Żydów w autobusach i kawiarniach, nawet w ich własnych domach. W Jerozolimie zebrali się przywódcy arabscy i zażądali położenia kresu imigracji żydowskiej oraz natychmiastowego utworzenia arabskiego większościowego rządu.

Szejk Asad, chociaż rabuś, uważał się przede wszystkim za szaba?a, młodego narodowca, a w powstaniu arabskim widział szans\* na ostateczne rozprawienie się z Żydami. Natychmiast zarzucił złodziejski proceder i przekształcił swój gang w dżihaddiję - zbrojną komórkę wojowników tajnej świętej wojny. Następnie przeprowadził serię siejących śmierć ataków na żydowskie i brytyjskie cele w okręgu Lod w środkowej Palestynie, wykorzystując tę samą strategię działania z zaskoczenia i ukrycia, jaką stosował, będąc złodziejaszkiem. Zaatakował osiedle żydowskie Petach Tikwa, gdzie jako chłopiec pracował, i zabił Zewa, swojego dawnego pryncypała, strzałem prosto w głowę. Wziął na cel także tych, których uważał za największych zdrajców sprawy arabskiej: możnych panów, którzy odsprzedali duże połacie ziemi syjonistom. Trzech z nich własnoręcznie zadźgał swoim długim, zakrzywionym pugińalem.

Pomimo tajemnicy, jaka otaczała jego operacje, nazwisko Asada al-Khalify wkrótce dotarło do uszu członków Wysokiej Rady Arabskiej w Jerozolimie. Haj Amin al-Husseini, wielki mufti i przewodniczący Rady, chciał poznać przebiegłego arabskiego wodza, który przelał tyle żydowskiej krwi w okręgu Lod. Szejk Asad udał się do Jerozolimy przebrany za kobietę i spotkał się z czerwono-brodym muftim w mieszkaniu na Starym Mieście, niedaleko meczetu Al-Aksa.

- Jesteś wielkim wodzem, szejku Asadzie. Allah obdarzył cię ogromnym męstwem, męstwem lwa.

- Walczę w służbie Boga - powiedział szejk Asad i szybko dodał: - I twojej, naturalnie, Haj Aminie.

Haj Amin uśmiechnął się i pogładził swoją wypielegnowaną rudą brodę.

- Żydzi są zjednoczeni. Na tym polega ich siła. My, Arabowie, nie wiemy, co to jedność. Rodzina, klan, plemię, to jest arabski sposób myślenia. Dużo naszych wodzów jest, tak jak ty, byłymi przestępcami. Obawiam się, że wielu z nich traktuje powstanie jako sposób na wzbogacenie się. Napadają na arabskie wsie i wymuszają haracz od starszyny.

Szejk Asad pokiwał głową. Doszły go takie słuchy. On sam, żeby zagwarantować sobie lojalność arabskich mieszkańców okręgu Lod, zabronił swym ludziom grabieży. Posunął się nawet do odrażania jednemu z wojowników rąk za kradzież kury.

- Boję się, że później w trakcie powstania - kontynuował Haj Amin - stare podziały nas porozrywają. Jeśli nasi wodzowie zaczęną działać na własną rękę, nie będą niczym więcej jak tępymi strzałami wypuszczanymi w kamienny mur brytyjskiej armii i żydowskiej Hagany, Ale razem... - Haj Amin złożył ręce. - Razem możemy rozwalić ten mur i wyzwolić świętą ziemię od niewiernych.

- Co chcesz, bym uczynił, Haj Aminie?

Wielki mufti zaopatrzył szejka Asada w listę celów w okręgu Lod, a ludzie szejka zaatakowali je z bezwzględną precyzją: osiedla żydowskie, mosty, linie przesyłowe prądu, posterunki policyjne. Szejk Asad został wkrótce ulubionym wodzem Haj Amina i, tak jak to przewidział wielki mufti, inni wojownicy stali się zazdrośni o pochwały i zaszczyty, którymi zasypywany był mieszkaniec Beit Sayeed. Jeden z nich, zbój nazwiskiem Abu Fareed z miasta Nabulus, postanowił urządzić zasadzkę. Jego posłaniec poinformował pewnego Żyda z Hagany, że za trzy noce szejk Asad i jego ludzie zaatakują osiedle żydowskie Hadera. Gdy trzy dni później szejk Asad ze swoim oddziałem wkroczył do Hadery, wpadł prosto w ręce brytyjskich wojsk i oddziałów Hagany i w morderczej wymianie ognia, został starty w drobny pył.

Poważnie ranny zdołał uciec konno do Syrii. Dochodził do zdrowia w wiosce na wzgórzach Golan. Powiązał sobie jedno z drugim i wykoncypował, co poszło źle w Haderze. Musiał go, rzecz prosta, zdradzić ktoś z arabskiego obozu, ktoś, kto wiedział, kiedy i gdzie ma zamiar uderzyć. Miał do wyboru: zostać w Syrii albo wrócić na powstańcze pola. Nie dysponował ludźmi ani bronią, a jakiś człowiek, będący blisko Haj Amina, życzył mu śmierci. Powrót do Palestyny, by dalej walczyć, był z pewnością śmiałym przedsięwzięciem, ale niezbyt mądrym. Został w wiosce jeszcze tydzień, potem udał się do Damaszku.

Powstanie arabskie szybko zaczęło dogorywać, rozrywane od wewnątrz, tak jak przewidział Haj Amin, przez wendety i rywalizacje międzyklanowe. W tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku z rąk rebeliantów zginęło więcej Arabów niż Żydów, a rok później rewolta zamieniła się w plemienną wojnę o wpływy i prestiż między wodzami. W maju trzydziestego dziewiątego, trzy lata po szumnym początku, wielkie powstanie arabskie dobiegło końca.

Poszukiwany przez Brytyjczyków i Haganę szejk Asad postanowił pozostać w Damaszku. Kupił duże mieszkanie w centrum miasta i poślubił córkę innego palestyńskiego uchodźcy. Urodziła mu syna, którego nazwał Sabri. Później stała się bezpłodna i nie dała mu już więcej dzieci. Rozważał nawet możliwość rozwiedzenia się z nią albo wzięcia sobie drugiej żony, ale w czterdziestym siódmym roku jego myśli zajęte były już czymś zgoła odmiennym od dzieci i niewiast.

Raz jeszcze szejk Asad został wezwany przez swego starego przyjaciela, Haj Amina. Wielki mufti także żył na uchodźstwie. Podczas drugiej wojny światowej związał swój los z Adolfem Hitlerem. Był cennym narzędziem nazistowskiej propagandy, nawołując ze swego okazałego berlińskiego pałacu masy arabskie do wspierania faszystowskich Niemiec i eksterminacji Żydów. Wielki mufti - kamrat architekta Holocaustu, Adolfa Eichmanna

- planował nawet wybudowanie krematoriów i komór gazowych w Palestynie, żeby móc skuteczniej likwidować Żydów. Kiedy Berlin upadał, odleciał samolotem Luftwaffe do Szwajcarii. Gdy odmówiono mu tam wstępu, udał się do Paryża. Francuzi, świadomi, że może być cennym sojusznikiem na Bliskim Wschodzie, udzielili mu azylu, ale w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku, kiedy pojawiły się rosnące naciski, by postawić muftiego przed sądem za zbrodnie wojenne, pozwolono mu „uciec” do Kairu. Latem czterdziestego siódmego roku przywódca islamski żył sobie w Alayh, kurorcie w górach Libanu, i to tam spotkał się ze swoim zaufanym wodzem, szejkiem Asadem.

- Słyszałeś wieści z Ameryki?

Szejk pokiwał głową. Rozpoczęła się specjalna sesja nowego międzynarodowego ciała, ONZ, na której miano rozstrzygnąć kwestię przyszłości Palestyny.

- Ani chybi - stwierdził wielki mufti - każą nam pokutować za zbrodnie Hitlera. Nasza strategia będzie polegała na całkowitym bojkocie obrad. Ale jeśli postanowią przyznać choćby jeden centymetr kwadratowy Palestyny Żydom, musimy być przygotowani do walki. I dlatego jesteś mi potrzebny, szejku Asadzie.

Szejk Asad zadał Haj Aminowi to samo pytanie, które postawił mu jednaście lat wcześniej w Jerozolimie.

- Co chcesz, bym uczynił?

- Wracaj do Palestyny i gotuj się do wojny, która niechybnie się zbliża. Zbierz swoje wojska, przyszykuj plany bitewne. Mój kuzyn, Abd el-Kader, będzie odpowiedzialny za okręg Ramalla i wzgórze na wschód od Jerozolimy. Ty będziesz dowodził okręgiem centralnym: Równiną Nadbrzeżną, Tel Awiwem i Jafą oraz Korytarzem Jerozolimskim.

- Tak uczynię - powiedział szejk Asad i zaraz szybko dodał:

- Pod jednym warunkiem.

Haj Amin zdumiał się. Wiedział, że szejk Asad to człowiek gwałtowny i dumny, ale dotychczas żaden Arab, a tym bardziej

były fellach, nie ośmielił się zwracać do wielkiego muftiego w podobny sposób. Uśmiechnął się jednak tylko i poprosił, żeby wódz wymienił swoją cenę.

- Imię człowieka, który zdradził mnie w Haderze.

Haj Amin wahał się przez chwilę, potem powiedział prawdę. Szejk Asad był cenniejszy dla sprawy niż Abu Fareed.

- Gdzie przebywa?

Tej nocy szejk Asad udał się do Bejrutu i poderznął gardło zdrajcy. Następnie wrócił do Damaszku pożegnać się z żoną i synem oraz zadbać o ich potrzeby finansowe. Tydzień później był już na powrót w swojej chacie ze słomy i mułu w Beit Sayeed.

Pozostałe miesiące tego roku spędził, zwołując swoje wojska i planując strategię działań zbrojnych w nadchodzącym konflikcie. Doszedł do wniosku, że bezpośrednie ataki na silnie strzeżone osiedla żydowskie byłyby bezowocne. Zamiast tego miał zamiar uderzać w Żydów tam, gdzie byli najsłabsi. Ich osiedla były porzucane po całym obszarze Palestyny i uzależnione od dostaw dostarczanych drogami. W wielu przypadkach, jak choćby newralgicznego Korytarza Jerozolimskiego, przy drogach tych znajdowały się arabskie wsie i miasteczka. Szejk Asad natychmiast pojął otwierającą się przed nim szansę. Jego żołnierze mogli atakować niechronione cele z absolutnego zaskoczenia taktycznego, a potem, kiedy kończyłaby się wymiana ognia, rozplywać się w schronieniu arabskich wiosek. Osiedla powoli wędłyby i kruszały, a razem z nimi kruszałaby żydowska wola pozostania w Palestynie.

Dwudziestego dziewiątego października ONZ oznajmiła, że mandat brytyjski nad Palestyną wkrótce dobiegnie końca. Na jej obszarze miały powstać dwa państwa: jedno arabskie, drugie żydowskie. Dla Żydów była to noc radości i świętowania. Oto po dwóch tysiącleciach ziszczało się marzenie o utworzeniu żydowskiego państwa w starodawnym domu Izraelitów. Dla Arabów była to noc gorzkich łez. Połowa ziemi ich przodków miała zostać

przekazana Żydom. Szejk Asad al-Khalifa spędził tę noc, przygotowując swoje pierwsze uderzenie. Następnego ranka jego ludzie zaatakowali autobus jadący z Natanji do Jerozolimy, zabijając pięciu Żydów. Rozpoczęła się wojna o Palestynę.

Przez całą zimę czterdziestego ósmego roku shejk Asad i inni wodzowie arabscy zamienili drogi centralnej Palestyny w żydowski cmentarz. Atakowano autobusy, taksówki i ciężarówki dostawcze, bezlitośnie masakrowano kierowców i pasażerów. Kiedy nadeszła wiosna, straty sił Hagany w ludziach i sprzęcie osiągnęły poziom alarmujący. Podczas dwóch marcowych tygodni oddziały arabskie zabiły setki jej najlepszych żołnierzy i zniszczyły przeważającą część jej pojazdów opancerzonych. Z końcem tygodnia osiedla na pustyni Negew zostały odcięte, podobnie jak, co gorsza, blisko sto tysięcy Żydów w Jerozolimie Zachodniej. Sytuacja stała się dla Izraelczyków rozpaczliwa. Arabowie przejęli inicjatywę - a shejk Asad nieomal w pojedynkę wygrywał tę wojnę.

Nocą trzydziestego pierwszego marca czterdziestego ósmego roku Dawid Ben Gurion, przywódca jiszuw, spotkał się w Tel Awiwie ze starszymi oficerami Hagany oraz elitarnej jednostki sił specjalnych Palmach i wydał rozkaz przejścia do ofensywy. Dni, kiedy próbowaliśmy chronić nasze konwoje przed przeważającymi siłami wroga, skończyły się, powiedział Ben Gurion. Całej idei syjonistycznej grozi natychmiastowa klęska, jeśli walki na drogach nie zostaną zakończone, a centrum kraju zabezpieczone. W tym celu należało cały konflikt przenieść na nowy poziom agresji. Arabskie wioski, które shejk Asad i inni wojownicy traktowali jako bazy swoich operacji, musiały zostać zdobyte i zniszczone, ich mieszkańcy, jeśli nie będzie innego wyjścia, wygnani. Hagana miała już gotowy plan takiej operacji. Nosiła kryptonim „Tochnit Dalet”: Plan D. Decyzją Ben Guriona miała rozpocząć się za dwa dni, razem z operacją „Nachszon” - atakiem na wioski leżące wzdłuż oblężonego Korytarza Jerozolimskiego.

- I jeszcze jedno - rzekł do swoich dowódców, kiedy spotkanie dobiegało końca. - Znajdźcie jak najszybciej szejka Asada i zabijcie go.

Człowiek wyznaczony do tego zadania, młody palestyński oficer wywiadu Ari Szamron, wiedział, że wytropienie szejka Asada nie będzie prostą sprawą. Wódz nie miał stałej siedziby sztabu i, jak wieść niosła, co noc spał w innym domu. Szamron, choć wyemigrował do Palestyny z Polski w trzydziestym piątym roku, znał dobrze arabską mentalność. Wiedział, że dla Arabów pewne sprawy liczą się daleko bardziej niż niepodległa Palestyna. Gdzieś w trakcie swego pochodu po władzę szejek Asad niechybnie naraził się komuś śmiertelnie - i gdzieś w Palestynie żył Arab, który łaknął zemsty.

Odnalezienie go, człowieka z Beit Sayeed, który wiele lat wcześniej, z powodu zniewagi uczynionej w wioskowej kafeterii, stracił z rąk szejka Asada dwu braci, zajęło Szamronowi dziesięć dni. Zaproponował Arabowi sto palestyńskich funtów za wyjawienie miejsca pobytu wodza. Tydzień później spotkali się ponownie na wzgórzu w pobliżu Beit Sayeed. Arab powiedział Szamronowi, gdzie można znaleźć ich wspólnego wroga.

- Słyszałem, że chce spędzić noc na peryferiach Lod, w chacie pośrodku gaju pomarańczowego. Asad, ten skrytobójczy pies, obstawiony jest zgrają strażników. Są ukryci w sadzie. Jeśli spróbujesz zaatakować chatę dużymi siłami, natychmiast podniosą alarm i Asad umknie jak tchórz, którym jest.

- A co ty byś proponował? - spytał Szamron, żerując na próżności Araba.

- Jednego zabójcę, człowieka, który prześlizgnie się przez ochronę i zabije Asada, zanim ten zdoła uciec. Za kolejne sto funtów ja mogę być tym człowiekiem.

Szamron nie chciał obrazić swojego informatora, więc przez chwilę udawał, że rozważa jego propozycję, choć w rzeczywistości już podjął decyzję. Zabójstwo szejka Asada było zbyt poważną sprawą, by powierzać ją komuś, kto zdradza swoich własnych



ludzi za pieniądze. Pospieszył do sztabu Palmach w Tel Awiwie i przekazał informację zastępcy dowódcy, przystojnemu mężczyźnie o rudych włosach, niebieskich oczach i nazwisku Icchak Rabin.

- Ktoś musi pojechać do Lod dziś w nocy i zabić go - powiedział Szamron.

- Kogokolwiek byśmy wybrali, raczej nie wyjdzie stamtąd żywy.

- Wiem - rzekł Szamron. - I dlatego to muszę być ja.

- Jesteś dla nas zbyt ważny, żeby narażać się w takiej operacji.

- Jeśli to będzie trwało dłużej, stracimy Jerozolimę, a wtedy przegramy wojnę. Czy jest coś ważniejszego niż to?

Rabin zrozumiał, że nie ma sposobu, by go odwieść od jego postanowienia.

- Jak mogę ci pomóc?

- Dopilnuj, żeby po wszystkim na brzegu gaju pomarańczowego czekał na mnie samochód z kierowcą.

O północy Szamron wsiadł na motocykl i pojechał do Lod. Zostawił motor półtora kilometra za miastem i resztę drogi do obrzeży sadu pokonał pieszo. Takie akcje, Szamron wiedział to z doświadczenia, najlepiej przeprowadzać tuż przed świtem, kiedy strażnicy są zmęczeni i najmniej czujni. Wszedł do sadu kilka minut przed wschodem słońca uzbrojony w stena i stalowy nóż bojowy. W szarawym świetle rodzącego się dnia widział nieostre zarysy sylwetek strażników, opierających się o pnie drzew pomarańczy. Jeden z nich pogrążony był w głębokim śnie, kiedy Szamron przeczołgiwał się tuż obok. Kolejny trzymał wartę na zakurzonym podwórzu chaty. Szamron zabił go bezgłośnie pchnięciem noża i wszedł do chaty.

Miała tylko jeden pokój. Szejk Asad spał na podłodze. Dwaj adiutanci siedzieli przy nim ze skrzyżowanymi nogami i pili kawę. Zaskoczeni bezszelestnym wślizgnięciem się Szamrona, nie zareagowali, kiedy drzwi się otworzyły. Dopiero gdy podnieśli głowy

i ujrzeni uzbrojonego Żyda, próbowali sięgnąć po broń. Szamron zabił ich obu pojedynczą serią ze stena.

Szejk Asad zerwał się ze snu i sięgnął po strzelbę. Szamron był szybszy. Umierając, Asad spojrział w oczy swojemu zabójcy.

- Ktoś inny zajmie moje miejsce - wyszeptał.

- Wiem - odrzekł Szamron i wystrzelił raz jeszcze.

Wyślizgnął się z chaty w chwili, kiedy nadbiegali strażnicy.

W półmroku świtu biegł między drzewami, dopóki nie znalazł się na brzegu gaju. Samochód czekał: za kierownicą siedział Icchak Rabin.

- Nie żyje? - zapytał, wciskając pedał gazu.

Szamron pokiwał głową.

- Załatwione.

- Dobrze - powiedział Rabin. - Niech te psy chłepczą teraz jego krew.

## 7

Tel Awiw

Dina skończyła mówić i zapadła długa cisza. Josi i Rimona, pogrążeni w transie, patrzyli na nią z pełnym napięciem oczekiwaniem, jak małe dzieci. Wydawało się, że nawet Jaków uległ czarowi opowieści, nie dlatego, że dał się przekonać do teorii Diny, ale dlatego, że był ciekaw końca całej historii. Gabriel, gdyby chciał, mógł mu ją opowiedzieć. I kiedy Dina umieściła w rzutniku nowe zdjęcie - uderzająco przystojnego mężczyzny w dużych przeciwsłonecznych okularach, siedzącego w kawiarni pod gołym niebem - Gabriel zobaczył jego twarz nie na czarno-białej ziarninie fotografii, ale tak, jak sam ją zapamiętał: kilka maźnięć pędzla, olej na postrzępionym i pożółkłym ze starości płótnie. Dina podjęła swoją opowieść, jednak Gabriel już nie słuchał. Oskrobywał pobrudzony werniks swojej pamięci i patrzył na samego siebie, swoją młodszą wersję, jak z berettą w dłoni biegnie przez poplamione krwią podwórko paryskiego apartamentowca.

- To jest Sabri al-Khalifa - mówiła Dina. - Na bulwarze Saint-Germain w Paryżu w siedemdziesiątym dziewiątym. Zdjęcie /ostało wykonane przez chłopców z inwigilacji. I jest jego ostatnią fotografią.

## AMMAN, JORDANIA, CZERWIEC 1967

Była jedenasta rano, kiedy przystojny młody mężczyzna o bladej cerze i czarnych włosach wkroczył do biura werbunkowego Al-Fatah w centrum Ammanu. Oficer siedzący za biurkiem w korytarzu był w podłym nastroju. Podobnie jak i cały arabski świat. Właśnie skończyła się druga wojna palestyńska. Zamiast przynieść wyzwolenie ziemi od Żydów, przyniosła kolejną klęskę. W ciągu zaledwie sześciu dni armia izraelska rozgromiła połączone siły Egiptu, Syrii i Jordanii. Synaj, wzgórza Golan i Zachodni Brzeg znalazły się teraz w izraelskich rękach, a kolejnym tysiącom Palestyńczyków przypadł w udziale los uchodźców.

- Nazwisko - warknął oficer werbunkowy.

- Sabri al-Khalifa.

Żołnierz Al-Fatah podniósł głowę, wstrząśnięty.

- Tak, oczywiście, że to ty - powiedział. - Walczyłem razem z twoim ojcem. Chodź ze mną.

Sabri został natychmiast umieszczony w samochodzie i przewieziony szybko przez ulice jordańskiej stolicy do bezpiecznego lokum. Tam przedstawiono go małemu, niepozornie wyglądającemu mężczyźnie o nazwisku Jaser Arafat.

- Czekałem na ciebie - oznajmił Arafat. - Znałem twojego ojca. Był wielkim człowiekiem.

Sabri uśmiechnął się. Przyzwyczał się do komplementów na temat ojca. Od małego wysłuchiwał opowieści o heroicznym wyczynach wielkiego wodza z Beit Sayeed i o tym, jak Żydzi, żeby ukarać popierającą go ludność wioski, zrównali ją z ziemią, a jej mieszkańców wygnali na zesłanie. Sabri al-Khalifa miał jednak niewiele wspólnego z większością swoich braci uchodźców. Dorastał w przyjemnej dzielnicy Bejrutu, kształcił się w najznakomitszych szkołach, studiował na najświetniejszych europejskich uniwersytetach. Oprócz rodzimego arabskiego znał świetnie francuski, niemiecki i angielski. Jego kosmopolityczne wychowanie

czyniło z niego cenny nabytek dla sprawy palestyńskiej. Jaser Arafat nie miał zamiaru pozwolić mu się marnować.

- W Al-Fatah roi się od sprzedawczyków i kolaborantów - mówił Arafat. - Za każdym razem, kiedy wysyłamy oddział szturmowy przez granicę, Żydzi czają się już w ukryciu. Jeśli chcemy kiedykolwiek stworzyć skuteczne siły zbrojne, musimy najpierw oczyścić własne szeregi ze zdrajców. Myślę, że takie zadanie mogłoby ci przypaść do gustu, wzięwszy pod uwagę to, co spotkało twego ojca. Został wystawiony przez kolaboranta, czyż nie?

Sabri pokiwał ponuro głową. Tę historię też mu opowiadano.

- Będiesz dla mnie pracował? - zapytał Arafat. - Będziesz walczył dla swojego narodu, tak jak twój ojciec?

Sabri z miejsca wstąpił do Dżihaz al-Razd, sekcji wywiadu Al-Fatah. W ciągu miesiąca od podjęcia służby zdemaskował dwudziestu palestyńskich kolaborantów. Zawsze dbał o to, by osobiście uczestniczyć w ich egzekucjach, i zawsze własnoręcznie dawał każdej ofierze symboliczny *coup de grace*, jako ostrzeżenie dla wszystkich innych, planujących zdradę rewolucji.

Po sześciu miesiącach pracy w Dżihaz al-Razd został wezwany na drugie spotkanie z Jaserem Arafatem. Odbyło się w innym lokalu konspiracyjnym niż poprzednio. W obawie przed izraelskimi skrytobójcami przywódca Al-Fatah co noc spał gdzie indziej. Choć Sabri jeszcze wtedy tego nie wiedział, wkrótce jego życie miało wyglądać podobnie.

- Mamy plany co do ciebie - powiedział Arafat. - Wyjątkowe plany. Staniesz się wielkim człowiekiem. Twoje wyczyny zaćmią nawet osiągnięcia twego ojca. Wkrótce cały świat będzie znał nazwisko Sabriego al-Khalify.

- Jakie to plany?

- W swoim czasie, Sabri, wszystko w swoim czasie. Najpierw musimy cię przygotować.

Został wysłany do Kairu na sześciomiesięczne intensywne szkolenie terrorystyczne, prowadzone przez specjalistów z egipskiego

wywiadu wojskowego, Mukhabaratu. Podczas pobytu w Kairze został przedstawiony młodej Palestynce imieniem Rima, córce starszego oficera Al-Fatah. Wydawała się doskonałą partią. Pobrali się pośpiesznie w trakcie cichej ceremonii, w której uczestniczyło tylko kilku członków Al-Fatah i egipskich służb specjalnych. Miejsięc później Sabriego wezwano do Jordanii na kolejny etap przygotowań. Rima pozostała w Kairze ze swoim ojcem i dzieckiem, które już nosiła w łonie, choć Sabri jeszcze o tym nie wiedział. Jego syn przyszedł na świat w złowrogim dla Palestyńczyków okresie: we wrześniu 1970 roku.

Od jakiegoś już czasu króla Jordanii, Husajna, niepokoiła rosnąca siła Palestyńczyków przebywających na jego ziemi. Zachodnia część kraju stała się właściwie państwem w państwie, z siecią palestyńskich obozów, rządzonych przez uzbrojonych po zęby bojowników Al-Fatah, którzy otwarcie lekceważyli władzę haszymidzkiego monarchy. Husajn, który już stracił połowę swojego królestwa, bał się, że utraci resztę, jeśli nie usunie Palestyńczyków z terenów Jordanii. We wrześniu 1970 roku kazał swoim okrutnym beduińskim siepaczom właśnie tego dokonać.

Bojownicy Arafata nie mogli się równać z Beduinami. Tysiące z nich padło trupem, a Palestyńczycy raz jeszcze zostali wygnani, tym razem do obozów w Libanie i Syrii. Arafat dyszał żądzą zemsty na jordańskim monarsze i wszystkich innych, którzy zdradzili naród palestyński. Pragnął spektakularnych i krwawych aktów terrorystycznych na światową skalę - aktów, które ukazałyby całemu światu położenie Palestyńczyków i jednocześnie zaspokoiły ich pragnienie odwetu. Akcje miała przeprowadzać tajna jednostka, tak by OWP mogła dalej udawać godną szacunku rewolucyjną armię, walczącą o wyzwolenie swojego ciemniejszego narodu. Abu Iyad, drugi człowiek po Arafacie, objął ogólne dowodzenie, ale mózgiem operacji był syn wielkiego palestyńskiego wodza z Beit Sayeed, Sabri Al-Khalifa. Dla uczczenia poległych w Jordanii Palestyńczyków jednostce nadano nazwę Czarny Wrzesień.

Sabri skompletował niewielką elitarną formację z żołnierzy najlepszych oddziałów Al-Fatah. Zgodnie z tradycją swojego ojca wybierał ludzi podobnych do siebie - Palestyńczyków ze znakomitych rodów, których świat nie ograniczał się jedynie do obozów dla uchodźców. Następnie udał się do Europy, gdzie zorganizował sieć wykształconych palestyńskich ekspatriantów. Nawiązał także kontakty z europejskimi lewicowymi grupami terrorystycznymi i służbami wywiadowczymi za żelazną kurtyną. W listopadzie 1971 roku Czarny Wrzesień był gotów wynurzyć się z mroków. Pierwsze miejsce na liście celów Sabriego zajmowało Haszymidzkie Królestwo Jordanii króla Husajna.

Krew popłynęła najpierw w mieście, w którym ongiś Sabri szkolił się w jej przelewaniu. Przebywający z wizytą w Kairze jordański premier został zastrzelony w holu hotelu Sheraton. Jeden po drugim następowały kolejne ataki. Samochód ambasadora Jordanii wpadł w pułapkę w Londynie. Porywano jordańskie samoloty. Biura jordańskich linii lotniczych wylatywały w powietrze. W Bonn pięciu oficerów jordańskiego wywiadu zostało zaślachtowanych w piwnicy jednego z domów.

Wyrównawszy rachunki z Królestwem Haszymidzkim, Sabri skierował uwagę na prawdziwych wrogów palestyńskiego narodu: izraelskich syjonistów. W maju 1972 roku członkowie Czarnego Września porwali odrzutowiec belgijskich linii lotniczych Sabena i zmusili go do lądowania na izraelskim lotnisku Lod. Kilka dni później terroryści z Japońskiej Czerwonej Armii, działając w imieniu Czarnego Września, zaatakowali ogniem maszynowym i granatami ręcznymi pasażerów w hali przylotów w Lod, kładąc trupem dwudziestu siedmiu ludzi. Izraelscy dyplomaci i prominentni Żydzi w całej Europie otrzymywali listy pułapki z ładunkami wybuchowymi w środku.

Ale największy triumf terrorystyczny Sabriego miał dopiero nadejść. Wczesnym rankiem piątego września 1972 roku, dwa lata po wygnaniu Palestyńczyków z Jordanii, sześciu palestyńskich

terrorystów pokonało ogrodzenie wioski olimpijskiej w Monachium i wkroczyło do budynku mieszkalnego na Connollystrasse 31, gdzie zakwaterowani byli członkowie izraelskiej ekipy olimpijskiej. Dwóch Izraelczyków zabito od razu. Dziewięciu pozostałych spędzono razem i wzięto w charakterze zakładników. Przez następnych dwadzieścia godzin, na oczach blisko dziewięciuset milionów ludzi oglądających transmisje telewizyjne na całym świecie, rząd niemiecki negocjował z terrorystami uwolnienie pojmanych. Ustalano i odwoływano ostateczne terminy, aż wreszcie o godzinie dwudziestej drugiej dziesięć terrorystów i zakładnicy wsiedli do dwóch helikopterów i odlecieli na lotnisko Furstenfeldbriick. Wkrótce po ich przybyciu siły zachodnioniemieckie przeprowadziły źle obmyśloną i fatalnie zrealizowaną operację odbicia więźniów. Wszyscy zakładnicy zginęli, zmasakrowani przez terrorystów z Czarnego Września.

Fala radości przetoczyła się przez świat arabski. Sabri Al-Khalifa, który nadzorował operację z lokalu konspiracyjnego w Berlinie Wschodnim, po powrocie do Bejrutu witany był jak triumfujący bohater.

- Jesteś moim synem - powiedział Arafat, biorąc Sabriego w ramiona. - Jesteś moim synem.

W Tel Awiwie premier Golda Meir wydała szefom służb specjalnych rozkaz wytropienia i zabicia członków Czarnego Września. Operację pod kryptonimem „Gniew Boży” miał prowadzić Ari Szamron, ten sam człowiek, któremu powierzono zadanie zakończenia krwawych rządów terroru szejka Asada w 1948 roku. Po raz drugi w ciągu ćwierćwiecza Szamron otrzymał rozkaz zlikwidowania człowieka o nazwisku al-Khalifa.

Nie włączając światła, Dina opowiedziała resztę historii, tak jakby Gabriel nie siedział trzy metry od niej, po drugiej stronie stołu.



- Jeden po drugim członkowie Czarnego Września byli metodycznie łapani i zabijani przez brygady „Gniewu Bożego” Szamrona. Zabójcy z biura zlikwidowali ich w sumie dwunastu, ale Sabri Al-Khalifa, ten, na którym Szamronowi zależało najbardziej, pozostawał poza jego zasięgiem. I kontratakował. Zabił agenta biura w Madrycie. Targnął się na ambasadę izraelską w Bangkoku. Zamordował amerykańskiego ambasadora w Sudanie. Jego ataki stawały się coraz bardziej nieprzewidywalne, podobnie jak jego zachowanie. Arafat nie mógł już dłużej podtrzymywać fikcji, że nie ma żadnego związku z Czarnym Wrześniem. Posypały się na niego wyrazy potępienia, nawet ze strony środowisk przychylnych jego sprawie. Sabri okrył cały palestyński ruch hańbą, lecz Arafat ciągle hołubił go jak syna.

Dina urwała i spojrzała na Gabriela. Jego twarz w blasku zdjęcia Sabriego Al-Khalifa, jaśniejącego na ekranie rzutnika, nie zdradzała żadnych uczuć. Wzrok miał utkwiony w swoich dłoniach, złożonych porządnie na blacie stolika.

- Mógłbyś dokończyć za mnie tę historię? - zapytała.

Gabriel chwilę jeszcze przyglądał się swoim rękóm, zanim przyjął zaproszenie Diny i podjął opowieść.

- Szamron dowiedział się od swojego informatora, że Sabri ma w Paryżu dziewczynę, lewicową dziennikarkę imieniem Denise, przekonaną, że jest palestyńskim poetą i bojownikiem o wolność. Sabri zapomniał jej powiedzieć, że ma żonę i dziecko. Szamron zastanawiał się nawet, czy jej nie zwerbować, ale ostatecznie zarzucił ten pomysł. Wydawało się, że biedaczka naprawdę jest w nim zakochana. Więc tylko wysłaliśmy ludzi do Paryża i zaczęliśmy ją obserwować. Miesiąc później Sabri przyjechał do miasta, żeby się z nią zobaczyć.

Urwał i spojrzał na ekran.

- Zjawił się w jej mieszkaniu w środku nocy. Było zbyt ciemno, by potwierdzić jego tożsamość, więc Szamron zdecydował się zaryzykować i poczekać, aż będziemy mogli lepiej mu się przyjrzeć.

Kochali się w mieszkaniu do późnego popołudnia, potem poszli na lunch do kafejki na bulwarze Saint-Germain. Wtedy zrobiliśmy to zdjęcie. Po lunchu wracali piechotą do mieszkania. Było ciągle jasno, ale Szamron wydał rozkaz jego likwidacji.

Gabriel zamilkł i raz jeszcze spojrzął na dół, na swoje dłonie. Na moment przymknął oczy.

- Ruszyłem za nimi pieszo. Obejmował dziewczynę w pasie ramieniem, dłoń miał wsuniętą w tylną kieszeń jej dżinsów. Prawą rękę trzymał w kieszeni kurtki. Tam zawsze nosił broń. Obejrzał się i spojrzął na mnie raz, ale się nie zatrzymał. Wypili dwie butelki wina przy lunchu, podejrzewam, że jego zmysły nie grzeszyły wtedy zbyt ostrością.

Znow zamilkł, rzucił okiem na zdjęcie Sabriego i raz jeszcze przeniósł spojrzenie na swoje ręce. Kiedy się odezwał, w jego głosie pojawił się obojętny, beznamiętny ton, jakby opisywał wyzyny innego człowieka.

- Zatrzymali się przy wejściu. Denise była pijana i śmiała się. Patrzyła na dół, do wnętrza swojej torebki, szukając kluczy, Sabri mówił jej, żeby się pospieszyła. Chciał znowu ściągnąć z niej ubranie. Mogłem zrobić to tam, ale na ulicy było zbyt wielu ludzi, więc zwoleńłem kroku i czekałem, aż znajdzie ten cholerny klucz. Zrównałem się z nimi, dokładnie kiedy wsadzała go do zamka. Sabri spojrzął na mnie znowu, odwróciłem wzrok. Weszli do bramy. Zawróciłem i złapałem drzwi, zanim się zamknęły. Sabri i dziewczyna byli już wtedy w połowie podwórza. Usłyszał moje kroki i obejrzał się. Zaczął wysuwać dłoń zza pazuchy kurtki, zobaczyłem kolbę. Miał steczkina. Prezent od któregoś z przyjaciół z KGB. Ja jeszcze nie sięgnąłem po broń. Nazywaliśmy to regułą Szamrona. Nie biegamy po ulicach z wyciągniętymi pistoletami jak gangsterzy, powtarzał zawsze. „Sekundę, Gabriel. Tylko tyle masz. Sekundę. Jedyne człowiek o naprawdę utalentowanych rękach jest w stanie wyciągnąć pistolet i przygotować go do strzału w jedną sekundę”.

Gabriel rozejrzał się po pokoju i spojrzał w oczy każdemu z członków zespołu, zanim podjął opowieść.

- Beretta miała ośmiostrzałowy magazynek, ale odkryłem, że jeśli naładuję naboje ciasno, mieści się dziesięć. Sabri nie zdołał przygotować pistoletu do strzału. Odwracał się, żeby stanąć do mnie twarzą, kiedy wystrzeliłem. Sylwetka celu zmniejszyła się, myślę, że mój pierwszy i drugi strzał trafił go w lewe ramię. Ruszyłem do przodu i strzelając, obaliłem go na ziemię. Dziewczyna krzyczała, biła mnie po plecach torebką. Wpakowałem mu dziesięć kulek, potem wyjąłem magazynek i wsadziłem zapasowy. Miał tylko jeden nabój, jedenasty. Po jednej kulce za każdego Żyda, którego Sabri zamordował w Monachium. Przyłożyłem mu lufę do ucha i wystrzeliłem. Dziewczyna przypadła do jego ciała i nazwała mnie mordercą. Wyszedłem z powrotem przez bramę na ulicę. Podjechał motocykl. Wsiadłem na tylne siedzenie.

Tylko Jaków, który sam brał udział w podobnych egzekucjach na Terytoriach Okupowanych, ośmielił się przerwać milczenie, które zapadło w pokoju.

- Co Asad al-Khalifa i jego syn Sabri mają wspólnego z Rzymem?

Gabriel spojrzał na Dinę i zadał jej wzrokiem to samo pytanie. Dina usunęła z rzutnika fotografię Sabriego i wsadziła na jej miejsce poprzednią, ukazującą Khaleda na pogrzebie swojego ojca.

- Kiedy Rima, żona Sabriego, usłyszała, że został zamordowany w Paryżu, weszła do łazienki w swoim mieszkaniu w Bejrucie i podcięła sobie żyły. Khaled znalazł matkę leżącą na podłodze w kałuży krwi. Był teraz sierotą: jego rodzice nie żyli, klan został rozpedzony na cztery wiatry. Został zaadoptowany przez Arafata, a po pogrzebie ojca zniknął.

- Dokąd pojechał? - zapytał Josi.

- Arafat uważał, że chłopiec stanowi żywy symbol rewolucji, i chciał, żeby był chroniony za wszelką cenę. Sądzimy, że wysłał

go statkiem do Europy pod fałszywym nazwiskiem i umieścił w rodzinie jakichś zamożnych palestyńskich emigrantów. Jedno wiemy na pewno: w ciągu następnych dwudziestu pięciu lat Khaled al-Khalifa nie wypłynął nigdzie na powierzchnię. Dwa lata temu zwróciłam się do Lwa o zgodę na wdrożenie cichych poszukiwań. Nie udało mi się go znaleźć. Jakby po pogrzebie ojca rozpląnął się w powietrzu. Jakby też umarł.

- A twoja teoria?

- Uważam, że Arafat przygotował Khaleda do pójścia w ślady jego sławnego ojca i dziadka. I uważam, że Khaled właśnie zaczął działać.

- Dlaczego teraz?

- Ponieważ Arafat próbuje odzyskać swoje dawne znaczenie i robi to w jedyny sposób, jaki zna: drogą przemocy i terroryzmu. Khaled jest jego zbrojnym ramieniem.

- Nie masz żadnego dowodu - powiedział Jaków. - W Europie działa komórka terrorystyczna, która przygotowuje się do następnego ataku na nas. Nie możemy pozwolić sobie na marnowanie czasu, uganiając się za widmem.

Dina umieściła w rzutniku nową fotografię. Ukazywała ruiny jakiegoś budynku.

- Buenos Aires, dziewięćdziesiąty czwarty rok. Bomba w ciężarówce zrównuje z ziemią lokalny ośrodek gminy żydowskiej podczas wieczery szabasowej. Osiemdziesięciu siedmiu zabitych. Nikt nie przyznaje się do zamachu.

Kolejny slajd, kolejne zgliszcza.

- Stambuł, rok dwa tysiące trzeci. Dwa samochody pułapki wybuchają jednocześnie przed główną synagogą w mieście. Dwudziestu ośmiu zabitych. Nikt nie przyznaje się do zamachu.

Dina odwróciła się do Josiego i poprosiła, żeby włączył światło.

- Powiedziałaś, że masz dowód na powiązanie Khaleda z Rzymem - przypomniał Gabriel, mrużąc oczy w nagłej jasności, jaka załala pokój. - Ale jak dotąd nie przedstawiłaś niczego oprócz domysłów.

- Ależ ja mam dowód, Gabrielu.
- Więc co jest tym powiązaniem?
- Beit Sayeed.

Wyruszyli z bulwaru Króla Saula służbowym mikrobusem kilka minut przed świtem. Okna samochodu były przyciemniane i kulo odporne, więc we wnętrzu przez długi czas panował mrok, chociaż słońce już weszło i wyglądało znad linii grzbietu Gór Judzkich, kiedy zbliżali się do Petach Tikwy. Dawna osada była teraz nowoczesnym przedmieściem Tel Awiwu, z dużymi domami i zielonymi trawnikami. Jednak Gabriel, zerkając przez przyciemniane szyby, widział niegdysiejsze kamienne domki i rosyjskich osadników, uciekających przed kolejnym pogromem, tym razem prowadzonym przez szejka Asada i jego świętych wojowników.

Za Petach Tikwą rozciągała się szeroka połać nieogrodzonej ziemi uprawnej. Dina skierowała szofera na dwupasmową drogę, która biegła skrajem nowej autostrady. Jechali nią kilka kilometrów, potem skręcili w polny trakt, otaczający młody sad.

- Tutaj - odezwała się nagle. - Zatrzymaj się tutaj.

Mikrobus zwolnił i znieruchomiał. Dina wyszła na zewnątrz i pospieszyła do zagajnika. Gabriel szedł za nią z Josim i Rimoną u boku, Jaków włókł się kilka kroków za nimi. Doszli do końca sadu. Pięćdziesiąt metrów przed nimi rozciągało się pole uprawne. Między sadem a zagonem znajdował się pas nieużytków porośły zieloną, ozimą łąką. Dina zatrzymała się i stanęła twarzą do reszty.

- Witajcie w Beit Sayeed - powiedziała.

Gestem zaprosiła ich, by poszli naprzód. Wkrótce stało się jasne, że idą wśród pozostałości dawnej wioski. Jej ślady były wyraźnie widoczne w szarej ziemi: szczątki chat i kamiennych ścian, małego ryneczku i okrągłej studni. Gabriel widywał podobne wioski w dolinie Ezdrelon i Galilei. Bez względu na to, jak mocno nowi właściciele ziemi starali się wymazać wszystkie pozostałości po

arabskich osadach, zawsze zostawał ślad, niczym wspomnienie umarłego dziecka.

Dina zatrzymała się przy studni, inni zebrali się dokoła niej.

- Osiemnastego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku, około siódmej wieczorem, brygada Palmach otoczyła Beit Sayeed. Po krótkiej wymianie ognia arabscy żandarmi uciekli, pozostawiając wioskę bez obrony. Ludność ogarnęła panika. I trudno się dziwić. Trzy dni wcześniej ponad setka mieszkańców Deir Jassin została zabita przez członków podziemnej organizacji Irgun i Stern Gang. Nie muszę mówić, że Arabowie z Beit Sayeed woleli uniknąć podobnego losu. Prawdopodobnie nie potrzebowali zbyt silnej zachęty, by spakować swój dobytek i uciec. Kiedy wioska się wyludniła, żołnierze Palmach wysadzili wszystkie domy.

- Co to ma wspólnego z Rzymem? - spytał Jaków niecierpliwie.

- Daouda Hadawiego.

- Kiedy Hadawi się urodził, wioska dawno już znikła z powierzchni ziemi.

- To prawda - powiedział Dina. - Hadawi urodził się w obozie dla uchodźców w Dżeninie, ale jego klan pochodził stąd. Jego babka, ojciec, wielu wujków, ciotek i kuzynów uciekło z Beit Sayeed osiemnastego kwietnia czterdziestego ósmego roku.

- A jego dziadek? - zapytał Gabriel.

- Został zabity kilka dni wcześniej w pobliżu Lod. Musicie wiedzieć, że dziadek Hadawiego był jednym z najbardziej zaufanych ludzi szejka Asada. To on strzegł szejka tamtej nocy, kiedy Szamron go zabił. To jego Szamron zadźgał, zanim wszedł do chaty.

- I to wszystko? - zapytał Jaków.

Dina potrząsnęła głową.

- Zamachy w Buenos Aires i Stambule miały miejsce osiemnastego kwietnia o godzinie siódmej wieczorem.

- Mój Boże - powiedziała półgłosem Rimona.

- I jeszcze jedno. - Dina odwróciła się do Gabriela. - Dzień, w którym zabiłeś Sabriego w Paryżu. Pamiętasz datę?
- Początek marca, ale nie pamiętam dokładnie.
- To był czwarty marca - rzekła Dina.
- Ten sam dzień, co Rzym - dodała Rimona.
- Właśnie. - Dina powiodła wzrokiem po pozostałościach dawnej wioski. - Wszystko zaczęło się tutaj, w Beit Sayeed, ponad pięćdziesiąt lat temu. To Khaled przygotował zamach w Rzymie i za dwadzieścia osiem dni uderzy w nas raz jeszcze.

# Część druga

*Kolaborant*



## 8

Okolice Aix-en-Provence, Francja

Sądzę, że znaleźliśmy kolejną, profesorze. Paul Martineau, klęcząc na czworakach w głębokich ciemnościach wykopaliska, odwrócił powoli głowę w poszukiwaniu źródła głosu, który zakłócił mu pracę. Jego wzrok padł na znajomą postać Yvette Debrę, młodej adeptki studiów podyplomowych, która zgłosiła się na ochotnika do prac wykopaliskowych. Widać było tylko zarys jej sylwetki, podświetlony od tyłu przez ostre prowansalskie poranne słońce. Martineau zawsze uważał Yvette za coś w rodzaju dobrze zakamuflowanego, pięknego artefaktu. Krótkie ciemne włosy i kanciaste rysy twarzy nadawały jej wygląd dorastającego chłopca. Dopiero kiedy przesuwano się wzrokiem w dół jej ciała, przez obfite piersi, szczupłą talię, po zaokrąglone biodra, ujawniała się jej nadzwyczajna krasa. Niejeden raz badał jej ciało swymi fachowymi dłońmi, przesiewał ziemię jego sekretnych zakamarków, odnajdywał ukryte miejsca rozkoszy i ból dawnych ran. Nikt w obozie nie podejrzewał, że za ich relacją kryje się coś więcej niż zwykle kontakty profesora ze studentką. Paul Martineau znał się na dochowywaniu tajemnic.

- Gdzie ona jest?
- Za domem posiedzeń.
- Prawdziwa czy kamienna?
- Kamienna.

- W jakim ułożeniu?
- Twarzą do góry.

Martneau podniósł się. Położył dłonie na brzegach wąskiego wykopu i silnym pchnięciem ramion podciągnął się na powierzchnię. Otrzeptał dłonie z czerwonej prowansalskiej ziemi i uśmiechnął się do Yvette. Był ubrany tak jak zwykle, w wyblakłe dżinsy i zamszowe buty, nieco bardziej gustowne niż te noszone przez mniej znamienitych archeologów. Wełniany pulower był grafitowego koloru, szkarłatna chustka zawiadacko zamotana na szyi. Miał ciemne kręcone włosy i duże ciemnobrązowe oczy. Jeden z jego kolegów zauważył kiedyś, że w twarzy Paula Martineau można dostrzec ślady tych wszystkich ludów, w których władaniu na przestrzeni wieków znajdowała się Prowansja: Celtów i Galów, Greków i Rzymian, Wizygotów i Teutonów, Franków i Arabów. Był niezaprzeczalnie przystojny. Yvette Debrę to nie pierwsza pełna podziwu studentka, którą uwiódł.

Oficjalnie Martneau był profesorem kontraktowym na wydziale archeologii prestiżowego Uniwersytetu Marsylskiego III. Większość czasu spędzał jednak na wykopaliskach, pracował także jako doradca ponad tuzina lokalnych muzeów rozrzuconych po całej południowej Francji. Był ekspertem w zakresie preromańskiej historii Prowansji i choć miał tylko trzydzieści pięć lat, uważano go za jednego z najznamienitszych archeologów francuskich ostatnich czasów. Jego najnowszy artykuł, traktujący o upadku hegemonii liguryjskiej w Prowansji, uznany został za wzorcowe akademickie opracowanie zagadnienia. W chwili obecnej prowadził negocjacje ze swym francuskim wydawcą w sprawie popularnonaukowej książki na temat starożytnej historii regionu.

Jego sukcesy, jego kobiety i pogłoski o jego bogactwie uczyniły z Paula obiekt-plotek i niemałej niechęci środowiska. Martneau, choć nie afiszował się ze swoim życiem prywatnym, nigdy nie ukrywał swojego pochodzenia. Jego nieżyjący ojciec, Henri Martneau, parał się biznesem i dyplomacją, ponosząc spektakularne

klęski na obydwu polach. Po śmierci matki Paul sprzedał dużą rodzinną posiadłość w Awinionie oraz majątek ziemski w Vaucluse. Od tego czasu żył w dostatku z procentów. Miał okazałe mieszkanie w pobliżu uniwersytetu w Aix, wygodną willę w kuracie Lacoste w Luberon i niewielki *pied-a-terre* na Montmartrze w Paryżu. Kiedy pytano go, dlaczego wybrał archeologię, odpowiadał, że fascynuje go pytanie o przyczyny narodzin i śmierci cywilizacji oraz źródła ich upadku. Ludzie wyczuwali w nim pewien skryty niepokój, cichą furję, która zdawała się ustępować, przynajmniej chwilowo, kiedy mógł fizycznie, własnymi rękoma, dotykać przeszłości.

Martineau poszedł za dziewczyną przez labirynt wykopów stanowiska archeologicznego. Położone na szczycie góry wznoszącej się nad szerokim płaskowyżem *Chaine de l'Etoile* miejsce było niegdyś *oppidum* - otoczonym murami wzgórzem warownym, zbudowanym przez potężne celtycko-liguryjskie plemię Saluwiów. Pierwsze prace wykopaliskowe ujawniły, że fort składał się z dwu odrębnych części: jednej dla celtyckiej arystokracji i drugiej dla tych, których uważano za liguryjski plebs. Ale Martineau przedstawił nową teorię. Pospieszna dobudowa biedniejszej części grodu zbiegła się w czasie z serią walk, jakie się rozegrały pomiędzy Ligurami a Grekami w okolicach dzisiejszej Marsylii. W trakcie obecnych prac wykopaliskowych Martineau dowiódł w sposób niepodważalny, że dobudowany fragment fortu stanowił prehistoryczną wersję dzisiejszego obozu dla uchodźców.

Teraz poszukiwał odpowiedzi na trzy pytania. Dlaczego gród został opuszczony po zaledwie stu latach istnienia? Jakie znaczenie miała ogromna liczba głów, prawdziwych i kamiennych, które odkryto w pobliżu centralnego domu obrzędowego? Czy były to tylko trofea wojenne barbarzyńców epoki żelaza, czy też miały znaczenie religijne i wiązały się w jakiś sposób z tajemniczym celtyckim kultem „odciętych głów”? Martineau podejrzewał, że kult mógł przyczynić się do nagłego upadku fortu. Dlatego

kazał członkom ekipy wołać go natychmiast, gdy odkryją kolejny czerep, i dlatego też przeprowadzał wykopaliska osobiście. Ciężko zdobyte doświadczenie nauczyło go, że nie wolno lekceważyć żadnego tropu, bez względu na to, jak nieistotny mógł się wydawać. Jakie było położenie głowy? Jakie inne artefakty albo skorpury znaleziono w jej sąsiedztwie? Czy w otaczającej ziemi kryły się jakieś poszlaki? Takich spraw nie należało powierzać rękam adeptów studiów podyplomowych, nawet tak utalentowanych jak Yvette Debrę.

Doszli do dołu, długiego na niecałe dwa metry i szerokiego na długość ramienia. Martineau opuścił się do środka, uważając, żeby nie poruszyć ziemi. Z twardego podglebia wystawał łatwo rozpoznawalny kształt ludzkiego nosa. Martineau wyjął z tylnej kieszeni małe ręczne dłuto oraz szczoteczkę i zabrał się do pracy.

Przez następne sześć godzin nie opuścił dołu. Yvette siedziała na brzegu po turecku. Od czasu do czasu proponowała mu wodę mineralną albo kawę, ale za każdym razem odmawiał. Co pięć minut któryś z pozostałych członków ekipy podchodził i dopytywał się, jak mu idzie, ale nie otrzymywał odpowiedzi. Z wykopu dochodziły tylko odgłosy pracy: puk, puk, szur, szur, dmuch. Puk, puk, szur, szur, dmuch...

Powoli z wnętrza prehistorycznej ziemi wyłaniała się ku niemu twarz: usta wykrzywione w finalnym spazmie agonii, oczy sklezione śmiercią. Gdy ranek miał się ku końcowi, zapuścił się głębiej w ziemię i odkrył, zgodnie ze swoimi przewidywaniami, że głowa trzymana była przez jakąś rękę. Zebrani na skraju wykopu nie zdawali sobie sprawy, że dla Paula Martineau ta twarz była czymś więcej niż tylko intrygującym artefaktem z odległej przeszłości. W ciemnym podglebiu profesor widział twarz swojego wroga. I pomyślał, że pewnego dnia, już niedługo, on sam, Martineau, także będzie trzymał odciętą głowę na dłoni.

W środku dnia znad doliny Rodanu nadciągnęła burza. Deszcz, zimny i pędzony ostrym wiatrem, zwałił się na wykopalisko jak banda atakujących Wandalów. Martineau wydostał się z wykopu na powierzchnię i pospieszył w górę wzgórze, gdzie reszta ekipy kryła się przed deszczem pod osłoną prehistorycznego muru.

- Pakujcie się - powiedział. - Jutro spróbujemy jeszcze raz.

Życzył im dobrego dnia i ruszył w stronę parkingu. Yvette odłączyła się od reszty i podążyła za nim.

- Co powiesz na kolację dziś wieczorem?

- Chciałbym bardzo, ale obawiam się, że nie mogę.

- Dlaczego?

- Kolejne koszarne przyjęcie wydziałowe - tłumaczył Martineau. - Dziekan zażądał mojej obecności.

- W takim razie może jutro wieczorem?

- Może. - Martineau dotknął jej dłoni. - Zobaczymy się rano.

Z drugiej strony muru znajdował się zarośnięty trawą parking. Nowy mercedes sedan profesora rzucał się w oczy wśród zdezelowanych samochodów oraz motorynek ochotników i mniej znanych archeologów, pracujących na wykopalisku. Usiadł za kierownicą i ruszył autostradą D14 w stronę Aix. Piętnaście minut później zajeżdżał na plac parkingowy przed swoją kamienicą, tuż za cours Mirabeau, w samym środku miasta.

Był to okazały, osiemnastowieczny dom z balkonem przy każdym oknie i drzwiami po lewej stronie wychodzącej na ulicę fasady. Martineau wyjął pocztę ze skrzynki, po czym niewielką windą pojechał na czwarte piętro. Znalazł się w małym przedsiionku z marmurową podłogą. Dwie rzymskie czary na wodę, które stały przed drzwiami, były autentykami, choć każdy, kto pytał o ich pochodzenie, słyszał, że to tylko zręczne kopie.

Mieszkanie, do którego wszedł, pasowało bardziej do członka prowansalskiej arystokracji niż archeologa i niepełnoetatowego profesora. Pierwotnie były to dwa mieszkania, ale Martineau po przedwczesnej śmierci w wypadku sąsiada wdowca uzyskał zgodę

na połączenie ich w jedno. Duży salon z wysokim sufitem i ogromnymi oknami wychodzącymi na ulicę robił olśniewające wrażenie. Umebłowany był w stylu prowansalskim, choć nie tak rustykalnym, jak wystrój jego willi w Lacosta. Na jednej ze ścian wisiał pejzaż pędzla Cezanne'a, na drugiej dwa szkice Degasa. Dwie rzymskie kolumny, w zadziwiająco dobrym stanie, oskrzydlały wejście do dużego gabinetu, który zawierał kilka setek monografii archeologicznych, a także imponującą kolekcję oryginalnych notatek z badań i manuskryptów kilku najętszych głów w historii dyscypliny. Dom Martineau był jego sanktuarium. Nigdy nie zapraszał tu swoich współpracowników, wyłącznie kobiety - a ostatnio tylko Yvette. Ogolił się szybko i przebrał w czyste ubranie. Dwie minuty później siedział już za kierownicą mercedesa, ponownie pędząc po cours Mirabeau. Nie zmierzał jednak w stronę uniwersytetu. Przeciął miasto i wjechał na autostradę A51 prowadzącą do Marsylii. Okłamał Yvette. Nie po raz pierwszy.

Większość mieszkańców Aix patrzyła z wyższością na Marsylię. Jednak Paula Martineau to miasto zawsze magnetyzowało. Port, nazwany niegdyś przez Greków Massalią, był teraz drugą co do wielkości metropolią Francji. Pozostał także miejscem zakotwiczenia dla większości przyjeżdżających do kraju imigrantów, których znakomita część przybywała obecnie przede wszystkim z Algierii, Maroka i Tunezji. Przedzielona z grubsza na pół przez gwarny bulwar de la Canebiere Marsylia miała dwa zupełnie odmienne oblicza. Na południe od bulwaru, na skraju starego portu, rozciągało się przyjemne francuskie miasto o szerokich, deptakach dla pieszych, ekskluzywnych promenadach handlowych i esplanadach usianych kafejkami pod gołym niebem. Ale na północy znajdowały się dzielnice znane jako Le Panier i Quartier Belsunce. Tutaj, chodząc po ulicach, słyszało się tylko arabski. Cudzoziemcy i rodzimi Francuzi, łatwy żer dla ulicznych prze-

stępców, z rzadka zapuszczali się w te okolice po zapadnięciu zmroku.

Paul Martineau nie żywił podobnych obaw o swoje bezpieczeństwo. Wysiadł z mercedesa na bulwarze d'Athenes, w pobliżu schodów, które prowadziły na dworzec kolejowy Saint-Charles, i skierował się w dół w stronę rue de la Canebiere. Zanim doszedł do arterii, skręcił w prawo w wąską przecznicę o nazwie rue des Convalescents. Z trudnością mieszcząca samochód uliczka opadała w dół w kierunku portu aż do samego centrum Quartier Belsunce.

Na ulicy było ciemno, Martineau poczuł na plecach pierwsze podmuchy mistrala. Nocne powietrze pachniało dymem węgla drzewnego, kurkumą i troszeczkę miodem. Dwójka starszych mężczyzn, siedzących przed wejściem do kamienicy na chybottliwych krzeselkach, wymieniała się bulgoczącą fajką wodną i patrzyła obojętnym wzrokiem na mijającego ich Martineau. Chwilę później z ciemności potoczyła się w jego stronę futbolówka, nienapompowana i zbliżona barwą do koloru chodnika. Martineau przytrzymał ją stopą i zręcznie odesłał tam, skąd przybyła. Zgarnął ją chłopiec w sandałach, który zaraz na widok wysokiego nieznanego w zachodnim ubraniu odwrócił się i zniknął u wylotu uliczki. Przed oczyma Martineau stanęła wizja jego samego trzydzieści lat wcześniej. Dym z węgla drzewnego, kurkuma, miód... Przez chwilę czuł się tak, jakby kroczył ulicami południowego Bejrutu.

Doszedł do skrzyżowania. Na jednym rogu znajdowała się budka z shoarmą, na drugim małe kafejka, kusząca tunezyjską kuchnię. Trzech nastoletnich wyrostków stojących w wejściu do lokalu zmierzyło Martineau prowokującym spojrzeniem. Życzył im po francusku dobrej nocy, potem spuścił wzrok i skręcił w prawo.

Ta uliczka była jeszcze węższa niż rue des Convalescents, a większość chodnika zajmowały stragany i budki z tanimi dywanami i aluminiowymi garnkami. Na drugim końcu mieściła

się arabska kawiarnia. Martineau wszedł do środka. Na tyłach lokalu, w pobliżu toalet, znajdowały się nieoświetlone schody. Martineau powoli w ciemnościach wszedł na górę i stanął przed drzwiami. Gdy się do nich zbliżył, otworzyły się niespodziewanie. Na korytarz wyszedł gładko ogolony i odziany w galabiję mężczyzna.

- *Maa-salaamah* - rzekł. - Pokój z tobą.

- *As-salaam alaykum* - odpowiedział Martineau, prześlizgując się obok mężczyzny i wchodząc do środka.



**J**erozolima jest miastem wywyższonym, również dosłownie. Leży na szczycie Gór Judzkich. Z Równiny Nadbrzeżnej prowadzi do niej przypominająca schody droga, która wije się przez

spiralny wąwóz górski zwany Sha'ar Ha'Gai. Gabriel jednak, jak większość Żydów, ciągle określał go arabską nazwą Bab al-Wad. Opuścił szybę w oknie służbowej skody i wystawił ramię na zewnątrz. Wieczorne powietrze, delikatnie chłodne i pachnące cyprysami oraz sośniną, wydymało mu rękaw koszuli. Mijając zardzewiały kadłub opancerzonego transportowca, relik z przeszłości upamiętniający walki z 1948 roku, pomyślał o szejku Asadzie i jego operacji odcięcia Jerozolimy od jej żywotnych arterii. Włączył radio w nadziei, że muzyka oderwie go od śledztwa. Usłyszał jednak tylko komunikat o ataku zamachowca samobójcy na autobus w jednej z zasobnych dzielnic Jerozolimy, Rehawii. Przez jakiś czas słuchał szczegółów serwisu, potem, kiedy zaczęła się ponura muzyka, wyłączył radio. Ponura muzyka oznaczała ofiary. Im jej więcej, tym większa była liczba ofiar.

Z czteropasmowej arterii autostrada numer 1 przeszła nagle w szeroką aleję miejską, słynną ulicę Jafy, która biegnie z północno-zachodniego krańca Jerozolimy do murów Starego Miasta. Gabriel pojechał nią na lewo, potem łagodnym łukiem, obok rozgardiaszu nowego Centralnego Dworca Autobusowego.

Pomimo zamachu dojeżdżający do pracy ludzie płynęli strumieniem w jego kierunku. Nie mieli innego wyjścia, jak wsiąść do swojego autobusu i mieć nadzieję, że dzisiejszego wieczoru kulka ruletki nie zatrzyma się na ich numerze.

Przejechał obok wejścia na rozległy bazar Machane Jehuda. Etiopska dziewczyna w policyjnym mundurze pełniła straż przy metalowej bramce, sprawdzając torbę każdej wchodzącej osoby. Kiedy Gabriel zatrzymał się na światłach, grupki ubranych na czarno *haredim* przepłynęły między samochodami jak wirujące liście.

Pokonawszy kilka zakrętów, dotarł do ulicy Narkissa. Na parkingu nie było wolnych miejsc, zostawił więc samochód za rogiem i spacerowym krokiem udał się pieszo do swojego mieszkania skrytego pod koroną eukaliptusowych drzew. Przeszło go słodko-gorzkie wspomnienie Wenecji: połączonego domu nad jedwabistymi wodami kanału, łódki przywiązanej do doku na tyłach budynku.

Jego jerozolimskie lokum mieściło się w oddalonym o kilka metrów od ulicy bloku z piaskowca. Szło się do niego betonowym chodnikiem ciągnącym się wśród gąszczu małego ogródka. Klatka schodowa tonęła w zielonkawym świetle i intensywnym zapachu świeżej farby olejnej. Nie zadał sobie trudu sprawdzenia skrzynki pocztowej - nikt nie wiedział, że tu mieszka, a czynsz i bieżące rachunki kierowano bezpośrednio do namiastki firmy zarządzającej nieruchomościami prowadzonej przez kwaterunek.

W budynku nie było windy. Gabriel ze znużeniem poczłapał po schodach na czwarte piętro i otworzył drzwi. Mieszkanie było całkiem duże jak na izraelskie standardy: dwie sypialnie, niewielka kuchnia, mały gabinet obok dużego pokoju jadalnego, ale dorastało do pięć *piano nobile* domu Gabriela nad kanałem weneckim. Kwaterunek był gotów mu je sprzedać. Z każdym kolejnym zamachem wartość mieszkań w Jerozolimie spadała na łeb na szyję, i w chwili obecnej mógł je nabyć po okazyjnej cenie. Chiara

postanowiła jednak nie czekać na akt własności z nadaniem mieszkaniu osobistego piętna. Nie mając chwilowo nic innego do roboty, większość czasu spędzała na zakupach i wytrwale przekształcała to funkcjonalne, lecz niezbyt pogodne miejsce w coś na kształt domu. Od czasu wyjścia Gabriela w mieszkaniu pojawił się nowy dywan, a także okrągły mosiężny stolik do kawy na nóżce z lakierowanego drewna. Gabriel miał nadzieję, że kupiła to w jakimś przyzwoitym miejscu, a w każdym razie nie od jednego z tych paskarzy, sprzedających powietrze znad Ziemi Świętej w butelkach.

Zawołał ją, ale odpowiedziała mu cisza. Poszedł korytarzem do sypialni. Była umeblowana bardziej z myślą o funkcjonariuszach niż kochankach. Gabriel zsunął co prawda razem dwa stojące tam łóżka, ale każdej nocy budził się nieodmiennie w samym środku szczeliny, trzymając się kurczowo skraju przepaści.

W nogach łóżka spoczywało niewielkie kartonowe pudło. Chiara zdążyła już wypakować większość ich rzeczy; to było wszystko, co jeszcze zostało. Gabriel podejrzewał, że psycholog z bulwaru Króla Saula ochoczo dopatrywałby się w jego rzekomej niemożności rozpakowania tego pudełka głębokich podtekstów. Prawda była jednak o wiele bardziej prozaiczna: zbyt absorbowowała go praca. Jednak już sama myśl, że całe jego życie mieściło się w tym pudełku, była dla Gabriela przytłaczająca, niczym świadomość, że mała metalowa urna może zawierać prochy dorosłego człowieka. Większość z tych przedmiotów nawet nie należała do niego. To były rzeczy Maria Delvecchio, postaci, którą odgrywał przez jakiś czas z umiarkowanym zapałem.

Usiadł i paznokciem rozerwał taśmę do pakowania. Zrobiło mu się lżej na sercu, gdy znalazł w środku małą drewnianą skrzyneczkę: podręczny rynsztunek konserwatora zawierający farby i pędzle - prezent od Umberta Contiego na zakończenie terminu. Reszta to były głównie śmiecie, rzeczy, z którymi dawno już powinien

był się rozstać: stare talony książeczki czekowej, notatki na temat zleceń renowacyjnych, ostra recenzja jego konserwacji *Chrystusa nad Jeziorem Galilejskim* Tintoretta, jaka ukazała się na łamach jednego z włoskich periodyków poświęconych sztuce. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle zadał sobie trud przeczytania tego artykułu, nie mówiąc już o jego przechowywaniu.

Na dnie pudełka znalazł szaroburą kopertę, nie większą niż książeczka czekowa. Otworzył ją i odwrócił do góry nogami. Ze środka wypadła para okularów. Należały niegdyś do Beniamina Sterna, byłego agenta biura, który został zamordowany. Jeszcze teraz na szklach widoczne były odciski jego zatłuszczonych palców.

Zaczął wsadzać okulary z powrotem do koperty, ale na samym dnie zauważył coś jeszcze. Ponownie przewrócił kopertę i postukał palcem od góry. Ze środka wypadł na podłogę jakiś przedmiot: rzemień z zawieszonym kawałkiem czerwonego koralu w kształcie ręki. Wtedy usłyszał na korytarzu kroki Chiary. Podniósł talizman i schował go do kieszeni.

Zanim podszedł do frontowych drzwi, zdążyła już je otworzyć i właśnie przekraczała próg z nareczem toreb pełnych wiktuałów. Spojrzała na Gabriela i uśmiechnęła się, jakby zaskoczona jego obecnością. Ciemne włosy miała splecione w gruby warkocz, śródziemnomorskie słońce wczesnej wiosny zdążyło już zabarwić delikatnie jej policzki. W oczach Gabriela nie różniła się wyglądem od rodowitej Izraelki. Dopiero kiedy się odezwała, jej hebrajski z koszmarnym włoskim akcentem zdradzał rzeczywisty kraj jej pochodzenia. Gabriel nie rozmawiał już z nią po włosku. Włoski był językiem Maria, a Mario umarł. Jedynie jeszcze w łóżku szeptali do siebie w tym języku i było to wyraźne ustępstwo na rzecz Chiary, która uważała, iż hebrajski nie jest mową odpowiednią dla kochanków.

Gabriel zamknął drzwi i pomógł jej zanieść torby do kuchni. Były w najprzeróżniejszych kolorach, niektóre białe, niektóre nie-

bieskie, jedna różowawa z nazwiskiem dobrze znanego koszernego rzeźnika. Domyślił się, że Chiara po raz kolejny zlekceważyła jego przestrożę, by trzymać się z dala od bazaru Machane Jehuda.

- Wszystko jest tam w lepszym gatunku, zwłaszcza owoce i warzywa - powiedziała defensywnie, odczytując z jego twarzy dezaprobatę. - Poza tym lubię tamtejszą atmosferę. Jest taka intensywna.

- Tak - zgodził się Gabriel. - Zwłaszcza kiedy wybucha bomba.

- Chcesz powiedzieć, że wielki Gabriel Allon boi się zamachowców samobójców?

- Tak, boję się. Nie można z ich powodu zamykać się w czterech ścianach, ale można się zachowywać rozsądnie. Jak wróciłaś do domu?

Chiara spojrzała na niego z zakłopotaniem.

- Cholera jasna, Chiara!

- Nie mogłam złapać taksówki.

- Wiesz, że dopiero co wybuchła bomba w autobusie w Rehawii?

- No jasne. Na rynku słyhać było eksplozję. Dlatego właśnie zdecydowałam się wrócić autobusem. Doszłam do wniosku, że szczęście mi dzisiaj sprzyja.

Gabriel zdawał sobie sprawę, że takie makabryczne kalkulacje były codziennym elementem życia współczesnego Izraela.

- Od dzisiaj jedź zawsze autobusem numer jedenaste.

- Który to?

Wysunął w stronę podłogi dwa palce i zrobił gest naśladujący chód.

- Czy to jest przykład twojego fatalistycznego izraelskiego poczucia humoru?

- Trzeba mieć poczucie humoru w tym kraju. To jedyny sposób, żeby nie zwariować.

- Wolałam cię jako Włocha. - Wypchnęła go delikatnie z kuchni. - Weź prysznic. Mamy gości na kolacji.

Ari Szamron zraził do siebie wszystkich tych, którzy kochali go najbardziej. Niegdyś zakładał, głupio, jak teraz się okazało, iż jego trwające całe życie oddanie sprawie obrony kraju jemu samemu automatycznie gwarantowało bezkarność u własnych dzieci i przyjaciół. Jego syn Jonatan był dowódcą czołgu w Siłach Obronnych Izraela i sprawiał wrażenie ogarniętego samobójczą potrzebą poniesienia śmierci na polu chwały. Córka przeprowadziła się do Nowej Zelandii i żyła na kurzej fermie z jakimś gojem. Unikała telefonów od ojca i nie chciała uczynić zadość jego wielokrotnym żądaniom i wrócić do ziemi swych narodzin.

Jedynie Gilah, cierpliwa żona, trwała wiernie u jego boku. Równie spokojna jak Szamron wybuchowy, była ponadto obdarzona błogosławieństwem krótkowidztwa: dostrzegała w małżonku wyłącznie dobro, i była jedyną osobą, która kiedykolwiek ośmielała się go besztuć. Jednak żeby zaoszczędzić mu niepotrzebnego wstydu, robiła to tylko po polsku, tak jak teraz, kiedy Szamron, nasyciwszy się pieczonym kurczakiem i pilawem, sięgał przy stole jadalnym po papierosa. Znała tylko mgliste zarysy jego pracy, ale podejrzewała, że ręce ma nie najczystsze. Szamron nie mówił jej wszystkiego z obawy, że gdyby wiedziała zbyt dużo, porzuciłaby go, tak jak zrobiły to dzieci. Gabriela, który w jej mniemaniu miał na Szamrona dobroczynny wpływ, traktowała więcej niż przychylnie. Wyczuwała, że kocha Szamrona w ów burzliwy sposób, w jaki syn kocha ojca, i sama go za to kochała. Nie miała pojęcia, że Gabriel zabijał ludzi na polecenie jej męża. Była przekonana, że jest urzędnikiem, który spędził wiele czasu w Europie i sporo wie o sztuce.

Teraz pomagała Chiarze sprzątnąć ze stołu, podczas gdy mężczyźni udali się do gabinetu na pogawędkę. Szamron, skryty przed spojrzeniem Gilah, zapalił papierosa. Gabriel otworzył okno. Nocny deszcz bębnił miarowo o chodnik, pokój wypełniła ostra woń mokrych eukaliptusowych liści.

- Słyszę, że tropisz Khaleda - odezwał się Szamron.

Gabriel pokiwał głową. Rano zdał Lwu raport z ustaleń Diny, a ten natychmiast pojechał do Jerozolimy zobaczyć się z premierem i Szamronem.

- Jeśli mam być z tobą szczery, nigdy nie przywiązywałem specjalnej wagi do mitu Khaleda - powiedział Szamron. - Zawsze zakładałem, że chłopak zmienił nazwisko i postanowił żyć własnym życiem: bez ciężaru cieni swojego dziada i ojca, bez ciężaru cienia tej ziemi.

- Ja tak samo - zgodził się Gabriel - ale ta historia brzmi przekonująco.

- Fakt. Dlaczego nikt wcześniej nie wpadł na związek pomiędzy datami zamachów w Buenos Aires i Stambule?

- Zakładano, że jest to przypadkowa zbieżność - wyjaśnił Gabriel. - Poza tym nie było wystarczających dowodów, żeby wszystko powiązać. Nikomu nie wpadło do głowy, żeby pomyśleć o Beit Sayeed. Aż dotąd.

- Jest bardzo dobra. Ta dziewczyna, Dina.

- Obawiam się, że u niej to rodzaj obsesji.

- Chodzi ci o to, że była na ulicy Dizengoffa, kiedy wybuchła piątka?

- Skąd o tym wiesz?

- Pozwoliłem sobie przejrzeć akta osobowe twoich ludzi. Dokonałeś dobrego wyboru.

- Ona wie mnóstwo na twój temat, w tym także takie rzeczy, o których nigdy mi nie wspominałeś.

- Na przykład?

- Nie miałem pojęcia, że to Rabin prowadził samochód, którym uciekłeś po zabójstwie szejka Asada.

- Zbliżyliśmy się po tym wszystkim bardzo do siebie, Rabin i ja. Niestety, po Oslo nasze drogi się rozeszły. Rabin wierzył, że Arafat został pokonany i że to dobry moment na podpisanie ugody. Mówiłem mu, że Arafat chce ugody, ponieważ jest pokonany; że zamierza użyć rokowań w Oslo jako sposobu na

prowadzenie z nami wojny innymi środkami. Miałem rację, oczywiście. W oczach Arafata Oslo stanowiło tylko kolejną fazę jego „wieloletowej strategii” wyniszczenia nas. Sam tak powiedział, kiedy zwracał się po arabsku do swoich ludzi.

Szamron przymknął oczy.

- Nie czuję satysfakcji z tego powodu, że miałem rację. Śmierć Rabina była dla mnie ogromnym ciosem. Jego przeciwnicy nazwali go zdrajcą i nazistą, a potem zabili. Zamordowaliśmy jednego ze swoich. Dopadła nas arabska przypadłość. - Wolno pokręcił głową. - A jednak uważam, że to było konieczne, ta złudna próba pogodzenia się z naszymi śmiertelnymi wrogami. To nas zahartowało i uzbroiło w siłę niezbędną do podjęcia kroków, które musimy podjąć, jeśli chcemy pozostać żywi na tej ziemi.

Następną kwestię, operację zniszczenia Beit Sayeed, Gabriel podniósł z ogromną ostrożnością.

- To była operacja Palmach, prawda?
- Co dokładnie chcesz wiedzieć, Gabrielu?
- Brałeś w tym udział?

Szamron ciężko westchnął, potem skinął głową.

- Nie mieliśmy wyboru. Beit Sayeed była bazą wypadową akcji oddziałów Asada. Nie dało się tolerować tak wrogiej osady. Po śmierci szejka trzeba było zadać śmiertelny cios resztkom jego sił.

Spojrzenie Szamrona nagle nabrało rezerwy. Gabriel domyślił się, że Stary nie ma już ochoty omawiać dłużej tej sprawy. Zaciągnął się łąpczywie papierosem, potem opowiedział Gabrielowi o przeczuciu katastrofy, jakie nawiedziło go w noc przez zamachem w Rzymie.

- Widziałem, że chodzi o coś takiego. I poczułem to, kiedy się stało. - Poprawił się: - Poczuję to, zanim jeszcze się stało.

- Jeśli Khaled próbuje się na nas zemścić, dlaczego nie zabił mnie w Wenecji, kiedy miał po temu okazję?

- Może zamierzał. Włosi zatrzymali Daouda Hadawiego na drodze w Mediolanie. Może to właśnie on miał cię zabić.



- A Rzym? - zapyta! Gabriel. - Dlaczego Khaled wybrał właśnie Rzym?

- Może dlatego, że w Rzymie mieściła się europejska centrala Czarnego Września. - Szamron spojrział na Gabriela. - A może próbował powiedzieć coś bezpośrednio tobie.

Wadal Abder Zwaiter, pomyślał Gabriel, Piazza Annabaliano.

- Pamiętaj jeszcze o jednym - rzekł Szamron. - Tydzień po zamachu w centrum Rzymu odbyła się potężna demonstracja, ale nie przeciwko palestyńskiemu terroryzmowi, tylko przeciwko nam. Europejczycy są najlepszymi przyjaciółmi, jakich mają Palestyńczycy. Cywilizowany świat zostawił nas własnemu losowi. Nigdy byśmy nie wrócili do tej ziemi, gdyby nie pchnęła nas tu nienawiść europejskich chrześcijan. A teraz, gdy już tu jesteśmy, nie pozwalają nam się bronić, żebyśmy. Boże broń, nie rozwścieczyli żyjących wśród nich Arabów.

Zapadło milczenie. Z kuchni dochodził brzęk porcelanowych naczyń i cichy śmiech kobiet. Szamron zatonął głębiej w fotelu. Plusk deszczu i mocna woń eukaliptusów zdawała się działać na niego jak środek uspokajający.

- Przyniosłem ci papiery do podpisania - powiedział.

- Jakie papiery?

- Takie, które bez zbędnego hałasu rozwiążą twoje małżeństwo z Leah. - Szamron położył dłoń na ramieniu Gabriela. - To już prawie czternaście lat. Straciłeś ją. Nigdy już do ciebie nie wróci. Czas, żebyś pozbierał się i żył dalej.

- To nie takie proste, Ari.

- Nie zazdroścę ci - westchnął Szamron. - Kiedy zamierzasz sprowadzić ją do domu?

- Jej lekarz się sprzeciwia. Martwi się, że powrót do Izraela tylko pogorszy jej stan. W końcu chyba zrozumiał, że sprawa nie podlega dyskusji, ale nalega, żeby dać jej odpowiedni czas na przygotowanie się do zmiany.

- Jak długo?

- Miesiąc - odparł Gabriel. - Może nieco krócej,  
- Powiedz temu lekarzowi, że dostanie tu dobrą opiekę. Nie-  
stety, mamy raczej duże doświadczenie, jeśli chodzi o opiekę nad  
ofiarami zamachów terrorystycznych. - Szamron gwałtownie  
zmieni! temat: - Wygodnie ci w tym mieszkaniu?

Gabriel potwierdził.

- Zmieściłoby się jeszcze dziecko, może dwoje.  
- Nie dajmy się ponosić wyobraźni, Ari. Dawno już stuknęła  
mi pięćdziesiątka.

- Chiara będzie chciała mieć dzieci, jeśli się pobierzecie, natu-  
ralnie. Poza tym, musisz spełnić swój patriotyczny obowiązek.  
Nie słyszałeś o groźbie katastrofy demograficznej? Niedługo sta-  
niemy się mniejszością na obszarze między morzem a rzeką Jor-  
dan. Premier apeluje do wszystkich o pomoc, to znaczy o robienie  
większej liczby dzieci. Dzięki ci Boże za *haredim*. Tylko dzięki nim  
jeszcze całkiem nie wypadliśmy z gry.

- Postaram się pomóc w inny sposób.  
- Jest twoje, wiesz? - powiedział Szamron.  
- Co?  
- Mieszkanie.  
- O czym ty mówisz?  
- Jesteś jego właścicielem. Zostało kupione w twoim imieniu  
przez jednego z przyjaciół biura.

Gabriel potrząsnął głową. Zawsze zdumiewały go gangsterskie  
dojścia Szamrona do źródeł finansowania.

- Nie mogę go przyjąć.  
- Już za późno. Notarialny tytuł własności będzie wystawiony  
z samego rana.

- Nie chcę być niczym dłużnikiem.  
- To my jesteśmy twoimi dłużnikami. Przyjmij je łaskawie  
i w duchu, w którym jest ci ofiarowywane. - Szamron poklepał  
Gabriela po ramieniu. - I zapełnij je dziećmi.

Gilah wsadziła głowę w na pół uchylone drzwi.

- Na stole czeka deser - obwieściła, potem spojrzała na Szamrona i po polsku kazała mu zgasić papierosa.
- Osiemnasty kwietnia - mruknął półgłosem, kiedy opuściła pokój. - Nie zostało już wiele czasu.
- Już zacząłem odmierzać.
- Przyszło mi do głowy, że jest jeden człowiek, który może wiedzieć, gdzie przebywa Khaled.
- Arafat?
- Jakkolwiek by było, to jego ojciec. No i winien ci jest przysługę. Uratowałeś mu przecież kiedyś życie.
- Jaser Arafat to ostatnia osoba, z którą chciałbym się spotkać. Poza tym, to łgarz.
- Tak, ale czasem jego łgarstwa mogą wskazać nam ścieżkę prawdy.
- Przebywa w strefie wzbronionego wstępu. Lew nigdy nie wyrazi zgody.
- To mu nie mów.
- To raczej nie najlepszy pomysł, żebym tak po prostu się tam pojawił i zapukał do drzwi Arafata. A do Ramalli mogę pojechać tylko w transporterze opancerzonym.
- Arafat nie ma drzwi. Nasze wojska się już o to postarały.
- Szamron pozwolił sobie na uśmiech na myśl o słabnących aktywach swojego starego wroga. - Co do samochodu opancerzonego, zostaw to mnie.

Gabriel wszedł do łóżka i posunął się ostrożnie w stronę środka. Wyciągnął ramię i położył dłoń na brzuchu Chiary. Nie poruszyła się.

- O czym rozmawialiście z Arim w gabinecie?
- O śledztwie - odrzekł nieobecny głosem.
- I o niczym więcej?

Powiedział jej, że mieszkanie należy teraz do nich.

- Jak to się stało?

- Szamron i ci jego kasiaści przyjaciele. Każę kwaterunkowi usunąć stare meble. Jutro możesz kupić nam łóżko z prawdziwego zdarzenia.

Chiara wolno uniosła ramię. Gabriel mógł dostrzec w ciemnościach talizman dyndający pomiędzy jej palcami.

- Co to jest? - spytała cicho Chiara.

- Korsykański amulet na szczęście. Mówią, że chroni przed złym okiem.

- Skąd go masz?

- To długa historia.

- Opowiedz.

- Jest objęta klauzulą tajności.

Sięgnął po talizman. Chiara zgrabnie wywinęła dtonią młynka, talizman okręcił się ściśle dokoła koniuszków jej palców, niczym paciorki arabskiego różańca.

- Prezent od którejś z dawnych kochanek? - spytała.

- Od dawnego wroga, prawdę powiedziawszy. Człowieka, który został wynajęty, żeby zabić mnie i kobietę, którą chronilem.

- Annę Rolfe?

- Tak - powiedział Gabriel - Annę Rolfe.

- Dlaczego go zatrzymałeś? - zapytała. - Żeby ci o niej przypominał?

- Chiara, nie bądź śmieszna.

Rzuciła amulet w jego kierunku. Czerwona koralowa łapka wylądowała na jego piersiach.

- Coś nie tak, Chiara?

- Co to były za papiery, które Szamron zostawił ci przed wyjściem? Czy może to też jest objęte klauzulą tajności?

Gabriel powiedział jej.

- Podpisałeś je już?

- Pomyślałem, że powinienem najpierw je przeczytać.

- Wiesz, co w nich jest.
- Podpiszę je - obiecał Gabriel.
- Kiedy?
- Kiedy będę gotowy.

W tej samej chwili budynek zatrzęsł się od huku potężnej eksplozji. Chiara wyskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Gabriel leżał dalej nieruchomo.

- Gdzieś blisko - powiedziała.
- Moim zdaniem pasaż handlowy Ben Jehudy. Prawdopodobnie jakaś kawiarnia.
- Włącz radio.
- Wystarczy liczyć syreny, Chiara. Możesz wydedukować, jak bardzo jest źle, po liczbie jadących karettek.

Upłynęła chwila śmiertelnej ciszy. Gabriel przymknął oczy i wyobraził sobie, wyraziście niczym na filmie, koszmar rozgrywający się kilka bloków dalej od ich nowego mieszkania. Rozległ się dźwięk pierwszej syreny, potem drugiej, trzeciej, czwartej. Stracił rachubę przy siedemnastej - noc rozbrzmiewała symfonią syren. Chiara wróciła do łóżka i wtuliła się w jego pierś.

- Podpisz papiery, kiedy będziesz gotowy - szepnęła. - Będę tu. Zawsze tu będę.

## 10

Jerozolima, 22 marca

**P**ułkownik wojska stojący przy murach Starego Miasta raczej nie przypominał Ariego Szamrona, ale Gabriela to nie zdziwiło. Było coś w Izraelu - światło słoneczne, duża zwartość społeczna, trzeszczące napięcie powietrza - co miało zdolność dramatycznego zmieniania wyglądu jego obywateli, nawet na przestrzeni jednego zaledwie pokolenia. Jonatan Szaniron był piętnaście centymetrów wyższy od swego sławnego ojca, uderzająco przystojny i nie miał żadnego z przyrodzonych odruchów obronnych Starego: rezultat dorastania tutaj, na tej ziemi, zamiast w Polsce, pomyślał Gabriel. Dopiero kiedy pułkownik wyskoczył z opancerzonego dżipa i podszedł do niego z dłonią wyciągniętą jak nóż bojowy, Gabriel dostrzegł przelotnie niewyraźny ślad Szamrona seniora. Sposób poruszania się Jonatana przywodził na myśl nie tyle zwykły ludzki chód, co śmiertelną szarżę, a kiedy potrząsnął gwałtownie dłonią Gabriela i klepnął go między łopatkami, konserwator miał wrażenie, że uderzył go ogromny głaz Herod ium.

Wyruszyli drogą numer 1, dawną granicą oddzielającą Jerozolimę Wschodnią i Zachodnią. Ramalla, nominalna siedziba władz palestyńskich, leżała tylko kilkanaście kilometrów na północ. Dojechali do wojskowego punktu kontrolnego. Po drugiej stronie rozciągała się Kalandija - obóz dla uchodźców, w którym dziesięć

tysięcy Palestyńczyków tłoczyło się na kilkaset metrach kwadratowych pomieszczeń mieszkalnych z siporeksu. Na prawo, na niewielkim wzniesieniu, rozpościerały się czerwone dachy żydowskiego osiedla Psagot. Nad tym wszystkim górował ogromny portret Jasera Arafata. Napis po arabsku głosił: ZAWSZE  
Z TOBĄ.

Jonatan wskazał kciukiem tylne siedzenie i polecił:

- Włóż to na siebie.

Obejrawszy się przez ramię, Gabriel ujrzał kamizelkę kuloodporną z wysokim kołnierzem i hełm bojowy. Nie nosił hełmu od czasu swojej krótkiej służby w Siłach Obronnych Izraela. Ten dostarczony przez Jonatana był za duży i opadał mu na oczy.

- Teraz dopiero wyglądasz jak prawdziwy żołnierz - stwierdził Jonatan i uśmiechnął się. - No, prawie.

Żołnierz piechoty kazał im podjechać do punktu kontrolnego, ale gdy zobaczył, kto siedzi za kierownicą, uśmiechnął się i powiedział:

- Czołem, Jonatan.

Szeregi SOI, podobnie jak biura, słynęły z luźnej dyscypliny. Tykanie się było na porządku dziennym, mało kto trzymał się salutowaniem.

Przez przyciemnianą kuloodporną szybę swojego okna Gabriel przyglądał się scenie rozgrywającej się po drugiej stronie punktu kontrolnego. Dwóch żołnierzy, mierząc z broni do grupki mężczyzn, kazało im porozpinać płaszcze i unieść koszule, by sprawdzić, czy nie mają pod spodem taśm z ładunkami wybuchowymi. Kobiety poddawano takiemu samemu przeszukaniu za barierą osłaniającą je przed spojrzzeniami mężczyzn. Naprzeciwko posterunku wiała się kolejka długa na kilkaset metrów i, pomyślał Gabriel, co najmniej trzy, cztery godziny czekania. Zamachowcy samobójcy ściągnęli nieszczęście na ludzi po obu stronach Zielonej Linii, ale to uczciwi Palestyńczycy - robotnicy usiłujący znaleźć pracę w Izraelu, rolnicy chcący sprzedawać tam swe plody - płacili najwyższą cenę w postaci stałych, uciążliwych kontroli.

Gabriel spojrział ponad punktem kontrolnym w stronę muru bezpieczeństwa.

- Co o nim myślisz? - zapytał Jonatan.

- Z pewnością nie jest to coś, czym możemy się szczycić.

- Dla mnie jest to paskudna blizna na naszej pięknej ziemi. Nowa Ściana Płaczu, dłuższa od oryginalnej i różniąca się od niej tym, że ludzie płaczą po obydwu jej stronach. Ale boję się, że nie mamy innego wyjścia. Dzięki dobrym służbom wywiadowczym udało nam się powstrzymać większość samobójczych ataków, ale nigdy nie będziemy w stanie zapobiec im wszystkim. Potrzebujemy tego muru.

- Ale nie tylko dlatego go budujemy.

- To prawda - powiedział Jonatan. - Kiedy zostanie ukończony, będziemy mogli odwrócić się tyłem do Arabów i po prostu odejść. Dlatego tak bardzo się go boją. Oni chcą pozostać złączeni z nami konfliktem, to leży w ich interesie. Mur pozwoli nam się oddzielić, a to jest ostatnie, czego sobie życzą.

Droga numer 1 przeszła w autostradę 60, wstęgę czarnego asfaltu biegnącą na północ przez szarobury krajobraz Zachodniego Brzegu. Ponad trzydzieści lat upłynęło od czasu, kiedy Gabriel był po raz ostatni w Ramalli. Wtedy, podobnie jak teraz, zjawił się w pojeździe opancerzonym, z hełmem SOI na głowie. Te wczesne lata okupacji upływały stosunkowo spokojnie. Największym wyzwaniem dla Gabriela było wtedy znalezienie transportu z posterunku na tyłach do domu matki w dolinie Ezdrelon. Dla większości Arabów z Zachodniego Brzegu koniec okupacji jordańskiej oznaczał znaczną poprawę jakości życia. Razem z Izraelczykami pojawił się dostęp do prężnej gospodarki, bieżącej wody, elektryczności i edukacji. Wskaźnik śmiertelności niemowląt, niegdyś najwyższy na świecie, spadł gwałtownie. Liczba osób umiejących czytać i pisać poszybowała w górę. W końcu jednak radykalizm islamski i wpływy OWP zamieniły Zachodni Brzeg w kipiący kocioł, a żołnierzy SOI naraziły na codzienne spotkania z rzucają-



cymi kamieniami dziećmi. Jednak dla Gabriela służba wojskowa pozostawała w dużej mierze ćwiczeniami z nudy i monotonii.

- Więc zobaczysz się z Malowanym Królem. - Jonatan przerwał rozmyślenia Gabriela.

- Twój ojciec umówił mnie na spotkanie.

- Staruszek ma siedemdziesiąt pięć lat, a ciągle jeszcze pociąga za sznurki niczym władca marionetek, co? - Jonatan uśmiechnął się i potrząsnął głową. - Dlaczego nie odejdzie na emeryturę i nie rzuci tego wszystkiego w cholerę?

- Oszałałby - wyjaśnił Gabriel. - A twoja nieszczęsna matka razem z nim. Tak przy okazji: prosił mnie, żebym cię pozdrowił. Chciałby, żebyś w szabas przyjechał do Twerii.

- Mam służbę - odparł szybko Jonatan.

Służba, jak się wydawało, była dyżurną wymówką Jonatana, by uniknąć spotkania z ojcem. Gabriel niechętnie mieszał się w zawile właśnie rodzinne Szamronów, ale wiedział, jak dotkliwie Stary odczuwa niechęć swoich dzieci. Poza tym postanowił interweniować także i z egoistycznych pobudek. Gdyby życie Szamrona w większym stopniu wypełniała obecność Jonatana, Gabriel sam trochę by odetchnął. Teraz, gdy mieszkał w Jerozolimie, a nie w Wenecji, Stary dzwonił bez zahamowań o rozmaitych porach, żeby wymienić się plotkami z biura albo przeanalizować ostatnie wydarzenia polityczne. Gabriel potrzebował więcej powietrza. Przy odrobinie manipulacji Jonatan, zręcznie pokierowany, mógł pełnić rolę muru bezpieczeństwa.

- Chciałby cię częściej widywać, Jonatanie.

- Toleruję go tylko w małych dawkach. - Jonatan oderwał na chwilę wzrok od jezdni, żeby rzucić okiem na Gabriela. - Poza tym, to ciebie zawsze bardziej kochał.

- Wiesz, że to nieprawda.

- W porządku, przesada. Ale niewiele odbiega od prawdy. Z pewnością myśli o tobie jak o własnym synu.

- Twój ojciec to wielki człowiek.

- Tak - zgodził się Jonatan. -A wielcy ludzie bywają dopustem dla swoich dzieci.

Gabriel spostrzegł w przelocie dwa duże brązowe transportery opancerzone zaparkowane przed nimi na skraju drogi.

- Lepiej nie wjeżdżać do miasta bez wsparcia - stwierdził Jonatan.

Utworzyli mały konwój, z wozem Jonatana pośrodku, i ruszyli dalej.

Pierwszym zwiastunem zbliżającego się miasta był strumień Arabów idących skrajem autostrady. Hidżaby kobiet powiewały niczym chorągwie na południowym wietrze. Potem ze spieczonego horyzontu wyłoniły się mury Ramalli, niskie i szare. Ulicą Jeruzolimską dojechali do centrum miasta. Z każdego słupa latarni, który mijali, twarze męczenników rzucały Gabrielowi wrogie spojrzenia. Ulice nosiły nazwiska zmarłych, place i rynki podobnie. W kioskach sprzedawano breloczki do kluczy z podobiznami poległych. Między samochodami krążył Arab, zachwalając głośno kalendarz ze zdjęciami męczenników. Na najświeższych afiszach widniał uwodzicielski wizerunek pięknej młodej dziewczyny, arabskiej nastolatki, która wysadziła się w pasażu Ben Jehudy poprzedniej nocy.

Jonatan skręcił w prawo w ulicę Nadawczą i sunął nią około półtora kilometra, dopóki nie dojechali do zapory drogowej, obsadzonej półtuzinem żandarmów z palestyńskich sił bezpieczeństwa. Ramalla znajdowała się teraz pod kontrolą palestyńską. Gabriel przyjechał na zaproszenie prezydenta Autonomii, co dało się porównać z wkroczeniem do sycylijskiej wioski przy błogosławieństwie miejscowego dona. Nie widać było specjalnego napięcia, kiedy Jonatan potoczystym arabskim zwrócił się do przywódcy palestyńskiego oddziału.

Upłynęło kilka minut, podczas których Palestyńczyk konsultował się ze swoimi przełożonymi przez trzymaną w dłoni krótkofalówkę. Następnie poklepał dach dżipa i ręką dał im znak do przejazdu.

- Tylko spokojnie, pułkowniku Szamron - ostrzegł. - Niektórzy z tych chłopców byli tu tego wieczoru, kiedy wasi komandosi z batalionu Egoz rozwalili bramę i zaczęli ostrzelać. Nie chcielibyśmy żadnych nieporozumień.

Jonatan ruszył, klucząc między labiryntem betonowych zapór, potem łagodnie przyspieszył. Po prawej stronie pojawił się mur z betonu, wysoki na blisko cztery metry i oznaczony śladami po pociskach broni maszynowej dużego kalibru. Miejscami był zupełnie porozwalany, całość przywodziła na myśl paszczę pełną zepsutych zębów. Żołnierze oddziałów bezpieczeństwa, niektórzy w odkrytych ciężarówkach, inni w dżipach, patrolowali obszar dookoła. Patrzyli na Gabriela i Jonatana zaczepnie, ale nie unieśli broni. Jonatan zahamował przy wejściu. Gabriel zdjął hełm i kamizelkę.

- Jak długo cię nie będzie? - zapytał Jonatan

- To, jak sądzę, zależy od niego.

- Przygotuj się na dłuższe kazanie. Ostatnio jest w pieskim nastroju.

- Trudno go winić.

- On może winić tylko i wyłącznie samego siebie, Gabriela, nie zapominaj o tym.

Gabriel otworzył drzwi i wysiadł.

- Poradzisz tu sobie sam?

- Bez problemu - powiedział Jonatan. Potem pomachał mu i rzekł: - Uściskaj go ode mnie.

Palestyński ochroniarz przywitał się z Gabrielem przez pręty bramy. Nosił brązowo-oliwkowy mundur, płaską czapkę i czarną przepaskę na lewym oku. Otworzył bramę na tyle szeroko, by Gabriel mógł się przecisnąć, i gestem zaprosił go do środka. Nie miał trzech palców u ręki. Za bramą doskoczyło do Gabriela kolejnych dwóch mężczyzn w mundurach. Poddali go dokładnej

i bezpardonowej rewizji osobistej, podczas gdy jednooki przyglądał się, szczerząc zęby w uśmiechu, tak jakby cała rzecz została zaaranżowana z myślą o jego prywatnej rozrywce.

Jednooki przedstawił się jako pułkownik Kemel i zaprowadził Gabriela do wnętrza kwatery. Nie był to pierwszy raz, kiedy Gabriel przekraczał próg Mukaty. W okresie mandatu była brytyjską twierdzą. Po wojnie sześciodniowej SOI przejęły ją od Jordańczyków i przez cały okres okupacji wykorzystywały jako swój posterunek dowodzenia na Zachodnim Brzegu. Będąc żołnierzem, Gabriel często zgłaszał się do służby dokładnie w tym samym miejscu, które Jaser Arafat zamienił teraz na siedzibę swojego sztabu.

Biuro Arafata mieściło się w kwadratowym dwupiętrowym gmachu przytulonym do północnego muru Mukaty. Mocno zniszczony, był to jeden z nielicznych budynków, które ostały się w garnizonie. W holu Gabriel przeszedł kolejne przeszukanie, tym razem w wykonaniu wąsatego olbrzyma po cywilnemu, ze składanym pistoletem maszynowym przewieszonym przez tułów.

Skończywszy rewizję, ochroniarz skinął głową na pułkownika Kemela, który popędził Gabriela na górę wąskimi schodami. Na piętrze, balansując niebezpiecznie na dwu nogach sprawiającego mało solidne wrażenie krzesła, siedział kolejny wartownik. Spojrzał na Gabriela apatycznie, potem wyciągnął ramię i zastukał kciukiem w drewniane drzwi. Poirytowany głos po drugiej stronie powiedział:

- Wejść.

Pułkownik Kemel nacisnął klamkę i wprowadził Gabriela do środka.

Gabinet, w którym Gabriel się znalazł, nie był większy od jego własnego na bulwarze Króla Saula. Stało tam skromne drewniane biurko i niewielkie łóżko polowe z ładnym, oprawionym w skórę egzemplarzem Koranu, leżącym na stosie sztywno wykrochma-

lonej, białej pościeli. Okna przykrywały ciężkie pluszowe zasłony, jedyne źródło światła stanowiła stojąca na biurku lampka, mocno przygięta ku dołowi, w stronę leżącego tam stosu papierów. Na jednej ze ścian, prawie niewidocznej w półmroku, wisiały rzędy oprawionych w ramki fotografii, ukazujących palestyńskiego przywódcę w towarzystwie najróżniejszych ludzi ze świecznika. Był w tym gronie także amerykański prezydent, który uznał de facto miniaturowe państwo Arafata, za co ten odwdzieczył mu się w Camp David ciosem w plecy i zerwaniem układów pokojowych.

Za biurkiem siedział sam Arafat, mały i sprawiający wrażenie chorego. Miał na sobie mundur i kufie w czarno-białą kratkę. Jak zawsze, udrapowana była na jego prawym ramieniu i przymocowana do przedniej poły munduru w taki sposób, że przypominała kształtem Palestynę. Czy raczej Palestynę w wersji Arafata, jak zauważył Gabriel, ponieważ udrapowany kształt ludzko przypominał zarys granic Izraela. Kiedy wskazywał Gabrielowi krzesło, jego dłonie mocno drżały, podobnie jak wydęta dolna warga, kiedy pytał gościa, czy napije się herbaty. Gabriel wystarczająco dobrze znał arabskie zwyczaje, by wiedzieć, że odmowa oznaczałaby fatalny początek. Przystał na poczęstunek i patrzył, nie bez pewnej dozy satysfakcji, jak Arafat każe Kemelowi go przynieść.

Kiedy zostali sami, w milczeniu mierzyli się wzrokiem nad niewielkim biurkiem. Cieniem kładło się między nimi wspomnienie ich ostatniego spotkania. Odbyło się w gabinecie pewnego apartamentu na Manhattanie, gdzie Tarik al-Hurani, ten sam człowiek, który w Wiedniu podłożył bombę w samochodzie Gabriela, próbował zamordować Arafata za jego rzekomą „zradę” palestyńskiego narodu. Zanim uciekł z mieszkania, wpakował w pierś Gabriela kulę, która omal go nie zabiła.

Teraz, gdy Gabriel siedział naprzeciw Arafata, stara rana odezwała się ponownie po latach milczenia. Nikt, może z wyjątkiem Szamrona, nie wywarł tak dużego wpływu na jego życie, jak Jaser Arafat. Od trzydziestu lat pływali w tej samej rzece krwi.

Gabriel zabijał najbardziej zaufanych ludzi Arafata, ten zlecił „odwet” w postaci wiedeńskiego zamachu. Ale czy od początku celem byli Leah i Dani, czy może bomba była przeznaczona dla niego? Od trzynastu lat to pytanie prześladowało Gabriela. Oczywiście Arafat znał odpowiedź. To była jedna z przyczyn, dla których Gabriel przystał w końcu na propozycję Szamrona i pojechał do Ramalli.

- Szamron powiedział, że chciałbyś przedyskutować ze mną jakąś ważną sprawę - odezwał się Arafat. - Zgodziłem się spotkać z tobą tylko przez wzgląd na niego. Jesteśmy w tym samym wieku, Szamron i ja. Historia rzuciła nas na tę samą ziemię i, niestety, stoczyliśmy tu ze sobą wiele bitew. Czasem wygrywałem ja, czasem on był górą. Teraz obaj się już starzejemy. Miałem nadzieję, że dane nam będzie doczekać kilku dni pokoju przed śmiercią. Ta nadzieja jest coraz słabsza.

Jeśli tak było, pomyślał Gabriel, to dlaczego w takim razie wycofałeś się z ugody, która dawała ci państwo w strefie Gazy i dziewięćdziesiąt siedem procent Zachodniego Brzegu z Jerozolimą Wschodnią jako stolicą? Gabriel naturalnie znał odpowiedź. Była nią właśnie ta mapa „Palestyny” zrobiona z chusty, którą Arafat nosił na ramieniu: chciał mieć wszystko.

Gabriel nie miał szansy odpowiedzieć, ponieważ wrócił pułkownik Kemel, niosąc małą srebrną tacę z dwiema szklankami herbaty. Potem usadowił się na krześle i patrzył na Gabriela swoim jedynym okiem. Arafat wyjaśnił, że adiutant mówi płynnie po hebrajsku i pomoże, gdyby potrzebne było tłumaczenie. Gabriel miał nadzieję, że zostanie z Arafatem sam na sam, z drugiej jednak strony tłumacz mógł okazać się użyteczny. Arabski Gabriela, choć znośny, pozbawiony był owej elastyczności i zdolności wychwytywania niuansów, niezbędnych w rozmowie z człowiekiem pokroju Arafata.

Trzęsącą się ręką Arafat odstawił swoją szklankę na spodeczek i zapytał Gabriela, co go sprowadza do Ramalli. Krótka odpowiedź,

którą usłyszał, w jednej chwili wytrąciła go z równowagi, zgodnie z intencją Gabriela.

- Khaled? - powtórzył Arafat, odzyskując spokój. - Znam wielu mężczyzn o tym imieniu. Obawiam się, że jest dość pospolite w Palestynie. Musisz powiedzieć coś więcej.

Gabriel świetnie wiedział, że udawana ignorancja to jedna z ulubionych taktyk negocjacyjnych Arafata. Przedstawił sprawę precyzyjniej.

- Ten, którego szukam, panie przewodniczący, to Khaled al-Khalifa.

- Panie prezydencie - sprostował Palestyńczyk z naciskiem.

Gabriel skinął głową obojętnie.

- Gdzie jest Khaled al-Khalifa?

Pokryta plamami twarz Arafata nagle nabiegła krwią, jego dolna warga znowu zaczęła się trząść. Gabriel spuścił wzrok i zajął się kontemplowaniem swojej herbaty. Kątem oka dostrzegł, jak pułkownik Kemel kręci się nerwowo na krześle. Arafatowi udało się jakoś poskromić swoją legendarną wybuchowość i kiedy się odezwał, jego ton nie zdradzał zdenerwowania,

- Zakładam, że mówisz o synu Sabriego Al-Khalify? - powiedział.

- Cóż, teraz jest już pańskim synem.

- Moim przybranym synem - dodał Arafat. - I tylko dlatego, że zabiłeś mu ojca.

- Jego ojciec zginął na polu bitwy.

- Został zamordowany z zimną krwią na ulicach Paryża.

- To on zamienił Paryż w pole bitwy, panie prezydencie, z pana błogosławieństwem.

Zapadła cisza. Arafat zdawał się pieczołowicie dobierać następne słowa.

- Zawsze wiedziałem, że pewnego dnia zorganizujecie jakąś prowokację, żeby wziąć na cel Khaleda. Dlatego też po pogrzebie Sabriego wysłałem chłopca daleko stąd. Dałem mu nowe życie,

a on je przyjął. Nie widziałem go ani nie miałem od niego żadnych wieści od czasu, kiedy był młodzieńcem.

- Mamy dowody potwierdzające, że był zamieszany w zamach na naszą ambasadę w Rzymie.

- Bzdura - uciął Arafat.

- Jeśli Khaled nie miał nic wspólnego z Rzymem, jestem pewien, że chętnie nas pan poinformuje, gdzie możemy go znaleźć.

- Jak już powiedziałem, nie wiem, gdzie jest Khaled.

- Jak się nazywa?

Ostrożny, wymijający uśmiech.

- Zadałem sobie nadzwyczaj dużo trudu, żeby chłopca ochronić przed wami i waszymi mściwymi służbami. Co, na Boga, każe wam mniemać, że zdradzę wam teraz jego nazwisko? Naprawdę uważacie, że mógłbym zachować się jak Judasz Iszkariot: wydać mojego syna, rzucając go na żer waszych sądów i plutonów egzekucyjnych? - Arafat wolno pokręcił głową. - W naszych szeregach jest wielu zdrajców, mnóstwo z nich służy właśnie tu, w Mukacie, ale ja do nich nie należę. Jeśli chcecie znaleźć Khaleda, musicie to zrobić bez mojej pomocy.

- Wkrótce po zamachu odbył się policyjny nalot na pewien *pensione* w Mediolanie. Jednym z mężczyzn tam się ukrywających był niejaki Daoud Hadawi, Palestyńczyk, niegdyś członek waszych Służb Ochrony Prezydenta.

- Skoro tak twierdzicie...

- Byłbym wdzięczny za kopię akt osobowych Hadawiego.

- W Służbach Ochrony służy kilkuset ludzi. Jeśli ten mężczyzna... - zająknął się. - Jak brzmi jego nazwisko?

- Daoud Hadawi.

- A, tak, Hadawi. A więc jeśli, podkreślam: jeśli kiedykolwiek pracował w Służbach i jeśli mamy jeszcze jego akta osobowe, z radością je wam przekażemy. Ale szanse na to, że coś znajdziemy, są raczej mizerne.

- Czyżby?



- Niech mi wolno będzie wyrazić się jasno - powiedział Arafat.  
- My, Palestyńczycy, nie mamy nic wspólnego z zamachem na waszą ambasadę. Może to był Hezbollah, może Osama. Może neo-naziści. Bóg jeden wie, że macie wielu wrogów.

Gabriel położył dłonie na poręczach fotela i przygotował się do odejścia. Arafat uniósł dłoń.

- Proszę, Dżibril - użył arabskiej wersji imienia Gabriela - nie odchodź jeszcze. Zostań chwilę dłużej.

Gabriel na moment zmiękł. Arafat poprawił kufie, spojrzął na pułkownika Kemela i cicho po arabsku kazał mu zostawić ich samych.

- Nawet nie spróbowałeś herbaty, Dżibril. Może masz ochotę na coś jeszcze? Coś słodkiego na przykład?

Gabriel potrząsnął głową. Arafat złożył swoje małe dłonie i przypatrywał się Gabrielowi w milczeniu. Uśmiechał się nieznacznie. Gabriel nie mógł pozbyć się wrażenia, że Arafat świetnie się bawi.

- Wiem, co zrobiłeś dla mnie w Nowym Jorku kilka lat temu. Gdyby nie ty, Tarik zabiłby mnie w tym mieszkaniu. W innych okolicznościach mógłbyś życzyć mi powodzenia. - Smutny uśmiech. - Kto wie? W innych okolicznościach sam mógłbyś tu stać, Dżibril, z pistoletem w dłoni.

Gabriel nie odpowiedział. Zabić Arafata? W ciągu kilku tygodni po zamachu w Wiedniu, kiedy nie był w stanie myśleć o niczym innym poza zwęglonym ciałem swojej żony i rozkawałkowanymi zwłokami syna, nieraz przychodziło mu to do głowy. W chwili największej rozpaczony Gabriel z radością wymieniłby wtedy swoje życie za życie Arafata.

- To dziwne, Dżibril, ale przez chwilę byliśmy sojusznikami, ty i ja. Obaj chcieliśmy pokoju. Obaj potrzebowaliśmy pokoju.

- Czy pan kiedykolwiek chciał pokoju, czy też był to tylko element pańskiej „wieloletowej strategii” zniszczenia Izraela i sięgnięcia po wszystko?

Tym razem Arafat pozwolił, by pytanie zawisło w powietrzu bez odpowiedzi.

- Zawdzięczam ci życie, Dżibril, więc pomogę ci. Nie ma żadnego Khaleda. Khaled to tylko wymysł waszej wyobraźni. Jeśli będziecie uganiać się za Khaledem, umkną wam prawdziwi zabójcy.

Gabriel wstał gwałtownie, kończąc spotkanie. Arafat wyszedł zza swojego biurka i położył mu dłonie na ramionach. Gabriela paliła skóra, ale nie zrobił nic, żeby wyrwać się z objęć Palestyńczyka.

- Cieszę się, że wreszcie spotkaliśmy się oficjalnie - powiedział Arafat. - Jeśli ty i ja potrafimy sięć razem i rozmawiać w spokoju, może jest jeszcze nadzieja dla nas wszystkich.

- Może - przytaknął Gabriel, choć ton jego głosu zdradzał pesymizm.

Arafat puścił Gabriela i skierował się w stronę drzwi, lecz nagle gwałtownie przystanął.

- Zdumiewasz mnie, Dżibril.

- A to dlaczego?

- Spodziewałem się, że zechcesz wykorzystać tę okazję, żeby oczyścić atmosferę w sprawie Wiednia.

- Zamordował pan moją żonę i syna - powiedział Gabriel, z rozmysłem wprowadzając Arafata w błąd co do Leah. - Nie wydaje mi się, żebyśmy kiedykolwiek mogli w tej kwestii „oczyścić atmosferę”, jak był pan łaskaw to ująć.

Arafat potrząsnął głową.

- Nie, Dżibril, ja ich nie zamordowałem. Wydałem Tarikowi rozkaz zabicia ciebie, żeby pomścić Abu Dżihada, ale wyraźnie powiedziałem mu, że ma nie ruszać twojej rodziny.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Bo zasługiwałeś na to. Zachowałeś się honorowo tamtej nocy w Tunisie. Tak, zabiłeś Abu Dżihada, ale zadbałeś o to, żeby jego żonie i dzieciom nie stała się krzywda. Zatrzymałeś się nawet, wychodząc z willi, żeby pocieszyć córkę Abu Dżihada i kazać jej zaopiekować się matką. Pamiętasz to, Dżibril?

Gabriel zamknął oczy i pokiwał głową. Scena z Tunisu, tak jak zamach w Wiedniu, wisiała w galerii jego pamięci, którą co noc odwiedza! w snach.

- Czułem, że zasługujesz na to samo, co Abu Dżihad, na śmierć żołnierza w obecności żony i dziecka. Tarik nie zgadzał się ze mną. Uważał, że należy ci się sroższa kara, że powinieneś patrzeć na śmierć swoich bliskich, więc zamontował bombę w ich samochodzie i dopilnował, żebyś był w pobliżu i widział eksplozję. Wiedeń był dziełem Tarika, nie moim.

Zadzwoił telefon na biurku, przerywając rozmyślenia Gabriela o zamachu, gwałtownie i ostro, niczym nóż rozdzierający płótno. Arafat odwrócił się nagle, zostawiając Gabriela samego przy drzwiach. Pułkownik Kemel czekał na zewnątrz. W milczeniu eskortował Gabriela przez ruiny Mukaty. Po mrocznym gabinecie Arafata ostre światło dnia było prawie nie do zniesienia. Za uszkodzoną bramą Jonatan Szamron grał w piłkę z kilkoma palestyńskimi wartownikami. Wsiedli z powrotem do opancerzonego dżipa i ruszyli ulicami śmierci. Kiedy wyjechali z Ramalli, Jonatan zapytał Gabriela, czy dowiedział się czegoś istotnego.

- Khaled al-Khalifa wysadził naszą ambasadę w Rzymie - oświadczył Gabriel z przekonaniem.

- Coś jeszcze?

Tak, pomyślał. Jaser Arafat osobiście wydał Tarikowi al-Huraniu rozkaz zamordowania mojej żony i syna.

# 11

Jerozolima, 23 marca

O drugiej w nocy przy łóżku Gabriela zadzwonił telefon. To był Jaków.

- Wygląda na to, że twoja wizyta w Mukacie rozpetęła prawdziwą burzę.

- O czym ty mówisz?

- Czekam na ulicy.

Połączenie zostało przerwane. Gabriel usiadł na łóżku i zaczął ubierać się po ciemku.

- Kto dzwonił? - spytała Chiara głosem ciężkim od snu.

Powiedział jej.

- O co chodzi?

- Nie wiem.

- Dokąd idziesz?

- Nie wiem.

Schylił się, żeby pocałować ją w czoło. Wyciągnęła spod pocieli ramię, owinęła je wokół jego karku i przyciągnęła go do siebie.

- Uważaj na siebie - wyszeptała z ustami przy jego policzku.

Chwilę później siedział już przypięty pasami w nieoznaczonym volkswagenie golfie Jakowa, pędząc ulicami Jerozolimy na zachód. Jaków prowadził nedorzecznie szybko, na modłę sabryjską, z kierownicą w jednej dłoni, kawą i papierosem w drugiej. Światła

mijanych samochodów rzucały mało korzystny blask na jego ospowate bezkompromisowe oblicze.

- Nazywa się Mahmud Arwish - odezwał się. - Jeden z naszych najcenniejszych nabytków wewnątrz Autonomii Palestyńskiej. Pracuje w Mukacie. Bardzo blisko Arafata.

- Od kogo wyszła inicjatywa?

- Arwish dał sygnał kilka godzin temu; powiedział, że chce porozmawiać.

- O czym?

- O Khaledzie, oczywiście.

- A co wie?

- Nie mówił.

- Po co ja ci jestem potrzebny? Dlaczego nie gada ze swoim agentem prowadzącym?

- Ja jestem jego prowadzącym - wyjaśnił Jaków - ale to z tobą chce gadać.

Dojechali do zachodniego krańca Nowego Miasta. Po prawej stronie rozciągała się równina Zachodniego Brzegu, skąpana w srebrnej poświacie dopiero co wzeszłego księżyca. Starzy wiarusi nazywali ją „krajem Szabaku”. To była ziemia, na której nie obowiązywały normalne prawa, a te nieliczne, które się uchowały, mogły zostać w każdej chwili dowolnie nagięte lub złamane, kiedy tylko wydawało się to konieczne do walki z arabskim terroryzmem. Ludzie w rodzaju Jakowa stanowili zbrojną pięść izraelskich służb bezpieczeństwa: byli piechurami, odwalającymi brudną antyterrorystyczną robotę. Mieli prawo aresztować bez podania powodu, zrobić rewizję bez nakazu, zamykać sklepy, wysadzać domy. Karmili się stresem i nikotyną, pili zbyt dużo kawy, spali zbyt krótko. Żony ich porzucały, arabscy informatorzy bali się ich i nienawidzili. Gabriel, choć z ramienia państwa wykonywał najwyższe wyroki, zawsze uważał, że miał dużo szczęścia, wstępując do biura, a nie oddziałów Szabaku.

Metody Szabaku klóciły się czasami z zasadami demokratycznego państwa i, podobnie jak w przypadku biura, głośne skandale mocno nadwątlily jego reputację w kraju i za granicą. Najgorsza była niesławna afera autobusu numer 300. W kwietniu 1984 roku autobus tej linii, jeżdżący z Tel Awiwu do miasta Aszkelon, został porwany przez czterech Palestyńczyków. Dwóch z nich zginęło podczas wojskowej akcji odbicia, dwóch pozostałych zaciągnięto w pobliskie pola pszenicy, których nigdy już nie opuścili. Później wyszło na jaw, że porywacze zostali zatłuczeni na śmierć przez ageritów Szabaku, działających na rozkaz dyrektora generalnego służb. W krótkim czasie rozwiązał się cały worek ze skandalami, a każdy z nich ujawniał co bardziej bezwzględne metody Szabaku: przemoc, wymuszanie zeznań, szantaż, oszustwo. obrońcy Szabaku lubili twierdzić, że przesłuchania podejrzewanych o terroryzm nie mogą odbywać się w formie pogaduszek przy malej czarnej. Pomimo tych afer cele Szabaku pozostały niezmiennione. Służby nie były zainteresowane łapaniem terrorystów po rozlewie krwi. Ich zadaniem było powstrzymanie terrorystów, zanim zdążą rozlać krew, a także, w miarę możliwości, odstraszenie młodych Arabów od wstępowania na ścieżkę przemocy.

Jaków gwałtownie wcisnął pedał hamulca, żeby uniknąć zderzenia z wolno jadącą furgonetką przewozową. Zaświecił światłami i nacisnął klakson - furgonetka zmieniła pas. Gdy ją mijali, Gabriel zauważył kątem oka dwójkę *haredim*, jak gdyby nigdy nie prowadzących dalej ożywioną konwersację.

Jaków rzucił na kolana Gabriela jarmułkę. Była większa niż normalne i luźno utkana, z pomarańczowo-bursztynowym dese- niem na czarnym tle. Gabriel zrozumiał symbolikę wzoru.

- Przekroczymy granicę jako osadnicy, na wypadek gdyby ktoś ze Służb Bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej albo Hamasu obserwował punkty kontrolne.

- Skąd jesteście?

- Z Kiryat Devorah - odpowiedział Jaków. - To w dolinie Jordanu. Nigdy nie postawimy tam nogi.

Gabriel wskazał na jarmułkę.

- Domyślam się, że nie cieszymy się ogromną popularnością wśród miejscowej ludności.

- Cóż, powiedzmy, że mieszkańcy Kiryat Devorah bardzo poważnie traktują swoje przywiązanie do Ziemi Izraela.

Gabriel nasunął jarmułkę na głowę i poprawił jej ułożenie. W trakcie dalszej drogi Jaków przedstawił mu plan akcji: procedurę przejścia na Zachodni Brzeg, trasę, jaką pojadą do arabskiej wioski, w której czekał Arwish, sposób ewakuacji. Kiedy skończył, sięgnął na tylne siedzenie i dobył stamtąd mały pistolet maszynowy uzi, kalibru 9 milimetrów.

- Wolę to. - Gabriel wyciągnął swoją beretę.

Jaków roześmiał się.

- To jest Zachodni Brzeg Jordanu, nie lewobrzeżny Paryż. Nie bądź głupi, Gabriel. Weź uzi.

Gabriel niechętnie sięgnął po broń i załadował magazynek do kolby. Jaków nałożył na głowę jarmułkę, taką samą jak ta, którą dał Gabrielowi. Kilka kilometrów za lotniskiem Ben Guriona zjechali z autostrady i skierowali się dwupasmową drogą na wschód w stronę Zachodniego Brzegu. Mur bezpieczeństwa, majaczący przed nimi, rzucał czarny cień na krajobraz.

Przy punkcie kontrolnym pomiędzy żołnierzami SOI stał jeden z agentów Szabaku. Na widok zbliżającego się Jakowa szepnął żołnierzom kilka słów i volkswagen został przepuszczony bez kontroli. Przejechawszy, Jaków pognął dalej na złamanie karku drogą skąpaną w blasku księżyca. Gabriel zerknął przez ramię i zobaczył z tyłu światła jakiegoś samochodu. Przez jakiś czas majaczyły za nimi, potem rozplynęły się w ciemnościach. Jaków zdawał się nie zwracać na nie uwagi. Samochód, jak podejrzewał Gabriel, należał do oddziału antyterrorystycznego Szabaku.

Dojechali do drogowskazu, który ostrzegał, że cztery kilometry przed nimi leży Ramalla. Jaków zjechał z jezdni na ubity trakt, biegnący łożyskiem starego wadi. Wyłączył światła drogowe i jechał dalej tylko przy bursztynowej poświacie postojowych. Po chwili zatrzymał samochód.

- Otwórz schowek na rękawiczki.

Gabriel wykonał polecenie. W środku znajdowała się para kufii.

- Chyba żartujesz.

- Zasłoń twarz - powiedział Jaków. - Całą, tak jak oni to robią.

Wytrenowanym ruchem Jaków owinął głowę chustą i zawiązał ją pod szyją, tak że zakrywała mu całą twarz z wyjątkiem oczu. Gabriel poszedł za jego przykładem. Jaków ruszył dalej, prując przez pograżone w ciemnościach wadi z obiema dłońmi na kierownicy i pozostawiając Gabriela z nieprzyjemnym wrażeniem, że oto towarzyszy arabskiemu bojownikowi w samobójczej szarży. Po niecałych dwóch kilometrach dotarli do wąskiej brukowanej drogi. Jaków skręcił i podążyli nią dalej na północ.

Wieś była mała, nawet jak na standardy Zachodniego Brzegu, i sprawiała wrażenie opustoszałej. Zbiór przysadzistych szarobrązowych domów, rozrzuconych dokoła wąskiej iglicy minaretu, spowijał mrok. W centrum wioski rozciągał się mały rynecek. Nie było widać żadnych innych samochodów ani przechodniów, tylko stadko kóz, hałasujących wśród opadłych owoców.

Dom, przed którym zatrzymał się Jaków, znajdował się na północnym skraju wioski. Wychodzące na ulicę okna miały zamknięte okiennice. Jedna z nich zwisała w poprzek na zerwanym zawiasie. Kilka stóp od frontowych drzwi widniał dziecięcy trzykołowy rowerek. Stał przodem do drzwi, co oznaczało, że spotkanie jest aktualne. Gdyby skierowany był w przeciwną stronę, musieliby zaniechać akcji i sięgnąć po plan awaryjny.

Jaków chwycił uzi z podłogi samochodu i wysiadł. Gabriel poszedł w jego ślady i tak jak to było uzgodnione, otworzył tylne



drzwi samochodu. Odwrócił się tyłem do domu i wbił wzrok w ulicę w poszukiwaniu śladu jakiegokolwiek ruchu.

- Jeśli ktokolwiek zacznie się zbliżać do samochodu, gdy ja będę w środku, strzelaj ostrzegawczo - powiedział mu wcześniej Jaków. - Jeśli nie skapuje, zabij.

Jaków przeskoczył rowerek i prawą nogą kopnął drzwi. Gabriel usłyszał trzask pękającego drewna, ale nie odwrócił wzroku od uliczki. Chwilę później z wnętrza dobiegł głos wrzeszczący coś po arabsku. Gabriel rozpoznał Jakowa. Drugi głos był obcy.

W chacie nieopodal zapaliło się światło, potem w kolejnej. Gabriel odbezpieczył uzi i położył palec na spuście. Usłyszał czyjeś kroki za sobą, odwrócił się i zobaczył, jak Jaków wyprowadza przez rozwalone drzwi Arwisha: z rękoma uniesionymi do góry, twarzą zakrytą czarnym kapturem i uzi przyciśniętym do głowy.

Gabriel raz jeszcze obrzucił spojrzeniem uliczkę. Z jednej z chat wyszedł mężczyzna ubrany w jasnoszarą galabiję. Krzyczał coś do Gabriela po arabsku. Gabriel, w tym samym języku, kazał mu zostać w miejscu, ale Palestyńczyk ruszył do przodu.

- Strzelaj - warknął Jaków, lecz Gabriel nie otworzył ognia.

Jaków wepchnął Arwisha głową do przodu na tył samochodu. Gabriel wgramolił się tuż za nim i zepchnął informatora na podłogę. Jaków przebiegł dokoła maski do drzwiczek kierowcy, zatrzymując się na chwilę, żeby wypuścić salwę pocisków kilka metrów od stóp palestyńskiego wieśniaka. Ten umknął i skrył się w chacie.

Jaków wskoczył za kierownicę, potem wycofał samochód wąską uliczką. Dojechawszy do rynku, zawrócił i popędził przez wioskę. Strzelanina i warkot silnika zaalarmowały mieszkańców. W oknach i drzwiach pojawiły się twarze, ale nikt nie ośmielił się ich zatrzymać.

Gabriel tkwił z oczyma przy tylnej szybie, dopóki wioska nie zniknęła w mroku. Chwilę później Jaków znowu pędził pokrytym

koleinami wadi, tym razem w przeciwnym kierunku. Kolaborant ciągle leżał na podłodze, wepchnięty w wąską przestrzeń między tylnym a przednim fotelem.

- Puść mnie, palancie!

Gabriel przycisnął ramieniem szyję Araba; przeszukał go brutalnie i dokładnie. Nie znalazłszy broni ani ładunków wybuchowych, wciągnął go na siedzenie i zdarł mu z głowy czarny kaptur. Wzrokiem pełnym niechęci spojrzało na Gabriela wrogo jedno oko - oko tłumacza Jasera Arafata, pułkownika Kemela.

Hadera, niegdyś syjonistyczne osiedle rolnicze, teraz szare izraelskie miasto przemysłowe, leży na Równinie Nadbrzeżnej, w połowie drogi między Hajfą a Tel Awiwem. W dzielnicy robotniczej, sąsiadującej z dużą fabryką opon, stoi rząd budynków mieszkalnych koloru pszenicy. W tym znajdującym się najbliżej zakładu zawsze śmierdzi paloną gumą. Na jego najwyższym piętrze mieści się tajny lokal operacyjny Szabaku. Większość wywiadowców korzysta z niego jedynie w ostateczności. Jaków nie podzielał jednak tej ogólnej niechęci. Uważał, że gryzący zapach przyspiesza rozmowy i negocjacje, ponieważ niewielu ludzi zyczyło sobie pozostać tu dłużej. Ale nie tylko dlatego. Jego pradziadowie, Rosjanie z Kowna, byli jednymi z założycieli Hadery. Przemieniali nieproduktywne, malaryczne bagna w żyzną ziemię uprawną. Dla Jakowa Hadera była istotą prawdy o Izraelu. Była Izraelem.

Mieszkanie pozbawione było wygód. Jedyne meblowanie pokoju stanowiły składane metalowe krzesła, podłoga z linoleum była powypaczana i goła. Na blacie kuchennym stał tani plastikowy czajnik elektryczny, w pokrytym rdzą zlewie cztery brudne filiżanki. Mahmud Arwish alias pułkownik Kemel odrzucił nieszczerą propozycję podania herbaty i poprosił Jakowa, żeby nie włączał światła. Schludny, wyprasowany mundur, który miał na sobie tego ranka w Mukacie, zastąpiła para gabardynowych spod-

ni i biała bawełniana koszula, która połyskiwała miękko w blasku księżyca, napływającym przez okno. Pomiędzy dwoma pozostałymi przy życiu palcami jego prawej dłoni spoczywał amerykański papieros Jakowa. Drugą dłonią masował sobie bok szyi. Jego oko utkwione było w Gabrielu, który, porzuciwszy składane krzeselko, siedział na podłodze z plecami opartymi o ścianę i nogami skrzyżowanymi przed sobą. Stojący przy oknie Jaków sprawiał wrażenie bezkształtnego cienia.

- Widzę, że nauczyłeś się paru rzeczy od swojego przyjaciela z Szabaku. - Arwish rozcierał szczękę. - Słyna z wprawnych pięści.

- Powiedziałeś, że chcesz się ze mną zobaczyć - rzekł Gabriel.  
- Nie lubię, kiedy ludzie tak mówią.

- Myślałeś, że co zamierzam zrobić? Zabić cię?

- Nie byłby to precedens - spokojnie odparł Gabriel.

Wiedział, że wywiadowcy Szabaku wystawiali się na największe niebezpieczeństwo właśnie podczas takich spotkań z nowym narybkiem. W ostatnich latach kilku z nich zginęło w takich właśnie okolicznościach. Jeden został porąbany toporem w lokalu operacyjnym w Jerozolimie.

- Gdybyśmy chcieli cię zabić, zrobilibyśmy to dzisiaj rano w Ramalli. Nasi ludzie fetowaliby twoją śmierć. Twoje ręce splamione są krwią palestyńskich bohaterów.

- W fetowaniu śmierci jesteście ostatnio świetni - odrzekł Gabriel. - Czasem można odnieść wrażenie, że tylko w tym. Zaproponujcie swoim ludziom coś więcej niż samobójczy zgon. Prowadźcie ich gdzieś indziej niż do grobów. Zbudujcie coś.

- Próbowaliśmy coś zbudować - odpowiedział Arwish - a wy to rozwaliliście swoimi czołgami i buldożerami.

Gabriel zauważył wiercący się przy oknie cień Jakowa. Wywiadowca Szabaku wolałby, żeby temat rozmowy zszedł na mniej dyskusyjny grunt. Mahmud Arwish, sądząc po wyzywającym geście, jakim zapalił drugiego papierosa, nie był gotów jeszcze się poddać. Gabriel zdjął wzrok z jego jedyne go błyszczącego oka

i w zamyśleniu wodził palcem po warstwie kurzu pokrywającej linoleum. Niech się powścieka, doradziłby Szamron. Niech cię powyzywa od prześladowców i łajdaków. To mu pomoże uśmierzyć poczucie winy zdrójcy.

- Tak, fetujemy śmierć. - Arwish zamknął przyknięciem wieczko staromodnej zapalniczki Jakowa. - A niektórzy z nas kolaborują z wrogiem. Ale tak to już zawsze jest na wojnie, czyż nie? Niestety, nas, Palestyńczyków, łatwo kupić. Szabak nazywa to zasadą trzech K: *kesef, kavod, kussit*. Pieniądze, poważanie, kobiety. Wyobraź sobie, zdradzić własnych ludzi za miłość jakiejś izraelskiej kurwy.

Gabriel dalej machinalnie rysował w kurzu. Uświadomił sobie, że odtwarza zarys jednego z obrazów Caravaggia - Abraham, z nożem w dłoni, gotujący się do zabicia w służbie Panu własnego syna.

Arwish mówił dalej:

- Wiesz, dlaczego ja kolaboruję, Dżibril? Kolaboruję, ponieważ moja żona zachorowała. Lekarz w klinice w Ramalli zdiagnozował raka i powiedział, że umrze, jeśli nie pójdzie do szpitala w Jerozolimie. Wystąpiłem do władz izraelskich o zgodę na przyjazd do miasta, i w ten sposób wszedłem w kontakt z Szabakiem i z moim drogim przyjacielem. - Skłonił głowę w kierunku Jakowa, który siedział teraz na parapecie z założonymi rękoma. - Przy mnie przedstawia się zawsze jako Salomon. Wiem, że tak naprawdę nazywa się Jaków, ale przy nim zawsze nazywam go Salomonem. To jedna z wielu gier, które uprawiamy.

Arwish przypatrywał się końcówce swojego papierosa.

- Nie muszę mówić, że moja żona otrzymała zgodę na przyjazd do Jerozolimy na leczenie, ale cena była wysoka: zdrada. Salomon od czasu do czasu zamyka moich synów, tak żeby informacje nie przestawały płynąć. Raz nawet zapuszkował jednego z moich krewnych, który mieszka po izraelskiej stronie Zielonej Linii. Ale kiedy naprawdę chce dokręcić mi śrubę, wtedy grozi, że powie mojej żonie o zdradzie. Wie, że nigdy by mi nie wybaczyła.

Gabriel podniósł głowę znad swojego Caravaggia.

- Skończyłeś?

- Tak, tak myślę.

- No to może powiesz mi teraz coś o Khaledzie?

- O Khaledzie - powtórzył Arwish, potrząsając głową. - Khaled jest najmniejszym z waszych problemów. - Urwał i popatrzył na pogrążony w mroku sufit. - „Izrael pożarty będzie, między narodami stanie się jako bezużyteczne naczynie, jako dziki, osamotniony osioł”<sup>1</sup>. - Jego spojrzenie ponownie spoczęło na Gabrielu.

- Wiesz, kto napisał te słowa?

- Ozeasz - obojętnie odparł Gabriel.

- Zgadza się - rzekł Arwish. - Jesteś człowiekiem wierzącym?

- Nie - powiedział Gabriel szczerze.

- Ja też nie - wyznał Arwish - ale może powinniście słuchać słów Ozeasza. Co robią Izraelczycy w odpowiedzi na problemy z Palestyńczykami? Wznoszą mur. Stają się, mówiąc słowami Ozeasza, „jako ci, co przesuwają granice”<sup>2</sup>. Wy, Żydzi, gorzko narzekacie na stulecia, które spędziliście w gettach, a czemu teraz ma służyć wasz mur bezpieczeństwa? Budujecie pierwsze palestyńskie getto. Co gorsza, budujecie też getto dla samych siebie.

Arwish zaczął podnosić papierosa do ust, ale Jaków zeskoczył z parapetu i wytrącił mu go z okaleczonej dłoni. Palestyńczyk pozwolił sobie na pełen wyższości uśmiech ofiary, potem odwrócił głowę i poprosił Jakowa o filiżankę herbaty. Jaków wrócił na swoje stanowisko przy oknie i zastygł w bezruchu.

- Żadnej herbaty dzisiaj - powiedział Arwish. - Tylko pieniądze. Żeby dostać swoje pieniądze, muszę złożyć w rejestrze Salomona podpis i odcisk kciuka. W ten sposób, jeśli go zdradzę, Salomon będzie mógł mnie ukarać. Na naszych ziemiach kolaborantów

<sup>1</sup> Pismo Święte, red. ks. M. Peter, ks. M. Wolniewicz, Stary Testament, Księga Ozeasza, rozdz. 8, 8-9.

<sup>2</sup> Op. cit, rozdz. 5, 10.

czeka wiadomy los. Śmierć. I to nie śmierć dżentelmena. Śmierć biblijna. Zostałbym ukamienowany albo porąbany na kawałki przez fanatycznych siepaczy Arafata. Tak oto Jaków zabezpiecza się, że będzie mówił mu prawdę i tylko prawdę, i to na czas.

Jaków pochylił się do przodu i wyszeptał kilka słów do ucha Arwisha, niczym prawnik instruujący świadka w trakcie nieprzyjemnego przesłuchania.

- Salomona coraz bardziej irytują moje przemowy. Salomon chciałby, żebym już przystąpił do rzeczy. - Arwish przez chwilę patrzył na Gabriela badawczo. - Ale nie ty, Dżibril. Ty jesteś tym cierpliwym.

Gabriel uniósł głowę.

- Gdzie jest Khaled?

- Nie wiem. Wiem tylko, że Arafat okłamał cię dzisiaj. Masz rację. Khaled istnieje naprawdę i wznosił miecz swojego ojca i dziada.

- Czy to on przygotował zamach w Rzymie?

Chwila wahania, spojrzenie w stronę ciemnej sylwetki Jakowa, potem powolne kiwnięcie głową.

- Czy działa na rozkaz Arafata?

- Nie mogę powiedzieć z całą pewnością.

- A co możesz powiedzieć z całą pewnością?

- Kontaktuje się z Mukatą.

- Jak?

- Na wiele różnych sposobów. Czasem używa faksów. Są przesyłane przez wiele różnych urzędzeń i kiedy docierają na Terytoria, prawie nie można ich odczytać.

- Jak jeszcze?

- Czasem używa kodowanych e-maili, też przesyłanych przez ciąg różnych adresów i serwerów. Czasem przesyła wiadomość do Arafata przez posłańca albo odwiedzające delegacje. Najczęściej jednak korzysta po prostu z telefonu.

- Mógłbyś zidentyfikować jego głos?

- Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek w ogóle go słyszałem.
- A widziałeś go kiedykolwiek?
- Myślę, że spotkałem go kiedyś, wiele lat temu w Tunisie. Jakiś młody mężczyzna odwiedził Arafata i został w placówce przez kilka dni. Miał francuski paszport i nazwisko, ale mówił po arabsku jak Palestyńczyk.
- Dlaczego myślisz, że to był Khaled?
- Ze względu na sposób, w jaki Arafat się zachowywał. Promieniował w jego obecności. Był wprost rozanielony.
- I to wszystko?
- Nie, było jeszcze coś w wyglądzie tego młodzieńca. Zawsze mówiło się, że Khaled bardzo przypomina z wyglądu swojego dziadka. A ten chłopak z całą pewnością był uderzająco podobny do szejka Asada.

Arwish wstał nagle. Jaków podniósł ramię i wycelował uzi w głowę Araba. Arwish uśmiechnął się i wyciągnął koszulę ze spodni. U dołu pleców miał przyklejoną taśmą kopertę. Gabriel przegapił ją w trakcie swojej pospiesznej rewizji na tyłach samochodu. Arwish odkleił kopertę i cisnął ją w stronę Gabriela, który rozdarł zamknięcie i wytrząsnął na kolana fotografię. Ukazywała młodego człowieka, niezwykle przystojnego, który siedział przy stole obok Arafata. Wydawał się nieświadomy, że ktoś robi mu zdjęcie.

- Arafat ma w zwyczaju fotografować z ukrycia każdego, kto się z nim spotyka - wyjaśnił Arwish. - Macie zdjęcie Khaleda z czasów dzieciństwa. Może wasze komputery będą w stanie potwierdzić, że to jest ten sam człowiek.

- Mało prawdopodobne - rzekł Gabriel. - Co jeszcze masz?
- Kiedy dzwoni do Mukaty, nie używa swojego głosu.
- To jak się to odbywa?
- Ktoś inny mówi za niego. Jakaś kobieta, Europejka.
- Jak się nazywa?
- Używa różnych nazwisk, dzwoni z różnych telefonów.
- Skąd?

Arwish wzruszył ramionami.

- Jaki jest jej rodzony język?
- Trudno powiedzieć, ale po arabsku mówi doskonale.
- Akcent?
- Klasyczny. Zamożne kręgi jordańskie. Może Bejrut albo Kair.

O Khaledzie mówi Tony.

- Tony jak? - spokojnie zapytał Gabriel. - Tony skąd?
- Nie mam pojęcia - rzekł Arwish - ale znajdźcie kobietę, a może znajdziecie Khaleda.



## 12

Tel Awiw

Podaje się za Madeleine, ale tylko kiedy udaje Francuzkę. Kiedy chce uchodzić za Brytyjkę, przedstawia się jako Aleksandra. Kiedy za Włoszkę, mówi o sobie Lunetta - Mały Księżyc.

Natan spojrział na Gabriela i kilka razy zamrugał. Miał związane w kucyk włosy, na czubku nosa przekrzywione okulary i dziurawą bluzę surferską z Malibu. Jaków uprzedził Gabriela o wyglądzie Natana.

- To prawdziwy geniusz. Kiedy ukończył California Institute of Technology, każda firma informatyczna w Ameryce i Izraelu chciała go mieć. Trochę przypomina ciebie - podsumował Jaków nieco zazdrosnym tonem człowieka, który tylko jedną rzecz robi dobrze.

Gabriel spojrział przez szklane ściany biura Natana na dużą jasno oświetloną salę, poprzecinaną rzędami stanowisk komputerowych. Przy każdym z nich siedział technik inżynier. Prawie każdy był szokująco młody, większość stanowili *Mizrahim* - Żydzi przybyli z krajów arabskich. Tworzyli zastęp cichych, nigdy nieopiewanych wojowników wojny z terroryzmem. Nigdy nie stawiali twarzą w twarz z wrogiem, nigdy nie zmuszali go do zdrady swych ludzi, nigdy nie mierzyli się z nim wzrokiem nad stołem przesłuchań. Dla nich był po prostu trzaskiem elektryczności gdzieś na miedzianym drucie albo szeptem w powietrzu. Natan

Hofi nadzorował pozornie niewykonalne zadanie monitorowania całej komunikacji elektronicznej między światem zewnętrznym a Terytoriami. Lwią część pracy wykonywały same komputery, analizując podsłuchy rozmów pod kątem użycia pewnych słów, zwrotów albo głosów znanych terrorystów. Natan jednak za najskuteczniejszą broń w swoim arsenale ciągle uważał własne uszy.

- Nie znamy jej prawdziwego nazwiska - powiedział. - W chwili obecnej jest po prostu próbką głosu 572/B. Jak dotąd podsłuchaliśmy pięć rozmów telefonicznych między nią a Arafatem. Chcecie posłuchać?

Gabriel pokiwał głową. Natan kliknął ikonkę na monitorze komputera i uruchomił odtwarzanie. Podczas każdej z rozmów kobieta przedstawiała się jako zagraniczna aktywistka pacyfistyczna dzwoniąca, żeby wyrazić poparcie dla atakowanego przywódcy palestyńskiego albo złożyć wyrazy współczucia w związku z kolejnym izraelskim zamachem. Każda z rozmów zawierała enigmatyczne nawiązanie do przyjaciela o imieniu Tony, dokładnie tak jak powiedział Mahmud Arwish.

Wysłuchawszy czterech rozmów, Gabriel zapytał:

- Co możesz powiedzieć o niej na podstawie jej głosu?

- Mówi świetnie po arabsku, ale nie jest Arabką. Skłaniałbym się ku Francuzce. Z południa, może z okolic Marsylii. Nadmiernie wykształcona. Nadmiernie seksowna. Ma też małego motylka wytatuowanego na tylnej części ciała.

Jaków spojrział na niego ostro.

- Żartuję - powiedział Natan. - Ale posłuchajcie rozmowy numer pięć. Podaje się za naszą Francuzkę, Madeleine, szefową czegoś tam, co nazywa się Centrum Sprawiedliwości i Trwałego Pokoju w Palestynie. Przedmiotem rozmowy jest zbliżający się zjazd w Paryżu.

- W Paryżu? - zapytał Gabriel. - Jesteś pewien, że w Paryżu?

Natan pokiwał głową.

- Mówi Arafatowi, że jeden z organizatorów, mężczyzna o imieniu Tony, przewiduje obecność stu tysięcy. Potem waha się i poprawia. Tony nie spodziewa się stu tysięcy, spodziewa się dwustu tysięcy.

Natan odtworzył nagranie. Kiedy się skończyło, Jaków zapytał:

- Co w tym takiego interesującego?

- To.

Natan otworzył inny plik i puścił kilka sekund nieartykułowanego szumu.

- W trakcie połączenia ktoś jeszcze był z nią w pokoju. Słuchał rozmowy przez drugą słuchawkę. Kiedy Madeleine mówi, że Tony spodziewa się stu tysięcy ludzi, facet zakrywa mikrofon i zwraca się do niej po francusku: „Nie, nie, nie stu tysięcy. Będzie dwieście tysięcy”. Myśli, że nikt go nie słyszy, ale chcąc zasłonić słuchawkę, przyłożył mikrofon tuż do swoich strun głosowych. Sztubacki błąd. Jego wibracje utrwaliły się na taśmie. Po małym oskrobaniu i przefiltrowaniu brzmi to tak.

Odtworzył nagranie raz jeszcze. Tym razem wszystko było słyszalne i zrozumiałe - męski głos, perfekcyjna francuszczyzna: „Nie, nie, nie stu tysięcy. Będzie dwieście tysięcy”. Natan kliknął myszką i wskazał na górny prawy róg monitora, gdzie pojawiła się sieć krzyżujących się linii, na które nakładała się seria fal.

- To jest spektrogram dźwięku. Dźwięk przedstawiony graficznie. Matematyczne równanie oparte na parametrach budowy anatomicznej ust i gardła. Porównaliśmy tę próbkę ze wszystkimi próbkami głosów, które mamy w rejestrze.

- I?

- Żaden nie pasuje. Ten nazwaliśmy próbką 698/D.

- Kiedy nagraliście tę rozmowę?

- Sześć tygodni temu.

- Wiesz, skąd dzwonił?

Natan uśmiechnął się.

Wybuchła awantura, ale praktycznie żadna operacja biura nie mogła się obejść bez choćby jednej. Lew chciał zamknąć Gabriela w piwnicy o chlebie i wodzie, i przez chwilę był nawet górą. Gabriel był spalony i nie nadawał się już do pracy operacyjnej, dowodził Lew. Poza tym, podsłuchane rozmowy telefoniczne sugerowały, że Khaled ukrywa się gdzieś w świecie arabskim, tam gdzie ogarnięty miłością do Europy Gabriel nigdy nie działał, jeśli nie liczyć jego krótkiego wypadu do Tunisu. W ramach ostatniej desiki ratunku Lew sięgnął nawet po biurokratyczne ple-ple, twierdząc, że komitet Gabriela nie ma uprawnień do działań operacyjnych za granicą. Sprawa otarła się o Szamrona, jak większość spr.aw. Lew odskoczył na bok, ale zbyt późno, żeby odparować śmiertelny cios, gdyż zalecenie Szamrona miało siłę boskich przykazań wrytych w kamieniu.

Odniósłszy triumf w okopach biurokracji, Gabriel zaraz potem rozprawił się pospiesznie z kwestią swojej nowej tożsamości i wyglądu. Postanowił podróżować jako Niemiec, ponieważ niemiecki był jego pierwszym językiem i pozostał mową jego marzeń sennych. Na swój fach wybrał dekoratorstwo wnętrz, na miejsce swego zamieszkania Monachium. Sekcja operacji zaopatrzyła go w paszport wystawiony na nazwisko Johannes Klempa oraz portfel wypchany kartami kredytowymi i innymi przedmiotami osobistego użytku, włączając w to wizytówki, na których widniał numer telefonu w Monachium. Po jego wykręceniu telefon zadzwoniłby w jednym z lokali operacyjnych biura, następnie różnicowa zostałaby automatycznie przekierowana do centrali telefonicznej przy bulwarze Króla Saula, gdzie nagrany głos Gabriela poinformowałby, że jest na wakacjach i oddzwoni po powrocie. Co do wyglądu, specjaliści z sekcji operacyjnej zasugerowali brodę, a Gabriel, który uważał każdego mężczyznę z zarostem na twarzy za podejrzanego i podejrzliwego jednocześnie, niechętnie na to przystał. Ku jego ogromnemu rozczarowaniu, urosła bardzo snwa. To uradowało speców od wyglądu, którzy przefarbowali mu

jeszcze do kompletu włosy. Dodali nadto parę kwadratowych okularów bez oprawek i walizkę wypełnioną modnymi jednobarwnymi ubraniami z Berlina i Mediolanu. Czarodzieje z sekcji technicznej dorzucili kilka niewinnie wyglądających urządzeń elektronicznych codziennego użytku, które w rzeczywistości wcale nie były tak niewinne.

Pewnego ciepłego wieczoru, krótko przed swoim wyjazdem, Gabriel przywdział jeden z potwornych garniturów Herr Klempa i ruszył na obchód dyskotek i nocnych klubów na ulicy Sheinkina w Tel Awiwie. Herr Klemp był absolutnym przeciwieństwem jego samego i Maria Delvecchio - gadatliwym nudziarzem, kobieciarzem, fanem drogich drinków i muzyki techno. Gabriel gardził Herr Klempem, ale jednocześnie witał go z radością, ponieważ nigdy nie czuł się całkiem bezpiecznie, jeśli nie nosił na sobie skóry innego człowieka.

Myślał o swoich niegdysiejszych pospiesznych przygotowaniach do operacji „Gniew Boży”; o tym, jak spacerował z Szamronem ulicami Tel Awiwu, kradnąc portfele i włamując się do pokoi hotelowych na Promenadzie. Tylko raz został złapany: przez Żydówkę rumuńskiego pochodzenia, która capnęła go za nadgarstek chwytem iście szamronowskim i rozdarła się wniebogłosy, wzywając policję.

- Szedłeś jak owca na rzeź - powiedział mu później Szamron.  
- A co, jeśli to byłby żandarm? Albo karabinier? Sądzisz, że mógłbym, ot tak, wkroczyć sobie i zażądać, żeby cię uwolnili? Jeśli będą chcieli cię złapać, walcz. Jeśli będziesz musiał przelać niewinną krew, przelej ją bez wahania. Ale nigdy, przenigdy nie pozwól, żeby cię aresztowano. Nigdy!

Zgodnie z tradycją biura powinien spędzić tę ostatnią noc w Izraelu na „trampolinie”, jak żargonowo określano tajny lokal wyjazdowy. Ale ponieważ zawsze są to notorycznie smutne pomieszczenia, śmierdzące papierosami i porażką, Gabriel postanowił spędzić noc na ulicy Narkissa z Chiarą. Kochali się w napięciu

i niezgrabnie. Już po wszystkim Chiara przyznała, że Gabriel wydawał jej się kimś obcym.

Nigdy nie mógł zasnąć przed operacją i ta ostatnia noc w Jerozolimie nie była wyjątkiem. Dlatego z zadowoleniem powitał, krótko przed północą, charakterystyczny warkot pancernego peugeot'a Szamrona, parkującego na ulicy, a potem zobaczył łysą głowę Starego, idącego ścieżką przez ogródek z Ramim u boku. Resztę nocy spędzili w gabinecie Gabriela, przy oknach otwartych na chłód nocnego powietrza. Szamron opowiadał o wojnie o niepodległość, o swoich poszukiwaniach szejka Asada i o tym poranku, kiedy zabił go w chatce na obrzeżach miasta Lod. Kiedy nadciągał świt, Gabriela nasza obawa przed opuszczeniem Starego, myśl, że może powinien był pójść za radą Lwa i pozwolić, żeby ktoś inny pojechał zamiast niego.

Dopiero kiedy na zewnątrz się rozjaśniło, Szamron podjął temat tego, co czekało Gabriela.

- Nie zbliżaj się do ambasady - ostrzegł. - Mukhabarat zakłada, niezupełnie bezpodstawnie, że każdy, kto tam pracuje, jest szpiegiem.

Potem wręczył Gabrielowi wizytówkę.

- On jest nasz, kupiony i opłacany. Zna każdego w mieście. Powiedziałem mu, żeby się ciebie spodziewał. Uważaj. Nie wylewa za kołnierz.

Godzinę później Gabriel wsiadł do służbowego samochodu udającego jerozolimską taksówkę i skierował się wąwozem Bab al-Wad na lotnisko Ben Guriona. Przeszedł przez odprawę już jako Herr Klemp, zniósł ogłupiające przesłuchanie służb bezpieczeństwa, wreszcie udał się do poczekalni. Kiedy wywołano jego lot, przejechał przez kościstobiałą płytę lotniska w stronę czekającego odrzutowca i zajął swoje miejsce w klasie ekonomicznej. Gdy samolot się uniósł, wyrztał przez okno i zobaczył znikającą mu pod stopami ziemię, ogarnięty nagle irracjonalnym lękiem, że nigdy już nie dane mu będzie ujrzeć ani jej, ani Chiary. Po-

myślał o czekającej go podróży, o tygodniowej odysei śródziemnomorskiej, która miała wieść od Aten przez Stambuł do starożytnego miasta na zachodnim krańcu Żywnego Półksiężycu. Tam właśnie miał nadzieję odnaleźć kobietę o imieniu Madeleine albo Aleksandra, albo Lunetta, Mały Księżyc, i jej przyjaciela imieniem Tony.

## 13

Kair, 31 marca

Dżentelmen z Monachium był gościem, którego personel hotelu InterContinental zapamiętał na długo. Pan Katubi, wysoce profesjonalny szef recepcji, widział już wielu jemu podobnych: nieustająco gotowych do obrażania się, małych ludzi z wielkimi muchami w nic nieznaczących, zakichanych nosach. Ów gość zaczął jednak wkrótce tak bardzo mierzić pana Katubiego, że ten wzdygał się jawnie na sam jego widok. Trzeciego dnia powitał go wymuszonym uśmiechem i pytaniem:

- O co znowu chodzi, Herr Klemp?

Lawina skarg Herr Klempa ruszyła już w pierwszych minutach po jego przyjeździe. Zgodnie z rezerwacją, dostał pokój dla niepalących. Utrzymywał jednak stanowczo, że ktoś ewidentnie palił w nim całkiem, niedawno, choć pan Katubi, który szczycił się ostrym węchem, nie mógł wykryć śladu dymu w powietrzu. Następny pokój, który mu zaoferowano, znajdował się zbyt blisko basenu, kolejny zbyt blisko klubu nocnego. Ostatecznie pan Katubi dał gościowi, bez żadnej dodatkowej opłaty, apartament na najwyższym piętrze z tarasem wychodzącym na rzekę, który Herr Klemp uznał za „ostatecznie dostateczny”.

Woda w basenie była dla Herr Klempa za ciepła, w kranie za zimna. Kręcił n.osem na bufet śniadaniowy i rutynowo odsyłał obiady. Służba zrujnowała kłapy jego marynarki, masażysta nad-



wyręzył mu kark. Zażądał, by pokojówki przystępowały do sprzątnia jego pokoju bezzwłocznie punkt ósma, i pozostawał w środku, żeby nadzorować ich pracę - w hotelu Hilton w Stambule buchnięto mu gotówkę, jak utrzymywał, i nie miał zamiaru pozwolić, by to się powtórzyło w Kairze. Zaraz po wyjściu pokojówek na jego drzwiach pojawiała się kartka NIE PRZESZKADZAĆ i wisiała tam jak proporzec bitewny przez resztę dnia. Pan Katubi wiele by dał za to, by móc samemu powiesić podobną na swoim posterunku w holu.

Każdego ranka o dziesiątej Herr Klemp opuszczał hotel uzbrojony w mapy turystyczne i przewodniki. Hotelowi kierowcy ciągnęli losy, który z nich będzie miał nieszczęście służyć mu danego dnia za przewodnika, ponieważ każda kolejna wyprawa wydawała się bardziej niefortunna od poprzedniej, Muzeum Egipskiemu, oznajmił Herr Klemp, przydałoby się porządne sprzątnie. Cytadelę wyśmiał jako stare, uświnione forcisko. Pod piramidami w Gizie ugryzł go złośliwy wielbłąd. Gdy wrócił z wycieczki po Kairze koptyjskim, pan Katubi zapytał go, jak znajduje kościół Świętej Barbary.

- Interesujący - powiedział Herr Klemp - ale daleko mu do naszych niemieckich.

Czwartego dnia pan Katubi stał przy wejściu do hotelu, kiedy Herr Klemp wypłatał się z drzwi obrotowych wprost na pustynny, wypełniony kurzem wiatr.

- Dzień dobry, Herr Klemp.
- To się jeszcze okaże, panie Katubi.
- Czy życzy pan sobie dziś samochodu, Herr Klemp?
- Nie, nie życzy sobie.

I z tymi słowami ruszył nadbrzeżnym bulwarem; poły jego rzekomo zrujnowanej marynarki trzepotały na wietrze niczym błotniki ciężarówki. Kair to miasto o wyjątkowej odporności, pomyślał pan Katubi, ale nawet Kair nie zdoła stanąć w szranki z człowiekiem pokroju Herr Klempa.

Gabriel dostrzegał coś europejskiego w ponurych, rozpadających się budynkach ulicy Talaat Harb. Czytał w przewodnikach Herr Klempa, iż dziewiętnastowieczny władca Egiptu, kedyw Ismail Pasza, postanowił uczynić z Kairu „Paryż nad Nilem” i wynajął kilku najświetniejszych europejskich architektów, by wcielił w życie jego marzenie. Ślady ich sztuki były ciągle widoczne w neogotyckich fasadach budynków, balustradach z kutego żelaza, wysokich kwadratowych oknach z okiennicami, choć mocno nadwątlone przez sto lat brudu, zaniedbania i deszczów.

Doszedł do gwarnej ronda. Jakiś chłopiec w sandałach szarpnął go za rękaw płaszcza, zapraszając do odwiedzenia rodzinnej perfumerii.

- *Nein, nein* - powiedział Gabriel niemiecką Herr Klempa, ale przepchnął się obok chłopca z obojętną miną Izraelczyka, przyzwyczajonego do odganiania się od ulicznych sprzedawców w zaułkach Starego Miasta.

Przeszedł przez rondo w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara i skręcił w Kasr el-Nil, kairską wersję Pól Elizejskich. Szedł nią jakiś czas, przystając tu i ówdzie, żeby rzucić okiem na krzykliwe wystawy sklepów i sprawdzić, czy nie jest śledzony. Potem odbił w wąską boczną uliczkę. Cały chodnik był tu zapchany parkującymi samochodami, więc szedł jezdnią, niczym prawdziwy kairczyk.

Dotarł pod adres wskazany na wizytówce, którą dał mu Szamron w noc odjazdu. Był to klasycystyczny budynek z fasadą koloru nilowego mułu. Z trzeciego piętra dochodziły dźwięki melodii codziennego serwisu informacyjnego BBC. Kilka stóp od wejścia sprzedawca wydawał z aluminiowego wózka spaghetti po bolońsku na plastikowych talerzach. Obok niego zawoalowana kobieta sprzedawała bochny płaskiego chleba i limonki. Po drugiej stronie gwarnej ulicy znajdował się kiosk. W cieniu niewielkiej markizy, w przeciwsłonecznych okularach i w markowej wiatrówce, stał kiepsko zakamuflowany wywiadowca Mukhabaratu i patrzył, jak Gabriel wchodzi do środka.

Hol był zimny i ciemny. Wychudzony egipski kot o zapadniętych oczach i ogromnych uszach zasyczał na niego gdzieś z cienia, potem umknął przez dziurę w ścianie. Na drewnianym krześle siedział nieruchomo nubijski odźwierny w cytrynowożółtej galabii i białym turbanie na głowie. Na widok Gabriela uniósł ogromną mahoniową dłoń, żeby rzucić okiem na wizytówkę człowieka, z którym Gabriel chciał się zobaczyć.

- Trzecie piętro - powiedział po angielsku.

Na piętrze znajdowały się dwie pary drzwi. Przy tych po prawej umieszczona była mosiężna tabliczka z napisem DAVID QUINNELL - PRASA MIĘDZYNARODOWA. Gabriel nacisnął dzwonek i został szybko wprowadzony do niewielkiej poczekalni przez gońca, Sudańczyka z wyglądu. Gabriel zwrócił się do niego starannie odmierzaną angielszczyzną z niemieckim akcentem.

- Kogo mam zapowiedzieć? - zapytał Sudańczyk.

- Nazywam się Johannes Klemp.

- Czy pan Quinnell spodziewa się pana?

- Jestem przyjacielem Rudolfa Hellera. Zrozumie.

- Jedną chwileczkę. Zobaczę, czy pan Quinnell może pana przyjąć.

Sudańczyk zniknął za wysokimi podwójnymi drzwiami. Jedna chwileczka zamieniła się w dwie, potem trzy. Gabriel podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Kelner z kafejki na rogu podawał agentowi Mukhabaratu szklanę herbaty na srebrnej tacy. Gabriel usłyszał kroki Sudańczyka za swoimi plecami i odwrócił się.

- Pan Quinnell przyjmie pana.

Pokój, do którego wprowadzono Gabriela, miał wygląd zapuszczonej rzymskiej bawialni. Drewniana podłoga była szorstka z braku pasty, górne gzymsy niemal niewidoczne pod grubą warstwą kurzu i pyłu. Dwie z czterech ścian zajmowały półki z książkami, zawierające imponującą kolekcję prac poświęconych historii Bliskiego Wschodu i islamu. Na dużym drewnianym biurku leżały sterty pożółkłych gazet i nieotwartych listów.

Pokój pogrążony był w cieniu, z wyjątkiem trapezu ostrego światła słonecznego, które wpadało ukośnie przez półotwarte drzwi balkonowe wprost na zdarte zamszowe mokasyny należące do niejakiego Davida Quinnella. Dziennikarz opuścił połowę płachty porannego wydania „Al-Ahram”, rządowej egipskiej gazety codziennej, i wbił w Daniela smętne spojrzenie. Miał na sobie wymiętą płócienną koszulę i brązową marynarkę z epoletami. Nad parą paciorkowatych, podbiegniętych krwią oczu zwiślał prosty kosmyk szaroblond włosów. Quinnel podrapał się po gładko ogolonym podbródku i ściszył radio. Nawet z odległości kilku kroków Gabriel czuł zapach wczorajszej whisky, dolatujący z jego oddechu.

- Przyjaciele Rudolfa Hellera są moim przyjaciółmi. - Srogi wyraz twarzy Quinnella klócił się z jego jowialnym tonem. Gabriel miał wrażenie, że dziennikarz mówi z myślą o słuchaczach z Mukhabaratu. - Herr Heller wspominał, że mnie pan odwiedzi. W czym mogę pomóc?

Gabriel położył na zagraconym blacie biurka fotografię: zdjęcie, które dostał od Mahmuda Arwisha w Haderze.

- Jestem tu na wakacjach - oznajmił. - Herr Heller radził, żebym się z panem skontaktował. Mówił, że będzie pan w stanie pokazać mi prawdziwy Kair. Powiedział, że nie zna nikogo, kto wiedziałby więcej o Egipcie od pana.

- To bardzo uprzejmie ze strony Herr Hellera. Jakże on się teraz miewa?

- Doskonale, jak zawsze.

Poruszywszy jedynie oczyma, Quinnell zerknął na fotografię.

- Ostatnio jestem co prawda trochę zajęty, ale sądzę, że mógłbym się na coś przydać. - Podniósł zdjęcie i zawinął je w gazetę.

- Może się przejdziemy? Lepiej jest się zmyć, zanim zrobi się zbyt gorąco.

- Pańskie biuro jest pod obserwacją.

Szli wąską, ocienioną alejką, rojącą się od sklepików i kramarzy. Quinnell przystanął, żeby podziwiać belę krwistoczerwonej egipskiej bawełny.

- Czasami - powiedział obojętnie. - Wszyscy pismacy są inwigilowani. Kiedy się ma tak rozbudowany aparat bezpieczeństwa jak Egipt, trzeba go do czegoś wykorzystywać.

- Tak, tylko że pan nie jest zwykłym pismakiem.

- Zgoda, ale oni o tym nie wiedzą. Dla nich jestem zgorzkniałym, starym angielskim chłystkiem, usiłującym jakoś wyżyć z pióra. Udało nam się wypracować swego rodzaju modus vivendi. Poprosiłem ich, żeby doprowadzali do porządku moje mieszkanie po każdej rewizji, a oni, muszę przyznać, jak dotąd świetnie się z tego wywiązują.

Quinnell porzucił bawełnę i ruszył szybkim acz chybotliwym krokiem alejką. Gabriel, zanim podążył jego śladem, spojrzął przez ramię i dostrzegł faceta w wiatrówce apatycznie oglądającego arabski miedziany ekspres do kawy.

Twarz Cjuinnella, kiedy Gabriel się z nim wreszcie zrównał, już zaczerwieniła się od upału późnego popołudnia. Niegdyś był dziennikarską gwiazdą, zagranicznym korespondentem jednego z czołowych londyńskich dzienników, reporterem z gatunku tych, którzy skaczą na spadochronie w najbardziej newralgiczne rejony świata i opuszczają je, zanim rozgrywający się tam dramat straci na dramatyczności i spowszednieje czytelnikom. Mocno już nadwerężony nadmiarem trunków i kobiet, przyjechał służbowo do Izraela podczas pierwszej intifady i od razu zniósł go na brzeg wyspy Szamrona. W trakcie prywatnego obiadu w Twerii Szamron zapuścił sondę i w mig znalazł słabe punkty: morze długów, sekretne żydowskie pochodzenie skryte pod szyderczą, rozpitą angielską fasadą. Zanim podano na tarasie kawę, Szamron rozpoczął i zakończył operację. To będzie partnerstwo, obiecał całkiem szczerze, ponieważ uważał za partnera każdego człowieka, na

którym mógł szantażem lub obietnicą wymusić wykonanie swojego rozkazu. Quinnell użyje swej imponującej kolekcji arabskich źródeł, żeby służyć Szamronowi niezbędnymi informacjami i kontaktami. Od czasu do czasu opublikuje coś z czarnej propagandy Szamrona. W zamian za to równie imponująca kolekcja długów Quinnella zostanie cicho uregulowana. Dziennikarz miał także otrzymać na wyłączność kilka pierwszorzędnych informacji z myślą o odświeżeniu jego przywidłej reputacji oraz wydawcę dla swojej książki, o której opublikowaniu marzył, choć Szamron nigdy nie wyjawiał, skąd wie, że Quinnell trzyma w szufladzie biurka jej rękopis. Małżeństwo zostało zawarte i skonsumowane, a Quinnell, podobnie jak Mahmud Arwish, wkroczył na ścieżkę zdrady. Karą za nią była w jego przypadku śmierć zawodowa. W ramach publicznej pokuty za swoje prywatne grzechy Quinnell całkowicie przeszedł na arabską stronę. Brytyjska prasa obwołała go Głosem Palestyny, apologetą zamachowców i islamofaszystów. „Imperialistyczny, żłowiący naftę Zachód i jego bękarcie pomiot Izrael zbierają to, co sami posiali” - zwykł był złorzeczyć na łamach. „Na Piccadilly nie zapanuje spokój, dopóki w Palestynie nie zapanuje sprawiedliwość”. Był ulubionym zachodnim komentatorem stacji Al-Dżazira, rozechwytywanym także w kairskich kręgach politycznych. Jaser Arafat nazwał go swego czasu „mężnym człowiekiem, który ośmiela się pisać prawdę - jedynym człowiekiem z Zachodu, który naprawdę rozumie arabską ulicę”.

- Na wyspie Zamalek jest lokal, do którego powinien się pan wybrać. Nazywa się „U Mimi”. Dobre jedzenie, dobra muzyka.

- Quinnell urwał i dodał prowokująco: - Ciekawy motłoch.

- Kim jest Mimi?

- Mimi Ferrere. Jest ostoją życia towarzyskiego Zamaleku.

Przyjechała tu blisko dwadzieścia lat temu i już została. Każdy zna Mimi, a Mimi zna każdego.

- Co sprowadziło ją do Kairu?

- Harmoniczna Konwergencja.

Widząc zdezorientowaną minę Gabriela, Quinnell wyjaśnił:

- Facet o nazwisku Jose Arguelles napisał jakiś czas temu książkę pod tytułem *Faktor Majów*. Utrzymał, że znalazł w Biblii oraz kalendarzach Azteków i Majów dowód wskazujący na to, że sierpień tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku ma stanowić krytyczną chwilę w dziejach ludzkości. Świat mógł pójść jedną z dwu dróg. Albo wkroczyć w nową erę, albo ulec zagładzie. Żeby uniknąć hekatombi, sto czterdzieści cztery tysiące ludzi musiało zebrać się w tak zwanych centrach mocy na całym świecie i przetwarzać pozytywną energię. Mimi przyjechała na piramidy razem z kilkoma tysiącami innych zagubionych dusz. Była z niej wtedy niezła laska. Ciągle zresztą jest, gdyby mnie kto pytał. Poślubiła bogatego Egipcjanina i osiadła na Zamaleku. Małżeństwo przetrwało jakieś półtora tygodnia. Kiedy się rozpadło, Mimi musiała się z czegoś utrzymać, więc otworzyła lokal.

- Skąd pochodzi?

Cjuinnell wzruszył ramionami.

- Zewsząd. Mimi jest obywatelką świata.

- A jak wygląda ten motłoch?

- Imigranci, głównie. Kilku szykownych turystów. Forsiaści Arabowie, którym nie obrzydł jeszcze Zachód. Jest też taki facet, którego czasem tam widuję. Ma na imię Tony.

- Tony? Jest pan pewien?

- Tak się przedstawia. Przystojny szelma. - Cjuinnell wręczył Gabrielowi gazetę. - Niech pan nie idzie za wcześniej. Zabawa nie rozkręca się przed północą. I proszę uważać na Mimi. Może i jest nawiedzoną świruską New Age, ale ma oczy i uszy otwarte.

Pan Katubi zarezerwował stolik dla Herr Johannesesa Klempa w lokalu „U Mimi: wino i jazz” na dziesiątą wieczór. O dziewiątej Gabriel zszedł do holu hotelowego ze swojego pokoju i rezygnując z taksówki, wyruszył przez most Tahrir w stronę wyspy Gezira.

Dotarłszy tam, skręcił w prawo i skierował się na północ drogą biegnącą nadbrzeżem rzeki, wzdłuż ogrodzenia starego klubu sportowego, gdzie brytyjscy kolonialisci grali ongiś w krykieta i popijali dzin, podczas gdy ich imperium brali diabli.

Po lewej stronie pojawił się ciąg wysokich luksusowych apartamentowców, pierwszy dowód na to, że wkroczył do dzielnicy najbardziej pożądanym adresów w Kairze. Mieszkali tu cudzoziemcy, a także zamożni Egipcjanie, którzy kierowali się przykazaniami nie islamu, ale nowojorskich i londyńskich twórców trendów. Na Zamaleku było stosunkowo czysto, a niesłabnąca wrzawa miasta stanowiła jedynie niezadowolony pomruk dobiegający z drugiej strony rzeki. Można było tu spokojnie sączyć sobie cappuccino w kafejkach i mówić po francusku w ekskluzywnych butikach. Była to oaza, miejsce, gdzie bogacze mogli udawać, że nie otacza ich morze niewyobrażalnej nędzy.

Lokal zajmował parter starego domu tuż obok ulicy 26 Lipca. Napis na neonowym szyldzie w stylu art deco był w języku angielskim, podobnie jak całkowicie wegetariańskie menu, oprawione w szkło i ramki z ręcznie malowanego drewna. Obok menu wisiał duży plakat ze zdjęciem gwiazd wieczoru: piątką młodych mężczyzn w jedwabnych przepaskach i masie biżuterii. To było miejsce, do którego Gabriel w normalnych okolicznościach zawiątałby tylko z pistoletem przystawionym do głowy.

Herr Klemp rozprostował ramiona i wkroczył do środka.

Powitała go ciemnoskóra kobieta w pomarańczowych satynowych szarawarach i takiej samej chuście na głowie. Zwróciła się do niego po angielsku, i odpowiedział jej w tym samym języku. Słyszając nazwisko Johannes Klemp, uśmiechnęła się powściągliwie - pan Katubi ostrzegł ją widocznie, że powinna spodziewać się najgorszego - i poprowadziła go do stolika w pobliżu miejsca dla orkiestry. Był to niski arabski mebel, otoczony miękkimi wymoszczonymi pufami w jaskrawych kolorach. Gabriel miał przecucie, że nie dane mu będzie spędzić tego wieczoru samotnie. Te



obawy urzeczywistniły się dwie godziny później, kiedy dosiadło się do niego trzech Arabów. Zamówili szampana i nie zwracali uwagi na posepnie wyglądającego Niemca, z którym dzielili stolik.

Sala była ładna, długa i owalna, o chropowatych, pobielonych ścianach z gipsu i wstęgach jedwabiu zwisających z wysokiego sufitu. Powietrze pachniało wschodnimi przyprawami, kadzidłakami z drzewa sandałowego oraz nieznacznie haszyszem. Przy końcu sali, ledwie widoczne w przyćmionym świetle, znajdowały się półkuliste zaciszne wnęki, gdzie stali goście mogli raczyć się jedzeniem i trunkami we względnej prywatności. Gabriel sięgnął bez entuzjazmu po talerz arabskich zakąsek i na próżno rozglądał się w poszukiwaniu mężczyzny ze zdjęcia.

Zgodnie ze słowami Quinnella, muzyka nie zaczęła grać przed jedenastą. Pierwszym występującym był Peruwiańczyk w sarongu, który grał kawałki New Age z inkaskimi naleciałościami na gitarze o nylonowych strunach. Swoje występy przeplatał opowieściami o wysokich Andach, podawanymi mocno bełkotliwą, niemalże niezrozumiałą angielszczyzną. O północy przyszedł czas na gwiazdę wieczoru: grupę Marokańczyków, grającą arabski atonalny jazz o melodii i rytmie zupełnie nieprzystępnych dla zachodniego ucha. Trójka Arabów przy jego stoliku ignorowała muzykę i cały wieczór spędziła na zakrapianej alkoholem rozmowie. Herr Klemp uśmiechał się i bił brawo w uznaniu dla fenomenalnych solówek, ale Gabriel żadnej z nich nie słyszał, ponieważ cała jego uwaga skupiona była na kobiecie, królującej na końcu baru.

Jak to ujął Quinnell: była z niej wtedy niezła laska, ciągle jest, gdyby mnie ktoś pytał.

Miała na sobie białe spodnie rybaczek i bladoniebieską bluzkę z satyny, zawiązaną wokół szczupłej talii. Gdy patrzyło się na nią od tyłu, można było ją wziąć za dwudziestolatkę. Dopiero kiedy się odwracała, ukazując zmarszczki dokoła oczu i smugi siwizny na ciemnych włosach, okazywało się, że osiągnęła już wiek średni. Na nadgarstkach nosiła bransolety, na długiej szyi duży srebrny

wisior. Jej skóra miała oliwkowy odcień, oczy były niemal czarne. Z każdym witała się w ten sam sposób: pocałunkiem w policzek i pełnym poufałości szeptem. Gabriel widział już wiele jej podobnych: kobiet chodzących z mieszkania do mieszkania, z przyjęcia na przyjęcie, permanentnie opalonych, permanentnie szczupłych, którym nie należało zawracać głowy mężem lub dziećmi. Zastanawiał się, co, na Boga, ktoś taki robił w Kairze.

Marokański kwintet zarządził przerwę, odgrając się, że wróci za kwadrans. Oświetlenie sali przybrało na sile, podobnie jak gwar konwersacji. Kobieta oderwała się od baru i ruszyła na obchód sali, poruszając się od stolika do stolika, od wnęki do wnęki, niczym motyl przelatujący z kwiatka na kwiatek. Starych znajomych witała pocałunkiem i konfidencjonalnym szeptem. Nowych przyjaciół raczyła długim uściskiem dłoni. Zwracała się do nich po arabsku i angielsku, po włosku i francusku, po hiszpańsku i przyzwoitą niemczyzną. Komplementy przyjmowała z miną kobiety do nich nawykłej i szła dalej, nie pozostawiając po sobie śladu niepokoju. Dla mężczyzn była obiektem ostrożnego pożądania, dla kobiet podziwu.

Kiedy zespół wracał na scenę na drugą część występu, dotarła do stolika Herr Klempa. Wstał i lekko skłoniwszy się w pasie, uścisnął dłoń, którą zaofiarowała. Jej dotyk był mocny, skóra chłodna i sucha. Wypuszczając jego rękę, odgarnęła z twarzy zabłąkany kosmyk włosów i spojrzała na niego filuternie brązowymi oczyma. Gdyby nie widział, że w podobny sposób patrzyła na wszystkich mężczyzn na sali, pomyślałby, że z nim flirtuje.

- Tak się cieszę, że mógł pan do nas dołączyć dziś wieczorem.  
- Mówiła do niego po angielsku, poufałym tonem gospodyni, która wydała małe przyjęcie obiadowe. - Mam nadzieję, że podoba się panu muzyka. Czyż nie są cudowni? A tak przy okazji: jestem Mimi.

Co powiedziawszy, oddaliła się. Gabriel przeniósł wzrok na scenę, ale myślami błądził po podziemnej jaskini Natana Hofiego,

przypominając sobie nagrania rozmów tajemniczej kobiety z jej przyjacielem o imieniu Tony.

„A tak przy okazji: jestem Mimi”.

Nie, nie jesteś, pomyślał Gabriel. Jesteś Madeleine. I Aleksandra. I Lunettą. Jesteś Małym Księżycem.

Następnego ranka pan Katubi stał na swoim posterunku w holu, kiedy odezwał się telefon. Spojrzał na numer identyfikacyjny dzwoniącego i ciężko westchnął. Potem podniósł słuchawkę, powoli niczym saper rozbrajający bombę, i przyłożył ją do ucha.

- Dzień dobry, Herr Klemp.
- W istocie jest taki, panie Katubi.
- Życzy pan sobie, by ktoś panu pomógł przy bagażach?
- Żadna pomoc nie jest konieczna, Katubi. Zmiana planów. Postanowiłem przedłużyć swój pobyt. Oczarowało mnie to miejsce.
- Jak to się szczęśliwie dla nas składa, doprawdy - powiedział pan Katubi lodowato. - Na ile dodatkowych nocy mam zarezerwować pański pokój?
- To się jeszcze okaże, Katubi. Proszę wyglądać dalszych instrukcji.
- Już wyglądam, Herr Klemp.

**N**igdy nie pisałem się na coś takiego - powiedział Quinnell ponuro.

Było po północy, siedzieli w jego sponiewieranym małym fiacie. Po drugiej stronie Nilu śródmieście Kairu wrzało niestrudzenie, lecz na Zamaleku było o tej godzinie cicho. Dostanie się tutaj zajęło im dwie godziny, ale Gabriel był pewien, że nikt ich nie śledził.

- Jest pan pewien co do numeru mieszkania?
- Byłem w środku - wyjaśnił Quinnell. - Co prawda nie w takim charakterze, na jaki liczyłem, ot, jako zwykły gość na jednym z przyjęć Mimi. Mieszka pod szóstym A. Każdy zna jej adres.
- . - Jest pan pewien, że nie ma tam psa?
- Tylko kot angorski z nadwagą. Nie wątpię, że człowiek, który podaje się za przyjaciela wielkiego Herr Hellera, potrafi poradzić sobie z otyłym kociskiem. Ja, niestety, będę musiał zadowolić się jedynie dwumetrowym nubijskim portierem. Jak do tego doszło?
- Z pewnością umie pan wyprowadzić w pole portiera. Jest pan jednym z najznakomitszych dziennikarzy na świecie, Quinnell.
- Zgadza się, tylko że wyprowadzanie w pole portiera niewiele ma wspólnego z dziennikarstwem.
- Proszę o tym myśleć jak o uczniackim figlu. Niech pan mu powie,, że samochód się popsuł. Niech pan mu powie, że po-

trzeba pomocy. I niech pan mu zapłaci. Pięć minut, i ani minuty dłużej. Jasne?

Quinnell skinął głową.

- A co, jeśli pojawi się pański przyjaciel z Mukhabaratu? - zapytał Gabriel. - Jaki jest sygnał?

- Dwa krótkie klaksony, potem jeden długi.

Gabriel wysiadł z samochodu, przeszedł przez ulicę i wszedł po kamiennych schodach, prowadzących nabrzeżem do portu. Zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na pełen gracji, kanciasty żagiel feluki, sunącej niespiesznie w górę rzeki. Potem odwrócił się i ruszył na południe z elegancką skórzaną torbą Herr Klempa przewieszoną przez prawe ramię. Po kilku krokach nad wzniesieniem zamajaczyły górne piętra kamienicy Mimi: starego zamaleckiego budynku o białej fasadzie i dużych wychodzących na rzekę tarasach.

Jakieś sto metrów przed budynkiem pojawił się kolejny rząd schodów. Zanim Gabriel wszedł na nie, popatrzył w dół rzeki, sprawdzając, czy nikt za nim nie idzie, ale na przystani nie było żywej duszy. Pokonał schody i przeszedł na drugą stronę ulicy, potem skierował się w stronę pogrążonego w ciemnościach zaułka, który biegł na tyłach budynków mieszkalnych. Gdyby był tu po raz pierwszy, może by i zabłądził, ale zwiedził uliczkę wcześniej za dnia i miał absolutną pewność, że po stu trzydziestu krokach znajdzie się przy kamienicy, w której mieszkała Mimi, a dokładnie przy wejściu dla służby.

Na powyginanych metalowych drzwiach widniał namalowany farbą napis w języku arabskim: NIE WCHODZIĆ. Gabriel spojrzął na zegarek. Spacer z samochodu zabrał mu, zgodnie z przewidywaniami, cztery minuty i trzydzieści sekund. Nacisnął klamkę, okazało się, że drzwi, podobnie jak wcześniej tego dnia, są zamknięte.

Z bocznej kieszeni teczki wyjął parę cienkich metalowych przyrządów i przykucnął, tak by mieć zamek na linii oka. Po piętnastu sekundach zasuwa ustąpiła.

Otworzył drzwi i zajął do środka. Zobaczył betonową podłogę krótkiego korytarzyka. Na jego końcu znajdowały się na wprost otwarte drzwi, które wychodziły na hol. Zakradł się do wnętrza i ukrył za nimi. Z drugiej strony dochodził głos Davida Quinella, proponującego nubijskiemu portierowi dwadzieścia funtów za pomoc w zepchnięciu uszkodzonego samochodu z ulicy. Kiedy rozmowa ucichła, Gabriel wyjrzał zza krawędzi drzwi i zdołał jeszcze zobaczyć szaty Nubijczyka odpływające w ciemność.

Wszedł do holu i zatrzymał się przy skrzynkach na pocztę. Na tej od mieszkania 6 A widniał napis: M. FERRERE. Gabriel wszedł na schody i wspinał się na szóste piętro. Po obu stronach drzwi do mieszkania stały palmy w donicach. Gabriel przycisnął ucho do drewnianego skrzydła, ale ze środka nie doszedł go żaden dźwięk. Wyjął z kieszeni przyrząd udający elektryczną golarkę i przebiegł nim wzdłuż framugi, Zapaliło się zielone światełko - znak, że urządzenie nie wykryło żadnego elektronicznego systemu alarmowego.

Wsunął aparat z powrotem do kieszeni i wsadził swój staromodny wytrych w otwór zamka. Przystąpił właśnie do pracy, kiedy usłyszał kobiece głosy, dochodzące z dołu klatki schodowej. Kontynuował w spokoju, wychwytyjąc opuszkami palców subtelne zmiany napięcia i oporu, podczas gdy część jego mózgu analizowała możliwe scenariusze. Budynek miał jedenaście pięter. Prawdopodobieństwo, że kobiety kierują się na szóste piętro lub wyższe, wynosiło ponad pięćdziesiąt procent. Miał dwie opcje: albo porzucić na chwilę pracę i skierować się schodami na dół, albo szukać schronienia na górnych piętrach. Obie ewentualności niosły ze sobą potencjalne ryzyko. Kobiety mogły uznać obecność obcego mężczyzny w budynku za podejrzaną, a jeśli przypadkiem mieszkały na najwyższym piętrze, mógł wpaść w pułapkę bez szansy ucieczki.

Zdecydował się nie przerywać pracy. Pomyślał o ćwiczeniach w Akademii, o Szamronie, stojącym nad jego ramieniem i napominającym go, by pracował tak, jakby jego własne życie i życie

kolegów z zespołu miało od tego zależeć. Teraz słyszał już stukot ich szpilek, a kiedy jedna z kobiet roześmiała się piskliwie, serce podeszło mu do gardła.

Gdy wreszcie ostatni trzpień ustąpił, Gabriel położył dłoń na klamce i z satysfakcją poczuł, że się rusza. Otworzył drzwi i wślizgnąwszy się do środka, zamknął je za sobą, dokładnie w chwili kiedy kobiety zbliżały się do podestu piętra. Uzbrojony tylko w wytrych, oparł się plecami o futrynę, wstrzymując oddech, kiedy przechodziły obok ze śmiechem na ustach. Przez moment nienawidził ich za tę swawolność.

Zasunął zasuwę w drzwiach. Potem wyjął z teczki latarkę Maglite wielkości cygara i wąską wiązką zlustrował pomieszczenie. Stał w malutkim korytarzyku, za którym znajdowała się bawialnia. Chłodna i biała, z niskimi wygodnymi meblami oraz ogromem kolorowych poduszek i narzut, przypominała Gabrielowi nieco klub nocny Mimi. Ruszył powoli do przodu, ale zatrzymał się gwałtownie, kiedy światło latarki padło na parę neonowożółtych oczu. Kot Mimi leżał na otomanie zwinięty w kłębek. Popatrzył na Gabriela bez zainteresowania, potem ułożył brodę na łapkach i przymknął ślepią.

Gabriel miał przygotowaną listę obiektów, uporządkowaną według ważności. Absolutnym priorytetem były aparaty telefoniczne. Pierwszy znalazł w bawialni, spoczywający na blacie stolika. Drugi zlokalizował na szafce nocnej w sypialni, trzeci w pokoju, który służył Mimi za gabinet. Do każdego podłączył miniaturowe urządzenie nazywane w żargonie biura szkiełkiem: nadajnik, który zapewniał podsłuch zarówno rozmów telefonicznych, jak i tego, co się dzieje w pokoju, w którym się odbywały. Miał zasięg około kilometra, Gabriel mógłby więc prowadzić odsłuch ze swojego pokoju hotelowego w InterContinental.

W gabinecie znalazł także drugą pozycję ze swojej listy: komputer Mimi. Usiadł, włączył sprzęt i wsadził płytę do CD-romu. Program uruchomił się automatycznie i zaczął kopiować wszystkie

dane zgromadzone na twardym dysku: skrzynki e-mailowe, dokumenty, zdjęcia, nawet pliki audio i wideo.

W trakcie przegrywania Gabriel rozejrzał się po gabinecie. Przekartkował stosik korespondencji, otworzył szuflady biurka, zajrzał do segregatorów. Ograniczony czas, jakim dysponował, pozwolił mu jedynie na pobieżny przegląd, a ten nie przyniósł żadnych interesujących rezultatów.

Sprawdził postęp kopiowania, potem wstał i omiół latarką ściany pokoju. Na jednej z nich wisiało kilka fotografii w ramkach. Większość ukazywała Mimi w towarzystwie innych równie pięknych ludzi. Jedna przedstawiała dużo młodszą Mimi z ramionami osłoniętymi kufią. W tle rysowały się piramidy w Gizie. Były, podobnie jak twarz kobiety, ozłoczone sjeną promieni zachodzącego słońca: Mimi, idealistka New Age, próbująca siłą pozytywnego myślenia uratować świat przed zagładą.

Uwagę Gabriela przyciągnęło drugie zdjęcie: Mimi, z głową złożoną na poduszce koloru lawendy, patrząca prosto w obiektyw aparatu. Jej policzek wtulony był w twarz markującego sen mężczyzny. Miał kapelusz naciągnięty na oczy, tak że widać było mu tylko nos, usta i podbródek, jednak wystarczająco dużo, jak Gabriel dobrze wiedział, by specjaliści od badania twarzy mogli przeprowadzić miarodajną identyfikację. Wyciągnął z teczki Herr Klempa mały aparat cyfrowy i sfotografował zdjęcie.

Wrócił do biurka i zobaczył, że kopiowanie zostało ukończone. Wyjął płytę z drajwu i wyłączył komputer. Potem spojrzął na zegarek. Przebywał w mieszkaniu już od siedmiu minut, o dwie minuty dłużej, niż planował. Wrzucił płytę do teczki i podszedł do drzwi, zatrzymując się przy nich na chwilę, by upewnić się, zanim wyjdzie, że na piętrze jest pusto.

Na klatce schodowej nie było żywej duszy, podobnie w holu na dole, jeśli nie liczyć nubijskiego portiera, który życzył Gabrielowi przyjemnego wieczoru, kiedy ten go minął i wyszedł na zewnątrz. Quinnell, obraz obojętności, siedział na masce swojego samocho-



du, paląc papierosa. Niczym prawdziwy zawodowiec, wzrok miał wbity w ziemię, kiedy Gabriel skręcił na lewo i zaczął iść w kierunku mostu Tahrir.

Następnego ranka Herr Klemp zachorował. Pan Katubi, otrzymawszy nieprzyjemnie szczegółowy opis objawów, zdiagnozował nieżył bakteryjny i stwierdził, że przebieg będzie gwałtowny, acz krótki.

- Kair mnie zdradził - narzekał Herr Klemp. - Najpierw mnie uwiódł, a potem odplacił za moje uczucie z taką nawiązką.

Przewidywania pana Katubiego co do szybkiego ozdrowienia Herr Klempa okazały się błędne. Burza w jelitach Niemca szalała przez wiele dni i nocy. Wzywano lekarzy, przepisywano medykamenty, wszystko bez skutku. Pan Katubi odłożył na bok swoje anse i osobiście podjął się opieki nad chorym. Zaordynował wypróbowany eliksir z ugotowanych ziemniaków, soku cytrynowego i soli, osobiście serwując miksturę trzy razy dziennie.

Choroba miała dobroczynny wpływ na maniery Herr Klempa. Zrobił się miły dla pana Katubiego, posunął się nawet do przeproszenia pokojówek, które musiały sprzątać jego odrażającą łazienkę. Czasami, wchodząc do pokoju Herr Klempa, pan Katubi zastawał go w fotelu przy oknie, patrzącego znużonym wzrokiem na rzekę. Większość czasu jednak Niemiec spędzał wyciągnięty apatycznie na łóżku. Chcąc złagodzić nudę niewoli, słuchał muzyki i niemieckojęzycznych wiadomości w radiu przez małe słuchawki, tak by nie przeszkadzać innym gościom. Pan Katubi zaczynał tęsknić za dawnym Johannesem Klempem. Czasami spozierał znad swojego stanowiska w holu w głąb korytarza, wypatrując swarliwego Niemca: jego ciężkiego człapania po marmurowej posadzce, trzepotu pół surduta, szczęki przygotowanej do kłótni.

Pewnego ranka, tydzień po tym, jak Herr Klemp zachorował, pan Katubi zastukał do drzwi jego pokoju i zdziwił się, słysząc

pełen wigoru głos, który zaprosił go do środka. Wsunął swój klucz do zamka i otworzył drzwi. Herr Klemp zajęty był pakowaniem walizek.

- Sztorm już ucichł, Katubi.
- Jest pan pewny?
- Tak pewny, jak to tylko możliwe w takiej sytuacji.
- Przykro mi, że Kair tak fatalnie się z panem obszedł. Obawiam się, że pańska decyzja o przedłużeniu pobytu okazała się błędem.
- Być może, Katubi, ale nigdy nie lubiłem rozwodzić się nad tym, co było, i pan też nie powinien.
- To jest, obawiam się, typowo arabska przypadłość, Herr Klemp.
- Mnie to schorzenie jest obce. - Herr Klemp wsadził do torby swoje radio i zasunął ekspres. - Jutro zawsze jest nowy dzień.

Tego wieczoru we Frankfurcie padało: pilot Lufthansy zakomunikował to aż nader jasno. Mówił o deszczu, jeszcze zanim wylecieli z Kairu, potem dwa razy w trakcie lotu dzielił się z pasażerami nużącymi szczegółami prognozy pogody. Gabriel uczepił się jego mozolnego, niezmordowanego głosu, ponieważ odrywał go od gapienia się na zegarek, myślenia o Khaledzie i odliczania godzin do kolejnej rzezi niewiniątek. Kiedy zbliżali się do Frankfurtu, oparł głowę o szybę i wyjrzał na zewnątrz w nadziei, że ujrzy pierwsze światła południowej niemieckiej równiny, ale zobaczył tylko ciemność. Odrzutowiec zanurkował w chmurę, okna zostały zalane poziomymi smugami deszczu - i Gabriel w pierzchających kropelkach zobaczył brygady Khaleda, zajmujące pozycje do następnego uderzenia. Potem nagle pojawił się pas startowy - połać wypolerowanego czarnego marmuru, podnosząca się wolno ku nim na ich przyjęcie - i wylądowali.

W terminalu udał się do budki telefonicznej i wykręcił numer firmy przewozowej w Brukseli. Przedstawił się jako Stevens, jednym ze swoich licznych nazwisk telefonicznych, i poprosił o połą-

czeniu z niejakim panem Parsonsem. Usłyszał serię kliknięć i brzęczeń, potem kobiecy głos, dochodzący z daleka z nieznacznym pogłosem. Gabriel wiedział, że jego rozmówczyni siedzi w tej chwili przy biurku w pomieszczeniach sekcji kontroli operacji na bulwarze Króla Saula.

- Czego sobie życzysz? - zapytała.
- Identyfikacji głosu.
- Masz nagranie?
- Tak.
- Jakość?

Gabriel, posługując się hebrajską terminologią, której żaden podsłuchujący nie mógłby zrozumieć, zwięźle przedstawił dziewczynie techniczne szczegóły nagrania.

- Proszę o odtworzenie.

Gabriel wcisnął przycisk PLAY, trzymając magnetofon przy mikrofonie słuchawki. Męski głos, doskonała francuszczyzna.

„To ja. Dryndnij do mnie, kiedy ci się uda. Nic pilnego. Ciao”.

Zabrał magnetofon i przyłożył słuchawkę do ucha.

- Nie figuruje w bazie danych - zakomunikowała kobieta.
- Porównaj z niezidentyfikowaną próbką numer 698/D.
- Poczekaj. - Chwilę później: - Zgadza się.
- Potrzebuję jeszcze identyfikacji numeru telefonu.

Gabriel umieścił drugie nagranie, przycisnął przycisk odtwarzania i znowu przyłożył magnetofon do słuchawki. To było nagranie Mimi Ferrere, wystukującej na swoim aparacie w gabinecie jakiś międzynarodowy numer telefoniczny. Po ostatniej cyfrze Gabriel nacisnął pauzę.

Kobieta po drugiej stronie słuchawki wyrecytowała: 00 33 91 5467 98. Gabriel wiedział, że 33 to kierunkowy Francji, a 91 Marsylii.

- Sprawdź ten numer - rzekł.
- Poczekaj.

Dwie minuty później kobieta powiedziała:

- Telefon jest zarejestrowany na nazwisko monsieur Paul Veran, bulwar Saint-Remy pięćdziesiąt sześć, Marsylia.
- Potrzebuję jeszcze jednej identyfikacji głosu.
- Jakość?
- Taka jak poprzednio.
- Odtwórz nagranie.

Gabriel przycisnął PLAY, ale tym razem dźwięk zatonął w odgłosie ostrzeżenia dochodzącego po niemiecku z głośnika nad jego głową: „Achtung! Achtung!”. Kiedy ucichło, raz jeszcze włączył odtwarzanie. Tym razem głos - kobiecy - dochodził wyraźnie.

„To ja. Gdzie jesteś? Zadzwoń, kiedy będziesz mógł. Uściski”.

Pauza.

- Nie figuruje.
  - Porównaj z niezidentyfikowaną próbką 572/B.
  - Poczekaj. - Potem: - Zgadza się.
  - Wprowadź: obiekt występuje pod nazwiskiem Mimi Ferrere.
- Adres: ulica Brazylijska dwadzieścia cztery, mieszkania sześć A, Kair.

- Dodałam do bazy. Dotychczasowy czas połączenia cztery minuty, trzydzieści dwie sekundy. Coś jeszcze?

- Muszę przekazać wiadomość dla Ezekiela.

Ezekiel był telefonicznym kryptonimem kierownictwa sekcji operacji.

- Treść wiadomości?
- Nasz przyjaciel spędza czas w Marsylii pod adresem, który mi podałaś.
- Bulwar Saint-Remy pięćdziesiąt sześć?
- Zgadza się - powiedział Gabriel. - Potrzebuję instrukcji od kierownictwa, gdzie mam się udać.
- Dzwonisz z lotniska we Frankfurcie?
- Tak.
- Kończę połączenie. Przenieś się w inne miejsce i oddzwoń za pięć minut. Będę miała instrukcje.

Gabriel odwiesił słuchawkę. Poszedł do kiosku z prasą, kupił niemiecki tygodnik, potem przeszedł kawałek do następnej budki telefonicznej. Ten sam numer, ten sam wstęp, ta sama dziewczyna w Tel Awiwie.

- Ezekiel chce, żebyś pojechał do Rzymu.
- Do Rzymu? Dlaczego?
- Wiesz, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Nie miało to znaczenia. Gabriel znał odpowiedź.

- Dokąd mam pojechać?
- Mieszkanie w pobliżu placu Hiszpańskiego. Znasz je?

Znał. Uroczy lokal operacyjny u szczytu Schodów Hiszpańskich, niedaleko kościoła Trinita dei Monti.

- Za dwie godziny jest lot z Frankfurtu do Rzymu. Rezerwujemy ci miejsce.
- Podać ci numer mojej karty stałego pasażera?
- Co?
- Nieważne.
- Bezpiecznej podróży - powiedziała dziewczyna i połączenie zostało przerwane.

# Część trzecia

*Gare de Lyon*

Po raz drugi w ciągu ostatnich dziesięciu dni Paul Martineau przyjechał z Aix-en-Provence do Marsylii. Znów wszedł do kafejki w zaułku obok rue des Convalescents, znów wspiął się wąskimi schodami do mieszkania na pierwszym piętrze, ponownie na podeście powitał go mężczyzna w długiej szacie, zwracający się do niego cicho po arabsku. Siedzieli teraz na podłodze malutkiej bawialni, rozparci na jedwabnych poduszkach. Gospodarz niespiesznie naładował haszysz do wodnej fajki i przystawił zapaloną zapałkę do lulki. W Marsylii znany był jako Hakim el-Bakri, niedawny imigrant z Algieru. Martineau znał go pod innym nazwiskiem: Abu Saddik. Nie zwracał się jednak do niego w ten sposób, podobnie jak Abu Saddik nie nazywał Martineau imieniem, które nadał mu jego prawdziwy ojciec.

Abu Saddik pociągnął mocno z cybucha, potem odwrócił go w kierunku gościa. Martineau zaciągnął się głęboko haszyszem i powoli wypuścił dym nosem. Potem dopił resztki swojej kawy. Zakwefiona kobieta zabrała pustą filiżankę i zaproponowała mu następną. Gdy pokręcił głową, wyslizgnęła się cicho z pokoju.

Martineau przymknął oczy, kiedy przez jego ciało przepływała fala rozkoszy. Arabski sposób, pomyślał: przedni dymek, filiżanka słodkiej kawy, posługi kobiety, która zna swoje miejsce. Choć został wychowany na prawdziwego Francuza, to arabska krew

płynęła w jego żyłach, i to arabski najbardziej odpowiadał jego ustom. Mowa poetów, język podbitego kraju i cierpienia. Były okresy, kiedy odcięcie od własnych korzeni wydawało mu się nie do zniesienia. W Prowansji otaczali go ludzie tacy jak on, jednak nie mógł się do nich zbliżyć. To było tak, jakby został przeklęty, skazany na wieczną tułaczkę pośród nich, niekończącą się poniewierkę, niczym przeklęty duch pomiędzy żywymi. Tylko tutaj, w małym mieszkaniu Abu Saddika, mógł być naprawdę sobą. Abu Saddik rozumiał to, i dlatego nie spieszył się z przejściem do interesów. Naładował kolejną porcję haszyszu do fajki i przystawił kolejną zapałkę.

Martineau zaciągnął się raz jeszcze, tym razem głębiej niż poprzednio, i zatrzymał dym w płucach, dopóki omal nie pękły. Teraz jego umysł odpłynął. Widział Palestynę, nie własnymi oczyma, ale tak, jak opisywali mu ją ci, którzy naprawdę tam byli. Martineau, podobnie jak jego ojciec, nigdy nie postawił tam nogi. Drzewa cytrynowe i sady oliwne - tak to sobie wyobrażał. Wonne źródła i kozły wspinające się na brązowe wzgórza Galilei. Troszkę jak Prowansja, pomyślał, przed nadejściem Greków.

Obraz się rozmył i zmienił. Teraz spacerował wśród celtyckich i rzymskich ruin. Doszedł do wioski, wioski na Równinie Nadbrzeżnej w Palestynie. Beit Sayeed, brzmiała jej nazwa. Teraz była już tylko śladem, wyżłobionym w pokrytej kurzem ziemi. Martineau upadł na kolana i łopatą odgarniał ziemię. Ale pod spodem nie było nic, żadnych narzędzi, żadnych naczyń, żadnych monet ani ludzkich szczątków. Tak jakby mieszkańcy po prostu rozplynęli się w powietrzu.

Zmusił się do otworzenia oczu. Wizja ulotniła się. Jego misja wkrótce dobiegnie końca. Śmierć ojca i dziada zostanie pomszczona, i spełni się jego przyrodzone prawo, prawo urodzenia. Martineau był przekonany, że nie spędzi reszty swoich dni jako Francuz w Prowansji, ale Arab w Palestynie. Jego naród, stracony i rozpierchły, powróci do swej ziemi, a Beit Sayeed raz jeszcze



powstanie z martwych. Dni Żydów były policzone. Opuszczą Palestynę, tak jak wszyscy, którzy przybyli tam przed nimi: Grecy i Rzymianie, Persowie i Asyryjczycy, Turcy i Brytyjczycy. Pewnego dnia, a Martineau wierzył, że ów dzień jest już bliski, będzie szukał artefaktów wśród ruin żydowskich osiedli.

Abu Saddik ciągnął go za rękaw i wołał go jego prawdziwym imieniem. Martineau wolno odwrócił głowę i spojrzał na Abu Saddika spod ołowianych powiek.

- Nazywaj mnie Martineau - powiedział po francusku. - Jestem Paul Martineau. Doktor Paul Martineau.

- Odleciałeś gdzieś daleko na chwilę.

- Byłem w Palestynie - wymamrotał Martineau ocieżyłym od narkotyku głosem. - W Beit Sayeed.

- Wszyscy tam niedługo będziemy - rzekł Abu Saddik.

Martineau pozwolił sobie na uśmiech: nie arogancji, ale spokojnej pewności siebie. Buenos Aires, Stambuł, Rzym - trzy zamachy, każdy bezbłędnie zaplanowany i przeprowadzony. Ekipy dostarczały ładunki wybuchowe do celów i znikwały bez śladu. Każdą operację Martineau nadzorował, korzystając z przykrywki prac wykopaliskowych, i przeprowadzał przy pomocy podstawionej osoby, Operacją w Paryżu zajmował się Abu Saddik. Martineau całą rzecz wymyślił i zaplanował, ale to Abu Saddik ze swojej kafejki w Quartier Belsunce przesunął pod dyktando Martineau pionki na szachownicy. Już po wszystkim miał go spotkać taki sam los, jak wszystkich innych, z których pomocy Martineau korzystał. Palestyńczyk wyciągnął wnioski z błędów swoich przodków. Nigdy nie pozwoli, by wydał go arabski zdrajca.

Abu Saddik zaproponował Martineau fajkę. Ten uniósł dłoń w geście rezygnacji. Potem wolnym kiwnięciem głowy polecił Abu Saddikowi, by przystąpił do końcowego meldunku. Przez następne pół godziny siedział w milczeniu, podczas gdy Abu Saddik relacjonował: rozmieszczenie ekip, adres w Paryżu, gdzie przygotowywano bomby w walizkach, stan emocjonalny trójki

szahidów. Urwał, gdy zakwefiona kobieta weszła i naląła im kolejną porcję kawy. Kiedy opuściła pokój, Abu Saddik wspomniał, że ostatni członek zespołu przybędzie do Marsylii za dwa dni.

- Chciałaby się z tobą zobaczyć - rzekł. - Jeszcze przed operacją.

Martineau pokręcił głową. Znał tę dziewczynę, byli niegdyś kochankami, i wiedział, dlaczego chce się z nim widzieć. Nie powinni teraz spędzać razem czasu. Inaczej Martineau mógłby się rozmyślić co do losu, który dla niej zaplanował.

- Trzymamy się pierwotnego planu - powiedział. - Gdzie mam się z nią spotkać?

- Kafeteria internetowa wychodząca na port. Wiesz, gdzie to jest? Martineau wiedział.

- Będzie tam o dwunastej trzydzieści.

W tej chwili z minaretu meczetu w górze ulicy muezin wezwał wiernych do modlitwy. Martineau zamknął oczy, przez jego umysł przepływały znajome słowa.

Allah jest wielki. Zaświadczam, że nie ma innego boga prócz Allaha. Zaświadczam, że Mahomet jest posłańcem Allaha. Przybywajcie do modlitwy. Przybywajcie do pomyślności. Allah jest wielki. Nie ma innego boga prócz Allaha.

Kiedy wezwanie na modlitwę przebrzmiało, Martineau wstał i przygotował się do wyjścia.

- Gdzie jest Hadawi? - spytał.

- W Zurychu.

- Trochę jak kula u nogi, nie uważasz?

- Mam go stamtąd przenieść?

- Nie - powiedział Martineau. - Po prostu go zabij.

Kiedy dotarł do Place de la Prefecture, Martineau był już zupełnie trzeźwy. Jakże inaczej prezentowała się ta część miasta, po-

myślał. Ulice były czystsze, sklepy bardziej zasobne. Martineau-archeolog nie mógł uciec od refleksji o naturze tych dwóch tak odmiennych, a sąsiadujących ze sobą światów jednego starożytnego miasta. Jeden oddawał się fanatyzmowi, drugi konsumpcji. Jeden roił się od dzieci; drugi uważał je za zbędne obciążenie finansowe. Martineau wiedział, że wkrótce Francuzi będą mniejszością we własnym kraju, *colons* na własnej ziemi. Niebawem, w ciągu stulecia, może nieco później, Francja stanie się krajem muzułmańskim.

Skreślił w bulwar Saint-Remy. Obrzeżony drzewami i przedzielony na pół płatnym parkingiem, biegł łagodnym wzniesieniem w stronę niewielkiego zielonego parku z widokiem na stary port. Gmachy po obu stronach bulwaru, wszystkie tej samej wysokości, wzniesiono z majestatycznego szarego kamienia. W oknach na parterze zamontowane były żelazne kraty. W wielu budynkach mieściły się biura i gabinety: prawników, agentów nieruchomości, lekarzy, nieco dalej znajdowało się kilka banków i sklep z wyposażeniem wnętrz. U podnóża ulicy, na skrzyżowaniu z Place de la Prefecture, znajdowały się dwa stojące naprzeciw siebie kioski: jeden z prasą, drugi z kanapkami. Za dnia funkcjonowało tu także niewielkie targowisko, ale teraz powoli zapadał zmrok, a handlarze dawno już spakowali swoje sery i warzywa i poszli do domów.

Budynek pod numerem 56 był tylko mieszkalny. Miał czysty korytarz i szerokie schody z drewnianą poręczą, wyłożone nowym bieżnikiem. W mieszkaniu była tylko biała sofa i telefon na podłodze. Martineau schylił się, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Tak jak się spodziewał, odezwała się automatyczna sekretarka.

- Jestem w Marsylii. Zadzwoń, kiedy ci się uda.

Odłożył słuchawkę i usiadł na kanapie. Poczul, jak w krzyż wbija mu się pistolet. Przechylił się do przodu i wyciągnął go zza paska dżinsów. Stieczkin kalibru 9 milimetrów, pistolet ojca. Przez wiele lat po jego śmierci w Paryżu broń zarastała kurzem w magazynie policyjnym jako dowód w sprawie, która nigdy się

nie odbyła. Agent francuskiego wywiadu przemycił pistolet do Tunisu w 1985 roku i podarował Arafatowi. Ten oddał go Martineau.

Zadzwoił telefon. Martineau podniósł słuchawkę.

- Morisieur Vécrań?

- Mimi, kochanie - powiedział Martineau. - Jak dobrze słyszeć twój głos.

**Z**budził go telefon. Jak wszystkie aparaty w mieszkaniach operacyjnych, ten również nie miał dzwonka, tylko migoczące światełko, które zabarwiło mu powieki szkarłatem. Wyciągnął rękę i przyłożył słuchawkę do ucha.

- Obudź się - powiedział Szymon Pazner.
- Która godzina?
- Ósma trzydzieści.

Gabriel spał dwanaście godzin.

- Ubieraj się. Powinieneś coś zobaczyć, skoro już jesteś w mieście.

- Przeanalizowałem zdjęcia. Przeczytałem wszystkie raporty.

Nie muszę na to patrzeć.

- Przeciwnie, musisz.
- Dlaczego?
- Bo to cię wkurzy.
- Co dobrego to da?

- Czasem musimy być wkurzeni - stwierdził Pazner. - Spotkamy się na schodach Galleria Borghese za godzinę. Nie każ mi tam sterczeć i czekać jak idiocie.

Pazner rozłączył się. Gabriel wygramolił się z łóżka i długo stał pod prysznicem, zastanawiając się, czy nie zgolić brody. W końcu postanowił, że tylko ją przytnie. Potem przywdział jeden

z ciemnych garniturów Herr Klempa i udał się na Via Veneto na kawę. Godzinę od rozmowy z Paznerem szedł ocienioną żwirową ścieżką w stronę schodów galerii. Rzymski *katsa* siedział na marmurowej ławce na dziedzińcu i palił papierosa.

- Ładna broda - powiedział. - Chryste, wyglądasz koszmarnie.

- Musiałem mieć jakąś przykrywkę, gdy siedziałem kamieniem w swoim pokoju hotelowym w Kairze.

- Jak to zrobiłeś?

Gabriel wyjaśnił: za pomocą zwykłego farmaceutycznego środka, który przyjmowany doustnie, zamiast zgodnie z instrukcją, wywierał katastrofalne, choć przejściowe skutki na przewód pokarmowy.

- Ile dawek wziąłeś?

- Trzy.

- Biedaku.

Skierowali się ogrodami na północ - Pazner jak człowiek marszerujący w rytm sobie tylko słyszalnych werbli, Gabriel u jego boku, zmęczony nadmiarem podróży i zmartwień. Na obrzeżach parku, w pobliżu ogrodów botanicznych, znajdował się wlot zaułka. Przez wiele dni po zamachu ekipy światowych mediów biwakowały tuż przy skrzyżowaniu. Ziemia była ciągle zaśmiecona petami papierosów i zgniecionymi plastikowymi kubkami po kawie. Gabrielowi ów widok przywiódł na myśl pole po corocznych dożynkach.

Weszli w uliczkę i ruszyli w dół. Dotarli do prowizorycznej stalowej barykady, pilnowanej przez włoską policję i izraelskich strażników. Pazner został natychmiast wpuszczony razem ze swoim brodatym niemieckim znajomym.

Kiedy znaleźli się już za ogrodzeniem, ich oczom ukazały się pierwsze oznaki spustoszenia: spalona pinia ogołocona z igieł, pozbawione szyb okna w sąsiadujących willach, kawałki poskręcane żelastwa, porozrzucane i walające się dokoła niczym strzępy makulatury. Po kilku krokach ujrzeni krater po bombie, głęboki

na ponad trzy metry i otoczony aureolą spalonego chodnika. Z budynków znajdujących się najbliżej pozostało niewiele, głębiej na tyłach placówki same budowle się zachowały, ale bez fasad wychodzących na miejsce eksplozji, tak że teraz wyglądały niczym domki dla lalek. Gabriel zobaczył nienaruszone wnętrze jakiegoś gabinetu z fotografiami w ramkach ciągle stojącymi na biurku i łazienkę z ręcznikiem ciągle wiszącym na drążku. Powietrze ciężkie było od fetoru popiołu i, jak obawiał się Gabriel, spalonych ciał. Z głębi placówki dochodził huk i szcęk koparek oraz buldożerów. Miejsce zbrodni, niczym zwłoki ofiary morderstwa, dostarczyło już wszystkich wskazówek. Teraz nadeszła pora pochówku.

Gabriel zabawił tam dłużej, niż myślał. Żadna dawna rana, prawdziwa lub domniemana, żadna krzywda ani spór polityczny nie usprawiedliwiały takiego aktu ludobójstwa. Pazner miał rację: ten widok wznicił w Gabrielu wściekłość. Ale wzbudził oprócz wściekłości coś jeszcze. Napełnił go nienawiścią. Odwrócił się i ruszył w górę zaułka. Pazner szedł za nim w milczeniu.

- Kto ci kazał mnie tu przyprowadzić?

- To był mój pomysł.

- Kto ci kazał?

- Stary - powiedział cicho Pazner.

- Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego.

Gabriel przystanął.

- Dlaczego, Szymon?

- Wczoraj w nocy po twoim przylocie z Frankfurtu odbyło się spotkanie Varaszu. Wracaj do lokalu operacyjnego. Czekaj tam na dalsze instrukcje. Ktoś się z tobą wkrótce skontaktuje.

To powiedziawszy, Pazner przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w Yilla Borghese.

Ale Gabriel nie wrócił do lokalu operacyjnego. Skierował się w przeciwną stronę, w stronę mieszkalnych dzielnic Rzymu. Odnalazł Via Trieste i poszedł nią na zachód, a po dziesięciu minutach dotarł do nieporządnego małego skweru zwanego Piazza Annabaliano.

Mało się tu zmieniło przez trzydzieści lat, od czasu kiedy Gabriel był tu po raz ostatni: te same melancholijne drzewa na środku placu, te same posępne sklepiki, zaopatrujące tę samą proletariacką klientelę. A na północnym skraju skweru, wepchnięta między dwie uliczki, znajdowała się ta sama kamienica, przypominająca kształtem kawałek tortu, której szpic wychodził na plac, i jeszcze ten sam bar Trieste na parterze. Zwaiter miał zwyczaj zatrzymywać się w nim, żeby skorzystać z telefonu przed pójściem na górę do swojego pokoju.

Gabriel przeciął skwer, lawirując między samochodami i motocyklami zaparkowanymi pośrodku, i wszedł do kamienicy drzwiami oznaczonymi jako Wejście C. Korytarz był zimny i pogrążony w mroku. Jak pamiętał, w ramach oszczędzania energii światła uruchamiały się przełącznikiem czasowym. Chłopcy z inwigilacji zaobserwowali, że mieszkańcy, w tym także Zwaiter, z rzadka kłopotali się ich włączaniem - to stanowiło wtedy dla Gabriela dużą dogodność operacyjną, ponieważ zapewniało mu komfort działania w ciemnościach.

Teraz zatrzymał się przed windą. Tuż obok znajdowało się lustro. Wtedy chłopcy z inwigilacji zapomnieli go o tym poinformować i Gabriel, natknąwszy się tamtej nocy na własne odbicie, o mały włos nie wyciągnął beretty i nie wypalił. W końcu jednak tylko sięgnął spokojnie do kieszeni kurtki po pieniądze i właśnie miał go włożyć do otworu na monety w drzwiach windy, kiedy Zwaiter, ubrany w kurtkę w szkocką kratę, trzymając przed sobą papierową torbę z butelką wina figowego, po raz ostatni przekroczył próg wejścia C.

- Przepraszam, czy pan Wadal Zwaiter?



- Nie! Proszę, nie!

Gabriel wypuścił z rąk monetę. Nie uderzyła jeszcze o podłogę, kiedy wyciągnął berettę i oddał pierwsze dwa strzały. Jedna z kul przebiła papierową torbę, nim osiągnęła pierś Zwaitera. Krew i wino mieszały się ze sobą u stóp Gabriela, kiedy strzelał do osuwającego się ciała Palestyńczyka.

Teraz spojrzął w lustro i ujrzał takiego Gabriela, jakim był owej nocy: cherubinka w skórzanej kurtce, artystę niedomyślającego się nawet, jak bardzo i nieodwołalnie czyn, który miał popełnić, zmieni bieg jego życia. Tamtej nocy stał się kimś innym. Na zawsze. Szamron zapomniał mu powiedzieć, że tak się stanie. Nauczył go, jak wyciągnąć broń i wystrzelić z niej w ciągu jednej sekundy, ale nie zrobił nic, by go przygotować na to, co dzieje się potem, już po strzale. Walka z terrorystą, na jego warunkach, na jego polu bitwy, kosztuje bardzo drogo. Zmienia ludzi, którzy się tego podejmują, razem ze społeczeństwem, które ich wysyła. To jest właśnie ostateczna broń terrorystów. W przypadku Gabriela zmiany można było dostrzec także gołym okiem. Zanim udał się do Paryża na swoje kolejne zlecenie, skronie miał siwe.

Spojrzął w lustro ponownie i ujrzał spozierającą na niego brodatą postać Herr Klempa. Przez głowę przebiegły mu obrazy ze śledztwa: zrównana z ziemią ambasada, jego własne dossier, Khaled... Czyżby Szamron miał rację? Czyżby Khaled chciał mu coś powiedzieć? Czyżby wybrał Rzym właśnie z powodu tego, co Gabriel zrobił tu trzydzieści lat temu, w tym dokładnie miejscu?

Z tyłu za plecami usłyszał miękkie szuranie czyichś kroków. Stara kobieta, odziana we wdowią czerń, trzymająca plastikową torbę z wiktuałami. Spojrzała prosto na niego. Przez chwilę Gabriel bał się, że jakimś sposobem go sobie przypomni. Życzył jej przyjemnego ranka i wyszedł z powrotem na tonący w słońcu skwer.

Nagle poczuł, jakby trawiła go gorączka. Przez jakiś czas chodził po Via Trieste, potem przywołał ręką taksówkę i kazał kierowcy zawieźć się na plac Hiszpański. Wchodząc do mieszkania, zobaczył

egzemplarz porannego wydania „La Repubblica”, leżący na podłodze w holu wejściowym. Na szóstej stronie znajdowała się duża reklama włoskiego samochodu sportowego. Gabriel przyjrzał się uważnie ogłoszeniu i zobaczył, że zostało wycięte z innego egzemplarza tej samej gazety i naklejone. Naciął brzegi stronicy i między dwiema kartkami znalazł ukryty kawałek papieru, zawierający zaszyfrowaną wiadomość. Po przeczytaniu spalił ją w kuchennym zlewie i opuścił mieszkanie.

Na Via Condotti nabył nową walizkę. Następną godzinę spędził na kupowaniu ubrań odpowiednich do następnego celu jego podróży. Wrócił do lokalu operacyjnego, żeby się spakować, a następnie udał się na lunch do Nino na Via Borgognona. O drugiej pojechał taksówką na lotnisko Fiumicino, a o piątej trzydzieści wsiadł do samolotu lecącego na Sardinie.

Kiedy samolot Gabriela kołował na pasie startowym, Amira Assaf podjechała do bramy głównej kliniki Stratford i pokazała swój identyfikator strażnikowi. Przyjrzał mu się starannie, potem dał jej znak, że może wjechać. Przekręciła manetkę gazu motocykla i popędziła czterystumetrowym żwirowym podjazdem w stronę pałacyku. Doktor Avery właśnie opuszczał pracę, jadąc do bramy swoim dużym srebrnym jaguarem. Amira wcisnęła klakson i pomachała mu, ale nie zwrócił na nią uwagi i przejechał obok w chmurze kurzu i żwiru.

Parking dla personelu znajdował się na tylnym dziedzińcu. Amira postawiła motor na nóżce, z bagażnika pod siedzeniem wyjęła plecak, a na jego miejsce włożyła kask. Dwie dziewczyny właśnie kończyły zmianę. Amira życzyła im dobrej nocy, potem za pomocą swojego identyfikatora otworzyła wejście służbowe. Na ścianie w holu znajdował się licznik zegarowy. Znalazła swoją kartę, trzeci otwór od dołu, i zarejestrowała godzinę przyścia: 17.56.

Szatnia znajdowała się kilka kroków dalej. Amira weszła tam i przywdziała szpitalny strój: białe spodnie, białe buty i tunikę w brzoskwiowym kolorze, który zdaniem doktora Avery'ego wywierał kojący wpływ na pacjentów. Pięć minut później zgłosiła się na dyżur przy okienku dyżurki siostry oddziałowej. Ginger Hall, tleniona blondynka o szkarłatnych ustach, podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Nowa fryzura, Amira? Bardzo twarzowa. Mój Boże, wszystko bym dała za takie grube, kruczoczarne włosy jak twoje.

- Możesz sobie je wziąć, razem z brązową skórą, czarnymi oczami i całą resztą gówna, która się z tym wiąże.

- Och, nonsens, kwiatuszku. Wszystkie jesteśmy tu pielęgniarkami. Po prostu wykonujemy swoją pracę, próbując uczciwie zarabiać.

- Może, ale poza kliniką to wygląda inaczej. Co masz dla mnie?

- Lee Martinson. Jest w oranżerii. Zawieź ją do jej pokoju. Przygotuj do snu.

- Ten wielki facet ciągle jest przy niej?

- Ochroniarz? Ciągle. Doktor Avery twierdzi, że zostanie jeszcze przez jakiś czas.

- Po co takiej kobiecie jak miss Martinson ochroniarz?

- Ściśle tajne, kwiatuszku. Bardzo ściśle tajne.

Amira ruszyła korytarzem. Chwilę później była już przy drzwiach oranżerii. Kiedy weszła do środka, wilgoć natychmiast otuliła ją szczerlnie niczym mokry pled. Miss Martinson siedziała w swoim wózku inwalidzkim, gapiąc się na pociemniałe okna. Ochroniarz podniósł się, usłyszawszy kroki Amiry. Był wysokim, mocno zbudowanym dwudziestokilkuletnim mężczyzną o krótko przyciętych włosach i niebieskich oczach. Mówił z brytyjskim akcentem, ale Amira wątpiła, czy jest prawdziwym Brytyjczykiem. Spojrzała na miss Martinson.

- Robi się późno, moja droga. Czas już iść na górę i przygotować się do snu.

Wyprowadziła wózek z oranżerii i skierowała się w stronę windy. Ochroniarz wcisnął guzik przywołania. Chwilę później wsiedli do kabiny i cicho ruszyli na górę do pokoju miss Martinson na czwartym piętrze. Przed wejściem Amira przystanąła i spojrzała na ochroniarza.

- Będę ją kąpać. Może poczekałby pan tu, dopóki nie skończę?
- Gdzie ona, tam i ja.
- Tak jest co noc. Biedaczka zasługuje na trochę prywatności.
- Gdzie ona, tam i ja - powtórzył.

Amira pokręciła głową i zawiozła miss Martinson do jej pokoju. Ochroniarz cicho stąpał za nimi.

Przez dwa dni Gabriel czekał, aż się z nim skontaktują. Hotel, niewielki, koloru ochry, stał w starym porcie niedaleko miejsca, gdzie rzeka Terno wpływa do morza. Jego pokój znajdował się na górnym piętrze i miał maleńki balkonik z żelazną balustradą. Gabriel spał do późna, śniadania spożywał w hotelowej jadalni, ranki spędzał, czytając. W porze lunchu w jednej z portowych restauracyjek posilał się rybą z makaronem, potem spacerkiem udawał się na północ od miasta na plażę. Tam rozkładał na piasku ręcznik i ucinał sobie kolejną drzemkę. Po dwóch dniach takiego życia jego wygląd poprawił się niepomniernie. Odzyskał dawną wagę i siłę, spod oczu zniknęły brązowożółte kręgi. Zaczynał nawet podobać się sobie z brodą.

Trzeciego dnia zadzwonił telefon. Gabriel wysłuchał instrukcji bez słowa i odłożył słuchawkę. Wziął prysznic, ubrał się i spakował torbę, potem zszedł na dół na śniadanie. Po posiłku uścił rachunek za pokój, wrzucił torbę do bagażnika wynajętego w Cagliari samochodu i pojechał na północ, jakieś pięćdziesiąt kilometrów, do portowego miasteczka Alghero. Zostawił samochód we wskazanym w instrukcjach miejscu i ruszył zacienioną uliczką prowadzącą na nabrzeże. W kafejce na przystani siedziała Dina i piła kawę. Miała na sobie okulary przeciwsłoneczne, sandały i sukienkę bez rękawów, jej opadające do ramion włosy lśniły

w oślepiających, odbijanych przez morze promieniach słońca. Gabriel zszedł po kamiennych schodkach na przystań i wszedł do ponadczterometrowej szalupy z nazwą „Wierność” wymalowaną na kadłubie. Uruchomił silnik - dziewięćdziesięciokonną yamagę - i odwiązał cumy. Dina dołączyła do niego chwilę później i znośną francuszczyzną powiedziała mu, żeby kierował się w stronę dużego motorowego jachtu, zakotwiczonego na turkusowych wodach jakieś osiemset metrów od brzegu. Gabriel powoli wyprowadził łódkę z portu. Wypłynął na otwarte wody, zwiększył prędkość i pomknął przez drobne fale. Kiedy zbliżył się do jachtu, na pokładzie rufowym pokazał się Rami, ubrany w szorty koloru khaki i białą koszulkę. Zszedł na trap i czekał tam z wyciągniętą ręką, gdy Gabriel dobijał.

Główna kabina wyglądała jak filia piwnicznej kwatery zespołu na bulwarze Króla Saula. Na ścianach wisiały wielkoformatowe mapy i zdjęcia lotnicze, a pokładowy sprzęt elektroniczny został wzbogacony o zestaw takich środków łączności, jakie Gabriel ostatni raz widział przy operacji likwidacji Abu Dżihada. Jaków uniósł głowę znad terminala komputera i wyciągnął rękę. Szamron, ubrany w spodnie koloru khaki i białą koszulkę z krótkimi rękawami, siedział przy stole w kambuzie. Odsunął okulary do czytania na czoło i zlustrował Gabriela niczym kolejny dokument lub mapę.

- Witaj na pokładzie „Wierności” - odezwał się. - Doskonalej kombinacji stanowiska dowodzenia i lokalu operacyjnego.

- Jak udało ci się ją zdobyć?

- Od jednego z przyjaciół biura. Akurat stała w dokach w Cannes. Zabraliśmy ją na morze i dodaliśmy trochę sprzętu przydatnego w naszej podróży. Zmieniliśmy także nazwę.

- Kto ją wybrał?

- Ja - powiedział Szamron. - Oznacza lojalność i oddanie...

- Oraz wierność swoim zobowiązaniom, powinnościom i przyrzeczeniom - rzekł Gabriel. - Wiem, co oznacza. Wiem też, dla-

czego wybrałeś tę nazwę. Z tego samego powodu, z jakiego kazałeś Szymonowi Paznerowi zaprowadzić mnie na ruiny ambasady.

- Myślałem, że to ważne, żebyś je zobaczył. Czasami, kiedy jest się w środku operacji takiej jak ta, wróg może stać się abstrakcją. Łatwo wtedy umyka jego prawdziwe oblicze. Pomyślałem, że przyda ci się delikatne przypomnienie.

- Siedzę w tej robocie już szmat czasu, Ari. Wiem, jak wygląda prawdziwe oblicze naszego wroga, i wiem, co to znaczy lojalność.

- Gabriel usiadł przy stole naprzeciwko Szamrona. - Słyszałem, że po moim wylocie z Kairu odbyło się zebranie Varaszu. Decyzja, jaka tam zapadła, jest dość oczywista, jak się domyślam.

- Khaled został osądzony - oznajmił Szamron - i Varasz wydał wyrok.

Gabriel bywał egzekutorem wyroków wydawanych na takich procesach, ale w żadnym z nich nie uczestniczył osobiście. Był to rodzaj sądu, ale mocno stronnice rozprawy faworyzowały linię oskarżenia, i przeprowadzano je w tak wielkim sekrecie, że oskarżeni nie mieli w ogóle pojęcia, iż się odbywają. Nie przysługiwali im też żadni obrońcy, a o ich losie decydowała ława przysięgłych złożona z ich śmiertelnych wrogów. Dowodów winy nigdy nie kwestionowano. Dowody uniewinniające nigdy nie były przedstawiane. Posiedzeń nie protokołowano i nie istniała możliwość apelacji. W grę wchodził tylko jeden wyrok i był on nieodwołalny.

- Ponieważ jestem w tej sprawie agentem dochodzeniowym, czy pozwolisz, że wyrażę swoją opinię?

- Jeśli musisz.

- Dowody przeciwko Khaledowi to tylko poszlaki, w najlepszym razie nieprzekonujące.

- Ścieżka dowodowa jest jasna - powiedział Szamron. - A jej punkt wyjścia stanowią informacje pochodzące z palestyńskiego źródła.

- I to mnie właśnie najbardziej niepokoi.

Jaków przysiadł się do stołu.

- Mahmud Arwish jest jedną z naszych najcenniejszych zdobyczy w Autonomii Palestyńskiej od lat. Wszystko, co nam do tej pory powiedział, okazało się prawdą.

- Ale nawet Arwish nie jest pewien, czy mężczyzna ze zdjęcia to naprawdę Khaled. Całe oskarżenie to zwykły domek z kart. Jeśli choćby jedna z nich okaże się nieprawdziwa, reszta runie, a my zostaniemy z trupem jakiegoś przypadkowego faceta na francuskiej ulicy.

- Wiemy, że Khaled jakoby łudząco przypomina swojego dziadka - stwierdził Szamron. - Ja jestem jedyną osobą w tym pokoju, która widziała szejka Asada twarzą w twarz. Co więcej, widziałem go w okolicznościach, których nie sposób zapomnieć. - Szamron uniósł zdjęcie, tak by inni mogli na nie spojrzeć. - Człowiek na tej fotografii mógłby uchodzić za bliźniaka szejka Asada.

- Ale to ciągle jeszcze nie dowodzi, że to jest Khaled. Na Boga, w grę wchodzi zabicie człowieka.

Szamron odwrócił fotografię bezpośrednio w stronę Gabriela.

- Czy zgodzisz się, że jeśli ten człowiek wejdzie do kamienicy pod numerem pięćdziesiątym szóstym przy bulwarze Saint-Rémy, to najprawdopodobniej będzie to Khaled al-Khalifa?

- Zgodzę się.

- Więc będziemy obserwować budynek. I czekać. I mieć nadzieję, że zjawi się przed następną masakrą. Jeśli się zjawi, zrobimy mu zdjęcie, gdy będzie wchodził do budynku. Jeśli nasi specjaliści będą na bank pewni, że to ten sam człowiek, wykołyszemy go z interesu. - Szamron skrzyżował ręce na piersiach. - Oczywiście, jest jeszcze inny sposób identyfikacji. Taki sam, jakiego użyliśmy w czasie operacji „Gniew Boży”.

W pamięci Gabriela błysnął obraz. „Przepraszam, czy pan Wadal Zwaiter?”. „Nie! Proszę, nie”.

- Tylko bardzo opanowany gość nie zareaguje na swoje imię w takiej sytuacji - powiedział Szamron. - A jedynie prawdziwy głąz nie sięgnie po broń na widok człowieka, sposobiącego się do



jego likwidacji. Tak czy owak, jeśli to będzie Khaled, sam się zdradzi, a ty spokojnie, bez wyrzutów sumienia naciśniesz spust. Szamron odsunął okulary na czoło,

- Chcę, żeby „Wierność” była w Marsylii przed zapadnięciem nocy. Płyniesz czy wysiadasz?

- Skorzystamy z modelu stosowanego podczas operacji „Gniew Boży” - zaczął Szamron. - *Aleph, Bet, Awin, Qoph*. Ma dwie zalety. Wszyscy go znacie. I jest skuteczny.

Gabriel pokiwał głową.

- Z konieczności dokonaliśmy pewnych drobnych modyfikacji. Musieliśmy połączyć niektóre role, ale kiedy operacja się już zacznie, nie odczujecie różnicy. Ty, oczywiście, będziesz alefem: strzelcem. Zespoły ajinów, obserwatorów, zajmują już swoje pozycje. Jeśli Khaled zjawi się w kamienicy, dwóch z nich przejmie funkcje bet i będzie osłaniać trasę twojej ucieczki.

- A Jaków?

- Wydaje się, że wy dwaj dobrze się rozumiecie. Jaków będzie twoim zastępcą, wicedowódcą zespołu. A w noc uderzenia, jeśli wszystko się powiedzie, będzie twoim kierowcą.

- A co z Dina?

- *Qoph* - powiedział Szamron. - Łączność. Będzie się konsultować z bulwarem Króla Saula w kwestii identyfikacji celu. Będzie także służyć jako *bet levejha* Jakowa. Ty ukryjesz się na łódce aż do chwili bezpośredniego uderzenia. Po likwidacji Khaleda opuszczacie miasto różnymi trasami i wyjeżdżacie z kraju. Ty i Jaków pojedziecie do Genewy, stamtąd polecicie do domu. Dina wyprowadzi łódkę z portu. Kiedy będzie na otwartych wodach, załadujemy na pokład załogę i sprowadzimy jacht do kraju.

Szamron rozłożył na stole mapę centrum Marsylii.

- Wkraczasz w tym miejscu. - Postukał w mapę grubym palcem.

- Po wschodniej stronie starego portu, przy quai de Rive-Neuve.

Bulwar Saint-Remy jest tutaj. - Kolejne stuknięcie. - Sześć ulic dalej na wschód. Biegnie od Place de la Prefecture na południe do Jardin Pierre Puget.

Szamron położył na mapie zdjęcie satelitarne ulicy.

- Okolica, szczerze mówiąc, idealnie nadaje się do operacji. Numer pięćdziesiąt sześć mieści się tutaj, po wschodniej stronie ulicy. Ma tylko jedno wejście, co oznacza, że nie przegapimy Khaleda, jeśli się pojawi. Jak widzicie na zdjęciu, miejsce jest raczej ruchliwe: dużo samochodów, mnóstwo przechodniów, sklepy, biura. Wejście do numeru pięćdziesiąt sześć widać z tej dużej esplanady naprzeciw Pałacu Sprawiedliwości. Park stanowi przytulisko dla bezdomnych. Jest tam teraz dwójka naszych obserwatorów.

Szamron przekreślił zdjęcie.

- Ale najlepsze jest to: płatny parking na środku ulicy. To miejsce tutaj zajmuje teraz samochód wynajęty przez jednego z naszych obserwatorów. Mamy jeszcze pięć innych wozów. W chwili obecnej we wszystkich montowane są miniaturowe kamery o wysokiej rozdzielczości. Będą przekazywać obraz bezprzewodowo kodowanym sygnałem. Wy dostaniecie jedyny dekodek.

Szamron skinął na Jakowa, który wcisnął przycisk. Duży telewizor z ekranem plazmowym wyłonił się powoli z konsoli.

- Monitoring wejścia do budynku będziecie więc prowadzić stąd, z pokładu łodzi - powiedział Szamron. - Na wypadek gdyby Khaled albo ktoś z jego ludzi pilnował parkingu, obserwatorzy będą przestawiać samochody w nieregularnych odstępach czasu. Skoordynowali już zmiany, tak że gdy jeden samochód wyjedzie, drugi natychmiast zajmie jego miejsce.

- Pomysłowe - wymruczał Gabriel.

- Szczerze mówiąc, była to sugestia Jakowa. Robił już coś podobnego w miejscach, gdzie znacznie trudniej jest ukryć obserwatorów. - Szamron zapalił papierosa. - Pokaż mu program komputerowy.

Jaków usiadł przy ekranie laptopa i wpisał na klawiaturze polecenie. Na ekranie pojawiła się wirtualna animacja bulwaru Saint-Remy i otaczających ulic.

- Ponieważ znają twoją twarz, nie możesz opuścić łodzi aż do chwili samego uderzenia. To oznacza, że nie możesz zapoznać się z okolicą. Ale od biedy zrobisz to tutaj. Sekcja techniczna przygotowała ten program, żebyś mógł spacerować bulwarem Saint-Remy, nie ruszając się z łodzi.

- To nie to samo.

- Z pewnością - zgodził się Szamron - ale musi wystarczyć.  
- Urwał i przez chwilę milczał w zadumie. - Więc co się stanie, kiedy zobaczycie trzydziestokilkuletniego Araba wchodzącego do kamienicy pod numerem pięćdziesiąt sześć? - Pozwolił, by pytanie zawisło na moment w powietrzu, potem sam na nie odpowiedział. - Ty i Dina ocenicie, czy to może być on. Jeśli uznacie, że tak, przekażecie bezpiecznym łączem wiadomość na bulwar Króla Saula. Potem prześlecie nagranie wideo. Jeśli nas zadowoli, wydamy rozkaz do akcji. Ty i Jaków opuścicie „Wierność” i motocyklem skierujecie się na Place de la Prefecture: Jaków jako kierowca, ty, rzecz jasna, na tylnym siedzeniu. Zadekujecie się gdzieś na czas oczekiwania. Może po prostu za parkujecie na rynku albo pójdziecie na kawę do którejś z kafejek. Jeśli Khaled zostanie w mieszkaniu dłużej, będziecie musieli się ruszać, zmieniać pozycje. To jest raczej uczęszczana część miasta, nie zasypia tak szybko. Obaj jesteście doświadczonymi wywiadowcami. Wiecie, co robić. Kiedy Dina zobaczy, że Khaled wychodzi, da wam znak przez radio. Musicie znaleźć się z powrotem na bulwarze w ciągu maksymalnie trzydziestu sekund.

Szamron powoli zduśił papierosa.

- Nie obchodzi mnie, czy zdarzy się to akurat w samym środku dnia - powiedział spokojnie. - Mam gdzieś, czy będzie w czymś towarzystwie. Wisi mi, jeśli nawet będzie widział to cały tłum ludzi. Kiedy Khaled al-Khalifa wyjdzie z tej kamienicy, chcę, żebyś go zabił i zakończył całą sprawę.

- Droga ucieczki?  
- Bulwarem Notre-Dame, do alei du Prado. Kierujcie się na wschód. Któryś z ajinów zostawi dla was samochód na parkingu Velodrome. Potem jak najszybciej jedźcie do Genewy. Umieścimy was tam w mieszkaniu i przeniesiemy, kiedy będzie bezpiecznie.

- Kiedy opuszczamy Sycylię?

- Teraz - odparł Szamron. - Płyńcie dokładnie na północ, w stronę Korsyki. Na południowo-zachodnim skraju wyspy znajduje się port Propriano. Odpływa stamtąd prom do Marsylii. Możecie płynąć za nim przez Morze Śródziemne. To dziewięć godzin drogi od Propriano. Wpłyńcie po zmroku i zgłóście się do kapitana portu. Potem skontaktujcie się z obserwatorami i uruchomcie połączenie z kamerą inwigilacyjną.

- A co z tobą?

- Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujecie w Marsylii, to starca patrzącego wam na ręce. Rami i ja zostawimy was tutaj. Jutro przed wieczorem będziemy już w Tel Awiwie.

Gabriel podniósł zdjęcie satelitarne bulwaru Saint-Remy i przyrzekał mu się uważnie.

- *Aleph, Bet, Ayin, Qoph* - powiedział Szamron. - To będzie jak za starych dobrych lat.

- Tak - westchnął Gabriel. - Co, u licha, mogłoby pójść źle?

Jaków i Dina czekali na pokładzie „Wierności”, podczas gdy Gabriel zabrał Szamrona i jego ochroniarza na brzeg. Rami wyskoczył na przystań i przytrzymał łódkę, a Szamron powoli się z niej gramolił.

- Ale to jest już koniec - oświadczył Gabriel. - Ostatni raz. Potem odchodzę.

- Obaj odchodzimy, obawiam się - powiedział Szamron. - Wrócisz do domu, zestarzejemy się razem.

- Już jesteśmy starzy.

Szamron wzruszył ramionami.

- Ale nie za starzy na ostatnią akcję.

- To się okaże.

- Jeśli dostaniesz zdjęcie, nie wahaj się. Czyni swoją powinność.

- Powinność wobec kogo?

- Wobec mnie, oczywiście.

Gabriel zawrócił łódkę i wypłynął z portu. Obejrzał się przez ramię i zobaczył Szamrona, stojącego bez ruchu na przystani z ręką uniesioną w geście pożegnania. Kiedy odwrócił się po raz drugi, starca już nie było. „Wierność” płynęła. Gabriel dodał gazu i popędził za nią.

**W** ciągu dwudziestu czterech godzin od przybycia „Wierności” do Marsylii Gabriel znieawidził widok drzwi wejściowych do kamienicy na bulwarze Saint-Remy pod numerem 56. Nienawidził samych drzwi. Mierziła go klamka i framugi. Nie mógł patrzeć na szare kamienne ściany budynku i żelazne kraty w oknach na parterze. Nie cierpiał ludzi, którzy przechodzili chodnikiem, szczególnie zaś wszystkich trzydziestokilkuletnich mężczyzn o arabskim wyglądzie. Najbardziej jednak nienawidził lokatorów kamienicy: dystyngowanego dżentelmena w kardiganie, który kilka kroków dalej miał kancelarię prawniczą, siwowłosej paniusi, której terrier każdego dnia z samego rana srał na chodnik, i kobiety imieniem Sophie, która zajmowała się głównie robieniem zakupów i bardziej niż przelotnie przypominała Leah.

Dyżurowali przed ekranem na zmianę: jedna godzina czuwania, dwie godziny odpoczynku. Każde z nich przyjmowało inną pozę w trakcie dyżuru. Jaków palił papierosa za papierosem i gapił się spode łba na ekran, jak gdyby samą siłą woli usiłując zmusić Khaleda, by się na nim pojawił. Dina zamyślona siadała po turecku na sofie, z rękoma złożonymi na kolanach, i zastygała w bezruchu, jeśli nie liczyć postukiwania wskazującym palcem prawej dłoni. I wreszcie Gabriel, przyzwyczajony do stania bez końca przed obiektem swojej pracy, przechadzał się powoli przed ekranem

z prawą ręką przy podbródku, lewą podpierającą prawy łokieć i z głową przechyloną na bok. Gdyby Francesco Tiepolo opuścił Wenecję i pojawił się nagle na pokładzie „Wierności”, rozpoznałby natychmiast tę pozę, bo była to ta sama, którą Gabriel przyjmował, kiedy zastanawiał się, czy obraz został skończony.

Zmiany samochodów inwigilacyjnych stanowiły miłe urozmaicenie nudy obserwacji. Zespoły ajinów udoskonaliły sekwencje ruchów, tak że odbywały się one z niemal baletową precyzją. Samochód zastępujący podjeżdżał od południa do wjazdu na parking. Stary wycofywał się i odjeżdżał, nowy wślizgiwał się na jego miejsce. Pewnego razu dwóch ajinów specjalnie stuknęło się zderzakami i rozpętało przekonującą pyskówkę, z myślą o ewentualnych obserwatorach. No i zawsze było tych kilka pełnych napięcia sekund, kiedy stara kamera już się wyłączała, a nowa jeszcze nie zaczęła działać. Potem Gabriel zarządzał dostrojenie kąta i ostrości, i wszystko wracało do normy.

Gabriel pozostawał uwięziony na „Wierności”, ale Jakowowi i Dinie kazał się zachowywać, jakby byli zwykłymi turystami. Pełnił podwójne, a nawet potrójne dyżury przy ekranie, tak by mogli zjeść lunch w restauracji na nabrzeżu lub zwiedzać na motorze najdalsze rejony miasta. Jaków pokonywał trasę ucieczki o różnych porach dnia i nocy, żeby zapoznać się z topografią i natężeniem ruchu. Dina kupowała ciuchy na jednym z usianych butikami deptaków albo wdziewała kostium kąpielowy i opalała się na pokładzie rufowym. Jej ciało nosiło ślady koszmaru z ulicy Dizengoffa: grubą czerwoną szramę biegnącą po prawej stronie brzucha i długą, nierówną bliznę na prawym udzie. Na ulicach Marsylii osłaniała je ubraniem, ale na pokładzie „Wierności” nie próbowała ukrywać ich przed wzrokiem Gabriela i Jakowa.

Nocą Gabriel zarządził trzygodzinne szychty przed ekranem, tak by ci, którzy nie dyżurowali, mogli się trochę wypaść. Szybko jednak zaczął żałować tej decyzji, ponieważ te trzy godziny

wydawały się wiecznością. Na ulicy przed kamienicą robiło się cicho i spokojnie jak w grobie. W każdej postaci, z rzadka prze-mykającej przez ekran, zdawał się kryć Khaled. Dla zmniejszenia nudy bezczynności Gabriel szeptem pozdrowiał ajinów pełniących służbę na esplanadzie naprzeciwko Pałacu Sprawiedliwości albo budził dyżurnego centrali operacyjnej przy bulwarze Króla Saula pod pretekstem kontroli łącza satelitarnego, żeby tylko usłyszeć jakiś głos z domu.

Dina była zmienniczką Gabriela. Kiedy już siadała w pozie jogina przed ekranem, on szedł do swojej kajuty i próbował spać, ale po głowie przewalały mu się obrazy drzwi albo Sabriego przechadzającego się bulwarem Saint-Germain z ręką w kieszeni kochanki, albo Arabów z Beit Sayeed, idących z rezygnacją na wygnanie, albo Szamrona na nabrzeżu Sardynii napominającego go, by czynił swoją powinność. I czasami Gabriel zastanawiał się, czy w ogóle dysponuje jeszcze zapasem zimnej krwi niezbędnym, żeby podejść do człowieka na ulicy i napełnić jego ciało kawałkami twardego metalu. W takich chwilach zwątpienia zdarzało mu się mieć nadzieję, że Khaled nigdy więcej nie postawi nogi na bulwarze Saint-Remy. A potem widział ruiny ambasady w Rzymie, przypominał sobie zapach spalonych ciał, który wisiał w powietrzu jak duchy pomordowanych, i wyobrażał sobie śmierć Khaleda, przepiękną i pełną gracji, oddaną z pełnym pasji spokojem Belliniego. Zabije Khaleda. Khaled nie dał mu innego wyboru, i za to Gabriel go nienawidził.

Czwartej nocy nie spał w ogóle. Za kwadrans ósma wstał z koi, żeby przygotować się na swój zaczynający się o ósmej dyżur. Wypił kawę w kambuzie i spojrzął na kalendarz, który wisiał na drzwiach lodówki. Nazajutrz przypadała rocznica upadku Beit Sayeed. Dzisiaj był ostatni dzień. Wszedł do salonu. Jaków, spowity w obłok papierosowego dymu, patrzył na ekran. Gabriel klepnął go w ramię i powiedział, żeby poszedł się trochę przespać. Przez kilka minut stał w tym samym miejscu, dopijając kawę, potem



przybrał swoją zwyczajową pozę z prawą ręką pod brodą, a lewą podpierającą prawy łokieć i zaczął przemierzać dywan przed ekranem. Prawnik opuścił budynek o ósmej piętnaście. Paniusia pojawiła się kilka minut później. Jej terrier nasrał prosto do kamery. Sophie, widmo Leah, wyszła ostatnia. Przystanęła na moment przy drzwiach, żeby wyłować z torebki okulary przeciwsłoneczne, zanim z gracją odpłynęła z pola widzenia.

- Wyglądasz strasznie - powiedziała Dina. - Zrób sobie wolne na resztę nocy. Jaków i ja cię zastąpimy.

Był wczesny wieczór; nie licząc dudnienia francuskiego technopopu dolatującego z sąsiedniego jachtu, w porcie panował spokój. Gabriel, ziewając, przyznał się Dinie, że od przybycia do Marsylii spał niewiele, jeśli w ogóle udawało mu się zasnąć. Dina poradziła, żeby wziął proszek nasenny.

- A co, jeśli Khaled pojawi się, kiedy ja będę leżał nieprzytomny w swojej kajucie?

- Może masz rację. - Usadowiła się po turecku na kanapie i wbiła wzrok w ekran. Chodnik na bulwarze Saint-Rémy pulsował popołudniowym ruchem pieszych. - Dlaczego nie możesz spać?

- Naprawdę muszę ci to wyjaśnić?

Nie zdjęła spojrzenia z ekranu.

- Bo boisz się, że nie przyjdzie? Że możesz spudłować? Że nas złapią i wsadzą do więzienia?

- Nie lubię tej pracy, Dina. Nigdy nie lubiłem.

- Nikt z nas nie lubi. Gdybyśmy lubili, wyrzuciliby nas ze służby. Robimy to, ponieważ nie mamy wyjścia. Robimy to, ponieważ jesteśmy zmuszeni, przez nich. Powiedz mi coś, Gabrielu. Co by się stało, gdyby jutro postanowili przestać wysadzać nas w powietrze, strzelać do nas i podrywać nam gardła? Zapanowałby pokój, tak? Ale oni nie chcą pokoju. Chcą nas zniszczyć. Jedyna

różnica między Hamasem a Hitlerem polega na tym, że Hamas nie ma wystarczających środków na skoordynowaną akcję eksterminacji Żydów. Ale pracuje nad tym.

- Jest wyraźna moralna różnica między nazistami a Palestyńczykami. W sprawie Khaleda tkwi pewna słuszność, pewna sprawiedliwość. Tylko środki jego walki są obrzydliwe i niemoralne.

- Słuszność? Sprawiedliwość? Khaled i jemu podobni już nieraz mogli mieć pokój, ale oni wcale go nie chcą. Ich celem jest nasza zagłada. Jeśli wierzysz, że chcą pokoju, łudzisz się. - Wskazała na ekran. - Jeśli Khaled pojawi się na tej ulicy, masz prawo, a nawet moralny obowiązek upewnić się, że nigdy już jej nie opuści, żeby znowu zabijać i okaleczać. Zrób to, Gabrielu, albo, jak mi Bóg miły, ja to zrobię za ciebie.

- Zrobiłabyś to? Naprawdę sądzisz, że byłabyś zdolna zabić go z zimną krwią na tej ulicy? Naprawdę z taką łatwością pociągnęłabyś za spust?

Milczała przez jakiś czas ze wzrokiem utkwionym w migoczący ekran telewizora.

- Mój ojciec pochodził z Ukrainy - powiedziała. - Z Kijowa. Był jedynym członkiem swojej rodziny, który przeżył wojnę. Całą resztę zapędzono do Babiego Jaru i rozstrzelano razem z trzydziestoma tysiącami innych Żydów. Po wojnie przyjechał do Palestyny. Przybrał hebrajskie imię Sarid: ten, który się ostał, resztką. Poślubił moją matkę i doczekali się razem szóstki dzieci, jeden brzdąc za każdy milion Żydów wymordowanych w Szoah. Ja byłam ostatnia. Dali mi na imię Dina: pomszczona.

Muzyka przybrała na sile, potem ucichła zupełnie i z zewnątrz dochodził już tylko odgłos fal, rozbijających się o kadłub jachtu. Oczy Diny zwięzły się nagle, jakby pod wpływem wspomnienia fizycznego bólu. Wzrok miała nadal utkwiony w bulwarze Saint-Remy, ale Gabriel wiedział, że myślami była na ulicy Dizengoffa.

- Rankiem dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku stałam na rogu ulic Dizengoffa i Królowej Estery razem z matką i dwiema siostrami. Kiedy podjechał autobus linii pięć, ucałowałam je i patrzyłam, jak wsiadają do środka. Zobaczyłam go, gdy drzwi były jeszcze otwarte. - Urwała i odwróciła głowę, by spojrzeć na Gabriela. - Siedział tuż za kierowcą, z torbą przy nogach. Spojrzał nawet na mnie. Miał przepiękną twarz. Nie, pomyślałam, to nie jest możliwe. Nie autobus linii pięć na ulicy Dizengoffa. Więc nie powiedziałam nic. Drzwi się zamknęły, autobus ruszył.

Oczy zaszyły jej łzami. Złożyła dłonie i nakryła nimi szramę na nodze.

- Więc co takiego miał w swojej torbie ten chłopak, ten chłopak, którego zobaczyłam, ale nic nie powiedziałam? Miał bombę z egipskiej miny przeciwpiechotnej. Oto, co miał w torbie. Miał dwadzieścia kilogramów trotylu i gwoździe skażone trutką na szczury. Najpierw nastąpił błysk, dopiero potem huk. Autobus wznosił się metr nad ziemię i runął z powrotem na ulicę. Upadłam. Widziałam, jak ludzie dokoła mnie krzyczą, ale nic nie słyszałam: fala uderzeniowa uszkodziła mi bębenki. Zobaczyłam ludzką nogę, leżącą obok mnie na ziemi. Pomyślałam, że to moja, ale moje obie były na miejscu. Ta noga należała do kogoś z autobusu.

Słuchając jej, Gabriel pomyślał nagle o Rzymie, o tym, jak stał z Szymonem Paznerem i patrzył na zgłiszcza ambasady. Czy obecność Diny na pokładzie „Wierności” była dziełem przypadku? A może została tu umieszczona przez Szamrona rozmyślnie, by przez samą swą obecność dopingowała Gabriela do „czynienia jego powinności”?

- Pierwsi policjanci, którzy przybyli na miejsce, dostali torsji na widok krwi i od zapachu spalonych ciał. Upadli na kolana i zaczęli wymiotować. Gdy tak leżałam, czekając, aż ktoś mi pomoże, zaczęła kapać na mnie krew. Popatrzyłam w górę i zobaczyłam krew, kawałki ciał i strzępy skóry wiszące na gałęziach

indyjskiego bzu. Tego ranka na ulicy Dizengoffa z nieba padała krew. Potem przybyli rabini z bractwa pogrzebowego Hewra Kadisza. Najpierw rękoma pozbiali największe części ciała, także te kawały wiszące na krzakach. Później za pomocą pincet zbierali najmniejsze. Widziałam, jak rabini pincetami zbierali strzępy mojej matki i dwóch sióstr i wsadzali je do plastikowych toreb. To właśnie pochowaliśmy. Strzępy. Resztki.

Objęła nogi ramionami i podciągnęła kolana pod podbródek. Gabriel siedział na kanapie obok niej i patrzył w ekran, żeby mieć pewność, że niczego nie przegapia. Dłoń wyciągnął w jej kierunku. Ujęła ją i łza potoczyła jej się po policzku.

- Winiłam siebie. Gdybym wtedy wiedziała, że ten chłopiec o przepięknej twarzy to naprawdę Abdel Rahim al-Souwi, członek brygad Izzedine al-Kassam Hamasu, mogłabym je ostrzec. Gdybym wiedziała, że brat Abdela został zamordowany w strzelaninie z SOI w osiemdziesiątym dziewiątym roku, rozumiałabym, dlaczego jedzie autobusem linii pięć w północnym Tel Awiwie z torbą przy nogach. Postanowiłam się zemścić: nie za pomocą pistoletu, ale własnego intelektu. Poprzysięgłam sobie, że kiedy następnym razem zobaczę któregoś z nich, będę wiedziała i ostrzegę ludzi, zanim będzie za późno. Dlatego ubiegałam się o przyjęcie do biura. Dlatego udało mi się ustalić związek między Rzymem a Beit Sayeed. Znam ich lepiej niż oni sami siebie.

Kolejna łza. Tym razem Gabriel ją otarł.

- Dlaczego zabił moją matkę i siostry, Gabrielu? Dlatego, że ukradliśmy im ziemię? Dlatego, że jesteśmy okupantami? Nie, dlatego, że chcieliśmy pokoju. Jeśli ich nienawidzę, musisz mi wybaczyć. Jeśli błagam cię, byś nie miał litości dla Khaleda, musisz być dla mnie wyrozumiały. Jestem Dina Sarid, pomszczona resztką. Jestem szóstym milionem. A jeśli Khaled pojawi się tej nocy, nie waż się pozwolić mu wsiąść do tego autobusu.

Lew zaproponował mu, żeby skorzystał z lokalu operacyjnego w Jerozolimie. Szamron grzecznie odmówił. Poprosił Tamare o znalezienie w magazynie składanego łóżka polowego, a Gilah o przysłanie walizki z czystym ubraniem i przyrządami do golenia. Szamron, podobnie jak Gabriel, przez ostatni tydzień spał niewiele. W niektóre noce godzinami przemierzał korytarze biura albo siedział na zewnątrz i palił ze strażnikami z Szabaku. Najczęściej jednak leżał na swoim łóżku, gapiąc się na czerwonałą poświęć cyfrowego zegara na biurku i licząc minuty, które zostały do rocznicy zniszczenia Beit Sayeed. Wypełniał czas, wspominając dawne operacje. Czekanie. Zawsze to czekanie. Niektórych agentów doprowadzało do szału. Dla Szamrona było jak narkotyk, pokrewny pierwszym katuszom zakochania się bez pamięci. Uderzenia gorąca, gwałtowne dreszcze, ssanie w żołądku: znosił to mnóstwo razy przez te wszystkie lata. W zaułkach Damaszku i Kairu, na brukowanych ulicach Europy, w zaniedbanych przedmieściach Buenos Aires, gdzie czekał, aż Adolf Eichmann, naczelny zawiadowca Holocaustu, wysiądzie z miejskiego autobusu prosto w łapy tych samych ludzi, których próbował unicestwić. Ładne zakończenie całej sprawy, pomyślał Szamron. A teraz już ostatnie nocne czuwanie. Ostatnie czekanie na dzwonek telefonu. I kiedy się wreszcie rozległ, chropawy elektroniczny dźwięk brzmiał w uszach Szamrona niczym muzyka. Zamknął oczy i pozwolił, by wybrzmiał raz jeszcze. Potem wyciągnął dłoń i przyłożył słuchawkę do ucha.

Zegar cyfrowy na ekranie telewizora wskazywał 00.27. Teoretycznie dyżur powinien pełnić teraz Jaków, ale była to już ostatnia noc przed krytyczną datą i nikt nie miał zamiaru spać. Siedzieli na kanapce w salonie: Jaków w swojej zwykłej konfrontacyjnej pozycji, Dina w pozycji medytacyjnej, Gabriel jakby czekał na wieści o spodziewanej śmierci. Na bulwarze Saint-Rémy było tej nocy

cicho i spokojnie. Dwadzieścia siedem minut po północy obok drzwi przeszła jakaś para i byli to pierwsi ludzie, jacy pojawili się w obiektywie kamery od prawie kwadransa. Gabriel spojrzął na Dinę, której oczy pozostały utkwione w ekranie.

- Widziałas to?

- Widziałam.

Gabriel wstał i podszedł do konsoli. Wyjął z magnetowidu kasety i włożył na jej miejsce nową. Tę wyciągniętą umieścił w odtwarzaczu i przewinął taśmę. Z Diną zaglądającą mu przez ramię wcisnął przycisk PLAY. Para weszła w obiektyw i minęła drzwi, nawet nie rzuciwszy na nie okiem.

Gabriel nacisnął STOP.

- Zobacz, jak sobie umieścił panienkę po swojej prawej stronie, od ulicy. Używa jej jak tarczy. I spójrz na jego prawą dłoń. Trzyma ją w kieszeni spodni dziewczyny, zupełnie tak jak Sabri.

REW.PLAY.STOP.

- Mój Boże - powiedział Gabriel. - Porusza się dokładnie tak jak jego ojciec.

- Jesteś pewien?

Gabriel podszedł do radia i wywołał obserwatora, stojącego na zewnątrz Pałacu Sprawiedliwości.

- Widziałeś tę parę, która dopiero co przeszła obok budynku?

- Tak.

- Gdzie są teraz?

- Poczekaj. - Chwila ciszy, kiedy ajin zmieniał pozycję. - Idą ulicą w stronę ogrodów.

- Możesz iść za nimi?

- Nie ma tu żywej duszy. Odradzałbym.

- Jasna cholera.

- Chwilka.

- Co?

- Poczekaj.

- Co się dzieje?

- Zawracają.
- Jesteś pewny?
- Najzupełniej. Wracają.

Gabriel spojrział na monitor właśnie w chwili, kiedy para ponownie weszła w obiektyw kamery, tym razem z przeciwnego kierunku. Kobieta znowu szła od strony ulicy, mężczyzna znowu trzymał rękę w tylnej kieszeni jej dżinsów. Zatrzymali się przy drzwiach pod numerem 56. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni klucz.

## 19

Surrey, Anglia

W klinice było tuż po dwudziestej drugiej, kiedy Amira Assaf wysiadła z windy i ruszyła korytarzem czwartego piętra. Skręciwszy za pierwszym rogiem, zobaczyła ochroniarza, siedzącego na krześle przed pokojem miss Martinson. Kiedy nadeszła Amira, uniósł głowę i zamknął książkę, którą czytał.

- Muszę się upewnić, że śpi wygodnie - powiedziała.

Ochroniarz pokiwał głową i wstał. Nie zaskoczyła go wizyta pielęgniarki. Od miesiąca co noc zaglądała do tego pokoju.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Ochroniarz ruszył za nią, zamykając za sobą drzwi. Lampka ustawiona na najmniejszy pobór mocy jarzyła się słabiutko. Amira podeszła do łóżka i spojrzała w dół. Miss Martinson spała głęboko. I nic dziwnego - Amira dała jej dziś podwójną dawkę codziennych proszków uspokajających. Jeszcze przez kilka godzin będzie nieprzytomna.

Pielęgniarka poprawiła pościel, potem otworzyła górną szufladę stojącego przy łóżku stoliczka. Pistolet, walter kalibru 9 milimetrów z tłumikiem, leżał dokładnie w tym samym miejscu, w którym umieściła go wcześniej, kiedy miss Martinson była w oranżerii. Chwyliła broń, obróciła się i wymierzyła pistolet w pierś ochroniarza. Błyskawicznym ruchem sięgnął za pazuchę kurtki. Zanim wyciągnął rękę, Amira wystrzeliła dwa razy: podwójny



strzał z dobitką wyszkolonego zabójcy. Obie kule weszły w klatkę piersiową. Ochroniarz poleciał do tyłu na podłogę. Amira stanęła nad nim i oddała jeszcze dwa strzały.

Wzięła serię głębokich oddechów, żeby zdławić silną falę mdłości, która ją ogarnęła. Potem podeszła do telefonu i wykręciła numer wewnętrzny.

- Mogłabyś poprosić Hamida, żeby przyszedł do pokoju miss Martinson? Jest tam trochę brudów, które trzeba zabrać, zanim ciężarówka z praniem odjedzie.

Odwiesiła słuchawkę, potem chwyciła trupa za ramiona i ciągnęła do łazienki. Dywan poplamiony był krwią, ale dziewczyna się tym nie przejmowała. Nie miała zamiaru ukrywać zbrodni, tylko o kilka godzin opóźnić jej wykrycie.

Rozległo się puknięcie do drzwi.

- Tak?

- Tu Hamid.

Przekręciła zamek i otworzyła pokój. Hamid wprowadził do środka wózek na kółkach, służący do przewożenia prania.

- Wszystko w porządku?

Amira skinęła głową. Hamid podprowadził wózek do łóżka, z którego dziewczyna ściągała pościel. Miss Martinson, słaba i pokryta bliznami, leżała bez ruchu. Hamid chwycił ją za tułów, Amira za nogi i razem delikatnie wsadzili do wózka. Pielęgniarka przykryła ją warstwą prześcieradeł.

Wyjrzała na korytarz, żeby się upewnić, czy droga jest wolna, potem odwróciła się do Hamida i ręką dała mu znak, by szedł za nią. Mężczyzna wyprowadził wózek z pokoju i ruszył z nim w stronę windy. Amira zamknęła drzwi, potem włożyła swoją kartę magnetyczną do zamka i złamała.

Dołączyła do Hamida przy windzie i wcisnęła guzik przywołania. Czekanie wydawało się wiecznością. Kiedy wreszcie drzwi się otworzyły, wprowadzili wózek do pustej kabiny. Amira nacisnęła przycisk parteru i wolno ruszyli na dół.

Korytarz na parterze był pusty. Hamid wysiadł pierwszy i skręcił na prawo, w stronę drzwi prowadzących na tylny dziedziniec. Amira poszła za nim. Na zewnątrz stała ciężarówka z otwartymi do załadunku tylnymi drzwiami. Na boku ciężarówki figurowała nazwa firmy dostawczej miejscowej pralni. Zatrudniony w niej kierowca leżał wśród kępy buków trzy kilometry od szpitala z kulą w karku.

Hamid wyjął z wózka worek z praniem i delikatnie umieścił go na tyle ciężarówki, potem zamknął drzwi i zajął miejsce obok kierowcy. Amira patrzyła, jak ciężarówka odjeżdża, potem weszła do środka i udała się do dyżurki siostry oddziałowej. To była zmiana Ginger.

- Nie czuję się dzisiaj najlepiej, Ginger. Myślisz, że mogłabyś się obejść beze mnie?

- Nie ma problemu, kwiatuszku. Chcesz, żeby cię odwiedzić?

Amira pokręciła głową.

- Poradzę sobie na motorze. Widzimy się jutro wieczorem.

Poszła do szatni dla personelu. Zanim zdjęła swój strój, schowała pistolet do plecaka. Potem przebrała się w dzinsy, gruby wełniany sweter i skórzaną kurtkę. Chwilę później szła tylnym dziedzińcem z plecakiem przewieszonym przez plecy.

Wsiadła na motocykl, uruchomiła silnik i wyjechała z dziedzińca. Gdy mijała róg starego pałacyku, spojrzała do góry na okno pokoju miss Martinson: jedno światelko palące się słabiutko, żadnych oznak jakichś problemów. Popędziła podjazdem i zatrzymała się przy budce strażnika. Mężczyzna pełniący służbę życzył jej dobrej nocy i otworzył bramę. Amira skręciła na drogę i dodała gazu. Dziesięć minut później pędziła autostradą A24, kierując się na południe w stronę morza.

Gabriel wślizgnął się do swojej kajuty i zamknął drzwi. Podeszedł do szafki, podwinął kawałek dywanu, odsłaniając drzwiczki schowka w podłodze. Przekręcił zamek i otworzył wieko. W środku znajdowały się trzy pistolety: beretta 92 FS, Jerycho 941 PS i barak SP-21. Ostrożnie podniósł każdy z nich i położył je na koi. Beretta i Jerycho miały kaliber 9 milimetrów. Magazynek beretty mieścił piętnaście naboji, Jerycha - szesnaście. Barak, kwadratowy, czarny i brzydki, działał co prawda na większe i bardziej niszczycielskie naboje .45, ale był tylko ośmiostrzałowy.

Gabriel rozłożył pistolety, zaczynając od beretty, a kończąc na baraku. Każdy z nich wydawał się być w doskonałym stanie. Złożył je, naładował, potem sprawdził ich ciężar i wyważenie, zastanawiając się, którego użyć. Nic nie wskazywało na to, że akcja zostanie przeprowadzona z ukrycia i po cichutku. Prawdopodobnie rozegra się na ruchliwej ulicy, może w samym środku dnia. Priorytetem była absolutna gwarancja śmierci Khaleda. Do tego Gabriel potrzebował mocy i pewności uderzenia. Wybrał baraka jako broń główną i berettę w charakterze wsparcia. Postanowił także zrezygnować z tłumika. Tłumik sprawiał, że broń trudno było ukryć, a jeszcze trudniej wyciągnąć i z niej wystrzelić. Poza tym jaki sens miałoby korzystanie z tłumika, jeśli wszystkiemu przyglądałby się tłum ulicznych gapiów? Poszedł do łazienki i stał

przez chwilę przed lustrem, przyglądając się badawczo swojemu odbiciu. W końcu otworzył apteczkę, wyjął parę nożyczek, brzytwę i tubkę kremu do golenia. Przyciął brodę do krótkiej szczecinki, resztę zgolił brzytwą. Włosy na głowie ciągle jeszcze pokryte były siwą farbą. Nic na to nie mógł poradzić.

Ściągnął ubranie i wziął szybki prysznic, potem wszedł z powrotem do kajuty, żeby się ubrać. Naciągnął bieliznę i skarpety, potem ciemnoniebieskie dżinsy. Wsunął stopy w skórzane moka-syny na gumowej podeszwie. Do paska u spodni przy lewym biodrze przymocował radionadajnik, odchodzące od niego przewody przeciągnął odpowiednio do ucha i lewego nadgarstka. Zabezpieczywszy je paskami czarnej taśmy, włożył czarną koszulę z długimi rękawami. Berettę wsunął z tyłu za pasek spodni. Barak mieścił się idealnie w kieszeni skórzanej kurtki. Lokalizator GPS, małej dysku wielkości jednego euro, włożył do przedniej kieszeni dżinsów.

Usiadł w nogach łóżka i czekał. Pięć minut później rozległo się pukanie do drzwi. Zegar wskazywał drugą dwanaście.

- Jak pewni są eksperci?

Premier popatrzył na rząd monitorów i czekał na odpowiedź. Na jednym z ekranów widniała twarz Lwa, na drugim dyrektora generalnego Szabaku, Moszego Jariva, na trzecim szefa Amanu, generała Amosa Szarreta.

- Nie ma żadnych wątpliwości - odparł Lew. - Mężczyzna na zdjęciu dostarczonym przez Mahmuda Arwisha to ten sam człowiek, który właśnie wszedł do kamienicy w Marsylii. Teraz potrzeba nam już tylko pańskiej zgody na rozpoczęcie ostatniego etapu operacji.

- Macie ją. Wydajcie rozkaz „Wierności”.

- Tak, panie premierze.

- Zakładam, że będziecie mieć nasłuch radiowy?

- Prosto z jachtu bezpiecznym łączem. Będziemy utrzymywać kontrolę operacyjną aż do ostatniej sekundy.

- Prześlijcie to także tutaj - powiedział premier. - Nie chcę być tym, który dowiaduje się ostatni.

Potem przycisnął guzik na swoim biurku i wszystkie trzy ekrany zgasły.

Motocykl, grafitowy piaggio X9 evolution, miał automatyczną manetkę gazu i maksymalną prędkość licznika dochodzącą do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, ale Jaków poprzedniego dnia, w trakcie ćwiczebnej przejażdżki trasą ucieczki, zdołał wyciągnąć sto dziewięćdziesiąt. Siodełko opadało ostro do przodu, tak że pasażer siedział kilkanaście centymetrów wyżej od kierowcy. Czyniło to z motoru perfekcyjny pojazd dla zabójcy, choć z pewnością nie taki był zamysł jego projektantów. Silnik odpalił bez zarzutu, jak zawsze. Jaków skierował się nabrzeżem do miejsca, gdzie czekał już na niego Gabriel w kasku. Konserwator zajął miejsce dla pasażera i wygodnie się usadowił.

- Zawieź mnie na bulwar Saint-Remy.

- Jesteś pewien?

- Tylko jedna rundka - powiedział. - Chcę zobaczyć, jak to wygląda.

Jaków przechylił się mocno w lewo i poszusował wzgórzem.

Budynek na Corniche, z marmurową podłogą w holu i przeważnie sprawną windą, robił wrażenie. Z mieszkań wychodzących na ulicę roztaczał się przepiękny widok na Nil. Okna tych od tyłu wychodziły na ogrodzone tereny amerykańskiej ambasady. To był budynek dla cudzoziemców i bogatych Egipcjan; zupełnie inny świat od brązowawych kamienic z żuzłobetonu w Heliopolis, gdzie mieszkał Zubair. Praca policjanta nie była

w Egipcie specjalnie intratnym zajęciem, nawet jeśli pracowało się jako tajniak w Mukhabaracie.

Wszedł na schody. Były szerokie, kręte i wyłożone spłowiałym bieżnikiem przytwierdzonym matowymi kulami z mosiądzu. Mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze, dziesiątym. Zubair kłął pod nosem, człapiąc pod górę. Dwie paczki papierosów Kleopatry dziennie spustoszyły mu płuca. Trzy razy musiał przystawać na półpiętrze, żeby złapać oddech. Upłynęło dobre pięć minut, zanim dotarł do mieszkania.

Przycisnął ucho do drzwi. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk, co nie zdziwiło Zubaira. Ubiegłej nocy śledził Anglika podczas jego mocno zakrapianej peregrynacji po hotelowych barach i nadbrzeżnych klubach nocnych. Był przekonany, że gość jeszcze odsypia.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął klucz. Mukhabarat miał ich piękną kolekcję, należały do dyplomatów, dysydentów, islamistów i, przede wszystkim, zagranicznych dziennikarzy. Wsadził klucz do zamka i przekręcił, potem otworzył drzwi i wszedł do środka.

Mieszkanie było chłodne i pogrążone w mroku, szczelnie zaciągnięte zasłony chroniły przed atakiem porannego słońca. Zubair nie po raz pierwszy był w tym wnętrzu. Nie trudząc się zapalaniem świateł, bez problemu znalazł drogę do sypialni. Quinnell spał głęboko w nasiąkniętej potem pościeli. W zatechłym powietrzu unosił się wszechogarniający odór whisky. Zubair wyciągnął pistolet i ruszył wolno w stronę nóg łóżka. Po kilku krokach jego prawa stopa natrafiła na coś małego i twardego, co pękło, wydając ostry trzask, zanim zdążył się cofnąć. W głębokiej ciszy pokoju rozległ się on niczym odgłos pękającego konaru drzewa. Zubair spojrział w dół i zobaczył, że nastąpił na zegarek Quinnella. Anglik, mimo stanu upojenia, usiadł na łóżku szybko i prosto, jakby kij połknął. Cholera, pomyślał Zubair. Nie był zawodowym zabójcą. Miał nadzieję, że zlikwiduje Quinnella we śnie.

- Co, u diaska, tutaj robisz?

- Mam dla ciebie wiadomość od naszego przyjaciela - powiedział Zubair spokojnie.

- Nie chcę mieć z nim nic więcej wspólnego.

- I vice versa.

- Więc co, na Boga, robisz w moim mieszkaniu?

Zubair uniósł pistolet. Chwilę później opuścił mieszkanie i ruszył schodami na dół. W połowie drogi oddychał niczym maratończyk i cały złany był potem. Zatrzymał się i oparł o balustradę. Przeklęte kleopatry. Jeśli ich szybko nie rzuci, doprowadzą go do śmierci.

Marsylia, godzina piąta dwadzieścia dwie rano. Drzwi kamienicy otwierają się. Jakaś postać wychodzi na ulicę. Alarm Diny słychać w centrum operacyjnym przy bulwarze Króla Saula i w jerozolimskim gabinecie premiera. Słychać go także na brudnej esplanadzie przy cours Belsunce, gdzie Gabriel i Jaków siedzą na brzegu nieczynnej fontanny w otoczeniu narkomanów i bezdomnych imigrantów.

- Kto to jest? - pyta Gabriel.

- Dziewczyna - mówi Dina, i zaraz dodaje: - Dziewczyna Khaleda.

- W którą stronę idzie?

- Na północ, w kierunku Place de la Prefecture.

Kilka następnych sekund upływa w śmiertelnej ciszy. W Jerozolimie Szamron przemierza dywan przed biurkiem premiera, czekając niecierpliwie na rozkaz Gabriela.

- Nawet nie próbuj - mówi pod nosem. - Jeśli dziewczyna zobaczy obserwatora, ostrzeże Khaleda, a on ci się wymknie. Puść ją.

Mija kolejnych dziesięć sekund. Wreszcie głos Gabriela przerywa ciszę eteru.

- Zbyt duże ryzyko - szepcze. - Puść ją.

Narada w Ramalli zakończyła się o świcie. Jaser Arafat był w wyśmienitym humorze. Zgromadzonym przypominał trochę dobrego, starego Arafata z przeszłości, Arafata, który mógł przez całą noc omawiać ideologiczne i strategiczne kwestie w gronie najbliższych towarzyszy, a zaraz potem ruszyć na oficjalne spotkanie z głową któregoś z państw. Kiedy jego oficerowie opuszczali pokój, prezydent dał znak Mahmudowi Arwishowi, żeby został.

- Zaczęło się - powiedział Arafat. - Teraz możemy mieć tylko nadzieję, że Allah pobłogosławił święte przedsięwzięcie Khaleda.

- To także twoje przedsięwzięcie, Abu Amarze.

- To prawda - zgodził się Arafat. - I nie doszłoby do skutku bez twojej pomocy, Mahmudzie.

Arwish skinął ostrożnie głową. Arafat nie spuszczał z niego wzroku.

- Dobrze odegrałeś swoją rolę - ciągnął Arafat. - Sprytnie wyprowadziłeś w pole Izraelczyków. To prawie rekompensuje twoje przemieszczenie wobec mnie i całego palestyńskiego narodu. Kusi mnie, żeby przymknąć oko na twoją zbrodnię, ale nie mogę.

Arwish poczuł, jak tężeje mu serce. Prezydent uśmiechnął się.

- Naprawdę myślałeś, że twoja zdrada ujdzie ci na sucho?

- Moja żona... - zająknął się Arwish. - Żydzi zmusili mnie...

Arafat lekceważąco machnął ręką.

- Mówisz jak dziecko, Mahmudzie. Nie powiększaj swojej hańby, błagając o życie.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wkroczyło dwóch umundurowanych wartowników z karabinami gotowymi do strzału. Arwish usiłował sięgnąć do kabury po broń, ale poczuł walnięcie kolbą karabinu w nerkę. Oślepiający ból rzucił go na podłogę.

- Dzisiaj umrzesz śmiercią zdrajcy - powiedział Arafat. - Śmiercią psa.

Strażnicy podnieśli Arwisha i trzymając go za nogi i ręce, wynieśli twarzą do dołu z gabinetu, i schodami na zewnątrz. Arafat



podszedł do okna i wyrzął na dziedziniec, gdzie pojawili się żołnierze z pojmanym. Kolejny cios kolbą w nerki raz jeszcze obalił Arwisha na ziemię. Potem zaczęła się egzekucja. Powoli i rytmicznie rozpoczęli ostrzał od stóp i niespiesznie posuwali się w górę ciała. Mukata rozbrzmiewała terkotem kałasznikowów i krzykami umierającego zdrajcy. Taki odgłos lubił Arafat najbardziej - odgłos rewolucji. Odgłos zemsty.

Kiedy jęki ucichły, rozległ się finalny strzał w głowę. Arafat zaciągnął żaluzje. Jeden wróg został załatwiony. Wkrótce następnego spotka podobny los. Wyłączył lampę i siedział w półmroku, czekając na dalsze doniesienia.

Później, już po wszystkim, Dina bezowocnie szukała jakiejś symboliki, kryjącej się za porą pojawienia się Khaleda. Dokładne słowa, w jakich przekazała o tym informację zespołom, wyleciały jej z głowy, choć taśma utrwaliła je na zawsze: „To on. Jest na ulicy. Kieruje się na południe w stronę parku”. Wszystkich, którzy słyszeli komunikat, uderzył powściągliwy, wyzuty z emocji głos Diny. Przekazała wieść tak spokojnie, że przez chwilę Szamron nie rozumiał, co się stało. Dopiero kiedy usłyszał ryk motocykla Jakowa, po którym nastąpił odgłos przyspieszonego oddechu Gabriela, dotarło do niego, że Khaled miał właśnie dostać to, co mu się należało.

W ciągu pięciu sekund od usłyszenia głosu Diny Jaków i Gabriel nałożyli kaski i na pełnym gazie ruszyli po cours Belsunce na wschód. Na Place de la Prefecture Jaków przechylił motor mocno na prawo i pognał przez plac w stronę wlotu na bulwar Saint-Remy. Gabriel lewą ręką trzymał się pasa Jakowa. Prawa, wciśnięta w kieszeń kurtki, spoczywała na klockowatej rękojeści baraka. Zaczynało się właśnie rozwidniać, ale ulica ciągle jeszcze była pogrążona w półmroku. Gabriel po raz pierwszy na własne oczy ujrzał Khaleda, jak szedł chodnikiem, niczym ktoś spóźniony na ważne spotkanie.

Nagle motor zwolnił. Jaków musiał podjąć decyzję: wjechać w ulicę pod prąd i zbliżyć się do Khaleda od tyłu, czy zostać na

właściwym pasie i zrobić pętlę, żeby zająć właściwą pozycję do strzału. Gabriel szturchnięciem lufą pistoletu popędził go na prawo. Jaków docisnął gaz i motocykl wystrzelił do przodu. Gabriel nie spuszczał wzroku z Khaleda. Palestyńczyk przyspieszył kroku.

Właśnie wtedy z bocznej uliczki wysunął się ciemnoszary mercedes, blokując im przejazd. Jaków gwałtownie wcisnął hamulce, żeby uniknąć zderzenia, potem zatrąbił i machnął na samochód, żeby zjechał im z drogi. Siedzący w nim kierowca, młody mężczyzna o arabskim wyglądem, spojrzął zimno na Jakowa i ukarał go za impulsywność, wolnusiętko odsłaniając im przejazd. Kiedy mogli znowu ruszyć, Khaled skręcił już za róg i zniknął Gabrielowi z oczu.

Jaków popędził do wylotu ulicy i skręcił w lewo, na bulwar Andre Aune, który wznosił się stromo od strony starego portu i biegł w kierunku górującej nad okolicą wieży kościoła Notre Dame de la Gardę. Khaled przeszedł już przez ulicę i teraz wchodził do przejścia podziemnego. Dzięki programowi komputerowemu Gabriel nauczył się na pamięć przebiegu wszystkich ulic w okolicy. Wiedział, że pasaż prowadzi do stromych, kamiennych schodów zwanych Montee de l'Oratoire. To posunięcie Khaleda sprawiło, że motocykl stał się bezużyteczny.

- Zatrzymaj się tutaj - powiedział Gabriel. - Nie ruszaj się.

Zeskoczył z motoru i, ciągle w kasku na głowie, ruszył śladem Palestyńczyka. Przejście nie było oświetlone i przez kilka kroków w samym środku pasażu Gabriel poruszał się w absolutnych ciemnościach. Doszedłszy do końca, wkroczył ponownie w krąg niewyraźnego różowawego światła. Zaczęły się schody: szerokie i bardzo stare, z pokrytą farbą metalową poręczą biegnącą pośrodku. Po lewej stronie Gabriel miał stiukową fasadę kamienicy w kolorze khaki, po prawej wysoki mur z piaskowca ze zwieszającymi się nad nim konarami drzew oliwnych i rozkwitłą winoroślą.

Schody skręcały w lewo. Kiedy Gabriel minął zakręt, ponownie ujrzał Khaleda. Palestyńczyk znajdował się już w połowie schodów

i szybko wspinał się dalej. Gabriel sięgnął po baraka, ale powstrzymał się. U góry znajdowała się kolejna kamienica. Gdyby spadł, zblakana kula niemal na pewno uderzyłaby w budynek. Ze słuchawki w uchu dobiegały go głosy: Diny pytającej się Jakowa, co się dzieje. Jakowa opowiadającego Dinie o samochodzie, który zablokował im przejazd, i schodach, które zmusiły ich do rozdzielenia się.

- Widzisz go?

- Nie.

- Jak długo nie ma go już w zasięgu wzroku?

- Kilka sekund.

- Dokąd idzie Khaled? Dlaczego idzie tak daleko? Gdzie jest jego obstawa? Nie podoba mi się to. Powiem mu, żeby się wycofał.

- Pozwól mu działać.

Khaled wszedł na górę i zniknął. Gabriel, pokonując po dwa stopnie na raz, dotarł na górę najwyżej dziesięć sekund po Palestyńczyku i stanął naprzeciw rozwidlenia dwóch ulic w kształcie litery V. Jedna z nich, ta po prawej stronie Gabriela, biegła wprost na dziedziniec kościelny. Nie było na niej ani samochodów, ani pieszych. Gabriel pognał na lewo i zlustrował drugą ulicę. Tu także nie było widać śladu Khaleda, jedynie dwa czerwone tylne światła samochodowe, oddalające się pospiesznie.

- Przepraszam pana, monsieur, zabłądził pan?

Gabriel odwrócił się i unióś owiewkę kasku. Stała na szczycie schodów, młoda, nie więcej niż trzydziestoletnia, o dużych brązowych oczach i krótkich czarnych włosach. Zwróciła się do niego po francusku. Gabriel odpowiedział w tym samym języku.

- Nie, nie zabłądziłem.

- A może szuka pan kogoś?

A dlaczego ty, taka atrakcyjna kobieta, rozmawiasz z obcym mężczyzną w motocyklowym kasku? Zrobił krok w jej kierunku.

Nie cofnęła się, ale Gabriel dostrzegł w jej ciemnym spojrzeniu ślad niepokoju.

- Nie. Nikogo nie szukam.

- Jest pan pewien? Mogłabym przysiąc, że szuka pan kogoś.

- Wolno przechyliła głowę na bok. - Swojej żony na przykład.

Gabriel miał uczucie, jakby kark stanął mu w płomieniach. Przyjrzał się uważniej twarzy kobiety i uświadomił sobie, że już ją kiedyś widział. To ona przyszła z Khaledem do mieszkania. Jego prawa dłoń zacisnęła się mocniej na rękojeści baraka.

- Ma na imię Leah, prawda? Przebywa w szpitalu psychiatrycznym na południu Anglii, a przynajmniej przebywała. W klinice Stratford, chyba tak nazywa się ten przybytek. Była zarejestrowana pod nazwiskiem Lee Martinson.

Gabriel rzucił się do przodu i chwycił kobietę za gardło.

- Co z nią zrobiliście? Gdzie ona jest?

- Jest w naszych rękach - wydyszała kobieta - ale ja nie wiem gdzie dokładnie.

Gabriel pchnął ją do tyłu w stronę schodów.

- Gdzie ona jest? - powtórzył pytanie po arabsku. - Odpowiadaj! I nie mów do mnie po francusku. Mów do mnie w swoim własnym języku! Mów do mnie po arabsku.

- Mówię prawdę.

- Więc jednak znasz arabski. Gdzie ona jest? Gadaj albo polecisz w dół.

Pchnął ją centymetr bliżej skraju schodów. Jej ręka wyciągnęła się w stronę poręczy, ale natrafiła na powietrze. Gabriel potrząsnął kobietą gwałtownie.

- Jeśli mnie zabijesz, zabijesz też siebie i swoją żonę. Jestem twoją jedyną nadzieją.

- A jeśli zrobię, co mi każesz?

- Uratujesz jej życie.

- A co ze mną?

Zostawiła to pytanie bez odpowiedzi.

- Powiedz swoim ludziom, żeby się wycofali. Powiedz im, żeby natychmiast opuścili Marsylię. W przeciwnym wypadku poinformujemy Francuzów, że tu jesteście, a to tylko pogorszy sytuację.

Spojrzał nad jej ramieniem i zobaczył Jakowa, zbliżającego się schodami w ich stronę. Gabriel lewą ręką dał mu znak, żeby się zatrzymał. W słuchawkach usłyszał głos Diny: puść ją, Gabriel. Znajdziemy Leah. Nie pozwól, żeby Khaled rozegrał to po swojej myśli.

Spojrzał dziewczynie w oczy.

- A jeśli powiem im, żeby się wycofali?

- Zabiorę cię do niej.

Gabriel potrząsnął nią raz jeszcze.

- Więc jednak wiesz, gdzie jest.

- Nie, będą nam mówić, dokąd mamy jechać. Odcinek po odcinku, krok po kroku. Jeśli nie zdążymy gdzieś na czas, twoja żona umrze. Jeśli twoi agenci będą nas śledzić, twoja żona umrze. Jeśli mnie zabijesz, twoja żona umrze. Jeśli będziesz robił dokładnie, co każemy, będzie żyła.

- A co się stanie ze mną?

- Czyż nie wycierpiała już dość? Uratuj swoją żonę, Allon. Chodź ze mną i rób dokładnie to, co każę. To twoja jedyna szansa.

Spojrzał na schody i zobaczył, że Jaków kręci głową. Dina szeptała mu do ucha: proszę, Gabriel, nie zgadzaj się.

Spojrzał dziewczynie w oczy. Szamron nauczył go odczytywać uczucia innych, odróżniać prawdę od kłamstwa, ale w ciemnych oczach dziewczyny Khaleda Gabriel widział jedynie niewzruszoną otwartość fanatyka, przekonanie, że minione cierpienia usprawiedliwiają każdy czyn, nieważne jak bardzo okrutny. Dostrzegł także niepokojący spokój. Dziewczyna była szkolona, nie tylko indoktrynowana. Trening, jaki przeszła, czynił z niej groźnego przeciwnika, ale to fanatyzm był jej piętą achillesową.

Czy naprawdę Leah znajdowała się w ich rękach? Nie miał żadnego powodu, by w to wątpić. Khaled zniszczył ambasadę

w samym centrum Rzymu. Z pewnością był też w stanie porwać kaleką kobietę z angielskiego szpitala dla umysłowo chorych. Opuścić Leah, po tym wszystkim, co wycierpiała, było dla Gabriela nie do pomyślenia. Być może zginie. Być może zginą oboje. Być może, jeśli dopisze im szczęście, Khaled pozwoli im umrzeć razem. Khaled świetnie to rozegrał. Nigdy nie miał zamiaru zabijać Gabriela w Wenecji. Dossier z Mediolanu było tylko otwierającym gambitem dobrze opracowanej intrygi, która miała zwabić Gabriela tutaj, na to miejsce w Marsylii, i pokazać mu ścieżkę, którą musiał podążać. Nie miał innego wyjścia: popychała go na nią wierność. Ściągnął dziewczynę ze skraju schodów i poluzował uścisk na gardle.

- Wycofajcie się - powiedział bezpośrednio do mikrofonu na nadgarstku. - Opuśćcie Marsylię. - Kiedy Jaków potrząsnął głową, Gabriel warknął: - Róbcie, co mówię.

Od strony kościoła nadjechał samochód. Ten sam mercedes, który zablokował im przejazd kilka minut wcześniej na bulwarze Saint-Remy. Zatrzymał się przed schodami. Dziewczyna otworzyła tylne drzwi i wsiadła do środka. Gabriel spojrzął po raz ostatni na Jakowa i wgramolił się za nią.

- Zniknął z eteru - odezwał się Lew. - Jego lokalizator nie zmienił położenia od pięciu minut.

Jego lokalizator, pomyślał Szamron, leży w jakimś marsyjskim ścieku. Stracili łączność z Gabrielem. Tyle planów, tyle przygotowań, a Khaled i tak pobił ich najstarszą z arabskich sztuczek - wzięciem zakładnika.

- Z porwaniem Leah to prawda? - zapytał Szamron.

- Londyńska komórka kilkakrotnie wywoływała agenta z ochrony. Jak dotąd nie byli w stanie się z nim połączyć.

- To znaczy, że ją mają - stwierdził Szamron. - A my, jak podejrzewam, mamy martwego agenta gdzieś na terenie kliniki Stratford.

- Jeśli tak jest, to w Anglii za kilka minut rozpęta się nie lada burza. - W głosie Lwa było jak na gust Szamrona nieco zbyt dużo zimnej krwi, ale Lew zawsze nad wyraz wysoko cenił sobie umiejętność zachowania spokoju. - Zwrócimy się do naszych przyjaciół w MI-5 i Home Office, żeby sprawę wyciszyć tak bardzo, jak to tylko możliwe, i na tak długo, jak to tylko możliwe. Trzeba także włączyć do sprawy MSZ. Ambasador będzie musiał naściskać się trochę rąk.

- Zgoda - powiedział Szamron - ale obawiam się, że najpierw musimy zrobić coś jeszcze.

Spojrzał na swój zegarek. Była siódma dwadzieścia osiem czasu lokalnego, szósta dwadzieścia osiem we Francji: dwanaście godzin do rocznicy ewakuacji Beit Sayeed.

- Ale nie możemy go tutaj tak po prostu zostawić - protestowała Dina.

- Jego już tutaj nie ma - odpowiedział Jaków. - Zniknął. To on podjął decyzję, żeby jechać z dziewczyną. Nam kazał się ewakuować, Tel Awiw tak samo. Nie mamy wyboru. Wyjeżdżamy.

- Ale musi być coś, co możemy zrobić, żeby mu pomóc.

- Nie pomożesz mu zza krat francuskiego więzienia.

Jaków podniósł do ust nadgarstek z mikrofonem i kazał wyciąć się zespołom ajinów. Dina niechętnie zeszła do doku i zaczęła odcumowywać liny. Kiedy uporała się z ostatnią, weszła z powrotem na pokład. Stała na mostku przy Jakowie, gdy wprowadzał statek do kanału. Kiedy minęli Fort Świętego Mikołaja, zeszła schodami pod pokład do głównej kabiny. Usiadła przy konsolocie łączności, wpisała polecenie dostępu pamięci i ustawiła czas na szóstą dwanaście rano. Kilka sekund później usłyszała swój własny głos.

„To on. Jest na ulicy. Kieruje się na południe w stronę parku”.

Wysłuchiwała całości od początku: Jaków i Gabriel w milczeniu wsiadający na motocykl, Jaków uruchamiający silnik i ruszający



z miejsca, dźwięk opon buksujących i ślizgających się po asfalcie bulwaru Saint-Rémy, głos Gabriela, cichy i wyzuty z emocji: „Zatrzymaj się tutaj. Nie ruszaj się”.

Dwadzieścia sekund później głos kobiety: „Przepraszam pana, monsieur, zabłądził pan?”.

STOP.

Jak długo Khaled musiał to planować? Całe lata, pomyślała. Zostawiał jej tropy i ślady, a ona szła po nich, od Beit Sayeed do Buenos Aires, od Sztambułu do Rzymu, a teraz Gabriel był w ich rękach. Zabiją go i ona będzie temu winna.

Wcisnęła odtwarzanie i jeszcze raz wysłuchała dyskusji Gabriela z Palestynką, potem sięgnęła po telefon satelitarny i bezpiecznym łączem skontaktowała się z bulwarem Króla Saula.

- Potrzebuję identyfikacji głosu.
- Masz nagranie?
- Tak.
- Jakość?

Dina wyjaśniła okoliczności nagrania.

- Odtwórz.

Wcisnęła PLAY.

„Jeśli nie zdążymy gdzieś na czas, twoja żona umrze. Jeśli twoi agenci będą nas śledzić, twoja żona umrze. Jeśli mnie zabijesz, twoja żona umrze. Jeśli będziesz robił dokładnie, co każemy, będzie żyła”.

STOP.

- Proszę zaczekać.

Dwie minuty później:

- Nie figuruje w bazie danych.

Martineau spotkał się z Abu Saddikiem po raz ostatni na bulwarze d'Athenes, u podnóża szerokich schodów prowadzących na dworzec Saint-Charles. Abu Saddik ubrany był na modłę

zachodnią: w eleganckie gabardynowe spodnie i odprasowaną bawełnianą koszulę. Powiedział Martineau, że przed chwilą jakaś łódź w wielkim pośpiechu opuściła port.

- Jak się nazywała?

Abu Saddik odpowiedział.

- Wierność - powtórzył Martineau. - Interesujący wybór.

Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach z Abu Saddikiem u boku.

- Szahidzi otrzymali już ostatnie rozkazy - oznajmił Abu Saddik. - Udadzą się na stanowiska zgodnie z planem. Nic nie może ich już zatrzymać.

- A ty?

- Prom do Algieru w południe.

Dotarli do końca schodów. Dworzec kolejowy był brązowy, brzydki i w ruinie.

- Muszę powiedzieć - powiedział Abu Saddik - że nie będę tęsknił za tym miejscem.

- Jedź do Algieru i zadekuj się gdzieś dobrze. Przeniesiemy cię na Zachodni Brzeg, kiedy zrobi się bezpiecznie.

- Po dzisiejszym - wstrząsnął się - nigdy już nie będzie bezpiecznie.

Martineau uściśnął mu dłoń.

- *Maa-salaamah.*

- *As-salaam alaykum*, bracie Khaledzie.

Abu Saddik odwrócił się i ruszył schodami na dół. Martineau wszedł na dworzec i przystanął przed tablicą odjazdów. Pociąg TGV do Paryża odjeżdżał o ósmej piętnaście z toru F. Martineau przeciął terminal i wszedł na peron. Szedł wzdłuż pociągu, dopóki nie znalazł swojego wagonu, potem wszedł do środka.

Zanim zajął swoje miejsce, udał się do toalety. Przez dłuższą chwilę stał przed lustrem, studiując badawczo własne odbicie. Kurtka od Yves'a Saint-Laurenta, ciemnoniebieska koszula w podłużne pasy, markowe okulary: Paul Martineau, szacowny Fran-

cuz, znamienity archeolog. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj Martineau był Khaledem, synem Sabriego, wnukiem szejka Asada. Mścicielem dawnych krzywd, mieczem Palestyny.

„Szahidzi otrzymali już ostatnie rozkazy. Nic nie może ich już zatrzymać”.

Jeszcze inny rozkaz został wydany. Człowiek, który spotka się z Abu Saddikiem tego wieczoru w Algierze, zabije go. Martineau wyciągnął wnioski z błędów swoich przodków. Nigdy nie pozwoli, żeby załatwił go arabski zdrajca.

Chwilę później, kiedy pociąg opuszczał dworzec i kierował się na północ przez muzułmańskie slumsy Marsylii, Martineau siedział już na swoim miejscu w wagonie pierwszej klasy. Do Paryża było osiemset siedemdziesiąt kilometrów, ale szybkobieżny TGV miał pokonać ten dystans w nieco ponad trzy godziny. Cud zachodniej technologii i francuskiej pomysłowości, pomyślał Khaled. Potem zamknął oczy i zapadł w sen.

Martigues, Francja

Dom znajdował się w arabskim osiedlu robotniczym na południowym krańcu miasta. Miał dach z czerwonych dachówek, zniszczoną, tynkowaną fasadę oraz dziedziniec zarośnięty chwastami i zaśmiecony połamanymi dziecięcymi zabawkami z plastiku w kolorze czerwonym, żółtym i niebieskim. Gabriel, wepchnięty przez zepsute frontowe drzwi, spodziewał się zastać w środku zamieszkującą go rodzinę. Zamiast tego znalazł splądrowaną siedzibę o ogołoconych z mebli pokojach i nagich ścianach. W środku czekali na Gabriela dwaj mężczyźni, obaj Arabowie, obaj dobrze spasieni. Jeden trzymał plastikową torebkę z nazwą supermarketu cieszącego się popularnością wśród francuskich klas niższych. Drugi wymachiwał niczym maczugą trzymanym w jednej ręce zardzewiałym kijem do golfa.

- Rozbieraj się.

Dziewczyna zwróciła się do niego po arabsku. Gabriel stał dalej bez ruchu z rękoma złożonymi na szwach spodni, jak żołnierz na baczność. Dziewczyna powtórzyła rozkaz, tym razem bardziej stanowczo. Kiedy Gabriel nadal nie reagował, mężczyzna, który prowadził mercedesa, uderzył go mocno w policzek.

Gabriel zdjął kurtkę i czarny sweter. Radio i broń już mu zabrano: dziewczyna wzięła je, kiedy byli jeszcze w Marsylii. Teraz

zlustrowała starannie blizny na jego piersiach i plecach, potem kazała mu zdjąć resztę ubrania.

- A gdzie się podział twój muzułmański wstyd?

Otrzymał drugi cios w twarz za bezczelność, tym razem wymierzony grzbietem dłoni. Z mroczkami przed oczyma zdjął buty i ściągnął skarpetki. Potem odpiął dżinsy i opuścił je na gołe stopy. Chwilkę później stał przed Arabami w samych slipkach. Dziewczyna wyciągnęła rękę i chwyciła gumkę od majtek.

- To też - powiedziała. - Zdejmij to też.

Bawiła ich nagość Gabriela. Mężczyźni komentowali jego penis, podczas gdy kobieta krążyła dokoła niego i oceniała jego ciało, jakby było rzeźbą stojącą na cokole. Przyszło mu na myśl, że musiał być dla nich legendą, bestią, która przychodziła w środku nocy i zabijała młodych wojowników. Patrzcie na niego, zdawały się mówić ich oczy, jest taki mały, taki zwyczajny. Jakim sposobem udało mu się zabić tylu naszych braci?

Dziewczyna mruknęła coś po arabsku, czego Gabriel nie zrozumiał. Trzej mężczyźni zabrali się z nożyczkami i scyzorykami do jego porzuconych ubrań, rozrywając i tnąc je na strzępy. Żaden szew, żadna lamówka, żaden kołnierzyk nie uszedł cało z rzezi. Bóg jeden tylko wiedział, czego szukali. Drugiego lokalizatora? Ukrytego nadajnika? Jakiegoś diabelskiego żydowskiego urzędzenia, które ich pozbawiłoby życia, a jemu pozwoliło uciec, dokąd i kiedy by mu się żywnie spodobało? Przez moment dziewczyna przypatrywała się temu niedorzecznemu zachowaniu z ogromną powagą, potem ponownie przeniosła wzrok na Gabriela. Jeszcze dwa razy okrążyła jego nagie ciało, w zamyśleniu przyciskając małą dłoń do ust. Za każdym razem kiedy przed nim przechodziła, Gabriel patrzył jej prosto w oczy. W jej spojrzeniu była jakaś chłodna rzeczowość, coś analitycznego i profesjonalnego zarazem. Gabriel spodziewał się niemal, że dziewczyna lada moment wyciągnie minidyktafon i zacznie dyktować słowa obdukcji: pofałdowana blizna na górnej lewej ćwiartce klatki piersiowej

- rezultat kuli wystrzelonej przez Tarika al-Huraniego, niech Allah błogosławi jego imię; blizny o fakturze papieru ściernego, przebiegające przez znaczną część tułowia; pochodzenie blizn nieznane...

Przeszukanie jego ubrań nie dało nic oprócz stosu strzępów bawełny i drelichu. Jeden z Arabów zebrał je i wrzucił na kratkę kominka, po czym poleł naftą i podpalił. Kiedy odzież Gabriela zamieniała się w popiół, raz jeszcze zebrał się dokoła niego: dziewczyna naprzeciwko, dwaj Arabowie po bokach, ten, który był kierowcą, z tyłu za jego plecami. Arab po prawej leniwie wymachiwał kijem do golfa.

Takie sytuacje rządziły się pewnym rytuałem. Bicie, jak Gabriel wiedział, stanowiło część misterium. Dziewczyna zainicjowała je ceremonialnym uderzeniem w twarz. Potem odeszła na bok i pozwoliła mężczyznom odwalić najcięższą robotę. Dobrze wymierzony cios kija golfowego ugiął mu kolana i posłał na podłogę. Dopiero wtedy zaczęła się prawdziwa zabawa: zaporowy ogień kopnięć i ciosów pięściami, które zdawały się nie omijać żadnego centymetra jego ciała. Udało mu się nie krzyczeć. Nie chciał dawać im tej satysfakcji, nie chciał także burzyć ich planów, alarmując sąsiadów, choć szanse, żeby ktokolwiek w tej części miasta specjalnie się przejmował trzema mężczyznami spuszczałymi manto jakiemuś Żydowi, były niewielkie. Łomot zakończył się tak nagle, jak zaczął. Nie był aż tak straszny: zdarzało mu się zbierać gorsze ciągi w Akademii z rąk Szamrona i jego osiłków. Z twarzą obeszli się łagodnie, skąd wnosił, że musiał zachować jaką taką prezencję.

Leżał, odpoczywając, na prawym boku, z rękoma osłaniającymi genitalia i kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej. Czuł krew na wargach, a jego lewe ramię zwisało zupełnie bezwładnie - skutek kilkakrotnego z rzędu przydepnięcia przez największego z Arabów. Dziewczyna rzuciła mu przed twarz plastikową torbę i kazała się ubrać. Podjął szczerą próbę wykonania ruchu, ale nie

był w stanie przewrócić się, usiąść czy podnieść rękę. Wreszcie jeden z Arabów chwycił go za lewe ramię i dźwignął do pozycji siedzącej. Jego uszkodzona ręka zbuntowała się i po raz pierwszy Gabriel wrzasnął z bólu. To, podobnie jak jego nagość, wzbudziło salwy śmiechu.

Pomogli mu się ubrać. Najwyraźniej spodziewali się kogoś większego. Jaskrawożółta koszulka z napisem MARSEILLES! biegnącym przez pierś była o kilka rozmiarów za duża, białe parcianki za szerokie w pasie i za długie w nogawkach. Tanie skórzane klapki z trudem trzymały mu się na stopach.

- Możesz wstać? - zapytała dziewczyna.

- Nie.

- Jeśli zaraz nie wyjedziemy, spóźnisz się do następnego punktu kontrolnego. A jeśli spóźnisz się do następnego punktu kontrolnego, wiesz, co się stanie z twoją żoną.

Przewrócił się na ręce i kolana i, po dwu nieudanych próbach, zdołał się podnieść. Dziewczyna dała mu kuksańca między łopatkami i posłała go, zataczającego się, w stronę drzwi. Myślał o Leah, zastanawiając się, gdzie teraz jest. Zamknięta w worku na zwłoki? W bagażniku samochodu? W zabitej gwoździami drewnianej skrzyni? Czy wiedziała, co się z nią dzieje, czy też dane jej było wierzyć, że jest to kolejny odcinek jej niekończącego się koszmaru? To dla Leah podniósł się i to dla niej przesuwiał teraz jedną nogę za drugą.

Trzej mężczyźni zostali w domu. Dziewczyna szła pół kroku za nim, ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię. Pchnęła go raz jeszcze, tym razem w stronę mercedesa. Szedł do przodu, potykając się, poprzez pokryty kurzem, zarzucony zabawkami dziedzińiec. Poprzewracane matchboksy, zardzewiały wóz strażacki, lalka bez ramion i bezgłowy żołnierz: Gabrielowi ten obraz przywodził na myśl krwawą łaźnię, zgotowaną przez jedną z mistrzowsko spreparowanych bomb Khaleda. Odruchowo podszedł do drzwi od strony pasażera.

- Nie - powiedziała kobieta. - Będziesz prowadził.
- Nie jestem w stanie.
- Ale musisz - stwierdziła. - Inaczej spóźnimy się na wyznaczoną godzinę, a twoja żona umrze.

Gabriel niechętnie zajął miejsce za kierownicą. Kobieta usiadła obok. Gdy zamknęła drzwi, sięgnęła do teczki i wyciągnęła broń: tanfolgio TA 90, który wycelowała w jego bok.

- Wiem, że możesz mi go odebrać, kiedy tylko zechcesz - przyznała. - Jeśli się na to zdecydujesz, nic nie zyskasz. Zapewniam cię, że nie znam miejsca pobytu twojej żony ani też ostatecznego celu naszej podróży. Jedziemy na tę wycieczkę razem, ty i ja. Jesteśmy partnerami w tym przedsięwzięciu.

- Jak to szlachetnie z waszej strony.

Uderzyła go w policzek pistoletem.

- Uważaj - powiedział. - Może wypalić.

- Dobrze znasz Francję, prawda? Pracowałeś tutaj. Zabiłeś tu wielu Palestyńczyków.

Słyszac w odpowiedzi milczenie, uderzyła go po raz drugi.

- Odpowiadaj! Pracowałeś tutaj?

- Tak.

- Zabijałeś tutaj Palestyńczyków?

Pokiwał głową.

- Wstydzisz się? Powiedz to głośno.

- Tak - powiedział. - Zabijałem tutaj Palestyńczyków. Zabiłem tutaj Sabriego.

- Więc dobrze znasz francuskie drogi. Nie będziesz marnował czasu na mapę. To dobrze, nie mamy go zbyt wiele.

Dała mu kluczyki.

- Jedź do Nimes. Masz godzinę.

- To ze sto kilometrów stąd. Co najmniej.

- Więc radzę ci przestać gadać i ruszać.



Pojechał drogą przez Arles. Pod nimi płynął srebmo-błękitny i kipiący wirami Rodan. Po drugiej stronie rzeki Gabriel wcisnął gaz do dechy i zaczęli końcowy odcinek drogi do Nimes. Pogoda była nieprzyzwoicie piękna: niebo bezchmurne i jaskrawoniebieskie, pola jaśniejące od lawendy i słoneczników, wzgórze skapane w świetle tak intensywnym, że Gabriel dostrzegał zarysy i szczeliny skał znajdujących się trzydzieści kilometrów dalej.

Dziewczyna siedziała spokojnie z nogami skrzyżowanymi w kostkach i pistoletem leżącym na kolanach. Gabriel zastanawiał się, dlaczego Khaled wybrał właśnie ją do eskortowania go na miejsce egzekucji. Ponieważ jej młodość i piękność stała w tak ostrym kontraście z kalectwem i obłudą Leah? A może był to rodzaj jakiejś arabskiej zniewagi? Może chciał jeszcze bardziej upokorzyć Gabriela, zmuszając go do wykonywania rozkazów pięknej, młodej dziewczyny? Niezależnie od tego, co powodowało Khaledem, dziewczyna była starannie wyszkolona. Gabriel poczuł to już w czasie ich pierwszego spotkania w Marsylii, i potem raz jeszcze w domu w Martigues - i widział to też teraz w jej muskularnych ramionach i barkach, w sposobie, w jaki trzymała pistolet. Ale najbardziej intrygowały go jej dłonie. Miała krótkie, brudne paznokcie garmcarza lub innej osoby pracującej fizycznie.

Uderzyła go raz jeszcze bez ostrzeżenia. Samochód zjechał z drogi i Gabriel musiał walczyć o odzyskanie panowania nad kierownicą.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- Patrzyłeś na pistolet.
- Nie patrzyłem.
- Zastanawiasz się, jak mi go odebrać.
- Nie.
- Kłamca! Żydowski łgarz!

Podniosła pistolet, żeby go znowu uderzyć, ale tym razem Gabriel zasłonił się ramieniem i zdołał odparować cios.

- Lepiej się pospiesz - powiedziała - albo nie zdążymy na czas do Nimes.

- Jadę prawie dwieście na godzinę. Nie mogę jechać szybciej, jeśli nie chcę nas pozabijać. Następnym razem, kiedy zadzwoni Khaled, powiedz mu, że musi dać nam więcej czasu.

- Kto?

- Khaled - powtórz! Gabriel. - Człowiek, dla którego pracujesz. Człowiek, który dowodzi tą operacją.

- Nigdy nie słyszałam o żadnym Khaledzie.

- Mój błąd.

Patrzyła na niego badawczo przez jakiś czas.

- Dobrze mówisz po arabsku. Dorastałeś w dolinie Ezdrelon, tak? Niedaleko od Afuli. Mówiono mi, że jest tam dużo Arabów. Ludzi, którzy nie zgodzili się na wyjazd czy wysiedlenie.

Gabriel nie dał się sprowokować.

- Nigdy jej nie widziałeś?

- Palestyny? - Błysk uśmiechu. - Widziałam ją z daleka.

Liban, pomyślał Gabriel. Widziała ją z Libanu.

- Jeśli mamy razem odbywać tę podróż, powinienem wiedzieć, jak masz na imię.

- Nie mam imienia. Jestem po prostu Palestynką. Bez imienia, bez twarzy, bez ziemi, bez domu. Moim krajem jest moja walizka.

- Dobrze - powiedział. - Będę mówił na ciebie Palestyna.

- To nie jest odpowiednie imię dla kobiety.

- Racja, wobec tego będę cię nazywał Palestina.

Spojrzała na drogę i skinęła głową.

- Możesz nazywać mnie Palestina.

Półtora kilometra przed Nimes skierowała go na wysypany żwirem parking przydrożnego sklepu, w którym sprzedawano gliniane donice i ogrodowe rzeźby. Przez pięć trudnych do zniesienia minut czekali w milczeniu, aż zadzwoni jej telefon satelitarny. Kiedy wreszcie się odezwał, elektroniczny dzwonek rozbrzmiał w uszach Gabriela niczym alarm przeciwpożarowy. Dziewczyna

słuchała rozmówcy w milczeniu. Z pustego wyrazu jej twarzy Gabriel nie był w stanie odgadnąć, czy kazano jej jechać dalej, czy zlikwidować go tutaj. Przerwała połączenie i wskazała głową drogę.

- Wróc na autostradę.
- W którą stronę?
- Na północ.
- Dokąd jedziemy?

Moment wahania, potem:

- Do Lyonu.

Gabriel zrobił, co kazała. Zbliżyli się do budki opłat, więc dziewczyna wsunęła tanfolgio do torebki. Potem dała mu trochę drobnych na bilet. Kiedy ruszyli dalej, wyjęła pistolet. Położyła go na kolanach. Jej palec wskazujący, o krótkim, brudnym paznokciu, leżał niezobowiązująco na spuście.

- Jaki on jest?
- Kto?
- Khaled - powiedział Gabriel.
- Mówiłam ci już, że nie znam żadnego Khaleda.
- Spędziłaś z nim noc w Marsylii.
- Noc w Marsylii spędziłam z niejakim monsieur Veranem.

Lepiej jedź szybciej.

- Zabije nas, wiesz. Zabije nas oboje.

Nie odezwała się.

- Zostałaś poinformowana, że to jest misja samobójcza? Przygotowałaś się na śmierć? Zmówiłaś pacierz i nagrałaś pożegnalny film dla rodziny?

- Jedź, proszę, i nie odzywaj się więcej.
- Jesteśmy szahidami, ty i ja. Umrzemy razem; każde nas za inną sprawę, co prawda, ale razem.
- Proszę, zamknij się.

I oto znalazł, pomyślał. Ryse. Pęknięcie. Khaled ją okłamał.

- Umrzemy jeszcze dziś wieczorem - powiedział. - O siódmej.

Nie wspomniał ci o tym?

Znowu brak odpowiedzi. Jej palec przesuwiał się po powierzchni spustu.

- Chyba jednak zapomniał ci o tym wspomnieć - podjął Gabriel. - Ale tak to już zawsze jest. Za Palestynę giną biedne szczeniaki, szczeniaki z obozów i slumsów. Elita tylko wydaje rozkazy ze swoich willi w Bejrucie, Tunisie i Ramalli.

Znowu zamachnęła się pistoletem w kierunku jego twarzy. Tym razem złapał go i wykręcił jej z dłoni.

- Kiedy mnie tym bijesz, trudno mi prowadzić.

Podał jej broń. Wzięła ją i położyła na kolanach.

- Jesteśmy szahidami, Palestina. Jedziemy na pewną zgubę, a Khaled daje nam wskazówki. O siódmej, Palestina. O siódmej wieczorem.

Na drodze między Valencją a Lyonem udało mu się wyrzucić z myśli Leah i skupić się wyłącznie na sprawie. Odruchowo podszedł do niej, jakby była obrazem. Usunął werniks i rozpuścił farbę, aż pod spodem nie zostało nic poza fragmentarycznym grafitowym zarysem podmalunku. Potem zaczął rekonstruować obraz od nowa, warstwa po warstwie, odcień barw, fakturę. Jak na razie nie był w stanie zrobić pewnej identyfikacji i ustalić autorstwa. Czy to Khaled był głównym artystą, czy też jedynie uczniem, terminującym w pracowni starego mistrza, samego wielkiego Jasera Arafata we własnej osobie? Czy Arafat zlecił to wszystko jako karę za poderwanie jego siły i autorytetu, czy też Khaled samodzielnie podjął się dzieła, by pomścić śmierć swego ojca i dziada? Czy była to kolejna potyczka między dwójgiem ludzi, czy też wybuch długo narastającej waśni między dwoma rodami: al-Khalifów i Szamron-Allonów? Podejrzewał, że w grę wchodziła kombinacja obydwu, zbieg wspólnych potrzeb i celów. Dwóch wielkich artystów, współpracujących nad jednym wielkim dziełem: Tycjan i Bellini, pomyślał, *Uczta bogów*.

Data zamówienia pracy również pozostawała wątpliwa. Jednej rzeczy wszakże Gabriel był pewien: powstanie dzieła okupiono kilkoma latami starań i morzem krwi. Został wyprowadzony w pole, i to zęcinnie. Wszyscy zostali. Dossier znalezione w Mediolanie zostało spreparowane i podrzucone przez Khaleda po to, żeby zwabić Gabriela i uwikłać go w to śledztwo. Khaled nakręcił zegar, porozrzucił wskazówki i tropy, a Gabriel nie miał innego wyboru, niż desperacko nimi podążać. Mahmud Arwish, David Quinnell, Mimi Ferrere: oni wszyscy byli częścią tej gry. Gabriel zobaczył ich teraz: cichych i nieruchomych, drugoplanowe postaci na skraju jakiejś kompozycji Belliniego, alegoryczne w charakterze, ale wspierające punkt centralny obrazu. Ale co było tym punktem? Gabriel wiedział, że dzieło nie jest skończone. Khaled miał w rękawie jeszcze jednego asa, jeszcze jeden spektakl ognia i krwi. Gabriel musiał jakoś ująć z tego cało. Był pewien, że wskazówka do ocalenia leżała gdzieś na drodze, którą już przebył. Tak więc pędząc na północ do Lyonu, widział nie autostradę, ale sprawę: każdą jej minutę, każdą scenę, każde spotkanie, olej na płótnie. Ocaleje, pomyślał, i któregoś dnia wróci do Khaleda na swoich własnych warunkach. A ta dziewczyna, Palestyna, wskaże mu drzwi.

- Zjedź na pobocze.

Gabriel zrobił, co kazała. Znajdowali się kilka kilometrów od centrum Lyonu. Tym razem tylko dwie minuty upłynęły, zanim telefon zadzwonił.

- Wróc na drogę - poleciała. - Jedziemy do Chalon. To jest...

- Wiem, gdzie jest Chalon. Na południe od Dijon.

Czekał, aż będzie mógł włączyć się do ruchu, potem szybko wjechał na autostradę.

- Nie mogę się zdecydować, czy jesteś bohaterem, czy głupcem - powiedziała. - Mogłeś zostawić mnie tam w Marsylii. Mogłeś się uratować.

- Ona jest moją żoną - stwierdził. - Zawsze będzie moją żoną.  
- I jesteś gotów dla niej umrzeć?  
- Ty też dla niej umrzesz.  
- O siódmej?  
- Tak.  
- Skąd ci przyszła do głowy akurat ta godzina? Dlaczego właśnie siódma?

- Nic nie wiesz o człowieku, dla którego pracujesz, prawda? Żal mi cię, Palestina. Jesteś bardzo głupią dziewczyną. Twój dowódca cię zdradził, i to ty sama poniesiesz tego konsekwencje.

Podniosła pistolet, żeby znów go uderzyć, ale rozmyśliła się. Gabriel nie odrywał wzroku od drogi. Drzwi zostały uchylone.

Zatrzymali się na południe od Chalon, żeby zatankować. Gabriel napełnił bak i zapłacił gotówką, którą dostał od dziewczyny. Kiedy wrócił za kółko, kazała mu stanąć przy toaletach.

- Zaraz wracam.  
- Zaczekam.

Nie było jej tylko chwilkę. Gabriel wrzucił bieg, ale dziewczyna wyjęła z torebki telefon satelitarny i kazała mu poczekać. Była czternasta pięćdziesiąt pięć.

- Jedziemy do Paryża - powiedział.  
- Och, czyżby?

- Skieruje nas jedną z dwóch dróg. Autostrada rozdziela się przy Beaune. Jeśli pojedziemy skrótem, wydostaniemy się prosto na południowe przedmieścia. Albo możemy jechać na wschód z Dijon do Troyes, z Troyes do Reims i wtedy nadjedziemy ze strony północno-wschodniej.

- Zdaje się, że jesteś wszystkowiedzący. No, to powiedz, którą nas wyśle?

Gabriel udał, że sprawdza czas.

- Będzie chciał, żebyśmy byli w ruchu i żebyśmy nie dotarli na miejsce zbyt wcześnie. Stawiam na trasę wschodnią. Moim zdaniem pośle nas do Troyes i każe czekać tam na dalsze instrukcje. Będzie miał większy margines manewru, jeśli pośle nas do Troyes.

Właśnie wtedy zadzwonił telefon. Słuchała w milczeniu, potem się rozłączyła.

- Wracaj na autostradę - powiedziała.
- Dokąd jedziemy?
- Po prostu jedź - rzekła.

Zapytał, czy może włączyć radio.

- Jasne - zgodziła się przyjaźnie.

Wcisnął przycisk, ale nic się nie wydarzyło. Tylko na jej ustach pojawił się lekki uśmiezek.

- Ładnie zagrane - rzekł.
- Dzięki.
- Dlaczego to robisz?
- Żarty sobie chyba stroisz.
- Nie, pytam poważnie.
- Nazywam się Palestina - powiedziała. - Nie mam wyboru.
- Mylisz się. Masz wybór.
- Wiem, dokąd zmierzasz - stwierdziła. - Próbujesz mnie złać, podsuwając mi myśli o niedalekiej śmierci i samobójstwie. Myślisz, że uda ci się skruszyć moją odwagę, że uda ci się zburzyć mój spokój.

- Szczerze mówiąc, nawet nie marzyłem o czymś podobnym. Walczymy ze sobą już od długiego czasu. Wiem, że jesteście nie-samowicie odważni i rzadko traciecie spokój. Chcę tylko wiedzieć dlaczego. Dlaczego akurat ty tu jesteś. Dlaczego nie wyszłaś za mąż, nie założyłaś rodziny? Dlaczego nie żyjesz własnym życiem?

Kolejny uśmiech, tym razem szyderczy.

- Wy, Żydzi- powiedziała. - Myślicie, że macie patent na ból. Myślcie, że wykupiliście cały zapas ludzkiego cierpienia. Mój ru> locaust jest tak sarno prawdziwy jak wasz, a jednak wy negocjujecie moje cierpienie, a siebie oczyszczacie z winy. Twierdzicie, że sami zadaliśmy sobie nasze rany.

- Więc opowiedz mi swoją historię.

- Moja historia jest opowieścią o raju utraconym. Moja historia jest opowieścią o prostych ludziach, zmuszonych przez cywilizowany świat do porzucenia swej ziemi, żeby chrześcijaństwo mogło zmasać brzemień winy Holocaustu.

- Nie, nie - przerwał jej Gabriel. - Nie chcę odczytu propagandowego, chcę usłyszeć twoją historię. Skąd jesteś?

- Z obozu. - Potem dodała: - Z obozu w Libanie.

Gabriel pokręcił głową.

- Nie pytam, gdzie się urodziłaś ani gdzie dorastałaś. Pytam, skąd pochodzisz.

- Pochodzę z Palestyny.

- To wiadomo. Z której części?

- Północnej.

- To wyjaśnia Liban. Z której dokładnie części na północy?

- Z Galilei.

- Zachodniej? Górnej?

- Z zachodniej Galilei.

- Z której wioski?

- Już jej nie ma.

- Jak się nazywała?

- Nie wolno mi...

- Miała jakąś nazwę?

- Oczywiście, że miała nazwę.

- Czy to była Bassa?

- Nie.

- Może Zib?

- Nie.



- To może to była Sumairyja?

Nie odpowiedziała.

- A więc to była Sumairyja.

- Tak - przyznała. - Moja rodzina pochodziła z Sumairyi.

- Do Paryża jeszcze kawał drogi, Palestina. Opowiedz mi swoją historię.

Następne zebranie Varaszu odbyło się z osobistym udziałem jego członków w gabinecie premiera. Raport Lwa zabrał tylko minutkę, ponieważ od czasu ich ostatniej wideokonferencji nie zmieniło się nic oprócz położenia wskazówek zegara. Teraz była godzina siedemnasta w Tel Awiwie i szesnasta w Paryżu. Lew chciał wszcząć alarm.

- Musimy założyć, że za trzy godziny na terytorium Francji dojdzie do dużego ataku terrorystycznego, prawdopodobnie w Paryżu, a jeden z naszych agentów znajdzie się w samym środku burzy. Biorąc pod uwagę sytuację, obawiam się, że nie pozostaje nam nic innego, jak poinformować Francuzów.

- Ale co z Gabrielem i jego żoną? - zapytał Mosze Jariv z Szabaku. - Jeśli Francuzi ogłoszą stan zagrożenia w całym kraju, Khaled może potraktować to jako pretekst do likwidacji ich obojga.

- On nie potrzebuje pretekstu - stwierdził Szamron. - Dokładnie właśnie to zamierza zrobić. Lew ma rację. Musimy powiedzieć Francuzom. Z moralnego i politycznego punktu widzenia nie mamy innego wyjścia.

Ogromne ciało premiera niespokojnie poruszyło się na krześle.

- Ależ ja nie mogę im powiedzieć, że wysłaliśmy do Marsylii zespół agentów z rozkazem zabicia palestyńskiego terrorysty.

- To nie jest konieczne - powiedział Szamron. - Ale, tak czy owak, jakkolwiek byśmy to rozegrali, koniec będzie niepiękny. Mamy umowę z Francuzami dotyczącą powstrzymywania się od działania na ich ziemi bez uprzedniej konsultacji z nimi. To jest umowa, którą przez cały czas gwałcimy przy milczącej akceptacji ze strony naszych braci z francuskich służb. Ale milcząca akceptacja to jedno, a przyłapanie na gorącym uczynku to już całkiem co innego.

- Więc co mam im powiedzieć?

- Zalecałbym trzymanie się jak najbliżej prawdy. Powiemy im, że jeden z naszych agentów został porwany przez palestyńską komórkę terrorystyczną działającą w Marsylii. Powiemy im, że ten agent badał w Marsylii sprawę zamachu bombowego na naszą ambasadę w Rzymie. Powiemy im, że dysponujemy wiarygodnymi dowodami na to, że Paryż będzie celem terrorystycznego ataku dziś wieczorem o dziewiętnastej. Kto wie? Jeśli Francuzi wystarczająco głośno uderzą w dzwony, może to zmusi Khaleda do przełożenia albo nawet odwołania całej akcji.

Premier spojrział na Lwa.

- Co się dzieje z resztą zespołu?

- „Wierność” jest już poza francuskimi wodami terytorialnymi, pozostali członkowie przekroczyli granicę Francji. Jedynym, który ciągle jeszcze przebywa na ich ziemi, jest Gabriel.

Premier wcisnął guzik na swojej konsoli telefonicznej.

- Połącz mnie z prezydentem Francji. I sprowadź tłumacza. Nie chcę tu żadnych nieporozumień.

Prezydent Republiki Francuskiej odbywał właśnie spotkanie z kanclerzem Niemiec w bogato zdobionej Sali Portretowej Pałacu Elizejskiego. Do komnaty wślizgnął się cicho prezydencki adiutant i wyszeptał mu kilka słów do ucha. Francuski przywódca nie mógł ukryć irytacji, że spokój zakłóca mu człowiek, którego szczerze nie znosił.

- Czy to naprawdę nie może poczekać?
- Mówi, że sprawa dotyczy kwestii bezpieczeństwa o pierwszorzędnym znaczeniu.

Prezydent wstał i spojrzał na swojego gościa.

-^ Będzie pan łaskaw mi wybaczyć, panie kanclerzu.

Francuz, wysoki i szykowny w ciemnym garniturze, udał się za adiutantem do przyległego pomieszczenia prywatnego. Chwilę później przełączono tam rozmowę.

- Witam, panie premierze. Zakładam, że to nie jest rozmowa towarzyska.

- Nie, panie prezydencie, nie jest. Zostałem poinformowany o bardzo poważnym zagrożeniu dla pana kraju.

- Domyślam się, że owo zagrożenie jest natury terrorystycznej.

- W istocie.

- Jak bardzo jest bliskie? Tygodnie? Dni?

- Godziny, panie prezydencie.

- Godziny? Dlaczego informuje się mnie dopiero teraz?

- Sami dopiero co dowiedzieliśmy się o sprawie.

- Znacie jakieś szczegóły operacyjne?

- Tylko czas. Uważamy, że palestyńska komórka terrorystyczna zamierza uderzyć dziś wieczór o dziewiętnastej. Najbardziej prawdopodobnym celem jest Paryż, ale nie mamy stuprocentowej pewności.

- Proszę, panie premierze. Niech pan mi powie wszystko, co wam wiadomo.

Premier mówił przez dwie minuty. Kiedy skończył, francuski prezydent zapytał:

- Dlaczego mam wrażenie, że nie mówicie mi wszystkiego?

- Obawiam się, że sami nie wiemy wszystkiego.

- A dlaczego nie poinformowaliście nas, że ścigacie podejrzanego na naszej ziemi?

- Nie było czasu na formalne konsultacje, panie prezydencie. Pościg był raczej z rodzaju tych gorących.

- A co z Włochami? Poinformowaliście ich, że macie na oku podejrzanego o zamach bombowy dokonany na włoskiej ziemi?
  - Nie, panie prezydencie, nie poinformowaliśmy.
  - Cóż za niespodzianka - rzekł Francuz. - Czy dysponujecie jakimiś zdjęciami, które mogłyby pomóc nam zidentyfikować potencjalnych zamachowców?
  - Niestety, nie.
  - Nie sądzę, żebyście chcieli przekazać nam zdjęcie waszego zaginionego agenta.
  - W tych okolicznościach...
  - Przypuszczałem, że taka właśnie będzie pańska odpowiedź - westchnął Francuz. - Wysłałem swojego ambasadora do pana kancelarii. Jestem przekonany, że otrzyma pełny i prawdziwy raport na temat sprawy.
  - Oczywiście, sir.
  - Coś mi mówi, że sprawa nie zakończy się bez poważnych reperkusji i posypią się głowy, ale najpierw rzeczy najważniejsze. Będę w kontakcie.
  - Powodzenia, panie prezydencie.
- Francuski przywódca rzucił słuchawką i spojrzął na adiutanta.
- Zwołaj natychmiast Grupę Napoleona - polecił. - Ja zajmę się kanclerzem.

Dwadzieścia minut po zakończeniu rozmowy prezydent Francji zajął swoje zwyczajowe miejsce przy stole ministerialnym w Salonie Murata. Dokoła niego zebrali się członkowie Grupy Napoleona, sprawnie działającego zespołu wyższych oficerów wywiadu i służb bezpieczeństwa oraz ministrów rządowych, którego zadaniem było zajmowanie się nagłymi sytuacjami kryzysowymi. Bezpośrednio na wprost prezydenta, za obszernym stołem, siedział prezes rady ministrów. Pomiędzy nimi dwoma stał na stole dwustronny ozdobny zegar z brązu. Wskazywał szesnastą trzydzieści pięć.

Prezydent otworzył zebranie zwięzłym przedstawieniem faktów, o których został poinformowany. Nastąpiło kilka minut nieco burzliwej wymiany zdań, ponieważ źródło informacji, izraelski premier, był w Paryżu ogromnie niepopularny. W końcu jednak każdy z członków zespołu uznał, że zagrożenie jest zbyt poważne, by je zignorować.

- Rzecz jasna, panowie, musimy zwiększyć obowiązujący stan zagrożenia, a także podjąć środki ostrożności i kroki zaradcze  
- powiedział prezydent. - Jak wysoko pojedziemy?

Po atakach Al-Kaidy na World Trade Center i Pentagon rząd francuski opracował czteropiętrową kodowaną kolorami skalę poziomu zagrożenia terrorystycznego, podobną do tej stosowanej w Stanach Zjednoczonych. W południe obowiązywał poziom pomarańczowy, drugi, tuż po najniższym - żółtym. Trzeci poziom, czerwony, spowodowałby automatyczne zamknięcie francuskiej przestrzeni powietrznej i skierowanie dodatkowych środków bezpieczeństwa do sieci transportowo-komunikacyjnych oraz najważniejszych miejsc w kraju, takich jak Luwr czy wieża Eiffla. Najwyższy poziom, szkarłatny, przyniósłby całkowite zamknięcie kraju i odcięcie go od reszty świata, włączając w to system wodociągów i sieci elektrycznej. Żaden z członków Grupy Napoleona nie był skłonny posunąć się tak daleko w oparciu o ostrzeżenie pochodzące od Izraelczyków.

- Celem ataku będzie prawdopodobnie jakiś obiekt izraelski albo żydowski - powiedział minister spraw wewnętrznych.

- Nawet jeśli atak osiągnie skalę zbliżoną do zamachu w Rzymie, nie usprawiedliwia to jeszcze podnoszenia poziomu na szkarłatny.

- Podzielał pańskie zdanie - rzekł prezydent. - Podniesiemy na czerwony.

Pięć minut później, po zakończeniu obrad Grupy Napoleona, francuski minister spraw wewnętrznych opuścił Salon Murata, żeby stanąć przed kamerami i mikrofonami.

- Panie i panowie - zaczął z poważnym wyrazem twarzy.
- Rząd Francji wszedł w posiadanie wiarygodnej naszym zdaniem informacji, dotyczącej mającego nastąpić dzisiaj wieczorem ataku terrorystycznego na Paryż.

Kamienica znajdowała się na rue de Saules, w spokojnej, północnej części Montmartre'u, kilka ulic od turystycznego grzędzawiska wokół Sacré-Coeur. Mieszkanie było małe, ale wygodne, doskonale pied-à-terre na te okazje, kiedy praca albo romantyczne zrywy przywoziły Paula Martineau z Prowansji do stolicy. Zaraz po przyjeździe udał się do Dzielnicy Luksemburskiej na lunch z kolegą z Sorbony; potem prosto do Saint-Germain na spotkanie z przyszłym wydawcą swojej książki o preromańskich dziejach starożytnej Prowansji. O godzinie szesnastej czterdzieści pięć minął spokojny dziedziniec kamienicy i wszedł do środka. Madame Touzet, konsjerżka, wystawiła głowę przez drzwi, kiedy usłyszała Martineau.

- Bonjour, profesorze Martineau.

Martineau ucałował upudrowane policzki gospodyni i wręczył jej bukiet lilii, który kupił na straganie przy rue Caulaincourt. Nigdy nie zjawiał się w swoim paryskim mieszkaniu bez malutkiego prezenciku dla madame Touzet.

- To dla mnie? - zapytała z egzaltacją. - Ależ nie powinien pan, panie profesorze.

- Nie mogłem się powstrzymać.
- Jak długo zostanie pan w Paryżu?
- Tylko jedną noc.
- Tragedia! Przyniosę pańską pocztę.

Chwilę później wróciła z pakiecikiem pocztówek i listów, jak zawsze starannie przewiązanym perfumowaną różową wstążeczką. Martineau udał się na górę do swojego mieszkania. Włączył telewizor, nastawił program drugi, potem poszedł do kuchni zaparzyć kawy. Przez odgłos lejącej się wody usłyszał znajomy głos

francuskiego ministra spraw wewnętrznych. Zakręcił kurek i spokojnie wrócił do bawialni. Stał nieruchomo przed ekranem telewizora przez następne dziesięć minut.

Izraelczycy zdecydowali się zawiadomić Francuzów. Martineau podejrzewał, że mogą się do tego posunąć. Wiedział, że podniesienie poziomu zagrożenia pociągnie za sobą zmianę strategii bezpieczeństwa oraz zasad ochrony krytycznych miejsc stolicy: fakt, który wymagał jedynie drobnej modyfikacji jego planów. Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

- Chciałbym zmienić swoją rezerwację.
- Pańskie nazwisko?
- Doktor Paul Martineau.
- Numer miejscówki?

Martineau wymienił.

- Zamierzał pan wracać z Paryża do Aix-en-Provence jutro rano.  
- Zgadza się, ale coś mi wypadło i muszę wrócić wcześniej, niż się spodziewałem. Czy dostanę jeszcze miejsce w pociągu odjeżdżającym dzisiejszego popołudnia?

- Są miejsca w pociągu o dziewiętnastej piętnaście.
- W pierwszej klasie?
- Tak.

- W takim razie poproszę jedno.  
- Zna pan treść rządowego ostrzeżenia antyterrorystycznego?  
- Osobiście nigdy nie biorę tego typu rzeczy zbyt serio - powiedział Martineau. - Poza tym, jeśli przestaniemy żyć normalnie, terroryści będą górą, czyż nie?

- Trafił pan w sedno.

Martineau słyszał odgłos uderzeń w klawiaturę komputera.

- W porządku, doktorze Martineau. Pańska rezerwacja została zmieniona. Pociąg odjeżdża o dziewiętnastej piętnaście z Gare de Lyon.

Martineau odwiesił słuchawkę.



Troyes, Francja

Sumairyja? Opowiedzieć ci o Sumairyi? To był raj na ziemi. Eden. Sady owocowe i gaje oliwne. Melony i banany, ogórki i pszenica. Sumairyja była prosta. Czysta. Nasze życie biegło według rytmu siewu i zbiorów. Deszczów i susz. Było nas wszystkich razem osiem setek w Sumairyi. Mieliliśmy meczet. Mieliliśmy szkołę. Byliśmy biedni, ale Allah dawał nam wszystko, czego było nam trzeba. Jak ona mówi, pomyślał Gabriel. My, nasze... Urodziła się ćwierć wieku po tym, jak Sumairyja została wymazana z mapy, ale mówi o wiosce tak, jakby spędziła tam całe życie.

- Mój dziadek był kimś. Nie muktarem, ale cieszył się mirom i wpływami wśród starszyny wioski. Miał czterdzieści dunamów ziemi i duże stado kóz. Uchodził za zamożnego. - Ironiczny uśmiech. -W Sumairyi być zamożnym znaczyło być biednym tylko troszeczkę.

Jej oczy pociemniały. Spojrzała na pistolet, potem na francuskie pola migające za oknem.

- Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty siódmy oznaczał początek końca wioski. W listopadzie ONZ przegłosowało podział mojego kraju i oddanie jego połowy Żydom. Sumairyja, tak jak reszta zachodniej Galilei, miała być częścią arabskiego państwa w Palestynie. Ale, oczywiście, stało się inaczej. Wojna wybuchła już następnego dnia po uchwale, a Żydzi uważali, że cała Palestyna jest dla nich i do wzięcia.

To Arabowie rozpoczęli wojnę, chciał powiedzieć Gabriel: szejik Asad al-Khalifa, wódz z Beit Sayeed, który swoim zamachem terrorystycznym na autobus linii Natanja-Jerozolima zerwał tamy nienawiści i krwi. Ale sytuacja nie sprzyjała historycznym sporom. Opowieść o Sumairyi porwała dziewczynę i Gabriel nie chciał zrobić nic, co mogłoby ów czar zniweczyć.

Przeniosła wzrok na niego.

- Myślisz o czymś.

- Słucham twojej historii.

- Tylko jedną częścią umysłu - powiedziała. - Drugą myślisz o czymś innym. Zastanawiasz się, jak odebrać mi broń? Planujesz ucieczkę?

- Nie ma już ucieczki, Palestyna - dla żadnego z nas. Opowiedz mi swoją historię.

Wyjrzała przez okno.

- Nocą trzynastego maja czterdziestego ósmego roku kolumna opancerzonych pojazdów Hagany wyruszyła nadbrzeżną drogą z Acre. Ich operacja nosiła kryptonim „Ben-Ami”. Była częścią planu „Tochnit Dalet”. - Spojrzała na niego. - Mówi ci coś ta nazwa, „Tochnit Dalet”? Plan D?

Gabriel skinął głową i pomyślał o Dinie, stojącej wśród ruin Beit Sayeed. Jak dawno temu to było? Tylko miesiąc, ale wydawało się, jakby od tamtej chwili minęło całe życie.

- Oficjalnym celem operacji „Ben-Ami” było umocnienie kilku ustronnych osiedli żydowskich w zachodniej Galilei. Tym prawdziwym były jednak podbój i aneksja. W rozkazach położono nacisk na konieczność zniszczenia przede wszystkim trzech arabskich wiosek: Bassy, Zib i Sumairyi.

Urwała, by sprawdzić, czy jej uwagi wywołały jakąś reakcję, potem podjęła swój wykład.

- Sumairya zginęła jako pierwsza. Oddziały Hagany otoczyły wioskę przed świtem i oświetliły reflektorami pojazdów opancerzonych. Niektórzy z żołnierzy Hagany mieli na sobie kufie

w czerwoną kratę. Wartownik z wioski zobaczył te chusty i wziął atakujących Żydów za arabskie posiłki. Wystrzelił na wiwat w powietrze i natychmiast został skoszony ogniem Hagany. Na wieść, że Żydzi są przebrani za Arabów, w wiosce wybuchła panika. Obrońcy Sumairyi walczyli mężnie, ale nie mogli się równać z lepiej uzbrojonymi oddziałami Hagany. Po kilku minutach zaczął się exodus.

- Żydzi chcieli, żebyśmy się wynieśli - ciągnęła. - Wschodnią część wioski rozmyślnie zostawili niestrzeżoną, żeby dać nam drogę ucieczki. Nie mieliśmy czasu spakować ubrania czy choćby wziąć ze sobą czegoś do jedzenia. Po prostu zaczęliśmy biec. Ale Żydów to nie zadowoliło. Strzelali do nas, kiedy pierzchaliśmy przez pola, które uprawialiśmy od stuleci. Pięciu mieszkańców wioski poległo. W trakcie ucieczki dochodziły nas odgłosy eksplozji. Żydzi zamieniali nasz raj w gruzowisko nienadające się do zamieszkania.

Mieszkańcy Sumairyi dotarli do drogi i skierowali się nią na północ, w kierunku Libanu. Szybko dołączyli do nich mieszkańcy Bassy i Zib oraz kilku mniejszych wiosek na wschodzie.

- Żydzi skierowali nas do Libanu - ciągnęła Palestina. - Kazali nam przeczekać kilka tygodni do zakończenia walk, potem moglibyśmy wrócić. Wrócić? Do czego mieliśmy wracać? Nasze domy zostały zniszczone. Więc szliśmy dalej przed siebie, przez granicę, na wygnanie. W zapomnienie. A za nami bramy Palestyny zamykały się na siedem spustów, tak żebyśmy już nigdy nie mogli powrócić.

Reims: godzina siedemnasta.

- Zatrzymaj się - poleciła Palestina.

Gabriel zjechał na pobocze. Siedzieli bez słowa, samochód trząsał się od odgłosu przejeżdżających obok pojazdów. Potem zadzwonił telefon. Słuchała, trochę dłużej niż zwykle. Gabriel podejrzewał,

że wydawano jej finalne rozkazy. Nie powiedziawszy ani słowa, przerwała połączenie, potem wrzuciła telefon do torebki.

- Dokąd jedziemy?
- Do Paryża - powiedziała. - Tak jak podejrzewałeś.
- Którędy mam pojechać?
- Drogą A4. Znasz ją?
- Znam.
- Prowadzi do...
- Do południowo-wschodniej części Paryża. Wiem, dokąd prowadzi, Palestina.

Gabriel wjechał z powrotem na autostradę. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał siedemnastą pięć. Minęli drogowskaz: Paryż 145. Sto czterdzieści pięć kilometrów.

- Dokończ swoją historię, Palestina.
- Gdzie byliśmy?
- W Libanie - powiedział. - W zapomnieniu.

- Obozowaliśmy na wzgórzach. Włączyliśmy się w poszukiwanie pożywienia. Żyliśmy z jałmużny naszych arabskich braci i czekaliśmy, aż otworzą się przed nami bramy Palestyny, czekaliśmy, aż Żydzi dotrzymają obietnic, które złożyli nam owego ranka, kiedy uciekliśmy z Sumairyi. Ale w czerwcu Ben Gurion oznajmił, że uchodźcy nie mogą powrócić do swych domostw. Byliśmy piątą kolumną, której nie wolno wpuścić z powrotem, oznajmił. Tkwilibyśmy jak cierń w ciele nowego państwa żydowskiego. Zrozumieliśmy wtedy, że nigdy już nie dane nam będzie ujrzeć Sumairyi. Raju utraconego.

Gabriel spojrzął na zegar: siedemnasta dziesięć. Sto dwadzieścia osiem kilometrów do Paryża.

- Ruszyliśmy na północ do Sajdy. Spędziliśmy długie, gorące lato w namiotach. Potem się ochłodziło, nadeszły deszcze, a my wciąż mieszkaliśmy w namiotach. Nazwaliśmy nasz nowy dom Ein al-Hilweh: Słodka Wiosna. Najciężej było mojemu dziadkowi. W Sumairyi był człowiekiem, z którym się liczone. Doglądał swoich pól i stad. Utrzymywał swoją rodzinę. Teraz jego rodzina utrzymywała się z datków. Miał akt własności, ale nie miał już ziemi, na którą on opiewał. Miał klucze do drzwi, ale nie miał domu, do którego prowadziły. Zaraz pierwszej zimy rozchorował się i umarł. Nie chciał już żyć, nie w Libanie. Mój dziadek umarł, kiedy umarła Sumairyja.

Siedemnasta dwadzieścia pięć. Paryż: dziewięćdziesiąt dziewięć kilometrów.

- Mój ojciec był wtedy zaledwie chłopcem, ale musiał przejąć odpowiedzialność za swoją matkę i dwie siostry. Nie mógł pracować, Libańczycy nie wyrażali na to zgody. Nie mógł chodzić do szkoły, bo Libańczycy i temu się sprzeciwiali. Nie mieliśmy dostępu ani do libańskiej opieki społecznej, ani libańskiej służby zdrowia. I nie mieliśmy jak uciec, ponieważ nie mieliśmy ważnych paszportów. Byliśmy bezpaństwowcami. Byliśmy eks-obywatelami, eks-ludźmi. Byliśmy nikim.

Siedemnasta trzydzieści osiem. Paryż: pięćdziesiąt sześć kilometrów.

- Kiedy mój ojciec poślubił dziewczynę z Sumairyi, resztki mieszkańców wioski zebrały się w Ein al-Hilweh na uroczystości zaślubin. Było prawie jak w domu, jeśli nie liczyć zmiany scenarii. Zamiast rajy, otaczały nas otwarte kanały ściekowe i obozowe chaty z żużlobetonu. Moja matka dała memu ojcu dwóch synów. Każdej nocy opowiadał im o Sumairyi, tak by nigdy

nie zapomnieli rodzinnej ziemi. Opowiedział im o al-Nakba: Katastrofie i wpoił marzenie o al-Awda: Powrocie. Moi bracia wyrosli na bojowników palestyńskich. Nie mieli wyboru. Gdy tylko podrosli na tyle, że byli w stanie utrzymać broń, Al-Fatah zaczęła ich szkolić.

- A ty?

- Ja byłam ostatnim dzieckiem. Urodziłam się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku, w chwili kiedy Liban pogrążył się w wojnie domowej.

Siedemnasta czterdzieści siedem. Paryż: czterdzieści kilometrów.

- Nigdy nie sądziliśmy, że przyjdą po nas raz jeszcze. Tak, straciliśmy wszystko: nasze domy, naszą wioskę, naszą ziemię, ale przynajmniej byliśmy bezpieczni w Ein al-Hilweh. Żydzi nie mogli przecież wkroczyć do Libanu. Prawda?

Siedemnasta pięćdziesiąt dwie. Paryż: trzydzieści kilometrów.

- Operacja „Pokój dla Galilei”, tak ją nazwali. Mój Boże, nawet Orwell nie ukułby lepszej nazwy. Czwartego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku Izraelczycy najechali na Liban, żeby raz na zawsze rozprawić się z OWP. Dla nas to wszystko było tak znajome. Izraelska kolumna pojazdów opancerzonych, kierująca się na północ drogą nadbrzeżną, tylko że teraz droga nadbrzeżna była w Libanie, a nie w Palestynie, a żołnierze walczyli pod szyldem SOI, a nie Hagany. Wiedzieliśmy, że sprawy przyjmą zły obrót. Ein al-Hilweh uchodziło za tereny Al-Fatah, stolicę palestyńskiej diaspory. Ósmego czerwca rozpoczęła się bitwa o obóz. Izraelczycy wysłali swoje oddziały powietrznodesantowe. Nasi mężczyźni walczyli mężnie jak lwy: od ulicy do ulicy, od domu do domu, w meczetach i w szpitalach. Każdy wojownik, który chciał się poddać, był rozstrzelany. Rozeszła się wieść: bitwa o Ein al-Hilweh miała być walką do ostatniego człowieka.

Izraelczycy zmienili strategię. Wysłali samoloty i artylerię, żeby zrównały obóz z ziemią, budynek po budynku, kwartał po kwar-

tale. Potem ich spadochroniarze mieli dokonać desantu i wyrznąć naszych bojowników. Co kilka godzin Izraelczycy przerywali ostrza! i apelowali, żebyśmy się poddali. Za każdym razem otrzymywali tę samą odpowiedź: nigdy. Ciągnęło się to przez tydzień. Jednego z braci straciłam już pierwszego dnia, drugi poległ czwartego. Ostatniego dnia Izraelczycy wzięli moją wycotgującą się z rumowiska matkę za bojownika i zastrzelili.

Kiedy wreszcie walki dobiegły końca, Ein al-Hilweh było ruiną. Po raz drugi Żydzi zamienili mój dom w zgliszcza. Straciłam rodzeństwo. Straciłam matkę. Pytasz, dlaczego tutaj jestem. Jestem tu z powodu Sumairyi i Ein al-Hilweh. Oto czym dla mnie jest syjonizm. Nie mam innego wyjścia: muszę walczyć.

- Co się stało po Ein al-Hilweh? Dokąd wyjechałaś?

Dziewczyna pokręciła głową.

- Powiedziałaś ci już dosyć - rzekła. - Nawet za dużo.

- Chcę usłyszeć resztę.

- Jedź - poleciła. - Już czas zobaczyć się z twoją żoną.

Gabriel spojrzął na zegarek: punkt osiemnasta. Szesnaście kilometrów do Paryża.

## Saint-Denis, północny Paryż

**A**mira Assaf zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Korytarz, długi tunel szarego betonu, tonął w półmroku, oświetlony jedynie z rzadka migającą fluorescencyjną rurą jarzeniówki. Dziewczyna ruszyła w stronę ciągu wind, pchając przed sobą wózek inwalidzki. Jakaś kobieta, Marokanka, sądząc z akcentu, darła się na dwójkę dzieci. Nieco dalej trzech murzyńskich chłopców słuchało amerykańskiego hip-hopu z przenośnego odtwarzacza stereofonicznego. Oto, co pozostało z francuskiego imperium, pomyślała Amira, kilka wysp na Morzu Karaibskim i wysypiska ludzi na Saint-Denise.

Podeszła do windy i wcisnęła przycisk przywołania, potem popatrzyła w górę i zobaczyła, że jedna z kabin zjeżdża w jej stronę. Dzięki Bogu, pomyślała. To była jedyna część drogi całkowicie poza jej kontrolą: stare, rozklekotane windy wieżowca. Dwa razy w trakcie przygotowań zmuszona była pieszo wędrować dwadzieścia trzy piętra w dół, ponieważ windy nie działały.

Rozległ się gong i drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Wprowadziła wózek do kabiny, gdzie natychmiast przywitał ją przytłaczający odór uryny. Zjeżdżała na dół, zastanawiając się, dlaczego biedacy sikają w windach. Kiedy drzwi się otworzyły, wypchnęła wózek na korytarz i wzięła głęboki oddech. Bez skutku. Dopiero kiedy znalazła się na zewnątrz budynku, w zimnym powietrzu



dziedzińca, opuścił ją smród zbyt wielu ludzi stłoczonych razem zbyt blisko siebie.

Szeroki dziedziniec, leżący między czterema dużymi wieżowcami, miał w sobie coś ze skweru wioski Trzeciego Świata: grupki mężczyzn skupionych według kraju pochodzenia i gawędzących w chłodnym wieczorze, kobiety dźwigające torby z wiktuałami, dzieci kopiące piłkę. Nikt nie zwrócił uwagi na atrakcyjną Palestynkę, która pchała przed sobą przykutą do wózka inwalidzkiego postać o nieokreślonej płci i wieku.

Dotarcie do stacji Saint-Denis zajęło jej dokładnie siedem minut. To był duży dworzec, połączenie szybkiej kolei podmiejskiej i metra, a z uwagi na porę ze wszystkich wyjść na ulicę wylewały się teraz tłumy ludzi. Amira weszła do hali biletowej i natychmiast zauważyła dwóch policjantów - pierwsza oznaka ogłoszonego alarmu antyterrorystycznego. Oglądała wcześniej wiadomości i wiedziała, że w całym kraju wzmocniono ochronę stacji metra i dworców kolejowych. Ale czy wiedzieli coś konkretnego o Saint-Denise? Czy szukali niepełnosprawnej kobiety, porwanej poprzedniego dnia ze szpitala psychiatrycznego w Anglii? Szła dalej.

- Przepraszam panią, mademoiselle.

Odwróciła się: sokista, młody nadgorliwiec w starannie odprasowanym mundurze.

- Dokąd pani jedzie?

Bilety trzymała w dłoni, musiała powiedzieć prawdę.

- Kolejką - powiedziała, potem dodała: - Na Gare de Lyon.

Sokista uśmiechnął się.

- Tam jest winda.

- Tak, znam drogę.

- Mógłbym jakoś pomóc?

- Poradzę sobie.

- Proszę mi pozwolić.

Takie już jej szczęście, pomyślała. Jeden usłużny sokista w całym paryskim metrze, i musi pracować akurat na Saint-Denis

dziś wieczorem. Odmowa mogłaby wydać się podejrzana. Skinęła głową i wręczyła mu bilety. Poprowadził ją przez obrotowe drzwi i zatłoczoną halę w stronę windy. W milczeniu zjechali na poziom kolei podmiejskich. Sokista zaprowadził ją na właściwy peron. Przez chwilę bała się, że zamierza czekać z nią na przyjazd pociągu. W końcu jednak życzył jej miłego wieczoru i skierował się z powrotem na górę.

Amira spojrzała na tablicę przyjazdów. Dwanaście minut. Rzuciła okiem na zegarek i szybko policzyła w myślach. Nie ma problemu. Usiadła na ławce i czekała. Dwanaście minut później pociąg wjechał na stację i zatrzymał się. Drzwi otworzyły się z pneumatycznym syknięciem. Amira wstała i wprowadziła wózek do wagonu.

**G**dzie teraz jestem? W pociągu? I kim jest ta kobieta? Czy to ta sama, która pracowała w szpitalu? Mówiłam doktorowi Avery'emu, że mi się nie podoba, ale nie słuchał. Za bardzo się koło mnie kręciła. Za bardzo mnie obserwowała. Wydaje się pani, mówił mi doktor Avery. Pani reakcja na nią jest częścią pani choroby. Ma na imię Amira. Jest bardzo miła i ma wysokie kwalifikacje. Nie, usiłowałam mu powiedzieć, szpieguje mnie. Na coś się zanosi. Ona jest Palestynką. Widzę to w jej oczach. Dlaczego doktor Avery mnie nie słuchał? Czyja w ogóle próbowałam z nim rozmawiać? Nie wiem. Nic już nie wiem. Spójrz na ekran telewizora, Gabrielu. Na Tel Awiw znowu spadają pociski. Myślisz, że są skażone, że tym razem Saddam je zatrul? Nie mogę być w Wiedniu, kiedy na Tel Awiw spadają pociski. Jedz makaron, Dani. Spójrz na niego, Gabrielu. Jaki podobny do ciebie. Ten pociąg wygląda mi na paryski, ale dokoła pełno Arabów. Dokąd ta kobieta mnie zabiera? Dlaczego nie jesz, Gabrielu? Nic ci nie dolega? Nie wyglądasz za dobrze. Mój Boże, jesteś cały rozpalony. Nie jesteś aby chory? Patrz, kolejny pocisk. Proszę, Boże, spraw, żeby spadł na jakiś pusty budynek. Nie pozwól, żeby spadł na dom mojej matki. Chcę wyjść z tej restauracji. Chcę iść do domu i zadzwonić do matki. Ciekawe, co się stało z tym chłopcem, który miał mnie pilnować w szpitalu. Jak się tu dostałam? Kto

mnie tu sprowadził? Dokąd jedzie ten pociąg? Śnieg. Boże, jak ja nienawidzę tego miasta, ale w śniegu wygląda tak pięknie. Śnieg oczyszcza Wiedeń z jego grzechów. Na Wiedeń pada śnieg, na Tel Awiw padają pociski, Pracujesz dzisiaj? Kiedy wrócisz? Przepraszam, sama nie wiem, po co pytam. Cholera. Samochód jest cały obsypany śniegiem. Pomóż mi odśnieżyć okna, zanim pójdziesz. Sprawdź, czy Dani jest dobrze przypięty w foteliku. Ulice są śliskie. Tak, będę jechać ostrożnie. Chodź, Gabrielu, pospiesz się. Chcę porozmawiać z matką. Chcę usłyszeć jej głos. Pocałuj mnie, ostatni całus na do widzenia, potem odwróć się i idź już. Uwielbiam patrzeć, jak chodzisz, Gabrielu. Chodzisz jak anioł. Nienawidzę tego, co robisz dla Szamrona, ale zawsze będę cię kochała. Cholera, samochód nie chce zapalić. Spróbuję jeszcze raz. Dlaczego się odwracasz, Gabrielu? Dokąd ta kobieta mnie zabiera? Dlaczego krzyczysz i biegniesz w stronę samochodu? Przekręć jeszcze raz kluczyk. Cisza. Ogień i dym. Najpierw wyciągnij Daniego! Szybciej, Gabrielu! Proszę, wyciągnij go! Palę się! Spalam się na śmierć. Dokąd ta kobieta mnie zabiera? Pomóż mi, Gabrielu. Proszę, pomóż mi.

## Paryż

Gare de Lyon mieści się w dwunastej *arrondissement* Paryża, kilka przecznic na wschód od Sekwany. Naprzeciwko dworca znajduje się duże rondo, za rondem skrzyżowanie dwu głównych arterii: rue de Lyon i bulwaru Diderota. Tam właśnie, siedząc w gwarnej ulicznej kafejce, cieszącej się popularnością wśród podróżnych, czekał Paul Martineau. Dopił kieliszek rozrzedzonego wina Côtes du Rhône, potem dał znać kelnerowi, że prosi o rachunek. Minęło pięć minut, zanim go dostał. Zostawił pieniądze i mały napiwek, po czym skierował się w stronę wejścia na dworzec.

Na rondzie stało kilka samochodów policyjnych i czterech żandarmów pilnujących wejścia. Martineau wmieszał się w niewielką grupkę ludzi i wszedł do środka. Był już prawie w hali odjazdów, kiedy poczuł lekkie klepnięcie w ramię. Odwrócił się. To był jeden z żandarmów pilnujących wejścia.

- Mogę prosić o dowód tożsamości?

Martineau wyciągnął z portfela swój francuski dowód osobisty i wręczył go funkcjonariuszowi. Żandarm przez dłuższą chwilę przyglądał się twarzy Martineau, później rzucił okiem na dokument.

- Dokąd pan jedzie?

- Do Aix.

- Mogę zobaczyć pański bilet?

Martineau podał mu miejscówkę.

- Tu jest napisane, że miał pan wrócić jutro.
- Dzisiaj po południu zmieniłem rezerwację.
- Dlaczego?
- Muszę wrócić wcześniej. - Martineau zdecydował się okazać trochę irytacji. - Ale o co tu chodzi? Czy te wszystkie pytania są naprawdę konieczne?

- Obawiam się, że tak, monsieur Martineau. Po co przyjechał pan do Paryża?

Martineau odpowiedział: na lunch z kolegą z Uniwersytetu Paryskiego, na spotkanie z przyszłym wydawcą.

- Jest pan pisarzem?
- Archeologiem, ale teraz pracuję nad książką.

Policjant zwrócił mu dowód.

- Życzę miłego wieczoru.
- Dziękuję.

Martineau odwrócił się i ruszył w stronę terminalu. Przystanął przy tablicy odjazdów, potem schodami udał się do Le Train Bleu, słynnej restauracji z oknami wychodzącymi na halę dworca. W drzwiach powitał go maitre.

- Ma pan rezerwację?
- Jestem z kimś umówiony przy barze. Jak sądzę, moja towarzyszka już jest w środku.

Maitre zrobił mu przejście. Martineau udał się do baru, potem do stolika przy oknie wychodzącym na perony. Siedziała przy nim atrakcyjna czterdziestoletnia kobieta z pasmem siwizny w długich ciemnych włosach. Uniosła głowę, kiedy Martineau się zbliżył. Schylił się i pocałował ją w bok szyi.

- Witaj, Mimi.
- Paul -wyszeptała. - Uroczo cię znowu widzieć.

**D**wie przecznice na północ od Gare de Lyon: rue Parrot, godzina osiemnasta pięćdziesiąt trzy.

- Skręć tutaj - powiedziała dziewczyna. - Zaparkuj samochód.
- Nie ma miejsca. Cała ulica jest zapchana.
- Zaufaj mi. Znajdziemy miejsce.

Właśnie w tym momencie jakiś samochód oderwał się od kra-  
węznika niedaleko hotelu Lyon Bastille. Gabriel, nie ryzykując,  
natychmiast zajął jego miejsce. Dziewczyna wsunęła tanfolgio do  
torebki i zawiesiła ją na ramieniu.

- Otwórz bagażnik.
- Po co?
- Po prostu zrób, co mówię. Spójrz na zegar. Nie mamy czasu.

Gabriel pociągnął rączkę otwierającą bagażnik i drzwiczki od-  
skoczyły z głuchym trzaskiem. Dziewczyna wyciągnęła kluczyki  
ze stacyjki i wrzuciła je do torebki razem z pistoletem i telefonem  
satelitarnym. Potem otworzyła drzwi ze swojej strony i wysiadła.  
Podeszła do bagażnika, dając znać Gabrielowi, żeby do niej dołą-  
czył. Spojrzał do wnętrza. Leżała tam duża kwadratowa waliza  
z czarnego nylonu, na kółkach i z rozkładaną, chowającą się  
rączką.

- Weź ją.
- Nie.

- Jeśli jej nie weźmiesz, twoja żona zginie.
- Nie wniosę bomby na Gare de Lyon.
- Wchodzimy na dworzec. Powinniśmy wyglądać na podróżnych. Weź torbę.

Wyciągnął rękę i poszukał zamka suwaka. Nie dał się otworzyć.

- No, weź ją.

W pudełku z narzędziami znalazł chromowany klucz do kół.

- Co robisz? Chcesz, żeby twoja żona zginęła?

Dwa ostre uderzenia i zamek był otwarty. Odpiął suwak głównej komory: kule papieru do pakowania. Potem sprawdził boczne kieszenie: puste.

- Jesteś zadowolony? Spójrz na zegar. Weź torbę.

Gabriel podniósł walizkę i postawił ją na chodniku. Dziewczyna już ruszyła. Wyciągnął rączkę torby, zamknął bagażnik i ruszył za Palestynką. Na rogu rue de Lyon skręcili w lewo. Przed nimi wyłonił się dworzec, usadowiony na niewielkim wzniesieniu.

- Nie mam biletu.
- Ja mam bilet dla ciebie.

- Dokąd jedziemy? Do Berlina? Genewy? Amsterdamu?  
; - Idź.

Kiedy zbliżyli się do rogu bulwaru Diderota, Gabriel zobaczył policjantów patrolujących pieszo okolice dworca i migające na rondzie niebieskie światła radiowozów.

- Zostali ostrzeżeni. Wkraczamy prosto w strefę alarmu.
- Poradzimy sobie.
- Nie mam paszportu.
- Nie będzie ci potrzebny.
- A co, jeśli nas zatrzymają?
- Ja go marn. Jeśli policjant poprosi cię o dokumenty, spójrz na mnie, a ja już się tym zajmę.
- Jeśli nas zatrzymają, to przez ciebie.

Na bulwarze Diderota czekali na zmianę świateł, potem przeszli przez ulicę wśród roju pieszych. Torba sprawiała wrażenie zbyt



lekkiej. Odgłos jej kół ślizgających się po płytach chodnika był mało przekonujący. Powinni byli wsadzić tam jakieś ubrania, żeby ją odpowiednio obciążyć. Co się stanie, jeśli go zatrzymają? Jeśli przeszukają torbę i okaże się, że jest wypełniona kulami zmiętego papieru? Jeśli zajrzą do torebki PaleStiny i znajdą tanfolgio? Tanfolgio... Nakazał sobie zapomnieć o pustej walizce i pistolecie w torebce dziewczyny. Skupił się na wrażeniu, które ogarnęło go już wcześniej tego dnia, na przecuciu, że klucz do jego ocalenia leży gdzieś na drodze, którą już przebył.

Przy wejściu na dworzec stało kilku policjantów i dwóch zamaskowanych żołnierzy z pistoletami maszynowymi zawieszonymi na ramionach. Wrywkowo zatrzymywali podróżnych, sprawdzali dowody, zaglądali do toreb. Dziewczyna złapała Gabriela pod ramię i zmusiła go do przyspieszenia kroku. Czuł na sobie wzrok policjantów, ale żaden ich nie zatrzymał, kiedy wchodzili do środka.

Przed nimi rozpościerała się hala dworca z łukowatym, strzelistym dachem. Przystanęli na chwilę u szczytu ruchomych schodów, które prowadziły na dół do stacji metra. Gabriel wykorzystał ten czas, żeby rozejrzeć się dokoła. Po jego lewej stronie znajdował się rząd budek telefonicznych, za jego plecami schody prowadzące do Le Train Bleu. Po obu końcach peronu mieściły się dwa kioski Relay z prasą. Kilka metrów od niego znajdował się bar z zakąskami, nad którym wisiała ogromna czarna tablica odjazdów. Właśnie w tej sekundzie następowała zmiana wyświetlanych danych. W uszach Gabriela terkot obracających się czcionek brzmiał plugawo niczym owacja dla doskonale rozegranego gambitu Khaleda. Zegar wskazywał osiemnastą pięćdziesiąt siedem.

- Widzisz dziewczynę, rozmawiającą z pierwszego aparatu po tej stronie budek?

- Którą?

- Niebieskie džinsy, szary sweter, ni to Francuzka, ni to Arabka, tak jak ja.

- Widzę.
  - Kiedy zegar riria tablicy odjazdów wskaże szóstą pięćdziesiąt osiem, odwiesi słuchawkę. Ty i ja podejźmy i zajmimy jej miejsce. On zaczeka, żebyśmy zdążyli podejść.
  - A co, jeśli ktoś inny podejździe pierwszy?
  - Ta dziewczyna i ja już się tym zajmimy. Ty zadzwonisz pod pewien numer. Jesteś gotowy?
  - Tak.
  - Tylko nie zapomnij tego numeru. Jeśli zapomnisz, nie powtórzę go, a twoja żona zginie. Na pewno jesteś gotowy?
  - Podaj mi ten pieprzony telefon.
- Wyrecytowała numer, a kiedy cyfry na zegarze zmieniły się na 18.58, dała mu trochę drobnych. Dziewczyna zwolniła miejsce przy budce. Gabriel podszedł, podniósł słuchawkę i wrzucił monety do otworu. Uważnie wykręcił cyfry, bojąc się, że jeśli pomyli się za pierwszym razem, nie zdoła ich sobie przypomnieć. Usłyszał długi, przerywany sygnał oczekiwania. Jeden, drugi, trzeci.
- Nie odpowiada.
  - Bądź cierpliwy. Ktoś odbierze.
  - Zadzwonił już sześć razy. Nikt nie odbiera.
  - Jesteś pewien, że wykręciłeś właściwy numer? Może się pomyliłeś. Może twoja żona zaraz zginie, ponieważ ty...
  - Zamknij się - warknął Gabriel.
- Sygnał umilkł.

**D**obry wieczór, Gabrielu.  
Kobiecy głos, szokująco znajomy.

- A może powinnam tytułować cię Herr Klempem? Pod takim nazwiskiem pojawiłeś się w moim klubie, prawda? I splądrowałeś moje mieszkanie.

Mimi Ferrere. Mały Księżyc.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Leah?
- Niedaleko.
- Gdzie? Nie widzę jej.
- Za minutę się dowiesz.

Za minutę... Spojrzał na tablicę odjazdów. Cyfry zegara obróciły się: 18.59. Tuż obok przeszło dwóch żołnierzy. Jeden z nich spojrział na niego. Gabriel odwrócił się i ściszył głos.

- Powiedzieliście mi, że jeśli przyjadę, wypuscicie ją. Gdzie ona jest?

-> Za kilka sekund wszystko się wyjaśni.

Jej głos: uczeplił się go. Razem z tym głosem cofnął się do Kairu, do owego wieczoru, który spędził w klubie na wyspie Zamalek. Zwabili go do Kairu nie bez kozery: żeby zainstalował pluskwę w telefonie Mimi, żeby później podsłuchał jej rozmowę z mężczyzną o imieniu Tony, a później jeszcze ustalił numer telefonu do jego marsylskiego mieszkania. Ale czy był jeszcze jakiś inny powód?

Zaczęła znowu mówić, lecz jej głos utonął w ogłuszającym wrzasku dworcowego komunikatu:

POCIĄG NUMER 765 DO MARSYLII WJEŹDŹA NA TOR D.

Gabriel przykrył mikrofon słuchawki.

POCIĄG NUMER 765 DO MARSYLII WJEŹDŹA NA TOR D.

Słyszał obwieszczenie też przez telefon, nie miał co do tego wątpliwości. Mimi była gdzieś na dworcu. Obrócił się i dostrzegł jej dziewczęce biodra, płynące spokojnie w stronę wyjścia. U jej lewego boku, z dłonią wciśniętą w kieszeń jej spodni, szedł mężczyzna o kwadratowych ramionach i ciemnych kręconych włosach. Gabriel widział już dziś rano w Marsylii ten chód. Khaled zjawił się na Gare de Lyon, żeby popatrzeć na jego śmierć.

Gabriel obserwował, jak prześlizgują się przez wyjście.

POCIĄG NUMER 765 DO MARSYLII WJEŹDŹA NA TOR D.

Spojrzał na Palestinę. Patrzyła na zegar. Sądząc z wyrazu jej twarzy, już wiedziała, że Gabriel powiedział jej prawdę. Za kilka sekund miała się stać szahidką w świętej wojnie zemsty Khaleda.

- Słuchasz mnie, Gabrielu?

Zgiełk ruchu ulicznego: Mimi i Khaled pospiesznie oddalali się od dworca.

- Słucham - potwierdził.

I zastanawiam się, dlaczego posadziłaś mnie w swoim klubie z trzema Arabami.

POCIĄG NUMER 765 DO MARSYLII WJEŹDŹA NA TOR D.

Tor D... Tor D... „Tochnit Dalet”.

- Gdzie ona jest, Mimi? Powiedz mi, co...

I wtedy go zobaczył, obok stelaża z prasą przy kiosku Relay na wschodnim krańcu dworca. Tuż przy nim stała walizka: kwadratowa, z czarnego nylonu i na kółkach. Wołali na niego Baszir, tamtej nocy w Kairze. Baszir gustował w Johnnym Walkerze z lodem i palił silk cuty. Baszir nosił złoty zegarek marki TAG Heuer na prawym nadgarstku i miał hopla na punkcie jednej z kelnerek

Mimi. I był szahidem. Za kilka sekund jego walizka wyleci w powietrze, a razem z nią parę dziesiątków ludzi dokoła.

Gabriel popatrzył w lewo, na drugi koniec peronu: jeszcze jeden kiosk z gazetami, jeszcze jeden szahid z walizką identyczną jak torba Gabriela. Tamtej nocy nazywali go Nadzi: Ocalały. Nie dziś wieczór, Nadzi.

Jakieś trzy metry od Gabriela, kupując kanapkę, której nigdy nie zje, stał Tajib. Ta sama walizka, ten sam szklany wyraz śmierci w oczach. Był wystarczająco blisko Gabriela, by ten mógł zobaczyć konfigurację bomby. Środkiem jednego z ramion uchwytu walizki biegł czarny drut. Gabriel przypuszczał, że przycisk zwalniający rączkę był jednocześnie zapalnikiem. Wciśnięty uderzał w spłonkę. To znaczyło, że trzech szahidzi musieli wcisnąć przyciski jednocześnie. Ale na jaki znak? Czas, oczywiście. Gabriel spojrzął na oczy Tajiba i zobaczył, że są utkwione w cyfrowym zegarze na tablicy odjazdów: 18.59.28.

- Gdzie ona jest, Mimi?

Żołnierze ponownie przeparadowali obok, swobodnie gawędząc. Trzech Arabów weszło na dworzec z walizkami najeżonymi ładunkami wybuchowymi, ale ochrona ich przeoczyła. Jak długo zajęłoby żołnierzom zdjęcie automatów z ramion i przygotowanie ich do strzału? Gdyby byli Izraelczykami? Najwyżej dwie sekundy. Ale tym francuskim chłopcom? Ich czas reakcji byłby wolniejszy.

Spojrzał na Palestynę. Była coraz bardziej zdenerwowana. Miała wilgotne oczy i szarpała ramię swojej torby. Gabriel zlustrował dworzec, obliczając kąt i tor ognia.

Mimi przerwała jego rozważania.

- Słuchasz mnie?

- Słucham.

- Jak już się pewnie domyśliłeś, dworzec zaraz wyleci w powietrze. Według moich obliczeń zostało ci piętnaście sekund. Masz dwa wyjścia. Możesz ostrzec innych ludzi i uratować tyłu z nich, ilu zdołasz, albo możesz egoistycznie uratować życie swojej

żony. Obu rzeczy naraz nie uda ci się zrobić, ponieważ jeśli ostrzeżesz podróżnych, rozpęta się prawdziwe piekło i nie będziesz w stanie wyciągnąć żony z dworca, zanim bomby eksplodują. Możesz ją uratować, tylko pozwalając setkom innych ludzi umrzeć: kilkaset trupów po to, żeby uratować jeden ludzki wrak. Piękny dylemat moralny, musisz przyznać.

- Gdzie ona jest?
- Sam mi *to* powiedz.
- Tor D - rzekł Gabriel. - Tor Dalet.
- Brawo.
- Nie ma jej tam. Nie widzę jej.
- Rozejrzyj się dokładniej. Piętnaście sekund, Gabrielu. Piętnaście sekund.

I połączenie zostało przerwane.

Zdawało mu się, że czas stanął w miejscu. Jakby znalazł się w środku ulicznego pejzażu odmalowanego rozedrganym pędzlem Renoira: szahidzi i ich oczy utkwione w zegarze na tablicy odjazdów, żołnierze i ich pistolety maszynowe przewieszane przez ramię, Palestyna ściskająca torebkę, w której wnętrzu znajdował się naładowany tanfolgio kalibru 9 milimetrów. A w samym środku obrazu dostrzegł śliczną arabską dziewczynę, odchodzącą od kobiety na wózku inwalidzkim. Pociąg jadący do Marsylii stał na torze D. Półtora metra od miejsca, w którym kobieta czekała na śmierć, znajdowały się otwarte drzwi jego ostatniego wagonu. Zegar nad głową Gabriela wskazywał 18.59.50. Mimi oszukała go, ale Gabriel wiedział lepiej niż większość ludzi, że dziesięć sekund może być całą wiecznością. W ciągu dziesięciu sekund wszedł kiedyś na podwórko paryskiej kamienicy i wpakował jedenaście kul w ciało ojca Khaleda. W czasie krótszym niż dziesięć sekund pewnego śnieżnego wieczoru w Wiedniu zamordowano mu syna i na zawsze odebrano żonę.

Jego pierwszy ruch był tak szybki i krótki, że nikt go nie dostrzegł: cios w lewy bok głowy Palestyny wymierzony z taką siłą, że Gabriel, zrywając torebkę z jej ramienia, nie był pewien, czy jeszcze żyła. Zwaliła się u jego stóp, kiedy sięgał do wnętrza torebki i chwycił tanfolgio. Tajib, najbliższy szahid, stojący przy snack-barze, nie zauważył niczego, ponieważ wzrok wbity miał w tarczę zegara. Gabriel wyciągnął broń z torebki i wymierzył z jednej ręki w zamachowca. Nacisnął spust dwa razy: bach-bach. Obie kule uderzyły szahida wysoko w klatkę piersiową, odrzucając go do tyłu, daleko od naładowanej materiałami wybuchowymi walizki.

Odgłos wystrzału rozbrzmiewający echem po ogromnej hali dworca wywarł skutek, jakiego Gabriel się spodziewał. Ludzie na peronie przykucnęli albo padli na ziemię. Jakieś sześć metrów dalej dwóch żołnierzy ścigało z ramion pistolety maszynowe. A po obu końcach peronu pozostałych dwóch szahidów, Baszir i Nadzi, ciągle stało nieruchomo z oczyma wlepionymi w zegar. Nie było czasu na obydwu.

Gabriel krzyknął po francusku:

- Zamachowiec! Padnij! Padnij!

Powstał korytarz do strzału, Gabriel wymierzył tanfolgio w szahida imieniem Nadzi. Francuscy żołnierze, zdezorientowani sytuacją, zawahali się. Pociągnął za spust, zobaczył czerwony błysk i ciało Nadziego padające bez życia na ziemię.

Rzucił się w stronę toru D, do miejsca, gdzie wystawiona na nadchodzącą falę uderzeniową wybuchu siedziała Leah. Trzymał kurczowo torebkę Palestyny, ponieważ zawierała klucze do jego ucieczki. Obejrzał się raz przez ramię. Baszir, ostatni z szahidów, kierował się na środek dworca. Z pewnością widział, jak jego towarzysze padają, i teraz próbował zwiększyć liczbę ofiar swojej pojedynczej bomby, umieszczając ją na środku peronu, gdzie było najludniej.

Gabriel wiedział, że gdyby się teraz zatrzymał, skazałby na prawie pewną śmierć i siebie, i Leah, więc biegł dalej. Dotarł do

wejścia na tor D i skręcił na prawo. Peron był pusty, strzelanina i krzyki Gabriela wymiotły ludzi do wnętrza pociągu albo w stronę wyjścia. Pozostała tylko Leah, bezradna i unieruchomiona.

Cyfry na zegarze obróciły się: 19.00.00.

Gabriel chwycił Leah za ramiona i dźwignął z wózka jej niestawiające oporu ciało, potem zdołał jeszcze dać nura w drzwi czekającego pociągu. I wtedy walizka eksplodowała. Błysk oślepiającego światła, grzmot, gorąca fala uderzeniowa, która zdawała się wyciskać z Gabriela resztki powietrza. Skażone hufnale i nakrętki. Roztrzaskane szkło. Krew.

Czarny dym, dojmująca cisza. Gabriel spojrzął w oczy Leah. Popatrzyła prosto na niego dziwnie pogodnym wzrokiem. Wsunął tanfolgio do torebki potem wziął żonę na ręce i wstał. Miał wrażenie, że jest lekka jak piórko.

Z zewnątrz rozbitego wagonu zaczynały dochodzić pierwsze jęki. Gabriel rozejrzał się dokoła. Okna po obu stronach pociągu wyleciały. Pasażerowie, którzy w chwili wybuchu zajmowali miejsca siedzące, zostali poranieni przelatującymi odłamkami szkła. Gabriel widział co najmniej sześciu wyglądających na śmiertelnie rannych.

Zszedł po schodkach i ruszył w stronę peronu. To, co stało tu jeszcze kilka sekund wcześniej, było teraz nie do poznania. Uniósł głowę i zobaczył, że nie ma dużej części dachu. Gdyby wszystkie trzy bomby eksplodowały jednocześnie, prawdopodobnie cały dworzec wyleciałby w powietrze.

Poślizgnął się i grzmotnął o ziemię. Cały peron ociekał krwią. Dokoła wałały się pourywane kończyny i strzępy ciała. Dźwignął się, podniósł Leah i zataczając się, ruszył dalej. Na coś następował, ale nie mógł się zdobyć, żeby sprawdzić na co. Upadł po raz drugi, niedaleko od budek telefonicznych, i wylądował na wprost martwych oczu Palestyny. Umarła od jego ciosu czy odłamka bomby Tajiba? Gabriela mało to obchodziło.



Powstał z ziemi raz jeszcze. Wyjścia z dworca były zakorkowane: policjanci usiłujący dostać się do środka, przerażeni pasażerowie próbujący się wydostać. Gdyby poszedł tamtędy, istniały duże szanse, że ktoś rozpoznałby w nim człowieka, który otworzył ogień tuż przed wybuchem bomby. Musiał poszukać jakiejś innej drogi. Przypomnił sobie, jak szli z Palestiną z samochodu na dworzec, jak czekali na zmianę świateł na skrzyżowaniu rue de Lyon i bulwaru Diderota. Gdzieś tam było wejście do metra.

Zaniósł Leah w stronę ruchomych schodów. Nie działały. Przekroczył dwa ciała i zaczął schodzić na dół. Na stacji metra panował chaos, pasażerowie krzyczeli, przerażony personel próbował bezowocnie zapanować nad sytuacją, ale przynajmniej nie było tutaj dymu, a posadzki nie spływały krwią. Gabriel kierował się po strzałkach przez przejścia i korytarze o łukowatych sklepieniach w stronę rue de Lyon. Dwukrotnie pytano go, czy nie potrzebuje pomocy, dwukrotnie kręcił głową i szedł dalej. Światła zamigotały i przygasły, potem jakimś cudem wróciły do życia.

Po dwóch minutach doszedł do schodów. Wgramolił się na nie i twardo wspinał do góry, dopóki nie wyszedł wprost na drobny, chłodny deszczyk na rue de Lyon. Spojrzał przez ramię w stronę dworca. Rondo jaśniało od migających świateł karetek i radiowozów, z dachu unosił się w górę słup dymu. Odwrócił się i ruszył dalej.

Kolejna propozycja pomocy:

- Wszystko w porządku, monsieur? Czy tej osobie nie jest potrzebny lekarz?

Nie, dziękuję, pomyślał. Po prostu zejdź mi z drogi i spraw, proszę, żeby ten mercedes stał tam jeszcze.

Skręcił na rogu w rue Parrot. Samochód ciągle był tam, gdzie go zostawili: jedyny błąd Khaleda. Przeniósł Leah przez ulicę. Na chwilę przywarła do jego szyi. Wiedziała, że to on, czy może po prostu brała go za salowego ze swojego angielskiego szpitala? Chwilkę później siedziała już na przednim siedzeniu dla pasażera.

wyglądając spokojnie przez okno, kiedy Gabriel oderwał samochód od krawężnika i podjechał do rogu rue de Lyon. Spojrzał raz na lewo, w stronę palącego się dworca, potem skręcił w przeciwnym kierunku i ruszył! szybko szeroką aleją w kierunku Bastylli. Sięgnął do torebki Palestyny i wyciągnął telefon satelitarny. Zanim objechał rondo na placu Bastylli, w słuchawce odezwał się bulwar Króla Saula.



# Część czwarta

*Sumairyja*

**D**robny deszczyk, który powitał Gabriela po wyjściu z Gare de Lyon, zamienił się w wiosenną ulewę. Zrobiło się już ciemno, i za to był wdzięczny. Zaparkował w spokojnym zielonym zaułku w pobliżu Place de Colombie i wyłączył silnik. Z uwagi na zmrok i rześisty deszcz, był pewien, że nikomu nie uda się zajrzeć do wnętrza samochodu. Dłonią wytarł w zaparowanej przedniej szybie mały prześwit i wyjrzał na zewnątrz. Budynek, w którym mieściło się mieszkanie operacyjne, znajdował się kilka metrów dalej po drugiej stronie ulicy. Gabriel dobrze znał ten lokal. Wiedział, że mieści się pod numerem 4 B i że na tabliczce przy dzwonku widnieje nazwisko Guzman napisane spłowiałym niebieskim atramentem. Wiedział także, że nie ma tam miejsca na bezpieczny schowek na klucz, co oznaczało, że mieszkanie musiało być otwierane wcześniej przez kogoś z paryskiego oddziału biura. Zwykle takie zadania wykonywał *bodel*, jak żargonowo określano pracowników zwerbowanych na miejscu i odwalających całą robotę potrzebną do sprawnego funkcjonowania zagranicznej siatki. Ale dziesięć minut później Gabriel z ulgą ujrzał zza szyby znajomą postać Uziego Nawota, paryskiego *katsy* z rudawymi włosami oblepiającymi wielki okrągły czerep i z kluczem do mieszkania w dłoni.

Nawot wszedł do budynku i chwilę później w oknie na czwartym piętrze zapaliły się światła. Leah poruszyła się. Gabriel odwrócił się;

popatrzy! na nią i przez moment miał wrażenie, że ich spojrzenia się spotkały. Wyciągnął rękę i ujął to, co zostało z jej dłoni. Jak zawsze, twarda bliznowata tkanka przyprawiła Gabriela o gwałtowny dreszcz. W trakcie jazdy Leah była roztrzęsiona. Teraz sprawiała wrażenie spokojnej, wyglądała tak, jak zazwyczaj, kiedy Gabriel odwiedza! ją w oranżerii. Wyrżał raz jeszcze przez prześwit w kierunku okna na czwartym piętrze.

- Czy to ty?

Gabriel, wstrząśnięty dźwiękiem głosu Leah, odwrócił się gwałtownie - zbyt gwałtownie, jak się okazało, bo w jej oczach nagle pojawiła się panika.

- Tak, to ja, Leah - powiedział spokojnie. - To ja, Gabriel.

- Gdzie jesteśmy? - Jej głos był słaby i suchy jak szelest liści. Zupełnie nie przypominał tego, jaki zapamiętał. - To mi wygląda na Paryż. Czy jesteśmy w Paryżu?

- Tak, jesteśmy w Paryżu.

- To ta kobieta mnie tu sprowadziła, prawda? Moja pielęgniarka. Próbowałam powiedzieć doktorowi Avery'emu... - urwała w środku zdania. - Chcę pojechać do domu.

- Zabieram cię do domu.

- Do szpitala?

- Do Izraela.

Przebłysk uśmiechu, delikatny uścisk dłoni.

- Jesteś cały rozpalony. Dobrze się czujesz?

- Czuję się świetnie, Leah.

Zapadła cisza, Leah wyrżała przez okno.

- Spójrz na ten śnieg - powiedziała. - Boże, jak ja nienawidzę tego miasta, ale w śniegu wygląda tak pięknie. Śnieg oczyszcza Wiedeń z jego grzechów.

Gabriel szukał w pamięci, kiedy usłyszał te słowa po raz pierwszy, i wreszcie sobie przypomniał. Szli z restauracji do samochodu. Niósł Daniego na barana. Śnieg oczyszcza Wiedeń z jego grzechów. Na Wiedeń pada śnieg, na Tel Awiw padają pociski.

- Jest piękny - zgodził się, usiłując nie dopuścić, by do jego głosu zakradła się nuta rozpacz. - Ale nie jesteśmy w Wiedniu. Jesteśmy w Paryżu. Pamiętasz? Ta dziewczyna sprowadziła cię do Paryża.

Nie słuchała go już.

- Pospiesz się, Gabrielu - rzekła. - Chcę porozmawiać z moją matką. Chcę usłyszeć jej głos.

Proszę, Leah, pomyśl. Wróć. Nie rób sobie tego.

- Zaraz do niej zadzwonimy - powiedział.

- Sprawdź, czy Dani jest dobrze przypięty w foteliku. Ulice są śliskie.

Wszystko z nim w porządku, Leah, odpowiedział Gabriel tamtego wieczoru. Uważaj, jadąc do domu.

- Będę jechać ostrożnie - obiecała. - Pocałuj mnie.

Nachylił się i przycisnął wargi do jej zdeformowanego policzka.

- Ostatni całus na do widzenia - wyszeptala.

Potem jej oczy otworzyły się szeroko. Gabriel trzymał jej pokrytą bliznami dłoń i odwrócił głowę.

Madame Touzet wystawiła głowę zza drzwi swojego mieszkania, kiedy Martineau wszedł do korytarza.

- Profesorze Martineau, Bogu dzięki, że to pan. Zamartwiałam się na śmierć. Był pan tam? Było tak strasznie?

W chwili wybuchu znajdował się kilkaset metrów od dworca, powiedział zgodnie z prawdą. I tak, było strasznie, choć nie tak strasznie, jak się spodziewał. Siła eksplozji trzech walizkowych bomb powinna całkowicie zniszczyć dworzec. Najwidoczniej coś musiało pójść nie tak.

- Właśnie zaparzyłam czekoladę. Posiedzi pan ze mną i obejrzy wiadomości? Nienawidzę sama oglądać takich potworności.

- Niestety miałem straszliwie długi i męczący dzień, madame Touzet. Chciałbym się dziś położyć wcześniej.

- Symbol Paryża w ruinach. Do czego to jeszcze dojdzie, profesorze? Kto mógł dopuścić się czegoś takiego?

- Sądzę, że muzułmanie, choć trudno zrozumieć motyw kogoś, kto posuwa się do tak barbarzyńskiego aktu. Podejrzewam, że możemy nigdy nie poznać prawdy.

- Czy myśli pan, że to mógł być terrorystyczny spisek?

- Niech pani wypije swoją czekoladę, madame Touzet. Gdyby potrzebowała pani czegoś, będę na górze.

- Dobranoc, profesorze Martineau.

*Bodel*, marokański Żyd z Marais o żółtobrązowych oczach i imieniu Mosze, przybył do mieszkania operacyjnego godzinę później. Miał ze sobą dwie torby. Jedna zawierała zmianę ubrań dla Gabriela, druga wiktuały do spiżarni. Gabriel poszedł do sypialni i ściągnął ubranie, które dostał od Palestyny w Martigues, potem długo stał pod prysznicem i patrzył, jak spływa z niego krew ofiar Khaleda. Przebrał się w świeże ubranie, stare rzeczy wpakował do torby. Kiedy wyszedł z łazienki, bawialnią była pogrążona w półmroku. Leah spała na sofie. Gabriel poprawił kwiecistą kołdrę, którą była przykryta, i poszedł do kuchni. Nawot stał przed kuchenką z łopatką w ręce i ścierką do naczyń zatkniętą za pasek u spodni. *Bodel* siedział przy stole, patrząc w zamyśleniu na kieliszek czerwonego wina. Gabriel wręczył mu torbę z brudnymi ubraniami.

- Pozbądź się tych rzeczy - powiedział. - Gdzieś, gdzie nikt ich nie znajdzie.

*Bodel* pokiwiał głową i wyslizgnął się z mieszkania. Gabriel zajął miejsce przy stole i spojrzął na Nawota. Paryski *katsa* był mężczyzną nie wyższym od Gabriela, o grubych ramionach i mocnych barkach zapaśnika. Gabriel dostrzegał w nim coś z Szamrona i podejrzewał, że sam Szamron również. W przeszłości mieli parę zwarców, Gabriel i Nawot, ale z czasem Gabriel zaczął uważać młod-



szego kolegę za wysoce kompetentnego wywiadowcę. Ostatnio pracowali razem przy sprawie Radka.

- Rozpęta się z tego burza główna. - Nawot podał Gabrielowi kieliszek wina. - W zasadzie to już możemy wciągać kalosze.

- Jak późno ich ostrzeżyliśmy?

- Żabojadów? Dwie godziny przed. Premier zadzwonił bezpośrednio do Francuskiego Pieska. Ten trochę podeliberował, potem podniósł poziom zagrożenia na czerwony. Nic o tym nie słyszałeś?

Gabriel powiedział Nawotowi o zepsutym radiu w samochodzie.

- Zorientowałem się, że przedsięwzięto jakieś specjalne środki, dopiero kiedy wchodziłem na dworzec. - Napił się wina. - Jak dużo powiedział im premier?

Nawot streścił Gabrielowi te szczegóły rozmowy, które sam znał.

- A jak wytłumaczyli moją obecność w Marsylii?

- Powiedzieli, że szukałeś kogoś, kto był zamieszany w zamach w Rzymie.

- Khaleda?

- Nie sądzę, żeby wchodzili w szczegóły.

- Coś mi mówi, że musimy sobie pewne rzeczy wyjaśnić. Dlaczego tak długo zwlekali z powiadomieniem Francuzów?

- Najwyraźniej mieli nadzieję, że się pojawisz. Musieli mieć też pewność, że wszyscy członkowie zespołu z Marsylii opuścili już Francję.

- A opuścili?

Nawot skinął głową.

- Powinniśmy chyba mówić o dużym szczęściu, że premier oficjalnie skontaktował się z Pałacem Elizejskim.

- Dlaczego?

Gabriel powiedział Nawotowi o trójce szahidów.

- Siedzieliśmy przy tym samym stoliku w Kairze. Jestem pewien, że ktoś już nam wtedy strzelił niezłą fotkę.

- Żeby cię zrobić?

- Żeby wyglądało, że jestem jakoś zamieszany w sprawę.

Nawot skinął głową w kierunku bawialni.

- Czy ona będzie coś jadła?
- Niech sobie Śpi.

Nawot zsunął mlet na talerz i postawił przed Gabrielem.

- Specjalność zakładu: grzyby, ser Gruyere, świeże zioła.
- Od trzydziestu sześciu godzin nie miałem nic w ustach. Kiedy uporam się i jajkami, przymierzę się chyba do takrza.

Nawot zaczął wbijać kolejne jajka do miski. Przeszkodziło mu czerwone światełko błyskające na telefonie. Chwycił słuchawkę, przez chwilę słuchał, potem wymruczał pod nosem kilka słów po hebrajsku i rozłączył się. Gabriel podniósł głowę znad talerza.

- Kto to?
- Bulwar Króla Saula. Za godzinę będzie gotowy plan ewakuacji.

Jak się okazało, czekali na plan tylko czterdzieści minut. Dotarł do mieszkania operacyjnego bezpiecznym faksem: trzy strony hebrajskiego tekstu, zakodowane w Naka, szyfrze operacyjnym biura. Nawot, usiadłszy obok Gabriela przy kuchennym stole, zajął się deszyfracją.

- W Warszawie znajduje się teraz samolot czarterowy linii El Al - rzekł.
- Polscy Żydzi odwiedzający starą ojczyznę?
- Raczej miejsce zbrodni. To wycieczka objazdowa po obozach śmiercią - Nawot pokręcił głową. Był w Treblince owego wieczoru razem z Gabrielem i Radkiem i siedł wśród popiołów u boku zbrodniarza. - Nie pojmuję, dlaczego ktoś chce jechać w takie miejsce.
- Kiedy odlatuje samolot?
- Jutro w nocy^ Jedna z pasażerek zostanie poproszona o podjęcie się raczej nietypowej misji: powrotu do domu z fałszywym izraelskim paszportem, z innego lotniska.

- A Leah zajmie jej miejsce w samolocie?
- Właśnie.
- Czy bulwar Króla Saula ma już jakąś kandydatkę?
- Nawet trzy. Teraz właśnie podejmują ostateczną decyzję.
- Jak wyjaśnią stan Leah?
- Chorobą.
- Jak przetransportujemy ją do Warszawy?
- My? - Nawot pokręcił głową. - Ty wracasz do domu inną trasą: lądem do Włoch, potem nocą zostaniesz odebrany z plaży w Fiumicino. Chyba znasz to miejsce?

Gabriel skinął głową. Znał dobrze plażę.

- A jak Leah dostanie się do Warszawy?
- Ja ją zabiorę. - Nawot dostrzegł rezerwę w oczach Gabriela.
- Nie bój się, nie pozwolę, żeby cokolwiek stało się twojej żonie. Polecę razem z nią do domu. Na liście pasażerów jest trzech lekarzy. Będzie w dobrych rękach.
- A jak już dotrze do Izraela?
- Będzie na nią czekał sztab lekarzy ze szpitala psychiatrycznego na Górze Herzla.

Gabriel przemyślał przez chwilę to, co usłyszał. Nie miał zastrzeżeń do planu.

- Jak przedostanę się przez granicę?
- Pamiętasz tę furgonetkę volkswagena, z której korzystaliśmy przy sprawie Radka?

Gabriel pamiętał. Miała ukrytą komorę pod rozkładanymi siedzeniami na tyle. Radek, odurzony narkotykami i nieprzytomny, został w niej schowany, kiedy Chiara przewoziła go przez granicę czesko-austriacką.

- Po operacji sprowadziłem furgonetkę z powrotem do Paryża
  - rzekł Nawot. - Trzymam ją na jednym z parkingów w siedemnastej dzielnicy.
  - Odwszawiłeś ją?
- Nawot roześmiał się.

- Jest czysta - rzekł. - Co ważniejsze, przewiezie cię przez granicę i do Fiumicino.
- A kto pojedzie ze mną?
- Mosze może się tym zająć.
- On? To jeszcze dzieciak.
- Dobrze sobie radzi - powiedział Nawot. - Poza tym, kto jak nie Mojżesz zaprowadzi cię do domu w Ziemi Obiecanej?

Fiumicino, Włochy

Jest sygnał. Dwa krótkie błyski, potem jeden długi. Mosze wyłączył wycieraczki i nachylił się nad kierownicą volkswagena. Gabriel siedział spokojnie na fotelu pasażera.

Miał

ochotę powiedzieć chłopakowi, żeby wyluzował, ale w końcu uznał, że pozwoli mu cieszyć się tą chwilą. Wcześniejsze misje Moszego sprowadzały się do zaopatrywania spiżarni mieszkań operacyjnych i sprzątania po wyjeździe agentów. Rendez-vous o północy na zalanej deszczem włoskiej plaży miało być zwieńczeniem jego dotychczasowej współpracy z biurem.

- O, znowu - powiedział *bodel*. - Dwa krótkie błyski...

- Potem jeden długi. Dotarło do mnie za pierwszym razem.

- Gabriel klepnął chłopca w plecy. - Przepraszam, miałem kilka ciężkich, długich dni. Dzięki za podrzucenie. Jedź z powrotem ostrożnie i nie przez...

- ...to samo przejście graniczne - dopowiedział. - Dotarło do mnie za pierwszymi czterema razami.

Gabriel wysiadł z furgonetki i przeszedł przez parking sąsiadujący z plażą. Potem przesadził krótki kamienny murek i ruszył szybko przez piasek na sam brzeg. Czekał tam, pozwalając, by fale obmywały mu buty, i patrząc na zbliżającą się do brzegu szalupę. Chwilę później siedział już na jej dziobie, tyłem do Jakowa, ze wzrokiem utkwionym w „Wierności”.

- Nie powinieneś być z nią iść - wrzasnął Jaków, przekrzykując huk fal za burzą.

- Gdybym został w Marsylii, nigdy nie odzyskałbym Leah.

- Tego nie wiesz. Może Khaled rozegrałby wtedy całą rzecz inaczej.

Gabriel odwrócił głowę.

- Racja, Jaków. Rozegrałby ją inaczej. Po pierwsze zabiłby Leah i porzucił jej zwłoki na jakiejś drodze w południowej Anglii. Potem wysłałby swoją trójkę szahidów na Gare de Lyon i zamienił go w zgliszcza.

Jaków zamknął przepustnicę.

- To było najgłupsze posunięcie, jakie kiedykolwiek widziałem - oznajmił, potem dodał pojednawczym tonem: - I z pewnością najodważniejsze. Powinni dać ci medal, kiedy wrócisz na bulwar Króla Saula.

- Wpadłem w zastawioną przez Khaleda pułapkę. Oni nie dają medali agentom, którzy wpadają w pułapki. Porzucają ich na pustyni na pastwę sępów i skorpionów.

Jaków dobił do rufy „Wierności”. Gabriel stanął na trapie i wszedł po drabinie na pokład. Czekala tam już Dina. Miała na sobie gruby sweter, wiatr rozwiewał jej włosy. Ruszyła do przodu i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Jej głos - powiedział Gabriel. - Chcę usłyszeć jej głos.

Dina włożyła taśmę i wcisnęła przycisk odtwarzania.

- Co z nią zrobiliście? Gdzie ona jest?

- Jest w naszych rękach, ale nie wiem gdzie.

- Gdzie ona jest? Odpowiadaj! I nie mów do mnie po francusku! Mów do mnie w swoim własnym języku. Mów do mnie po arabsku.

- Mówię prawdę.

- Więc jednak znasz arabski. Gdzie ona jest? Gadaj albo polecisz w dół.

- Jeśli mnie zabijesz, zabijesz też siebie i swoją żonę. Jestem twoją jedyną nadzieją.

Gabriel zatrzymał taśmę, przewinał, puścił raz jeszcze.

- Jeśli mnie zabijesz, zabijesz też siebie i swoją żonę. Jestem twoją jedyną nadzieją.

Zatrzymał. Przewinał. Puścił.

- Jestem twoją jedyną nadzieją.

Zatrzymał.

Popatrzył na Dinę.

- Sprawdziłaś w bazie danych?

Pokiwała głową.

- Nie figuruje.

- Nieważne - powiedział Gabriel. - Mam coś lepszego od jej głosu.

- Co takiego?

- Jej historię.

Powiedział Dinie, jak opowieść o bólu i stracie dosłownie wylała się z Palestynki podczas końcowych kilometrów drogi przed Paryżem. Jak jej rodzina przybyła z Sumairyi w zachodniej Galilei, jak została wysiedlona podczas operacji „Ben-Ami” i wypędzona na poniewierkę i wygnanie do Libanu.

- Sumairyja? To była mała wioska, prawda? Z tysiąc ludzi?

- Ośmiuset, według dziewczyny. Wydawało się, że zna dzieje swojej rodziny.

- Nie każdy z Sumairyi podporządkował się rozkazom wyjazdu - rzekła Dina. - Niektórzy mieszkańcy zostali.

- A niektórym udało się z powrotem przekraść przez granicę, zanim została zamknięta. Jeśli jej dziadek był rzeczywiście jednym ze starszych, ktoś powinien go pamiętać.

- Ale nawet jeśli uda się ustalić nazwisko dziewczyny, co nam to da? Ona nie żyje. Jak może nam pomóc w dotarciu do Khaleda?

- Była w nim zakochana.

- Powiedziała ci?

- Po prostu wiem.
- Jakiś spostrzegawczy. Co jeszcze o niej wiesz?
- Pamiętam, jak wyglądała - stwierdził. - Bardzo dokładnie pamiętam, jak wyglądała.

Blok gładkiego papieru znalazła na mostku, dwa zwykłe ołówki w pełnej rupieci szufladzie w kambuzie. Usadowił się na sofie i zabrał do pracy przy świetle halogenowej lampki do czytania. Dina próbowała zaglądać mu przez ramię, ale rzucił jej srogie spojrzenie i wysłał na smagany wiatrem pokład, żeby zaczekała tam, dopóki on nie skończy. Stała przy relingu i spoglądała na światła włoskiego wybrzeża słabnące na horyzoncie. Dziesięć minut później wróciła do kajuty i zastała Gabriela śpiącego na sofie. Obok niego leżał portret nieżyjącej dziewczyny. Dina wyłączyła światło i pozwoliła mu dalej spać.

Po południu trzeciego dnia izraelska fregata pojawiła się po stronie sterburty „Wierności”. Dwie godziny później Gabriel, Jaków i Dina wysiedli na lądowisku dla helikopterów w tajnej bazie lotniczej na północ od Tel Awiwu. Czekala już na nich ekipa powitalna z biura. Jej członkowie stali w kółku i sprawiali wrażenie skrepowanych, niczym nieznajomi podczas pogrzebu. Nie było pośród nich Lwa, ale Lwu nigdy nie należało zwracać głowy czymś tak pospolitym, jak witanie agentów wracających z niebezpiecznych misji. Gabriel po opuszczeniu helikoptera z ulgą dostrzegł przejeżdżającego przez bramę i mknącego pasem startowym pancernego peugeota. Bez słowa odłączył się od reszty i ruszył w stronę samochodu.

- Gdzie idziesz, Allon? - krzyknął za nim jeden z ludzi Lwa.
- Do domu.
- Szefer chce cię teraz zobaczyć.



- Więc może powinien być przełożyć jedno czy dwa spotkania i osobiście się tu pofatygować. Powiedz mu, że spróbuję go gdzieś wcisnąć na jutro rano. Mam jeszcze kilka spraw na karku. Przekaż mu to.

Tylnie drzwi peugeota otworzyły się i Gabriel wszedł do środka. Szamron przyglądał mu się badawczo w milczeniu. Gabriel miał wrażenie, że Stary wyraźnie posunął się podczas jego nieobecności. Następnego papierosa zapalił ręką trzęsącą się mocniej niż zwykle, a kiedy samochód ruszył, położył na kolanach Gabriela egzemplarz „Le Monde”. Allon rzucił okiem i ujrzał dwie swoje fotografie: jedną zrobioną na Gare de Lyon, kilka chwil przed eksplozją, drugą w kairskim klubie nocnym Mimi Ferrere, kiedy siedział z trójką szahidów.

- To są niby tylko spekulacje - rzekł Szamron - ale właśnie dlatego podwójnie szkodliwe. Sugerują, jakobyś miał coś wspólnego z akcją wysadzenia dworca.

- A jaki miałbym mieć motyw?

- Chęć zdyskredytowania Palestyńczyków, oczywiście. Khaled dokonał nie lada wyczynu, trzeba przyznać. Udało mu się wysadzić Gare de Lyon i jeszcze zrzucić na nas winę.

Gabriel przeczytał kilka pierwszych akapitów artykułu.

- Najwyraźniej ma wysoko postawionych przyjaciół w odpowiednich kręgach: choćby w egipskim i francuskim wywiadzie, żeby nie szukać daleko. Od samego początku pobytu w Kairze byłem pod obserwacją Mukhabaratu. Zrobili mi to zdjęcie w klubie nocnym, a po zamachu przekazali je francuskiemu DST. Całość ukartował Khaled.

- Niestety, to jeszcze nie wszystko. Wczoraj rano w kairskim mieszkaniu Davida Quinnella znaleziono jego zwłoki. Został zamordowany. Możemy spokojnie założyć, że wina za to też spadnie na nas.

Gabriel oddał gazetę Szamronowi, który wsadził ją z powrotem do teczki.

- Wióry już się sypią. Szef MSZ w przyszłym tygodniu miał jechać z wizytą do Paryża, ale zaproszenie zostało odwołane. Mówi się o przejściowym zawieszeniu kontaktów i wydaleniach dyplomatów. Będziemy musieli wszystko wyjawić, żeby uniknąć zerwania stosunków z Francją i resztą Unii Europejskiej. Sądzę, że ostatecznie jakoś się z tego wykaraskamy, ale rysa zostanie na zawsze. W końcu większość Francuzów ciągle jeszcze wierzy, że to nasze samoloty rozwały World Trade Center. Jak zdołamy kiedykolwiek ich przekonać, że nie mieliśmy nic wspólnego z zamachem na Gare de Lyon?

- Ale ostrzeżliście ich, jeszcze zanim do niego doszło.

- Zgoda, lecz zwolennicy teorii spiskowej uznają to za kolejny dowód naszej winy. Bo niby skąd mogliśmy wiedzieć, że bomby eksplodują punkt dziewiętnasta, jeśli nie maczaliśmy w tym palców? Będziemy musieli prędzej czy później wyjawić nazwiska wywiadowców, w tym także i twoje.

- Moje?

- Francuzi chcieliby z tobą porozmawiać.

- Powiedz im, że w poniedziałek z samego rana zjawię się w Pałacu Sprawiedliwości. Poproś, żeby zarezerwowali mi apartament w hotelu Crillon. Jeszcze nigdy nie udało mi się tam dostać dobrego pokoju.

Szamron się roześmiał.

- Będę trzymał Francuzów z daleka od ciebie, ale Lew to zupełnie inna para kaloszy.

- Śmierć z rąk komisji?

Szamron przytaknął.

- Śledztwo zacznie się jutro. Jesteś pierwszym świadkiem. Przygotuj się, że przesłuchanie potrwa kilka dni i będzie wysoce nieprzyjemne.

- Mam coś lepszego do roboty niż zeznania przed komisją Lwa.

- Na przykład?

- Odnalezienie Khaleda.

- A jak masz zamiar tego dokonać?

Gabriel powiedział Szamronowi o dziewczynie z Sumairyi.

- Kto jeszcze o niej wie?

- Tylko Dina.

- Idźcie cicho tym tropem - rzekł Szamron - ale, na litość boską, nie zostawiajcie śladów.

- Arafat maczał ręce w całej sprawie. Karmił nas bajeczkami Mahmuda Arwisha, a potem go zabił, żeby zatuszować swój udział. A teraz będzie zbierał nagrody PR za umiejętne wykreowanie naszego rzekomego udziału w zamachu na Gare de Lyon.

- Już zbiera - rzekł Szamron. - Przedstawiciele światowych mediów ustawiają się w ogonku przed Mukatą w oczekiwaniu na swoją kolej przeprowadzenia z nim wywiadu. Nie możemy tknąć go palcem.

- Więc będziemy siedzieć z założonymi rękoma i każdego osiemnastego kwietnia wstrzymywać oddech, czekając, aż kolejna ambasada czy synagoga wyleci w powietrze? - Gabriel potrząsnął głową. - Nie, Ari, znajdę Khaleda.

- Spróbuj teraz o tym nie myśleć. - Szamron klepnął go ojcowsko po ramieniu. - Odpocznij. Zobacz się z Leah. Potem spędź trochę czasu z Chiarą.

- Tak - powiedział Gabriel. - Jeden wieczór bez perturbacji dobrze by mi zrobił.

Szamron podrzucił go na Górę Herzla. Zaczynało się już ściemniać, kiedy Gabriel szedł chodnikiem między szpalerami drzew do głównego wejścia. W holu czekał na niego nowy lekarz Leah. Pękaty, w okularach, miał długą brodę rabina i niezmordowanie miły sposób bycia. Przedstawił się jako Mordechaj Bar-Zwi, potem wziął Gabriela za rękę i poprowadził korytarzem z chłodnego jerozolimskiego wapienia. Gestem i tonem dał Gabrielowi do zrozumienia, że sporo wie na temat raczej nietuzinkowej historii choroby swojej pacjentki.

- Wygląda na to, muszę przyznać, że zniosła to wszystko nadzwyczaj dobrze.
  - Mówi?
  - Trochę.
  - Wie, gdzie jest?
  - Czasami. Jedno mogę powiedzieć na pewno: bardzo chce się z panem zobaczyć. - Lekarz spojrział na Gabriela znad swoich upačkanych okularów. - Wydaje się pan zaskoczony.
  - Przez trzynaście lat nie odezwała się do mnie ani słowem. Lekarz wzruszył ramionami.
  - Wątpię, by to się miało jeszcze kiedyś powtórzyć.
- Dotarli do drzwi. Lekarz zapukał i wprowadził Gabriela do środka. Leah siedziała w fotelu przy oknie. Odwróciła się, kiedy

Gabriel wszedł, i uśmiechnęła przelotnie. Pocałował ją w policzek, potem usiadł na brzegu łóżka. Przyglądała mu się badawczo przez chwilę, potem odwróciła głowę i wróciła do wyglądania przez okno. Tak jakby go już tam nie było.

Lekarz przeprosił ich i zamknął za sobą drzwi. Gabriel siedział z Leah, zadowolony, że nie musi nic mówić, podczas gdy sosny na zewnątrz stopniowo zanurzały się w nadciągającym zmroku. Został przez godzinę, dopóki nie weszła do pokoju pielęgniarka i zasugerowała, że już czas, by Leah się położyła. Kiedy Gabriel wstał, Leah odwróciła głowę.

- Dokąd idziesz?
- Mówią, że musisz odpocząć.
- Przez cały czas nic innego nie robię.

Gabriel ucałował ją w usta.

- Ostatni cał... - powstrzymała się. - Przyjdiesz do mnie jutro?
- I pojutrze.

Odwróciła się i wyjrzała przez okno.

W okolicy nie można było złapać taksówki, więc wsiadł do przepełnionego wieczornymi pasażerami autobusu. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, stanął pośrodku i poczuł, jak wwierca się w niego czterdzieści par oczu. Wysiadł na ulicy Jafa i czekał pod wiatą na autobus jadący w kierunku wschodnim. Potem się rozmyślił: przeżył już jedną jazdę, druga byłaby igraniem ze śmiercią, ruszył więc na piechotę w harcującym wietrze wieczoru. Przy stanął na chwilę przy wejściu na bazar Machane Jehuda, potem skierował się na ulicę Narkissa. Chiara musiała usłyszeć jego kroki rozbrzmiewające na klatce schodowej, bo czekała na niego na podeście przed drzwiami mieszkania. Po bliznach Leah jej piękność była w dwójnasób szokująca. Kiedy Gabriel pochylił się, żeby ją pocałować, nadstawiła policzek. Jej świeżo umyte włosy pachniały wanilią.

Odwróciła się i weszła do środka. Gabriel ruszył za nią, ale stanął na progu jak wryty. Mieszkanie miało całkowicie zmieniony wystrój: nowe meble, nowe dywany i wyposażenie, świeża warstwa farby. Stół był nakryty, świece zapalone. Ich zmniejszona długość wskazywała, że paliły się już od jakiegoś czasu. Chiara zdmuchnęła je, przechodząc obok.

- Jest pięknie - rzekł Gabriel.

- Bardzo się starałam, żeby wszystko skończyć przed twoim powrotem. Chciałam, żeby mieszkanie wyglądało na prawdziwy dom. Gdzie byłeś? - starała się, z mizernym skutkiem, by w pytaniu nie brzmiała zaczepka.

- Chyba żartujesz, Chiara.

- Twój helikopter wylądował trzy godziny temu. I wiem, że nie pojechałeś na bulwar Króla Saula, ponieważ szukano cię i dzwoniło tu z gabinetu Lwa. - Urwała. - Pojechałeś się z nią zobaczyć, prawda? Pojechałeś do Leah.

- Oczywiście, że tak.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby najpierw zobaczyć się ze mną?

- Ona jest chora. Nawet nie wie, gdzie się znajduje. Jest zagubiona. Przerazona.

- Więc jednak sporo nas obie łączy.

- Nie róbmy tego, Chiara.

- Nie róbmy czego?

Ruszył korytarzem do sypialni. Też została odnowiona. Na szafce nocnej Gabriela leżały papiery, których podpisanie rozwiązałyby jego małżeństwo z Leah. Chiara położyła przy nich pióro. Podniósł głowę i zobaczył, że stoi teraz w drzwiach. Gapiała się na niego, próbując wyczytać z jego oczu uczucia - niczym detektyw, pomyślał, obserwujący podejrzanego na miejscu zbrodni.

- Co ci się stało w twarz?

Gabriel powiedział jej o cięgach, jakie zebrał we Francji.

- Bolało? - Nie sprawiała wrażenia specjalnie zatroskanej.

- Tylko troszeczkę. - Usiadł na brzegu łóżka i ściągnął buty.  
- Co ci powiedzieli?

- Szamron od razu dał mi znać, że akcja się posypała. Przez cały czas informował mnie na bieżąco. Chwila, w której się dowiedziałam, że jesteś bezpieczny, była najszcześniejszą w moim życiu. - Gabriel zauważył, że Chiara ani słowem nie wspomniała o Leah. - Jak ona się miewa?

- Leah?

Chiara przymknęła oczy i skinęła głową. Gabriel powtórzył rokowanie doktora Bar-Zwiego: Leah zniosła to wszystko nadspodziewanie dobrze. Zdjął koszulę. Chiara nakryła usta dłonią. Jego siniaki po trzech dniach spędzonych na morzu zdążyły już nabrać odcienia głębokiego szkarłatu i czerni.

- Wygląda gorzej, niż jest naprawdę - rzekł.

- Byłeś u lekarza?

- Jeszcze nie.

- Zdejmij ubranie. Przyszykuję ci porządną, gorącą kąpiel. Dobrze ci zrobi.

Wyszła z pokoju. Kilka sekund później usłyszał odgłos wody rozpryskującej się o emalię. Rozebrał się i wszedł do łazienki. Chiara ponownie zbadala jego siniaki, potem dłonią przeczesała mu włosy i przyjrzała się odrostom.

- Są już wystarczająco długie, żeby je obciąć. Nie chcę dziś wieczór kochać się z siwowłosym mężczyzną.

- Więc je zetnij.

Usiadł na brzegu wanny. Strzygąc go, Chiara jak zawsze podśpiewywała pod nosem jedną z tych głupawych włoskich piosenek pop, które tak uwielbiała. Gabriel patrzył z pochyloną głową, jak ostatnie srebrne pozostałości Herr Klempa sfruwają na podłogę. Pomyślał o Kairze, o tym, jak dał się wyprowadzić w pole, i raz jeszcze wezbrał w nim gniew. Chiara wyłączyła maszynkę.

- No, proszę, znowu zaczynasz przypominać siebie. Czarne włosy, posiwiałe na skroniach. Jak to Szamron mawiał o twoich skroniach?

- Mówił: smugi popiołu na księżcu ognia.

Chiara sprawdziła temperaturę kąpeli. Gabriel odwinął ręcznik z pasa i wślizgnął się do wody. Była zbyt gorąca, Chiara zawsze robiła za gorącą, ale po kilku minutach ból zaczął opuszczać jego ciało. Przez jakiś czas dotrzymywała mu towarzystwa. Mówiła o mieszkaniu i popołudniu, które spędziła z Gilah Szamron, o wszystkim, tylko nie o Francji. Po chwili poszła do sypialni i rozebrała się. Śpiewała coś pod nosem. Zawsze śpiewała, zdejmując ubranie.

Jej pocałunki, zwykle tak czułe, teraz raniły mu usta. Kochała się z nim dziko, jakby próbując wyssać z jego krwiobiegu jad Leah, a jej palce znaczyły mu ramiona nowymi siniakami.

- Myślałam, że nie żyjesz - wyszeptała. - Myślałam, że już cię nie zobaczę.

- Byłem nieżywy - powiedział Gabriel. - Bardzo długo byłem nieżywy.

Ściany ich dawnej sypialni w Wenecji były zawieszane obrazami. Powiesiła je Chiara pod nieobecność Gabriela. Niektóre z malowideł były dziełem jego dziadka, znanego niemieckiego ekspresjonisty Viktora Frankla. W 1936 roku faszyci uznali jego twórczość za zdegenerowaną. Zubożały, pozbawiony możliwości malowania czy choćby nauczania, został deportowany do Auschwitz w 1942 i zaraz po przybyciu do obozu zagazowany razem z żoną. Matka Gabriela, Irena, trafiła do Auschwitz razem z nimi, ale Mengele przydzielił ją do oddziału pracy w Birkenau i udało jej się przeżyć obóz i jego ewakuację, którą zarządzono na wieść o zbliżających się Rosjanach. Niektóre z jej obrazów znajdowały się tutaj w prywatnej galerii Gabriela. Udrczona tym, czego świadkiem była w Birkenau, malowała płótna pałające mocą,



z jaką nie mogły równać się nawet dzieła jej sławnego ojca. W Izraelu przybrała nazwisko Allon, po hebrajsku dąb, ale swoje prace zawsze sygnowała jako Frankel dla uczczenia pamięci ojca. Dopiero teraz Gabriel był w stanie oglądać je dla nich samych, a nie dla złamanej kobiety, która je stworzyła.

Jedno z płócien nie miało podpisu: portret młodego mężczyzny w stylu Eгона Schiela. Autorką była Leah, osobą pozującą Gabriel. Obraz powstał niedługo po tym, jak wrócił do Izraela z krwią sześciu palestyńskich terrorystów na rękach, i to był jedyny raz, kiedy zgodził się jej pozować. Nigdy nie lubił tego płótna, ponieważ ukazywało go takim, jakim widziała go Leah: przerażonego młodzieńca, przedwcześnie postarzałego przez brzemię śmierci. Chiara była przekonana, że obraz jest autoportretem.

Teraz włączyła światło w sypialni i rzuciła okiem na papiery leżące przy łóżku. Spojrzenie było czysto demonstracyjne, wiedziała, że Gabriel nie podpisał dokumentów.

- Podpiszę je z samego rana - powiedział.

Podala mu pióro:

- Podpisz je teraz.

Gabriel wyłączył światło.

- Teraz chciałbym zająć się czymś zgoła innym.

Przyjęła go w głąb siebie, płacząc cichutko w trakcie całego stosunku.

- Nigdy ich nie podpiszesz, prawda?

Gabriel usiłował uciszyć ją pocałunkiem.

- Okłamujesz mnie - rzekła. - Robisz z własnego ciała narzędzie oszustwa.

Dni szybko nabrały rutyny. Rankiem budził się wcześniej i zasiadał w odnowionej kuchni Chiary nad filiżanką kawy i prasą. Artykuły o sprawie Khaleda wprawiały go w przygnębienie. „Ha'aretz” ochrzcił ją mianem „Fuszergate”, a biuro nie udało się zapobiec pojawieniu się nazwiska Gabriela w druku. Francuskie media oblegały w Paryżu rząd i izraelskiego ambasadora, żądając wyjaśnienia zagadkowych zdjęć, które opublikował „Le Monde”. Francuski minister spraw zagranicznych, zasuszony eks-poeta, dołał oliwy do ognia, dając upust swojemu przekonaniu, jakoby „istotnie Izrael mógł mieć coś wspólnego z hekatombą na Gare de Lyon”. Następnego dnia Gabriel z ciężkim sercem przeczytał o zdemolowaniu koszernej pizzerii na rue des Rosiers. Jakiś czas później grupa francuskich wyrostków napadła na wracającą ze szkoły do domu młodą dziewczynę i wycięła jej na policzku swastykę. Chiara budziła się zwykle jakąś godzinę po Gabrielu. Doniesienia o wypadkach we Francji czytała bardziej z niepokojem niż smutkiem. Raz dziennie dzwoniła do matki w Wenecji, by upewnić się, że jej rodzinie nic nie zagraża.

O ósmej rano Gabriel opuszczał Jerozolimę i jechał wąwozem Bab al-Wad na bulwar Króla Saula. Przesłuchania odbywały się w pokoju konferencyjnym na najwyższym piętrze, tak by Lew nie musiał daleko chodzić, kiedy chciał zajrzeć i się im poprzyglądać.

Gabriel, rzecz jasna, był głównym świadkiem. Całe jego zachowanie, od momentu powrotu do biura aż do ucieczki z Gare de Lyon, zostało poddane boleśnie szczegółowemu badaniu. Jednak, wbrew ponurym przewidywaniom Szamrona, wszystko wskazywało na to, że obejdzie się bez rozlewu krwi. Wyniki tego typu śledztw były z reguły ustalane z góry, i Gabriel od samego początku widział, że komisja nie zamierza zrobić z niego kozła ofiarnego. To był zbiorowy błąd, sugerował ton pytań jej członków, wybaczalny grzech popełniony przez aparat tajnych służb, desperacko próbujących uniknąć kolejnej rzezi. Jednakże, od czasu do czasu, padały kąśliwe pytania. Czy Gabriel naprawdę nie żywił żadnych podejrzeń co do motywów Mahmuda Arwisha? Albo też lojalności Davida Quinella? Czy sprawy nie przybrałyby innego obrotu, gdyby posłuchał członków swojego zespołu w Marsylii i wycofał się, zamiast jechać z Palestynką? Wtedy przynajmniej spaliłby na panewce plan zdyskredytowania biura w oczach opinii publicznej.

- Z pewnością - odrzekł Gabriel. - I spaliłaby się także moja żona, razem z wieloma innymi niewinnymi ludźmi.

Kolejno stawali przed komisją także pozostali członkowie zespołu: najpierw Josi, potem Rimona i Jaków, na końcu Dina, której odkrycia w pierwszym rządzie skierowały śledztwo na trop Khaleda. Gabriel z przykrością oglądał ich na ławie oskarżonych. Jego kariera dobiegała końca, ale w aktach całej reszty afery Khaleda, jak zaczęto określać całą sprawę, zostawi czarną plamę nie do wymazania.

Późnym popołudniem, kiedy kończyły się obrady komisji, jechał do kliniki na Górze Herzla odwiedzić Leah. Czasami siedzieli po prostu w jej pokoju, czasami, jeśli jeszcze było jasno, wsadzał ją na wózek i zabierał na spacer po terenach szpitalnych. Nigdy nie zdarzyło się, żeby nie zauważyła jego obecności, i zazwyczaj udawało jej się powiedzieć do niego parę słów. Jej halucynacyjne podróże do Wiednia stały się mniej widoczne, choć nigdy nie wiedział dokładnie, gdzie błędą jej myśli.

- Gdzie pochowany jest Dani? - spytała raz, kiedy siedzieli pod koroną sosny.

- Na Górze Oliwnej.

- Zabierzesz mnie tam kiedyś?

- Jeśli twój lekarz się zgodzi.

Któregoś razu w drodze do szpitala towarzyszyła mu Chiara. Kiedy weszli do środka, usiadła w holu i powiedziała Gabrielowi, żeby się nie spieszył.

- Chciałabyś ją poznać? - Chiara nigdy jeszcze nie widziała Leah.

- Nie - odpowiedziała. - Myślę, że lepiej będzie, jak poczekam tutaj. Nie z uwagi na mnie. Na nią.

- Niczego się nie domyśli.

- Domyśli się, Gabrielu. Kobieta zawsze wie, kiedy mężczyzna jest zakochany w innej.

Nigdy więcej nie kłócili się już o nią. Od tej chwili batalią o Leah stała się cichą operacją, tajną akcją podjazdową toczoną za pomocą długich milczeń i uwag naszpikowanych dwuznacznościami. Chiara nie wchodziła do łóżka, dopóki nie sprawdziła, czy podpisał dokumenty. Jej miłosne akty były tak samo zaczepne jak jej milczenie. Moje ciało jest nieuszkodzone, zdawała się mówić, jestem prawdziwa, Leah to tylko wspomnienie.

W mieszkaniu robiło się coraz bardziej klaustrofobicznie, więc zaczęli jadać na mieście. W niektóre wieczory udawali się na ulicę Ben Jehudy albo do Mony, modnej restauracji, mieszczącej się w piwnicach starego kampusu Akademii Sztuk Pięknych i Wzornictwa Bezalel. Kiedyś pojechali autostradą numer 1 do Abu Gosz: jedynej arabskiej wioski przy drodze, która przetrwała wysiedlenia w ramach Planu D. Jedli humus i jagnię z grilla w restauracji pod gołym niebem na rynku i przez kilka chwil można było sobie wyobrazić, jakże inaczej mógłby wyglądać świat, gdyby dziad Khaleda nie zamienił niegdyś tej okolicy w strefę śmierci. Chiara uczyła to popołudnie, kupując od złot-

nika w wiosce kosztowną bransoletkę dla Gabriela. Następnego wieczoru kupiła mu na ulicy Króla Jerzego srebrny zegarek do pary. Pamiątki, powiedziała, rzeczy, dzięki którym będziesz o mnie pamiętał.

Kiedy tej nocy wrócili do domu, na sekretarce czekała wiadomość. Gabriel wcisnął odtwarzanie i usłyszał głos Diny Sarid informującej go, że znalazła kogoś, kto był w Sumairyi tej nocy, kiedy zlikwidowano wioskę.

Następnego popołudnia, po zakończeniu obrad komisji, Gabriel pojechał na ulicę Sheinkina i zabrał Dinę i Jakowa z ulicznej kawiarni. Ruszyli w szaro-różowym świetle gasnącego dnia autostradą nadbrzeżną na północ, mijając Herzliję i Natanję. Kilka kilometrów przed Kajsarije wyłoniły się przed nimi zbocza góry Karmel. Okrążyli zatokę Hajfa i skierowali się w stronę Akko. W trakcie dalszej jazdy do wioski Naharija głowę Gabriela zaprzętały myśli o operacji „Ben-Ami”: o nocy, kiedy kolumna oddziałów Hagany nadeszła tą właśnie drogą z rozkazami zniszczenia arabskich wiosek w zachodniej Galilei. I wtedy dostrzegł dziwną stożkowatą budowlę, surową i jaśniejącą bielą, która wznosiła się nad zieloną połącią gaju pomarańczowego. Gabriel wiedział, że ów niezwykle obiekt był pomnikiem ku czci dzieci w Yad Layeled, muzeum Holocaustu w kibucu Lohamei Ha'Ge-taot. Osiedle zostało założone po wojnie przez ocalałych z powstania w warszawskim getcie. W bezpośrednim sąsiedztwie obrzeży kibucu, ledwie widoczne zza wysokich dzikich traw, znajdowały się ruiny Sumairyi.

Skreślił w lokalną drogę i pojechał nią dalej. Kiedy wjeżdżali do Al-Makr, zapadał zmierzch. Gabriel zatrzymał się na głównej ulicy, nie wyłączając silnika, wszedł do kafeterii i zapytał właściciela o wskazówki, jak dojechać do domu Hamzaha al-Samary. Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której Arab zza baru chłodno

mierzył Gabriela wzrokiem. Najwyraźniej wziął żydowskiego gościa za oficera Szabaku, a Gabriel nie zadał sobie trudu, by to wrażenie sprostować. W końcu Arab zaprowadził Gabriela z powrotem na ulicę i za pomocą całej serii gestów i wymachów rąk wskazał mu drogę.

Był to największy dom w całej wsi. Można było odnieść wrażenie, że żyło tu co najmniej kilka pokoleń al-Samarów, ponieważ na niewielkim zakurczonym dziedzińcu bawiło się kilkoro małych dzieci. Pośrodku podwórza siedział starzec. Miał na sobie szarą galabiję, białą kufie i pykał z wodnej fajki. Gabriel z Jakowem stanęli po otwartej stronie podwórza i czekali na zaproszenie do środka. Dina pozostała w samochodzie; Gabriel wiedział, że starzec nigdy nie rozmawiałby z nimi otwarcie w obecności Żydówki z gołą głową.

Al-Samara spojrział na nich i obojętnym ruchem ręki zaprosił na posesję. Powiedział kilka słów do najstarszego z dzieci i chwilę później pojawiły się dwa dodatkowe krzesła. Potem nadeszła jakaś kobieta, być może córka, i przyniosła trzy szklanki herbaty. Wszystko to, zanim jeszcze Gabriel wyjaśnił choćby powód swojej wizyty. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, sącząc herbatę i słuchając grania cykad dobiegającego z okolicznych pól. Na podwórko wbiegła koza i zaczęła delikatnie bóść łokieć Gabriela. Dzieciak w długiej sukieneczynie i bez butów przegonił zwierzę. Wydawało się, że czas się tu zatrzymał. Gdyby nie zapalające się w domu elektryczne światła i talerz anteny satelitarnej na szczycie dachu, Gabriel z łatwością mógłby sobie wyobrazić, że Palestyna ciągle rządzona jest z Konstantynopola.

- Czy zrobiłem coś złego? - zapytał starzec po arabsku. To była pierwsza myśl wielu Arabów, kiedy para twarżdzieli z władz pukała niezaproszona do ich drzwi.

- Nie - powiedział Gabriel. - Chcieliśmy tylko z panem porozmawiać.

- O czym?

Usłyszawszy odpowiedź, starzec w zamyśleniu pyknął z fajki. Miał hipnotyzujące szare oczy i porządnie utrzymane wąsy. Jego obute w sandały stopy wyglądały tak, jakby nigdy jeszcze nie doświadczyły pumeksu.

- Skąd pan jest? - spytał.
- Dolina Ezdrelon - odrzekł Gabriel.

Al-Samara wolno pokiwał głową:

- A wcześniej?
- Moi rodzice przybyli z Niemiec.

Spojrzenie szarych oczu przeniosło się z Gabriela na Jakowa.

- A pan?
- Z Hadery.
- A wcześniej?
- Z Rosji.

- Niemcy i Rosjanie. - Al-Samara potrząsnął głową. - Gdyby nie Niemcy i Rosjanie, nadal żyłbym w Sumairyi zamiast tu, w Al-Makr.

- Był pan tam tej nocy, kiedy wioska została zniszczona?
- Niezupełnie. Spacerowałem po pobliskim polu. - Urwał i dodał konspiracyjnie: - Z dziewczyną.

- A kiedy zaczął się szturm?

- Ukryliśmy się na polach i patrzyliśmy, jak nasze rodziny odchodzą na północ do Libanu. Widzieliśmy, jak żydowscy saperzy wysadzają nasze domy. Zostaliśmy na polach przez cały następną dzień. Kiedy znowu zapadła ciemność, ruszyliśmy tu, do Al-Makr. Reszta mojej rodziny, matka i ojciec, bracia i siostry, wszyscy wyładowali w Libanie.

- A ta dziewczyna, z którą pan był tamtej nocy?

- Została moją żoną. - Kolejne pyknięcie z fajki. - Ja także jestem uchodźcą, wewnętrznym uchodźcą. Ciągłe mam akt własności swojej ojcowizny w Sumairyi, ale nie mogę tam wrócić. Żydzi ją skonfiskowali i nigdy nie wpadło im do głowy, żeby wynagrodzić mi stratę. Wyobraźcie sobie, kibuc zbudowany przez ocalałych z Holocaustu na ruinach arabskiej wioski.

Gabriel omiół wzrokiem duży dom.

- Dobrze pan sobie radzi.

- Jestem znacznie zamożniejszy niż ci, którzy poszli na wygnanie. Wszyscy moglibyśmy tak żyć, gdyby nie wojny. Nie winię was za moje straty. Winę arabskich przywódców. Gdyby Haj Amin i inni zaakceptowali wtedy podział, zachodnia Galilea byłaby częścią Palestyny. Ale oni wybrali wojnę, a kiedy ją przegrali, podnieśli rwytes, że to Arabowie zostali zaatakowani. To samo zrobił Arafat w Camp David, nie? Zrezygnował z kolejnej możliwości podziału, zaczął następną wojnę, a kiedy Żydzi się zrewanżowali, podniósł krzyk, że padł ich ofiarą. Kiedy w końcu się nauczymy? Kiedy zaczniemy wyciągać wnioski?

Wróciła koza. Tym razem al-Samara pacnął ją w nos cybuchem fajki.

- Ale z pewnością nie przyjechaliście tutaj, żeby słuchać bajdurzeń starca.

- Szukam pewnej rodziny, która pochodziła z pańskiej wioski, ale nie znam jej nazwiska.

- Wszyscy się tam nawzajem znaliśmy - rzekł al-Samara.

- Gdybyśmy teraz przeszli się wśród ruin Sumairyi, mógłbym wskazać wam mój dom, i mógłbym wskazać wam dom mojego przyjaciela i domy moich kuzynów. Powiedzcie mi coś o tej rodzinie, a ja powiem wam, jak się nazywała.

Gabriel powtórzył starcowi szczegóły, o których wspominała Palestina podczas końcowych kilometrów przed Paryżem: że jej dziadek był członkiem starszyny, nie muktarem, ale wpływowym człowiekiem, że miał czterdzieści dunamów ziemi i duże stado kóz. Że miał co najmniej jednego syna. Po upadku Sumairyi rodzina udała się na północ do Ein al-Hilweh w Libanie. Al-Samara słuchał opisu Gabriela w zamyśleniu, ale wyglądał na zdezorientowanego. Zawołał nad swoim ramieniem w głąb domu. Pojawiła się kobieta, jak on leciwa, w kwefie okrywającym głowę. Zwracała się bezpośrednio do al-Samary, starannie unikając spojrzenia Gabriela i Jakowa.



- Jest pan pewny, że chodziło o czterdzieści dunamów? - zapytał. - Nie trzydzieści albo dwadzieścia, a czterdzieści?

- Tak mi powiedziano.

Starzec zaciągnął się fajką w zamyśleniu.

- Ma pan rację - rzekł. - Ta rodzina też wylądowała w Libanie, w Ein al-Hilweh. W czasie libańskiej wojny domowej źle się u nich porobiło. Ich chłopcy zostali bojownikami. Z tego, co wiem, wszyscy nie żyją.

- Zna pan ich nazwisko?

- Nazywali się al-Tamari. Jeśli pan spotka któregoś z nich, proszę ich ode mnie pozdrowić. Niech pan im powie, że byłem w ich domu. Ale niech pan im nie mówi o mojej willi w Al-Makr. To by im tylko złamało serca.

Ein al-Hilweh? Pojechało cię? Był wczesny ranek następnego dnia. Lew siedział przy swoim pustym szklanym biurku z filiżanką kawy zawieszoną w pół drogi między spodeczkiem a ustami. Gabrielowi udało się wślizgnąć do gabinetu, kiedy sekretarka Lwa była w toalecie. Po wyjściu Gabriela dziewczyna ciężko odpokutowała za to uchybienie.

- Ein al-Hilweh jest strefą zakazaną, kropka. Koniec dyskusji. Teraz jest tam jeszcze gorzej, niż było w osiemdziesiątym drugim. Z pół tuzina islamskich organizacji terrorystycznych ma tam swoje siedziby. To nie jest miejsce dla dekonników ani dla szpiega, którego zdjęcia poniewierają się po francuskich gazetach.

- Ale ktoś musi pojechać.

- Nie mamy nawet pewności, czy starzec jeszcze żyje.

Gabriel zmarszczył brwi, potem usiadł, nieproszony, na jednym z lśniących skórzanych krzeseł przed biurkiem Lwa.

- Ale jeśli żyje, może nam powiedzieć, dokąd pojechała jego córka po opuszczeniu obozu.

- Być może - zgodził się Lew - ale równie dobrze może o niczym nie wiedzieć. Ze względów bezpieczeństwa Khaled z pewnością kazał dziewczynie okłamać rodzinę. Z tego, co wiemy naprawdę, cała ta jej opowieść o Sumairyi może być błagą.

- Nie miała żadnych powodów, żeby mnie okłamywać - rzekł Gabriel. - Była przekonana, że zostanę zabity.

Lew przez dłuższą chwilę kontemplował swoją kawę.

- W Bejrucie jest pewien gość, który mógłby nam pomóc w tej sprawie. Nazywa się Nabil Azuri.

- Kto zacz?

- Jest Libańczykiem i Palestyńczykiem. Robi we wszystkim po trochu. Pracuje jako informator dla kilku zachodnich agencji prasowych. Jest właścicielem nocnego klubu. Okazjonalnie handluje bronią i mówi się, że od czasu do czasu organizuje na boku jakiś przemycik haszu. No i, oczywiście, pracuje też dla nas.

- Prawdziwy filar społeczeństwa.

- To gnój - stwierdził Lew. - I Libańczyk do imentu. Ale właśnie kogoś takiego nam potrzeba, żeby pojechał do Ein al-Hilweh i porozmawiał z ojcem dziewczyny.

- Dlaczego dla nas pracuje?

- Dla pieniędzy, rzecz jasna. Nabil lubi pieniądze.

- Jak się z nim skontaktujemy?

- Zostawimy wiadomość telefoniczną w jego klubie nocnym w Bejrucie i bilet lotniczy u portiera hotelu Commodore. Rzadko rozmawiamy z Nabilem na jego własnym terytorium.

- Dokąd poleci?

- Na Cypr - powiedział Lew. - Nabil lubi także Cypr.

Minęły trzy dni, zanim Gabriel był gotów do drogi. Sekcja ds. ruchu zajęła się jego przygotowaniem. Larnaka to popularne miejsce turystycznych wozów Izraelczyków, więc nie było konieczności, żeby Gabriel podróżował z fałszywym zagranicznym paszportem. Nie mógł jednak jechać pod swoim prawdziwym nazwiskiem, więc wydano mu dokumenty opiewające na raczej mało oryginalne nazwisko Michaela Neumanna. Dzień przed wyjazdem sekcja operacyjna pozwoliła mu na godzinne zapoznanie

się z aktami Nabilla Azuriego w zabezpieczonej czytelni. Kiedy skończył, wręczyli mu kopertę z dziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce i życzyli powodzenia. Następnego ranka, o siódmej, wsiadł do samolotu El Al na lotnisku Ben Guriona i odbył godzinny lot na Cypr. Po przylocie wynajął na lotnisku samochód i przejechał wybrzeżem niewielki kawałek drogi do hotelu Palm Beach. Tam czekała już na niego wiadomość z bulwaru Króla Saula. Nabił Azuri miał się zjawić jeszcze tego popołudnia. Gabriel spędził resztę ranka w swoim pokoju, potem, krótko po godzinie trzynastej, zszedł na dół na lunch do restauracji przy basenie. Azuri siedział już przy stoliku. Butelka drogiego francuskiego szampana, opróżniona do poziomu poniżej nalepki, chłodziła się w srebrnym wiaderku.

Miał ciemne kręcone włosy, przyprószone pierwszymi pasmami siwizny, i gęste wąsy. Kiedy zdjął przeciwsłoneczne okulary, Gabriel ujrzał parę dużych, sennych, brązowych oczu. Na lewym nadgarstku Nabila połyskiwał obowiązkowo złoty zegarek, na prawym kilka złotych bransolet, które pobrzękiwały, kiedy unosił do ust kieliszek. Jego bawełniana koszula była kremowego koloru, popelinowe spodnie wygniecione w trakcie lotu z Bejrutu. Złotą zapalniczką zapalił amerykańskiego papierosa i wysłuchał propozycji Gabriela.

- Ein al-Hilweh? Pojebało cię?

Gabriel przewidział taką reakcję. Azuri traktował swoje związki z izraelskim wywiadem tak, jakby były jeszcze jednym z jego rozlicznych przedsięwzięć biznesowych. On był sprzedawcą na bazarze, biuro klientem. Targowanie się stanowiło nierozłączną część zabawy. Libańczyk pochylał się do przodu i utkwiał w Gabrielu swoje senne spojrzenie.

- Byłeś tam może ostatnio? To Dziki Zachód, na modłę Chomeiniego. Odkąd się wycofaliście, wszystko tam zeszło na psy. Mężczyźni ubrani na czarno, chwała nich będzie Allahowi najłaskawszemu. Obcy nie mają żadnych szans. Kurwa, Mike. Napij się szampana i zapomnij o sprawie.

- Ty nie jesteś obcy, Nabil. Znasz każdego, możesz wszędzie p>ójść. To dlatego opłacamy cię tak sownie.

- Napiwki, Mikę, to wszystko, co dostaję od waszych ludzi: na pmpierosy, szampana i jeszcze kilka dolców na dziwki.

- Najwyraźniej gustujesz w bardzo drogich dziwkach, Nabil, ponieważ widziałem odcinki twoich wypłat. Związek z moją firmą przysporzył ci niezłej sumki.

Azuri wznosił kieliszek w kierunku Gabriela.

- Ubiliśmy razem kilka dobrych interesów, Mikę, nie zaprzeczam. Chciałbym dalej z wami pracować. Dlatego właśnie ktoś inny musi wziąć tę robotę w Ein al-Hilweh. Jest zbyt kosztowna. Zbyt niebezpieczna.

Azuri przywołał kelnera i zamówił kolejną butelkę szampana. Najwyraźniej odrzucenie oferty pracy nie było w stanie powstrzymać go od wyzerki na koszt biura. Gabriel rzucił na stół kopertę. Azuri zmierzył ją wzrokiem w zamyśleniu, ale nie sięgnął w jej kierunku.

- Ile tam jest, Mikę?

- Dwa tysiące.

- Jakiego koloru?

- Zielonego.

- To jaka jest umowa? Połowa teraz, połowa po? Jestem tylko głupim Arabem, ale dwa tysiące i dwa tysiące dają razem cztery tysiące, a ja nie pójdę do Ein al-Hilweh za cztery tysiące dolarów.

- Dwa tysiące to tylko zaliczka.

- A ile za dostarczenie informacji?

- Kolejne pięć.

Azuri pokręcił głową:

- Nie, kolejne dziesięć.

- Sześć.

Ponowne potrząśnięcie głową:

- Dziewięć.

- Siedem.

- Osiem.
  - Stoi - powiedział Gabriel. - Dwa tysiące z góry i kolejnych osiem po. Nieźle jak za jedno popołudnie. Jeśli dobrze się sprawisz, dorzucimy jeszcze kasę na benzynę.
  - Ależ to wy płacicie za benzynę, Mikę. Moje wynagrodzenie jest zawsze niezależne od poniesionych wydatków. - Kelner przyniósł kolejną butelkę szampana. Kiedy odszedł, Azuri zagaił:
  - Więc czego chcesz się dowiedzieć?
  - Chcę kogoś odszukać.
  - W tym obozie znajduje się czterdzieści pięć tysięcy uchodźców, Mikę. Pomóż mi troszkę.
  - Chodzi o starca o nazwisku al-Tamari.
  - Imię?
  - Nie znamy.
- Azuri sączył wino.
- To nie jest jakoś straszliwie popularne nazwisko. Powinno się udać. Co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć?
  - Jest uchodźcą z zachodniej Galilei.
  - Jak większość z nich. Z jakiej wioski?
- Gabriel powiedział.
- Jakież szczegóły rodzinne?
  - Dwóch synów zostało zabitych w osiemdziesiątym drugim.
  - W obozie?
- Gabriel skinął głową:
- Należeli do Al-Fatah. Zdaje się, że jego żona też została zabita.
  - No, pięknie. Co jeszcze?
  - Miał córkę. Wylądowała w Europie. Chcę wiedzieć wszystko, czego uda ci się o niej dowiedzieć. Gdzie chodziła do szkoły. Co studiowała. Gdzie mieszkała. Z kim spała.
  - Jak brzmi imię dziewczyny?
  - Nie wiem.
  - Wiek?
  - Około trzydziestki. Nieżyły francuski.

- Dlaczego jej szukacie?
- Sądzymy, że może być zamieszana w zamach na Gare de Lyon.
- Żyje jeszcze?
- Gabriel pokręcił głową. Azuri przez chwilę spoglądał na plażę.
- Więc myślicie, że przeszłość dziewczyny zaprowadzi was do wielkiego szefa? Autora operacji?
- Coś w tym stylu, Nabił.
- Jak mam sprawę rozegrać ze starcem?
- Rozegraj to, jak ci się żywnie podoba - powiedział Gabriel.
- Tylko ustal to, czego potrzebuję.
- Ta dziewczyna - rzekł Libańczyk - jak wyglądała?
- Gabriel wręczył Azuriemu pismo, które przyniósł ze sobą z hotelu. Libańczyk otworzył je i przerzucał strony, dopóki nie znalazł szkicu Gabriela wykonanego na pokładzie „Wierności”.
- Tak wyglądała - oświadczył Gabriel. - Wyglądała dokładnie właśnie tak.

Przez trzy następne dni nie miał żadnych wieści od Libańczyka. Przypuszczał, że zwiął z zaliczką albo został zabity w trakcie prób dostania się do Ein al-Hilweh. Czwartego dnia odezwał się telefon. Dzwonił Azuri, z Bejrutu. Obiecał, że zjawi się w hotelu Palm Beach w porze lunchu. Gabriel odwiesił słuchawkę, zszedł na plażę i pobiegał nad brzegiem morza. Jego siniaki zaczynały blednąć, ciało przestało być tak obolałe. Wrócił do pokoju, wziął prysznic i przebrał się. Gdy dotarł do restauracji przy basenie, Azuri pił już drugi kieliszek szampana.

- Co za pierdolone miejsce, Mike. Piekło na ziemi.
- Nie płacę ci dziesięciu tysięcy dolarów za raport na temat sytuacji w Ein al-Hilweh - rzekł Gabriel. - To działka ONZ. Odnalazłeś starca? Żyje jeszcze?
- Odnalazłem.

- I?
- Dziewczyna wyjechała z Ein al-Hilweh w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. I nigdy nie wróciła.
- Jak miała na imię?
- Fella - rzekł Azuri. - Fella al-Tamari.
- Dokąd wyjechała?
- Najwyraźniej była nie w ciemną bitą. Dostała stypendium oenzetowskie na studia w Europie. Starzec kazał jej je przyjąć i nigdy nie wracać do Libanu.
- Gdzie studiowała? - zapytał Gabriel, choć podejrzewał, że już zna odpowiedź.
- We Francji - odparł Azuri. - Najpierw w Paryżu, potem pojechała gdzieś na południe. Starzec nie był pewien. Widocznie zdarzały się okresy, kiedy tracili kontakt na dłużej.
- Jestem pewien, że się zdarzały.
- Nie miał chyba o to pretensji do dziewczyny. Pragnął dla niej lepszego życia w Europie. Nie chciał, żeby pławiła się w palestyńskiej tragedii, jak mi to wyjaśnił.
- Ona nigdy nie zapomniła o Ein al-Hilweh - powiedział Gabriel w zamyśleniu. - Co studiowała?
- Była archeologiem.
- Gabriel przypomniał sobie wygląd jej paznokci. Odnosił wtedy wrażenie, że zajmowała się garncarstwem albo była kimś, kto pracował fizycznie. Archeolog z pewnością pasował do tego opisu.
- Archeologiem? Jesteś pewien?
- Co do tego Stary nie miał wątpliwości.
- Coś jeszcze?
- Tak - rzekł Azuri. - Dwa lata temu przyszedł od niej bardzo dziwny list. Prosiła, żeby zniszczył wszystkie listy i zdjęcia, które mu przez te lata przysyłała z Europy. Starzec nie spełnił próśb córki. Listy i zdjęcia to wszystko, co mu po niej zostało. Kilka tygodni później pojawił się u niego jakiś mięśniak i spalił wszystkie rzeczy za niego.



Przyjaciół Khaleda, pomyślał Gabriel. Khaled próbował wymazać jej przeszłość.

- Jak to rozegrałeś ze starcem?
- Masz informacje, których chciałeś. Szczegóły operacyjne zostaw mnie, Mikę.
- Pokazałeś mu szkic?
- Pokazałem. Płakał. Od piętnastu lat nie widział córki.

Godzinę później Gabriel wymeldował się z hotelu i pojechał na lotnisko, gdzie czekał na wieczorny lot do Tel Awiwu. Było już po północy, kiedy dotarł na ulicę Narkissa. Chiara spała. Poruszyła się, gdy wślizgnął się do łóżka, ale nie obudziła. Kiedy przycisnął usta do jej gołego ramienia, wymamrotała coś bez zwięzku i odsunęła się na bok. Spojrzał na stolik nocny. Papiery zniknęły.

## Tel Megiddo, Izrael

**N**astępnego ranka Gabriel pojechał na Armagedon. Zostawił swoją skodę na parkingu dla zwiedzających i zaczął się wspinać ścieżką na szczyt wzgórza w palących promieniach słońca. Przystanął na chwilę, żeby rzucić okiem na dolinę Ezdrelon. Była miejscem narodzin Gabriela, ale uczeni w Piśmie Świętym oraz ludzie ogarnięci obsesją przepowiedni końca świata wierzyli, że będzie także sceną apokaliptycznej konfrontacji między siłami dobra i zła. Niezależnie od okropności, które mogły czaić się w przyszłości, Tel Megiddo już widziało morze krwi. Położone na skrzyżowaniu między Syrią, Egiptem i Mezopotamią, było przez tysiąclecia miejscem dziesiątków wielkich bitew. Asyryjczycy, Izraelici, Egipcjanie, Filistyni, Grecy, Rzymianie i krzyżowcy: wszyscy przelewali krew u jego stóp. W 1799 roku Napoleon pobił tu Turków osmańskich, a niewiele ponad stulecie później raz jeszcze dokonał tego przywódca brytyjskiej armii, generał Allenby.

Ziemia na szczycie wzgórza poprzecinana była labiryntem rowów i dołów. Od ponad stu lat Tel Megiddo bywało obiektem badań archeologicznych. Naukowcy odkryli jak na razie, że miasto na szczycie góry było niszczone i odbudowywane jakieś dwadzieścia pięć razy. Teraz też trwały prace wykopaliskowe. Z jednego z namiotów dochodziły angielskie słowa wymawiane z amerykań-

skim akcentem. Gabriel podszedł i spojrział w dół. Dwoje amerykańskich studentów, chłopak i dziewczyna, pochylało się nad czymś leżącym w ziemi. Kości, pomyślał Gabriel, ale nie był pewien.

- Szukam profesora Lavona.

- Dzisiaj pracuje w K - odpowiedziała mu dziewczyna.

- Nie rozumiem.

- Rowy wykopaliskowe układają się w szachownicę. Każde pole ma przypisaną literę. W ten sposób możemy zanotować położenie każdego ze znalezionych artefaktów. Pan stoi teraz przy F. Widzi pan tabliczkę? Profesor Lavon pracuje w K.

Gabriel ruszył do rowu oznaczonego jako K i spojrział w dół. Na dnie wykopu, dwa metry poniżej powierzchni, przycupnęła mała postać w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Mężczyzna skrobał twardą ziemię małym oskardem i sprawiał wrażenie całkowicie pochłoniętego pracą, ale tak było na ogół.

- Znalazłeś coś interesującego, Eli?

Kopanie ustało. Mężczyzna spojrział przez ramię.

- Tylko kilka kawałków potłuczonej ceramiki - powiedział.

-A ty?

Gabriel wsadził ramię do wykopu. Eli Lavon chwycił jego dłoń i wygramolił się na powierzchnię.

Siedzieli przy turystycznym stoliku w cieniu niebieskiego brezentu i popijali wodę mineralną. Gabriel, z oczyma utkwionymi w rozciągającej się niżej dolinie, zapytał Lavona, co robi w Tel Megiddo.

- W myśli archeologicznej jest taka szkoła, dość popularna ostatnio, nazywana biblijnym minimalizmem. Minimaliści wierzą, między innymi, że król Salomon był postacią mityczną, kimś w rodzaju żydowskiego króla Artura. My próbujemy dowieść, że nie mają racji.

- Istniał naprawdę?  
- Oczywiście - powiedział Lavon - i właśnie tutaj w Megiddo wybudował miasto.

Lavon zdjął z głowy miękki kapelusz i otrzepał nim szarobrązowy pył ze spodni w kolorze khaki. Jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby miał na sobie całą zawartość swojej szafy: tak na oko trzy koszule i czerwoną bawełnianą chusteczkę zamotaną na szyi. Jego rzadkie, potargane siwe włosy rozwiewał delikatny wietrzyk. Odgarnął zabłąkany kosmyk z czoła i zmierzył Gabriela parą bystrych brązowych oczu.

- Czy nie za wcześnie wybrałeś się tutaj w ten upał?

Ostatni raz kiedy się widzieli, Lavon leżał w Uniwersyteckim Szpitalu Hadassah.

- Jestem tylko ochotnikiem. Pracuję z rana przez kilka godzin. Mój lekarz twierdzi, że to dobra terapia. - Lavon sączył swoją wodę. - Poza tym uważam, że to miejsce służy cenną lekcją pokory.

- To znaczy?

- Ludzie przychodzą i odchodzą stąd, Gabrielu. Nasi przodkowie rządzili tu kiedyś przez krótki czas dawno temu. Teraz znowu tutaj rządzą. Ale pewnego dnia także odejdziemy. Pytanie tylko, jak długo dane nam będzie tu być tym razem i co zostawimy po sobie, co ludzie tacy jak ja odkopią w przyszłości. Mam nadzieję, że coś więcej niż ślady muru bezpieczeństwa.

- Ja jeszcze nie mogę dać za wygraną, Eli.

- Domyślam się. Ostatnio byłeś bardzo zajęty chłopcem. Czytałem o tobie w gazetach. To nie jest dobra rzecz w twojej branży: bycie w gazetach.

- To także twoja branża.

- Kiedyś - rzekł. - Dawno temu.

We wrześniu 1972 roku Lavon był obiecującym młodym archeologiem, kiedy Szamron zwerbował go do oddziałów „Gniewu Bożego”. Był ajinem, tropicielem. Śledził członków Czarnego

Września i uczył się ich zwyczajów. Pod wieloma względami jego praca była najbardziej niebezpieczna, ponieważ całymi dniami narażał się bez żadnego wsparcia na bezpośrednie spotkanie z terrorystami. Praca zostawiła mu pamiątkę w postaci zaburzeń nerwowych i przewlekłych problemów jelitowych.

- Ile wiesz o tej sprawie, Eli?

- Wróble ćwierkały, że wracasz do kraju i że ma to coś wspólnego z zamachem w Rzymie. Potem któregoś wieczoru do moich drzwi zastukał Szamron i powiedział, że ścigas syna Sabriego. To prawda? Czy naprawdę to mały Khaled przygotował Rzym?

- Nie jest już mały. Przygotował Rzym i przygotował też Gare de Lyon. A jeszcze wcześniej Buenos Aires i Stambuł.

- To mnie nie dziwi. Khaled ma terroryzm we krwi. Wyssał go z mlekiem matki. - Lavon potrząsnął głową. - Wiesz, gdybym to ja osłaniał cię we Francji, tak jak to miało miejsce dawniej, sprawy potoczyłyby się inaczej.

- Prawdopodobnie tak, Eli.

Umiejętności operacyjne Lavona były legendarne. Szamron zwykł był mawiać, że Eli Lavon potrafi zniknąć, ściskając ci dłoń na powitanie. Raz do roku udawał się do Akademii, żeby przekazywać tajniki swego rzemiosła następnemu pokoleniu. Obserwatorzy, którzy pracowali w Marsylii, najpewniej wcześniej siedzieli u stóp Lavona.

- Więc co cię sprowadza na Armagedon?

Gabriel położył fotografię na blacie stolika.

- Przystojny diabeł - rzekł Lavon. - Kto to?

Gabriel położył na stole drugą wersję tego samego zdjęcia. Ukazywało tym razem także i postać siedzącą obok: Jasera Arafata.

- Khaled?

Gabriel pokiwał głową.

- A jak to się ma do mnie?

- Myślę, że ty i Khaled możecie mieć coś wspólnego.
- Niby co?

Gabriel popatrzył na doły wykopaliska.

Trójka amerykańskich studentów przysiadła się do nich, kryjąc się w cieniu brezentu. Lavon i Gabriel przeprosili ich i ruszyli wolno dokoła wykopaliska. Gabriel opowiedział przyjacielowi wszystko, począwszy od dossier znalezionego w Mediolanie, a skończywszy na informacjach uzyskanych przez Nabila Azuriego w Ein al-Hilweh. Lavon słuchał, nie zadając pytań, ale Gabriel widział w brązowych oczach przyjaciela, że w myślach już łączy fakty i szuka ścieżek do dalszych poszukiwań. Lavon był kimś więcej niż tylko utalentowanym artystą inwigilacji. Podobnie jak Gabriel, był dzieckiem ocalałych z Holocaustu. Po operacji „Gniew Boży” osiedlił się w Wiedniu i założył małą agencję dochodzeniową - Biuro Roszczeń i Dochodzeń Wojennych. Dysponując niewielkim kapitałem wyjściowym, zdołał wyśledzić i odzyskać miliony dolarów z zagrabionych majątków żydowskich i odegrał niebagatelną rolę w wyduszeniu od szwajcarskich banków ugody opiewającej na wiele bilionów dolarów. Pięć miesięcy temu w biurze Lavona eksplodowała bomba. Jego dwie asystentki zginęły, on sam, poważnie ranny, przez kilka tygodni pozostawał w śpiączce. Człowiek, który podłożył ładunek wybuchowy, działał na zlecenie Ericha Radka.

- Więc sądzisz, że Fella al-Tamari znała Khaleda?
- Bez wątplenia.
- To trochę do niego nie pasuje. Żeby skutecznie ukrywać się przez tyle lat, musiał być cholernie ostrożnym facetem.
- Racja - przyznał Gabriel - ale zakładał, że Fella zginie w zamachu na Gare de Lyon, a jego tajemnica pozostanie bezpieczna. Ona była w nim zakochana, a on ją okłamywał.
- Rozumiem, co masz na myśli.

- Ale najbardziej przekonujący dowód na potwierdzenie ich znajomości pochodzi od ojca dziewczyny. Fellah prosiła go, żeby spalił wszystkie zdjęcia i listy, które wysyłała do niego przez lata. To oznacza, że musiało w nich coś być na temat Khaleda.

- Jako Khaleda?

Gabriel potrząsnął głową.

- Bardziej niebezpiecznie. Musiała pisać o nim pod jego innym nazwiskiem, jego francuskim nazwiskiem.

- Więc zakładasz, że Khaled poznał dziewczynę w normalnych okolicznościach, a dopiero później ją zwerbował?

- Tak właśnie by to rozegrał - powiedział Gabriel. - Tak też rozegrałby to jego ojciec.

- Ale mogli się poznać dosłownie wszędzie.

- Albo mogli się poznać w jakimś miejscu podobnym do tego.

- Na wykopalisku?

- Ona była studentką archeologii. Może Khaled też. A może był profesorem, tak jak ty.

- A może był po prostu przystojnym Arabem, którego poznała w jakimś barze.

- Wiemy, jak dziewczyna się nazywała. Wiemy, że była studentką i że studiowała archeologię. Jeśli pójdziemy tropem Fellah, dotrzemy do Khaleda. Jestem przekonany.

- Wiec idź jej tropem.

- Z oczywistych powodów nie mogę jeszcze wrócić do Europy.

- A dlaczego nie zwrócisz całej sprawy do biura i nie zdasz się na jego psy gończe?

- Ponieważ po paryskim fiasku biuro nie będzie się palić do kolejnego polowania na Khaleda na terenie Europy, przynajmniej nie oficjalnie. Poza tym, to ja reprezentuję biuro i przekazuję tę sprawę tobie. Chcę, żebyś go znalazł, Eli. Po cichu. To twój specjalny dar. Wiesz, jak odwalić taką robotę, żeby nie podniósł się raban.

- To prawda, ale ostatnio wypadłem trochę z gry.

- Czujesz się na siłach, żeby odbyć tę podróż?  
- Jeśli w grę nie będzie wchodził żaden łomot. To twoja działka.  
Ja jestem tylko żydowskim mędrkiem; osiłek to ty.

Lavon wygrzebał papiero sa z kieszeni koszuli i zapalił, osłaniając go dłonią przed wiatrem. Przez chwilę patrzył na dolinę Ezdrelon, zanim odezwał się ponownie.

- I od zawsze tak było, prawda, Gabrielu?  
- Co masz na myśli?  
- Żydowskiego osiłka. Lubisz odgrywać wrażliwego artystę, ale w głębi duszy jesteś bardziej podobny do Szamrona, niż ci się wydaje.

- On zabije ponownie. Być może poczeka do następnego kwietnia, a może cel nadarzy się wcześniej: coś, co chwilowo zaspokoi jego żądzę krwi.

- Może ciebie gnębi podobna żądza?  
- Trochę - zgodził się Gabriel. - Ale tu nie chodzi o zemstę. Chodzi o sprawiedliwość. I o ochronę życia niewinnych. Czy odzujesz go dla mnie, Eli?

Lavon skinął głową.

- Nie martw się, Gabrielu. Znajdę go. Zanim zabije ponownie. Stali w milczeniu przez chwilę, patrząc na okolicę.  
- Czy naprawdę ich wygoniliśmy, Eli?  
- Kananejczyków?  
- Nie, Eli. Arabów.  
- Cóż, z pewnością nie prosiliśmy ich, żeby zostali - odrzekł Lavon. - Może tak było łatwiej.

Niebieski sedan czekał na ulicy Narkissa z włączonym silnikiem. Gabriel rozpoznał twarz mężczyzny siedzącego za kółkiem. Wszedł do kamienicy i ruszył szybko po schodach. Na zewnątrz za wpół otwartymi drzwiami na podeście stały dwie walizki. Chiara sie-



działa w bawialni, ubrana w elegancki dwuczęściowy europejski kostium i szpilki. Była umalowana. Gabriel nigdy jeszcze nie widział jej w makijażu.

- Dokąd się wybierasz?
- Masz dość rozumu, żeby nie zadawać takich pytań.
- Robota?
- Tak, naturalnie, że robota.
- Jak długo cię nie będzie?

Jej milczenie powiedziało mu, że nie zamierza wrócić.

- Gdy skończę, jadę do Wenecji. - Po czym dodała: - Zając się swoją rodziną.

Stał bez ruchu i patrzył na nią. Łzy potoczyły się po jej policzkach, były czarne od tuszu. Gabrielowi przywiodły na myśl smugi brudnego deszczu spływające z posągu. Otarła je i spojrzała na swoje poczerńiałe opuszki palców, zła na własną niemożność zapanowania nad emocjami. Potem wyprostowała się i kilkakrotnie zamrugała.

- Zdaje się, że cię rozczarowałam, Gabrielu.
- Czym?
- Płacząc. Ty nigdy nie płaczesz, prawda?
- Już nie.

Usiadł obok niej i spróbował wziąć ją za rękę. Wyszarpnęła ją i przyłożyła chusteczkę do rozmazanego tuszu, potem otworzyła puderniczkę i przyjrzała się swojemu odbiciu w lusterku.

- Nie mogę wsiąść do samolotu w takim stanie.  
- Dobrze.  
- Niczego sobie nie wyobrażaj. I tak odchodzę. Poza tym, tego przecież właśnie chcesz. Nigdy nie powiedziałbyś mi, żebym odeszła, na to jesteś za bardzo przyzwoity, ale wiem, że chcesz, bym to zrobiła. - Zatrzasnęła puderniczkę. - Nie mam do ciebie pretensji. W pewnym pokrętnym sensie jeszcze bardziej cię kocham. Żałuję tylko, że mnie okłamywałeś. Mówiłeś, że chcesz mnie posłubić.

- Chciałem - powiedział.
- Chciałeś?
- Wciąż chcę cię poślubić, Chiaro. - Zawahał się. - Ale nie mogę. Jestem mężem Leah.
- Wierność, czyż nie, Gabrieli? Oddanie obowiązkom i przyrzeczeniom. Lojalność. Uczciwość.
- Nie mogę jej teraz porzucić, nie po tym, co właśnie przeżyła, co zafundował jej Khaled.
- Za tydzień nie będzie już o tym pamiętać. - Widząc rumieniec na twarzy Gabrieli, ujęła jego dłoń. - Boże, przepraszam. Zapomnij, że w ogóle to powiedziałam.
- Już zapomniałem.
- Jesteś głupcem, pozwalając, żebym stąd odeszła. Żadna nie pokocha cię tak, jak ja cię kochałam. - Wstała. - Ale jeszcze się spotkamy. Kto wie, może niedługo będę pod tobą pracować.
- O czym ty mówisz?
- Biuro aż huczy od plotek.
- Zawsze huczy. Nie powinnaś zwracać uwagi na plotki, Chiaro.
- Kiedyś słyszałam plotkę, że nigdy nie zostawisz Leah, żeby się ze mną ożenić. Żałuję, że nie zwróciłam na nią uwagi.

Zarzuciła torbę na ramię, potem pochyliła się i pocałowała Gabriela w usta.

- Ostatni pocałunek - wyszeptwała.
- Przynajmniej pozwól, że odwiozę cię na lotnisko.
- Ostatnie, czego nam trzeba, to łzawe pożegnanie na Ben Gurionie. Pomóż mi tylko z bagażami.

Zniósł na dół walizki i załadował je do bagażnika samochodu. Chiara usiadła z tyłu i nie spojrzawszy na niego, zamknęła drzwiczki. Gabriel stał w cieniu eukaliptusa i patrzył, jak samochód odjeżdża. Kiedy wracał do pustego mieszkania, uświadomił sobie, że nie poprosił jej, by została. Eli miał rację. Tak było łatwiej.

Tydzień po wyjeździe Chiary Gabriel udał się do Szamronów na obiad. Był tam już Jonatan z żoną i trójką małych dzieci. Była też Rimona z mężem. Oboje dopiero co zakończyli służbę i nie zdążyli przebrać się w cywilne ubrania. Przez całe lata Gabriel nie widział Szamrona tak szczęśliwego jak wtedy, w otoczeniu rodziny. Po kolacji Stary zaprowadził Gabriela i Jonatana na taras. Jasny księżyc w trzeciej kwadrze odbijał się w spokojnej tafli Jeziora Tyberiadzkiego. Za jego wodami majaczyły wzgórze Golan, czarne i bezkształtne. Szamron uwielbiał spędzać czas na swoim tarasie, ponieważ wychodził na wschód, tam gdzie żyli jego wrogowie. Teraz siedział zadowolony w milczeniu, podczas gdy Gabriel i Jonatan omawiali niewesołą sytuację. Po chwili Szamron rzucił Jonatanowi spojrzenie mówiące, że musi porozmawiać z Gabrielem na osobności.

- Kapuję, padre - powiedział Jonatan, wstając. - Zostawię was samych.

- On jest pułkownikiem SOI - rzekł Gabriel, kiedy Jonatan wyszedł. - Nie lubi, kiedy go tak traktujesz.

- Jonatan ma swoją robotę, a my mamy swoją - Szamron zręcznie przesunął punkt ciężkości rozmowy ze swoich osobistych problemów na kłopoty Gabriela. - Jak się ma Leah?

- Jutro zabieram ją na Górę Oliwną, żeby zobaczyła grób Daniego.

- Przypuszczam, że jej lekarz zaaprobował tę wycieczkę?
- Jedzie z nami, razem z połową personelu szpitala psychiatrycznego z Góry Herzla.

Szamron zapalił papierosa.

- Miałeś jakieś wieści od Chiary?
- Nie, i nie spodziewam się żadnych. Wiesz, gdzie ona jest?

Szamron spojrzał teatralnie na zegarek.

- Jeśli operacja przebiega zgodnie z planem, najpewniej teraz właśnie sączy brandy w domku narciarskim w Zermatt w towarzystwie pewnego szwajcarskiego dżentelmena wątpliwego autorkamentu. Ówże dżentelmen przygotowuje się do wysłania pokazowego ładunku broni pewnej libańskiej grupie powstańczej, której nasz interes nie leży raczej na sercu. Chcielibyśmy wiedzieć, kiedy ładunek opuszcza port i dokąd zostanie skierowany.

- Mam nadzieję, że operacyjny nie używa mojej byłej narzeczonej w charakterze słodkiej przynęty.

- Nie znam szczegółów akcji, jedynie cele ogólne. A co do Chiary, to jest dziewczyna o wysokim morale. Jestem przekonany, że będzie wodzić za nos naszego helweckiego przyjaciela.

- Dalej mi się to nie podoba.

- Nie martw się - powiedział Szamron. - Już niedługo to ty będziesz decydował o charakterze jej pracy.

- O czym ty mówisz?

- Premier chciałby zamienić z tobą słówko. Chciałby, żebyś się podjął pewnego zadania.

- Ruchomej tarczy?

Szamron odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się, co z miejsca przypłacił długim spazmatycznym atakiem kaszlu.

- Mówiąc prawdę, chce, żebyś został następnym dyrektorem sekcji operacyjnej.

- Ja? Kiedy komisja śledcza Lwa ze mną skończy, będę mógł mówić o farcie, jeśli uda mi się zostać ochroniarzem w kafejce na Ben Jehudy.

- Wyjdiesz z tego bez szwanku. Czas nie sprzyja teraz publicznemu samobiczowaniu się. Zostaw to Amerykanom. Jeśli musimy posługiwać się półprawdami, jeśli musimy okłamywać państwo takie jak Francja, które nie jest zainteresowane naszym przetrwaniem, to trudno, niech tak będzie.

- Oszustwem i podstępem wojować będziesz - Gabriel przywołał dewizę biura.

Szamron skinął głową i dorzucił:

- Amen.

- Nawet jeśli wyjdę z tego cało, Lew nie zgodzi się, żebyśmy objął operacyjny.

- Nie będzie miał nic do gadania. Kadencja Lwa dobiega końca, a ma niewielu przyjaciół na bulwarze Króla Saula albo ulicy Kapłana. Nie zostanie zaproszony ponownie do tańca.

- Więc kto będzie następnym szefem?

- Premier i ja mamy krótką listę nazwisk. Żadne nie wywodzi się z biura. Ale bez względu na to, kogo wybierzemy, będzie potrzebował doświadczonego człowieka do zarządzania operacjami.

- Wiedziałem, że sprawy do tego zmierzają - westchnął Gabriel.

- Wiedziałem to już wtedy, kiedy zobaczyłem cię w Wenecji.

- Przyznaję, że moje motywy są samolubne. Moja kadencja również się kończy. Jeśli premier odejdzie, ja także. I tym razem nie będzie już powrotu z zesłania. Potrzebuję cię, Gabrielu. Musisz strzec mojego dzieła.

- Biura?

Szamron potrząsnął głową, potem ręką wskazał na okolicę.

- Wiem, że to zrobisz - powiedział. - Nie masz wyboru. Nie bez kozery twoja matka nazwała cię Gabrielem. Michał jest najwyższy, ale ty, Gabrielu, ty jesteś najpotężniejszy. Ty jesteś tym, który broni Izraela przed jego oskarżycielami. Jesteś aniołem trybunału: księciem ognia.

Gabriel w milczeniu popatrzył na jezioro.

- Jest coś, czym muszę się zająć najpierw.

- Eli go odnajdzie, zwłaszcza dysponując wskazówkami, których mu udzieliłeś. Odwaliłeś kawał świetnej detektywistycznej roboty. No, ale zawsze przecież miałeś głowę do takich spraw.

- To zasługa Fellah - odrzekł Gabriel. - Pogrążyła go, opowiadając mi swoją historię.

- Typowo po palestyńsku. Ugrzęźli w pułapce tych swoich historii o stracie i wygnaniu. Nie ma na to rady. - Szamron pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. - Jesteś pewien, że chcesz wziąć na siebie zrobienie z Khaleda męczennika? Są inni chłopcy, którzy mogą się tego podjąć.

- Wiem - odparł - ale muszę to zrobić sam.

Szamron westchnął ciężko.

- Jeśli musisz... Ale tym razem to sprawa osobista. Żadnych zespołów, żadnej inwigilacji, nic, co Khaled mógłby rozegrać na swoją korzyść. Tylko ty i on.

- Tak jak być powinno.

Zapadła cisza. Patrzyli na światła kutra rybackiego kierującego się niespiesznie w stronę Tweru.

- Jest coś, o co muszę cię zapytać - rzekł Gabriel.

- Chcesz porozmawiać o operacji „Tochnit Dalet” - domyślił się Szamron. - O Beit Sayeed i Sumairyi.

- Skąd wiesz?

- Wystarczająco długo wędrujesz już po odmętach palestyńskiego bólu. To jak najbardziej naturalne.

Zadał Szamronowi to samo pytanie, które postawił Eliemu Lavenowi tydzień wcześniej w Tel Megiddo. Czy my ich wypędziliśmy?

- Oczywiście, że tak - przyznał Szamron, po czym szybko dodał: - W kilku miejscach, w specyficznych okolicznościach. I jeśli chcesz znać moje zdanie, powinniśmy byli wypędzić ich więcej. Tutaj właśnie popełniliśmy błąd.

- Nie mówisz poważnie, Ari.

- Pozwól, że to wyjaśnię. Historia postawiła nas na z góry przegranej pozycji. W czterdziestym siódmym roku ONZ posta-

nowił dać nam strzęp ziemi, gdzie mieliśmy założyć swoje państwo. Nie zapominaj, że cztery piąte terenów Palestyny z czasów mandatu już zostało zabrane, żeby utworzyć Transjordanię. Osiemdziesiąt procent! Z pozostałych dwudziestu Narody Zjednoczone dały nam połowę: dziesięć procent terytorium palestyńskiego z czasów mandatu, Równinę Nadbrzeżną i Negew. A Arabowie ciągle jeszcze się nie zgadzali. Wyobraź sobie, że powiedzieliby tak. Wyobraź sobie, że powiedzieliby tak w trzydziestym siódmym, kiedy Komisja Peela zaleciła podział. Ile milionów istnień by się uratowało? Twój dziadkowie nie zginęliby. Moi rodzice i siostry też. A co zrobili Arabowie? Powiedzieli nie, zbratali się z Hitlerem i zacierali ręce na myśl o naszej zagładzie.

- Czy to usprawiedliwia ich wypędzenie?

- Nie, i nie z tego powodu to zrobiliśmy. Zostali wypędzeni w rezultacie wojny, którą sami rozpętali. Na ziemi, którą przyznał nam ONZ, żyło pół miliona Żydów i czterysta tysięcy Arabów. Ci Arabowie byli wrogą siłą, oddaną dziełu naszego zniszczenia. Wiedzieliśmy, że z chwilą kiedy ogłosimy naszą niepodległość, staniemy się celem panarabskiej inwazji. Musieliśmy przygotować pole walki. Nie mogliśmy toczyć dwu wojen jednocześnie. Nie mogliśmy jedną ręką walczyć z Egipcjanami i Jordańczykami, a drugą odpierać ataki Arabów z Beit Sayeed i Sumairyi. Oni musieli odejść.

Szamron wiedział, że Gabriel pozostał nieprzekonany.

- Powiedz mi coś, Gabrielu. Czy sądzisz, że gdyby Arabowie wygrali tę wojnę, nie byłoby żydowskich uchodźców? Zobacz, co się stało w Hebronie. Zwieźli Żydów do centrum miasta i zgładzili. Napadli na kierujący się na górę Skopus konwoj z lekarzami i pielęgniarkami i wycięli wszystkich w pień. By upewnić się, że nikt nie przeżył, oblali pojazdy benzyną i podpalili. Oto prawdziwa natura naszego wroga. Ich celem było zabicie nas wszystkich, tak żebyśmy nigdy już nie wrócili. I ciągle to jest ich celem. Chcą nas wszystkich powybijać.

Gabriel powtórzył Szamronowi słowa, które usłyszał od Fellah w drodze do Paryża. „Mój holocaust jest tak samo prawdziwy jak wasz, a jednak wy negujecie moje cierpienie, a siebie oczyszczacie z winy. Twierdzicie, że sami zadaliśmy sobie nasze rany”.

- Bo zadali je sobie - rzekł Szamron.

- Ale czy była strategia powszechnych wysiedleń? Czy przeprowadzaliście rugi etniczne, bo taka była linia polityczna?

- Nie - oburzył się Szamron - i dowody na to masz wszędzie dokoła. Któregoś wieczoru jedliście kolację w Abu Gosz. Jeśli istniała strategia powszechnych wysiedleń, to dlaczego zostało się takie miejsce jak Abu Gosz? Dlaczego w zachodniej Galilei zlikwidowana Sumairyję, ale zostawiono Al-Makr? Ponieważ mieszkańcy Abu Gosz i Al-Makr nie próbowali nas wyrzynać. Ale może to nasz błąd. Może powinniśmy byli wysiedlić ich wszystkich, zamiast usiłować zachować wśród nas arabską mniejszość.

- Wtedy byłoby jeszcze więcej uchodźców.

- Racja, ale gdyby nie mieli nadziei na powrót, być może zasymilowaliby się w Jordanii albo Libanie, zamiast pozwalać się wykorzystywać jako propagandowe narzędzia służące demonizowaniu i delegitymizowaniu nas. Dlaczego ojciec Fellah al-Tamari ciągle jeszcze przebywa w Ein al-Hilweh po tylu latach? Dlaczego żaden z bratnich krajów arabskich, narodów, z którymi łączy go wspólnota języka, kultury i religii, dlaczego żaden z nich go nie przyjął? Ponieważ chcą posługiwać się nim, żeby podważać moje prawo do istnienia. Jestem tutaj. Żyję, oddycham. Istnieję. Niepotrzebne mi jest niczyje pozwolenie. Niepotrzebna mi jest czyjakolwiek zgoda. I z pewnością poza tym krajem nie mam już gdzie się podziać. - Spojrzał na Gabriela. - Chcę tylko, żebyś go strzegł za mnie. Mój wzrok nie jest już taki, jak kiedyś.

Światła kutra znikły w porcie Twerii. Szamron wydał się nagle bardzo zmęczony.

- W tym miejscu nigdy nie zapanuje pokój, ale też i nigdy go tu nie było. Odkąd przybyliśmy do tej ziemi z Egiptu i Mezo-



pot;amii, walczyliśmy. Z Kananejczykami, Asyryjczykami, Filistynami, Rzymianami, Amalekitami, Łudziliśmy się, wierząc, że nasi wrogowie zarzucili pomysł wyniszczenia nas. Modlimy się o rzeczy nie;ziszczalne. Pokój bez sprawiedliwości, wybaczenie bez zadośćuczynienia. - Spojrzał wyzywająco na Gabriela. - Miłość bez poświęceń. - Gabriel podniósł się i zaczął zbierać do wyjścia.

- Co mam powiedzieć premierowi?

- Powiedz mu, że muszę to przemyśleć.

- Operacje to tylko przystanek na drodze, Gabrielu. Któregoś dnia zostaniesz szefem. Będziesz *Memuneh*.

- Ty jesteś *Memuneh*, Ari. Zawsze nim będziesz.

Szamron roześmiał się z zadowoleniem.

- Co mam mu powiedzieć, Gabrielu?

- Powiedz mu, że ja także nie mam się już gdzie podziać.

Telefon od Juliana Isherwooda dostarczył Gabrielowi pretekstu, jakiego szukał, żeby usunąć z mieszkania ostatnie ślady Chiary. Skontaktował się z organizacją charytatywną na rzecz rosyjskich imigrantów i powiedział, że chciałby przekazać darowiznę. Następnego ranka przybyło dwu kościstych chłopców z Moskwy i ogołociło bawialnię ze wszystkich mebli: kanap i krzesel, stoliczków i lamp, stołu z jadalni, a nawet ozdobnych mosiężnych wazonów i ceramiki, które Chiara wybierała i rozmieszczała z takim pietyzmem. Sypialnię Gabriel pozostawił nietkniętą, z wyjątkiem bielizny pościelowej i kołdry, która ciągle miała waniliowy zapach włosów Chiary.

W trakcie następnych dni na ulicę Narkissa zjeżdżały kolejno ciężarówki dostawcze. Najpierw przybył duży biały stół do badań, po nim fluorescencyjne i halogenowe lampy o regulowanych stojakach. Renomowany sklep z artykułami dla artystów L. Cornelissen i Synowie z Great Russell Street w Londynie wyekspediował ładunek pędzli, pigmentów i werniksu. Firma chemiczna z Leeds

przysłała kilka skrzyń potencjalnie niebezpiecznych rozpuszczalników, które wywołały więcej niż przelotne zainteresowanie izraelskiej poczty. Z Niemiec nadszedł kosztowny mikroskop ze składanym ramieniem; z warsztatu w Wenecji dwie duże dębowe sztalugi.

*Daniel w jaskim lwów*, olej na płótnie, mylnie przypisywany Erasmusowi Quellinusowi, nadszedł następnego dnia. Rozpakowanie skomplikowanej skrzyni przewozowej zabrało Gabrielowi większość popołudnia i jedynie z pomocą Szamrona zdołał umieścić ogromne płótno na podwójnych sztalugach. Widok Daniela otoczonego przez dzikie bestie zaintrygował Szamrona. Pozostał do późnego wieczoru, kiedy Gabriel, uzbrojony w bawełniane tampony, miednicę destylowanej wody i amoniak, zaczął nużące zadanie usuwania ponadstuletniej warstwy kurzu i brudu z powierzchni obrazu.

W miarę możliwości stara! się odtworzyć swoje nawyki pracy z Wenecji. Wstawał przed świtem, zwalczał odruch włączenia radia, żeby codzienne żniwo krwi i stale alarmy bezpieczeństwa nie zniszczyły uroku, jaki rzucił na niego obraz. Przez cały ranek zostawał w pracowni, zwykle odwalał też i drugą szychtę do późna w noc. Na bulwarze Króla Saula spędzał jak najmniej czasu, o rezygnacji Lwa dowiedział się z radia, jadąc z ulicy Narkissa na Górę Herzla, żeby zobaczyć się z Leah. Podczas tych widzeń jej podróże do Wiednia stawały się mniej intensywne i trwały krócej. Pytała go o ich przeszłość.

- Gdzie się poznaliśmy, Gabrielu?
- W Bezalel. Byłaś malarką, Leah.
- Gdzie się pobraliśmy?
- W Twerii. Na tarasie Szamrona wychodzącym na Jezioro Tyberiadzkie.
- A ty teraz jesteś konserwatorem?
- Uczylem się w Wenecji u Umberta Contiego. Odwiedzałaś mnie tam co kilka miesięcy. Udawałaś Niemkę z Bremy. Pamiętasz, Leah?

Któregoś gorącego czerwcowego popołudnia Gabriel pił kawę z doktorem Bar-Zwim w kawiarni dla personelu.

- Czy ona kiedykolwiek będzie mogła opuścić to miejsce?

- Nie.

- A na krótkie okresy?

- Nie widzę przeciwwskazań - powiedział lekarz. - Prawdę mówiąc, gotów jestem uznać to za całkiem dobry pomysł.

Na początku przybywała w towarzystwie pielęgniarki. Później, kiedy czuła się już swobodniej poza szpitalem, Gabriel przywoził ją do domu samą. Siadywała na krześle w pracowni i godzinami patrzyła, jak Gabriel pracuje. Czasami jej obecność napełniała go spokojem, czasami bólem nie do wytrzymania. Zawsze pragnął móc umieścić ją na sztalugach i odtworzyć tę kobietę, którą owego śnieżnego wieczoru w Wiedniu wsadził do samochodu.

- Masz jakieś moje obrazy?

Pokazał jej portret wiszący w sypialni. Kiedy spytała, kto był modelem, Gabriel powiedział, że on sam.

- Smutno na nim wyglądasz.

- Byłem zmęczony - rzekł. - Nie było mnie w domu przez trzy lata.

- Czy naprawdę ja to namalowałam?

- Byłaś świetna - stwierdził. - Lepsza ode mnie.

Któregoś popołudnia, kiedy Gabriel retuszował zniszczoną część twarzy Daniela, zapytała go, dlaczego pojechała do Wiednia.

- Oddaliliśmy się od siebie przez moją pracę. Myślałem, że mój kamuflaż był wystarczająco bezpieczny, żeby sprowadzić ciebie i Daniego. Popeliłem błąd, i to wy za niego zapłaciście.

- Była jeszcze jakaś kobieta, prawda? Francuska dziewczyna. Pracowała w biurze.

Gabriel skinął głową i wrócił do pracy nad twarzą Daniela. Leah domagała się dalszych informacji.

- Kto to zrobił? - zapytała. - Kto podłożył bombę w moim samochodzie?

- Arafat. Ja miałem zginąć z tobą i Danim, ale mężczyzna, który zajmował się tym zleceniem, zmienił plan.

- Czy on żyje, ten mężczyzna?

Gabriel pokręcił głową.

- A Arafat?

Pojęcie Leah o obecnej sytuacji było, oględnie mówiąc, słabe. Gabriel wyjaśnił, że Jaser Arafat, śmiertelny wróg Izraela, przebywa teraz niedaleko stąd, w Ramalli.

- Arafat jest tutaj? Jak to możliwe?

Mądrość maluczkich, pomyślał Gabriel. Właśnie wtedy usłyszał kroki na klatce schodowej. Nie trując się pukaniem, do mieszkania wkroczył Eli Lavon.

Aix-en-Provence, pięć miesięcy później

Po jarach i wąwozach Bouches-du-Rhône grasowały już pierwsze podmuchy mistrala. Wysiadając ze swojego mercedesa sedana, Paul Martineau zapiął połową kurtkę z brezentu i postawił kołnierz. Kolejna zima nastąpiła w Prowansji. Jeszcze kilka tygodni, pomyślał, i trzeba będzie zamknąć wykopalisko aż do następnej wiosny.

Wyciągnął z bagażnika płócienny plecak i ruszył wzdłuż krawędzi kamiennego muru warownego wzgórza. Chwilę później przystanął w miejscu, gdzie kończyła się budowla. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej, w pobliżu skraju szczytu, stał malarz przed sztalugami. Na wzgórzu często widywało się pracujących artystów, sam Cézanne uwielbiał ów majestatyczny widok na Chaîne de l'Etoile. Jednakże Martineau uznał, że mądrze będzie bliżej przyrzyć się nieznanemu przed przystąpieniem do pracy.

Przełożył pistolet, makarowa, z plecaka do kieszeni kurtki, po czym ruszył w kierunku malarza. Mężczyzna stał tyłem do Martineau. Sądząc z położenia jego głowy, patrzył na odległą górę Sainte-Victorie. Kilka sekund później, kiedy Martineau zerknął na płótno po raz pierwszy, uzyskał potwierdzenie swojego przypuszczenia. Praca utrzymana była w stylu klasycznych pejzaży Cezanne'a. Prawdę mówiąc, pomyślał Martineau, była to niemalże kopia.

Artysta był tak pochłonięty pracą, że zdawał się nie słyszeć nadejścia Martineau. Dopiero kiedy archeolog stanął za jego plecami, przestał malować i zerknął przez ramię. Miał na sobie gruby wełniany sweter i miękki kapelusz z szerokim rondem, które podrygiwało na wietrze. Siwa broda była długa i nieuczesa-na, ręce powalane farbą. Sądząc z wyrazu jego twarzy, należał do ludzi, którzy nie lubią, kiedy przeszkadza się im w pracy. Martineau rozumiał to.

- Najwyraźniej jest pan wielbicielem Cezanne'a - rzekł.

Malarz skinął głową i wrócił do pracy.

- To całkiem niezłe. Nie zechciałby pan mi go sprzedać?

- Ten jest już zaklepany, ale mogę namalować inny, jeśli pan sobie życzy.

Martineau wręczył mu wizytówkę.

- Może się pan ze mną skontaktować w moim biurze na uniwersytecie. Cenę omówimy, kiedy zobaczę gotowy obraz.

Malarz wziął wizytówkę i wrzucił ją do drewnianego pojemnika zawierającego farby i pędzle. Martineau życzył mu dobrego dnia i ruszył dalej, aż doszedł do wykopu, w którym pracował poprzedniego popołudnia. Zszedł do dołu i usunął rozpostarty na dnie niebieski brezent, odsłaniając półprofil wyrzeźbionej w kamieniu czaszki. Otworzył plecak, wyjął małą ręczną kielnię i szczoteczkę. Właśnie miał przystąpić do pracy, kiedy nad wykopem zafalował cień jakiejś postaci. Spojrzał w górę. Spodziewał się ujrzeć Yvette albo kogoś z pozostałych archeologów pracujących na wykopalisku. Zamiast tego zobaczył podświetlony od tyłu jaskrawym słońcem zarys sylwetki malarza w kapeluszu. Martineau podniósł dłoń i osłonił oczy.

- Czy mógłby pan się stąd odsunąć? Zasłania mi pan światło. Malarz bez słowa wyciągnął wizytówkę, którą Martineau wręczył mu przed chwilą.

- Sądzę, że to nazwisko jest nieprawidłowe.

- Pan wybaczy.

- Tutaj jest napisane Paul Martineau.
- Owszem, to ja.
- Ale to nie jest pańskie prawdziwe nazwisko, czyż nie?

Martineau poczuł falę gorąca przepływającą przez kark. Spojrzał uważnie na postać stojącą na skraju wykopu. Czy to naprawdę on? Martineau nie był pewien, nie przy tej brodzie i kapeluszu z obwisłym rondem. Potem pomyślał o pejzażu. Doskonała imitacja kolorytu i faktury prac Cezanne'a. Oczywiście, że to on. Martineau wolno przesunął dłoń w stronę kieszeni i raz jeszcze zagrał na zwłokę.

- Posłuchaj, mój przyjacielu, nazywam się...

- Khaled al-Khalifa. - Malarz skończył zdanie za niego. Potem przemówił po arabsku. - Naprawdę chcesz umrzeć jako Francuz? Jesteś Khaledem, synem Sabriego, wnukiem Asada, Lwa z Beit Sayeed. W kieszeni płaszcza masz broń swojego ojca. Sięgnij po nią. Powiedz mi, jak się nazywasz.

Khaled chwycił rękojeść makarowa. Wyciągał broń z kieszeni, kiedy pierś rozerwała mu pierwsza kula. Po drugim strzale pistolet wysunął mu się z dłoni. Poleciał do tyłu i uderzył głową o skalne podłoże wykopu. Kiedy tracił przytomność, spojrzał do góry i zobaczył, jak Żyd nabiera garść ziemi z hałdy na brzegu rowu, sypie mu ją na twarz i wznosi pistolet po raz ostatni. Ujrzał błysk ognia, potem ciemność. Wykop zaczął wirować, a on sam poczuł, jak, kręcąc się, spada w dół, w przeszłość.

Malarz wsunął berettę z powrotem za pasek spodni i wrócił do miejsca, gdzie pracował. Zanurzył pędzel w czarnej farbie i podpisał płótno, potem odwrócił się i ruszył z boczem wzgórze. W cieniu starożytnego muru spotkał dziewczynę o krótkich włosach, która mgliście przypominała Fellah al-Tamari. Życzył jej dobrego dnia i wsiadł na siodełko motocykla. Chwilę później już go nie było.

# Od autora

*Księżę ognia* to fikcja literacka. W dużej mierze opiera się jednak na rzeczywistych zdarzeniach. Do pewnego stopnia powieść została zainspirowana fotografią: zdjęciem przedstawiającym chłopca na pogrzebie swojego ojca, terrorysty zabitego w Bejrucie w 1972 roku przez agentów izraelskiego wywiadu. Terrorystą tym był członek Czarnego Września, Ali Hassan Salameh, główny autor masakry na Olimpiadzie w Monachium i wielu innych morderstw, a człowiekiem, na którego kolanach siedzi chłopiec, jest nie kto inny jak Jaser Arafat. Badacze konfliktu izraelsko-palestyńskiego zorientują się, że powołując do życia fikcyjnych Asada i Sabriego al-Khalifów, zapożyczyłem wiele z historii Alego Hassana Salameha i jego osławionego ojca. Pomiedzy Salamehami a al-Khalifami istnieją jednak kluczowe różnice, zbyt wiele, by je tu wymieniać. Inspekcja Równiny Nadbrzeżnej nie zaowocuje znalezieniem wioski o nazwie Beit Sayeed, ponieważ takie miejsce nie istnieje. „Tochnit Dalet” było prawdziwym kryptonimem planu usunięcia wrogich skupisk ludności arabskiej z ziem przyznanych nowemu Państwu Izrael. Kiedyś istniała w zachodniej Galilei wioska o nazwie Sumairyja. Jej zniszczenie przebiegało tak, jak opisują to strony tej powieści. Czarny Wrzesień był naprawdę tajnym zbrojnym ramieniem Organizacji Wyzwolenia Palestyny Jasera Arafata, a skutki jego krótkich, krwawych rządów terroru trwają do dzisiaj. To właśnie Czarny Wrzesień jako pierwszy pokazał skuteczność przeprowadzania na arenie międzynarodowej spektakularnych akcji terrorystycznych i dowody jego oddziaływania widzimy teraz wszędzie dokoła. Są widoczne w szkole w Biesłanie, we wrakach czterech madryckich pociągów i na



pustym placu na Manhattanie, gdzie kiedyś stały dwie wieże World Trade Center.

Jaser Arafat zachorował i umarł, kiedy kończyłem tę powieść. Gdyby obrał był drogę pokoju, zamiast rozpętywać falę terroru, ta książka nigdy nie zostałaby napisana, a tysiące ludzi, Izraelczyków i Palestyńczyków, żyłoby do dziś.

# Podziękowania

Powieść ta, podobnie jak cztery poprzednie z serii o Gabrielu Mionie, nie powstałaby bez pomocy Davida Bulla. David należy do najznamienitszych konserwatorów sztuki na świecie, a jego przyjaźń oraz mądrość wzbogaciły zarówno moje życie, jak i książki. Jeffrey Goldberg, znakomity korespondent „The New Yorkera”, hojnie dzielił się ze mną zasobami swojej wiedzy i doświadczenia, był także na tyle uprzejmy, by zapoznać się z moim rękopisem i wnieść szereg użytecznych sugestii. Dziękuję Avivie Raz Schechter z ambasady izraelskiej w Waszyngtonie, która zapewniła mi unikalne spojrzenie na panoramę Izraela w tych burzliwych czasach. Louis Toscano dwukrotnie przeczytał mój rękopis, który wiele zyskał dzięki pracy jego nieomyślnej redaktorskiej ręki. Esther Newberg z International Creative Management czytała każdy z moich pierwszych szkiców i cierpliwie naprowadzała mnie na właściwy kierunek.

Podczas pracy nad powieścią zaglądałem do setek książek, artykułów i stron internetowych, zbyt wielu, by je tu wymieniać. Wykazałbym się jednak dużą niedbalością, gdybym nie wspomniał choćby kilku. Jestem głęboko zobowiązany wielkiemu izraelskiemu uczonemu Benny'emu Morrisowi, którego pionierska praca *The Brith of the Pakstinian Refugee Problem* pomogła mi ukształtować wiedzę na temat charakteru i zasięgu akcji wysiedleń Arabów, jakie miały miejsce w latach 1947 i 1948. Jego prześwietna historia konfliktu arabsko-izraelskiego *Righteous Victims* także okazała się bezcennym źródłem, podobnie jak *Israel. A History* Martina Gilberta. Moje własne impresje na temat współczesnego społeczeństwa izraelskiego nabrały ostrości zwłaszcza dzięki trzem pracom: *The Israelis*

Donny Rosenthal, *Still Life with Bombers* Davida Horowitza i *War Without End* Antona La Guardia. *The Quest for the Red Prince* autorstwa Michaela Bar-Zohara i Eitana Habera jest wymowną relacją pełnej przemocy historii rodziny Salamehów. To Jaron Ezrahi z Izraelskiego Instytutu Demokracji w Jerozolimie, a nie fikcyjny pułkownik Jonatan Szamron, pierwszy porównał mur bezpieczeństwa do Ściany Płaczu, i to z o wiele większą erudycją i pasją, niż mnie się tutaj udało. Czytelnicy obeznani z wieczorną liturgią Jom Kippur rozpoznają, że pożytyłem cztery linijki modlitwy, napisanej pierwotnie z myślą o angielskim wydaniu zbioru modlitw *Gates of Repentance* i włożyłem je w usta Ariego Szamrona w przedostatnim rozdziale.

Żaden z powyższych wysiłków nie powiódłby się bez wsparcia i oddania znakomitego zespołu profesjonalistów z wydawnictwa Putnam: Carole Baron, Daniela Harveya, Marilyn Ducksworth oraz przede wszystkim mojego wydawcy, Neila Nyrena. Oni wszyscy są, ujmując rzecz najprościej, absolutnie bezkonkurencyjni w swoim fachu.

Wreszcie wyrazy wdzięczności kieruję do mojej żony, Jamie Gangel, która z wprawą czytała każdy z moich wczesnych szkiców, służyła za probierz dla pomysłów i jak zawsze pomogła mi dowlec się do ostatniej linijki. Nie potrafię przecenić jej wkładu ani podziękować jej wystarczająco.